



WINSTON GRAHAM

ROSS
POLDARK



WINSTON GRAHAM

ROSS
POLDARK

POWIEŚĆ O KORNWALII W LATACH 1783-1787

Przełożył Tomasz Wyżyński

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2016

Winston Graham

ROSS POLDARK

Prolog

1

Joshua Poldark zmarł w marcu 1783 roku. W lutym, przeczuwając zbliżający się kres, posłał do Trenwith po brata.

Było zimne, szare popołudnie. Charles przyjechał kłusem na potężnym dereszku, a Prudie Paynter, gruba służąca o rzadkich włosach i smagłej twarzy, zaprowadziła go prosto do sypialni. Joshua leżał w wielkim łożu skrzyniowym, wsparty na poduszkach i jaśkach. Charles rozejrzał się z dezaprobatą po sypialni małymi wodnistymi oczami o bladoniebieskiej barwie, zauważając brud i bałagan, po czym uniósł poły surduta i zajął miejsce na wiklinowym fotelu, który zaskrzypiał pod jego ciężarem.

– Witaj, Joshuo!

– Witaj, Charlesie!

– Przykro mi, że chorujesz.

– Mnie również jest przykro.

– Kiedy znowu zaczniesz chodzić, jak myślisz?

– Trudno powiedzieć. Może skończę na cmentarzu...

Charles wydał dolną wargę. Normalnie puściłby te słowa mimo uszu, lecz słyszał już pogłoski o rychłej śmierci Joshui. Pierdnął swobodnie – ostatnio jazda konna powodowała u niego gazy – i zaczął pocieszać brata.

– Bzdury, mój panie! Podagra jeszcze nikogo nie zabiła. Jest niebezpieczna dopiero wtedy, gdy atakuje głowę.

– Choake mówi, że puchlina ma jeszcze inne przyczyny. Zastanawiam się, czy przynajmniej raz ten stary dureń nie ma racji. Chociaż, dalibóg, z pozoru to ty powinieneś leżeć na moim miejscu, bo jesteś dwa razy grubszy ode mnie.

Charles zerknął na swój wielki brzuch opięty czarną haftowaną kamizelką.

– Jestem zdrowy jak ryba. Każdy mężczyzna w średnim wieku przybiera na wadze. Za żadne skarby nie chciałbym być taką tyczką jak kuzyn William-Alfred.

Joshua ironicznie uniósł brwi, lecz milczał i w komnacie zapadła cisza. Bracia Poldarkowie od wielu lat nie mieli sobie wiele do powiedzenia i trudno im było znaleźć banalne tematy do rozmowy w czasie ostatniego spotkania. Charles, starszy i zamożniejszy, który odziedziczył siedzibę rodu, większość ziemi i udziałów w kopalni, głowa rodziny i szanowany obywatel hrabstwa, nigdy nie wyzbył się podejrzeń, że młodszy brat nim pogardza. Joshua zawsze sprawiał kłopoty. Nigdy nie chciał robić tego, czego po nim oczekiwano: zostać duchownym, oficerem, bogato się ożenić i pozwolić Charlesowi rządzić okręgiem wedle własnej woli.

Charles patrzyłby przez palce na wysoki brata, lecz istniały pewne granice i Joshua je przekroczył. To, że w ciągu ostatnich kilku lat przykładnie się zachowywał, nie zmasało dawnych grzechów.

Joshua, cynik, który stracił większość złudzeń, nie miał pretensji do losu ani do Charlesa. Czerpał z życia pełnymi garściami i ignorował starszego brata.

– Jesteś jeszcze młody, mój panie! – stwierdził Charles. – Dwa lata młodszy ode mnie, a ja cieszę się doskonałym zdrowiem! Prrrt!

– Jesteś ode mnie starszy o dwa lata, owszem, ale żyłeś połowę wolniej ode mnie – odrzekł Joshua i w jego odpowiedzi było żdźbło prawdy.

Charles dotknął wargami hebanowej gałki swojej laski i rozejrzał się po sypialni spod ciężkich powiek.

– Ta przekłeta wojna jeszcze się nie skończyła. Ceny szaleją. Pszenica po siedem funtów i osiem szylingów za buszel. Masło dziewięć pensów za funt. Szkoda, że miedź nie jest równie droga. Myślmy o otwarciu nowych wyrobisk w kopalni Grambler. Na głębokości osiemdziesięciu sążni. Może zwróca się nam początkowe nakłady, choć szczerze mówiąc, raczej w to wątpię. Obsiałeś w tym roku pola?

– Chciałem z tobą porozmawiać o wojnie – rzekł Joshua, prostując się na poduszkach i łapiąc oddech. – Za kilka miesięcy zawrzemy pokój. Później Ross wróci do domu i może nie będę mógł go już powitać. Jesteś moim bratem, choć nigdy dobrze ze sobą nie żyliśmy. Chcę ci opowiedzieć, jak się mają sprawy, i prosić, byś czuwał nad wszystkim do jego powrotu.

Charles odsunął od ust gałkę laski i uśmiechnął się niepewnie. Wyglądał jak człowiek, którego nagle poproszono o pożyczkę.

– Mam mnóstwo zajęć, bracie.

– Nie zabiorę ci wiele czasu. Zostawię po sobie niewiele. Na stole obok ciebie leży odpis mojego testamentu. Przeczytaj go w wolnej chwili. Oryginał ma Pearce.

Charles niezgrabnie uniósł opuchniętą dłoń i wziął pergaminowy dokument z rozchybotanego trójnożnego stolika.

– Kiedy ostatnio miałeś jakieś wiadomości od Rossa? – spytał. – Co się stanie, jeśli nie wróci?

– Majątek przypadnie Verity. Tak głosi testament. Verity otrzyma także mój udział w Grambler, ponieważ jest jedynym członkiem naszej rodziny, który raczył mnie odwiedzić po wyjeździe Rossa. – Joshua wytarł nos brudnym prześcieradłem. – Ale Ross wróci. Po zawarciu rozejmu dostałem od niego list.

– Grozi mu jeszcze wiele niebezpieczeństw.

– Mam przecucie, że wróci – odparł Joshua. – Jestem pewien, że wróci. Chcesz się założyć? Rozliczymy się, gdy się spotkamy. Na tamtym świecie muszą być jakieś pieniądze.

Charles znów spojrzał na woskową, pomarszczoną twarz brata, niegdyś tak przystojną. Czuł ulgę, że Joshua prosi o względnie niewielką przysługę, lecz nie tracił czujności. Pomysł zawarcia zakładu na łożu śmierci wydał mu się niestosowny i dziwaczny.

– Któregoś dnia odwiedził nas kuzyn William-Alfred. Pytał o ciebie.

Joshua się skrzywił.

– Powiedziałem mu, że jesteś ciężko chory – ciągnął Charles. – Zasugerował, że chociaż możesz nie chcieć wzywać wielebnego Odgersa, mógłbyś się wypowiedzieć przed jednym z członków naszej rodziny.

– Czyli Williamem-Alfredem?

– Teraz, po śmierci męża Betty, to jedyny krewny mający święcenia.

– Nie chcę widzieć klechów – odparł Joshua. – Na pewno miał zacne intencje, ale czy pomyślał, że wyznając grzechy przed krewnym, zdradzałbym sekrety rodzinne? Nie, wolałbym już wezwać Odgersa, chociaż wygląda jak mała na wpół zagłodzona czajka. Ale w ogóle nie chcę widzieć klechów.

– Gdybyś zmienił zdanie, wyślij Juda z wiadomością – rzekł Charles. – Prrrt!

Joshua fuknął.

– Szybko się przekonam, czy potrzebuję klechy. Jednak nawet gdyby ich ceremonie i modlitwy miały jakiś sens, czy powinienem się przed nimi kajać? Jestem zadowolony ze swojego życia, na Boga! Nie ma sensu się mazgać. Nie płaczę nad sobą i nie chcę, by ktoś nade mną płakał. Przyjmę spokojnie to, co mnie czeka po śmierci. To wszystko.

W sypialni zapadła cisza. Na zewnątrz wiał wiatr, uderzając o kamienne ściany i dach z szarego łupku.

– Pora na mnie – odezwał się Charles. – Ci Paynterowie straszliwie zapuścili dwór. Dlaczego nie

weźmiesz kogoś lepszego?

– Jestem zbyt stary, by ich wyrzucać. Pozostawiam to Rossowi. Wkrótce doprowadzi wszystko do porządku.

Charles z niedowierzaniem puścił wiatry. Nie miał wysokiego mniemania o zdolnościach Rossa.

– Przebywa teraz w Nowym Jorku – ciągnął Joshua. – Służy w garnizonie. Prawie wyleczył się z ran. Miał szczęście, że nie uczestniczył w oblężeniu Yorktown. Jest w randze kapitana. Ciągłe w sześćdziesiątym drugim regimencie piechoty. Gdzieś zapodziałem jego list, bo inaczej bym ci go pokazał.

– Francis bardzo mi pomaga – rzekł Charles. – Ross też mógłby ci pomagać, gdyby nie postanowił walczyć z Francuzami i kolonistami z Ameryki.

– Jeszcze jedna sprawa – odezwał się Joshua. – Widujesz czasem Elizabeth Chynoweth albo coś o niej słyszałeś?

Po obfitym posiłku pytania z trudem docierały do mózgu Charlesa. W czasie rozmowy z bratem musiał się zastanawiać nad jego ukrytymi motywami.

– Kto to taki? – spytał ociężale.

– Córka Jonathana Chynowetha. Znasz ją. Chuda, jasnowłosa dziewczyna.

– Cóż z nią?

– Pytałem, czy ją widziałeś. Ross stale wspomina o niej w listach. Ładne dziecko. Liczy, że ją poślubi po powrocie, i uważam, że byłaby dla niego dobrą żoną. Ustatkowałby się, a ona nie znajdzie przyzwoitszego kandydata na męża, choć może nie powinienem tego mówić jako jego ojciec. Dwa stare dobre rody. Gdybym mógł chodzić, pojechałbym do Jonathana na Boże Narodzenie i wszystko byśmy uzgodnili. Kiedyś o tym rozmawialiśmy, ale postanowił poczekać na powrót Rossa.

– Pora na mnie – powtórzył Charles i wstał, aż zaskrzypiały mu kolana. – Mam nadzieję, że po powrocie twój syn się ustatkuje, niezależnie od tego, czy się ożeni. Obracał się w złej kompanii, z którą nigdy nie powinien się zadawać.

– Widujesz czasem Chynowethów? – spytał Joshua, który nie zamierzał pozwolić, by brat zmienił temat, robiąc aluzje do dawnych grzechów. – Jestem w Namparze odcięty od świata, a Prudie zna tylko plotki z Sawle.

– Och, od czasu do czasu. Tego lata Verity i Francis spotkali ich na przyjęciu w Truro... – Charles wyjrzał przez okno. – Niech mnie kule biją, to przecież Choake! Cóż, będziesz miał towarzystwo, a mówiłeś, że nikt cię nie odwiedza. Muszę jechać.

– Pojawia się jedynie po to, by sprawdzić, jak szybko zdycham po jego pigułkach. Albo gada o polityce. Jakby mnie obchodziło, czy pan minister Fox siedzi w norze, czy poluje na torysowskie kurczaki.

– Decyzja należy do ciebie. – Mimo ogromnej tuszy Charles poruszał się szybko i zwinnie. Wziął kapelusz i rękawice do jazdy konnej, po czym zaczął szykować się do wyjścia. Stanął niezgrabnie obok łoża, zastanawiając się, jak najzręczniejszy się pożegnać, a tymczasem za oknem rozległ się stukot końskich kopyt.

– Powiedz mu, że nie chcę go widzieć! – rzucił z irytacją Joshua. – Niech daje te mikstury swojej głupiej żonie!

– Uspokój się – odparł Charles. – Ciotka Agatha przesyła ci pozdrowienia i radzi pić grzane piwo z jajami i cukrem. Mówi, że to cię uleczy.

Joshuę opuściła irytacja.

– Ciotka Agatha to mądra stara cholera. Przekaż jej, że posłucham jej rady i że może liczyć na miejsce obok mnie. – Rozkaślał się.

– Bóg z tobą, bracie – rzekł śpiesznie Charles i opuścił sypialnię.

Joshua został sam.

Po wyjeździe Rossa spędził wiele godzin w samotności, lecz nie miało to znaczenia, dopóki miesiąc temu nie musiał położyć się do łóżka. Ogarnęła go melancholia i w jego głowie pojawiały się dziwne myśli. Dla człowieka spędzającego większość czasu na wolnym powietrzu, z natury impulsywnego, przymusowy pobyt w ciemnej, ponurej sypialni był tylko nędzną wegetacją. Joshua nie miał nic do roboty i mógł jedynie myśleć o przeszłości, często niezbyt chwalebnej.

Myślał o Grace, swojej dawno zmarłej żonie. Przyniosła mu szczęście. Kiedy żyła, wszystko się układało. Kopalnia, którą otworzył i nazwał jej imieniem, dała ogromne zyski. Z dumą i nadzieją rozpoczął budowę dworu, żona urodziła dwóch zdrowych synów. Pozostawił za sobą grzechy młodości i się ustatkował. Postanowił rywalizować z Charlesem na jeszcze jednym polu: wznoszona budowla miała stanowić siedzibę nowej gałęzi rodu Poldarków, równie potężnej jak ta główna z Trenwith.

Po śmierci Grace szczęście go opuściło. Budowę dworu przerwano w połowie, kopalnia przynosiła coraz mniejsze zyski, po odejściu żony Joshua stracił ochotę do pracy i wydawania pieniędzy. Budynek wykończono byle jak, nie zrealizowano większości planów. Później zamknięto również Wheal Vanity i umarł mały Claude Anthony.

...Słyszał, jak doktor Choake i Charles rozmawiają przy frontowych drzwiach: melancholijny tenor brata i głęboki, powolny, pompatyczny głos medyka. Wezbrała w nim bezsilna złość. Po jakie licho stoją na progu i gadają?! Pewnie kiwają głowami i mówią: „No cóż, zaiste, czegoż innego można się spodziewać?”. Pociągnął za sznurek dzwonka wiszącego przy łóżku i z irytacją czekał na nadejście Prudie.

W końcu przyczłapała i stanęła na progu w słabym świetle. Joshua spojrzął na nią krótkowzrocznymi oczyma.

– Przynieś świece, babo! Chcesz, żebym umarł w ciemności?! I powiedz tym dwóm starym durniom, by stąd zniknęli!

Prudie się pochyliła. Wyglądała jak ptak wróżący nieszczęście.

– Chodzi o doktora Choake’a i pana Charlesa, jaśnie panie?

– A kogóż innego?!

Wyszła z sypialni, a Joshua wściekał się dalej, słuchając cichej rozmowy w pobliżu drzwi. Rozejrzał się za laską, postanowiwszy wstać i wyjść. Po chwili Choake i Charles pożegnali się i rozległ się cichnący stukot końskich podkówek na kocich łbach. Ktoś odjechał w stronę strumienia.

To Charles. A Choake...

Medyk głośno zastukał szpicrutą w drzwi sypialni i wszedł do środka.

Thomas Choake był absolwentem Bodmin. Praktykował w Londynie, poślubił córkę piwowara, wrócił w rodzinne strony i kupił niewielki majątek w pobliżu Sawle. Wysoki i niezgrabny, miał tubalny głos, siwe, strzępiaste brwi i wargi wykrzywione w niecierpliwym grymasie. Drobnzi ziemianie kornwalijscy cenili go za doświadczenie zdobyte w Londynie i uważali za znawcę nowoczesnych teorii medycznych. Pracował jako chirurg w kilku kopalniach w okolicy i posługiwał się skalpelem z taką samą nonszalancją jak flintą na polowaniach.

Joshua uważał go za hochsztaplera i kilka razy zastanawiał się nad wezwaniem doktora Pryce’a z Redruth. Powstrzymywało go jedynie to, że jemu również kompletnie nie ufał.

– Ach, mieliśmy gościa, prawda? – odezwał się doktor Choake. – Bez wątplenia poczuje się pan lepiej po wizycie brata.

– Musiałem z nim o czymś porozmawiać – odparł Joshua. – Dlatego go zaprosiłem.

Doktor Choake zbadał grubymi palcami puls pacjenta.

– Proszę odkasznąć – powiedział.

Joshua niechętnie spełnił polecenie.

– Stan pańskiego zdrowia właściwie się nie zmienił – stwierdził chirurg. – Choroba nie poczyniła postępów. Zażywał pan pigułki?

– Charles jest dwa razy grubszy ode mnie. Dlaczego go pan nie leczy, doktorze?

– To pan jest chory, panie Poldark. Pana bratu nic nie dolega. Nie zapisuję leków ludziom, którzy mnie o to nie proszą. – Choake uniósł kołdrę i zaczął obmacywać opuchniętą nogę pacjenta.

– Charles strasznie się roztył – mruknął Joshua. – Nigdy więcej nie zobaczy swoich stóp.

– Och, proszę nie przesadzać, pański brat wygląda zupełnie normalnie. Pamiętam, kiedy mieszkałem w Londynie...

– Ach...

– Zabolało?

– Nie – odparł Joshua.

Choake dotknął tego samego miejsca, by się upewnić.

– Stan lewej nogi wyraźnie się poprawił. W obu w dalszym ciągu jest zbyt wiele wody. Gdybyśmy mogli sprawić, by serce ją odsączyło... Pamiętam, że w Londynie wezwano mnie raz do ofiary bójkki w szynku w Westminsterze. Pewien człowiek pokłócił się z włoskim Żydem, który wyciągnął sztylet i wbił mu w brzuch aż po rękojeść. Ale warstwa tłuszczu była tak gruba, że ostrze nie dotarło do trzewi. Potężny mężczyzna. Czy w czasie poprzedniej wizyty puszczałem panu krew?

– Tak.

– Myślę, że tym razem możemy się bez tego obejść. Pana serce jest trochę nerwowe. Musi pan panować nad swoim temperamentem, panie Poldark. Spokój sprawia, że ciało wydziela właściwe humory.

– Zna pan Chynowethów, doktorze? – spytał Joshua. – Wie pan, Chynowethów z Cusgarne. Pytałem brata, ale odpowiedział wymijająco.

– Chynowethów? Widuję ich od czasu do czasu. Zdaje się, że cieszą się dobrym zdrowiem. Oczywiście nie jestem ich lekarzem i nie utrzymujemy stosunków towarzyskich.

Nie, pomyślał Joshua. Pani Chynoweth na pewno by tego nie zniosła.

– Mam wrażenie, że Charles zachowuje się podejrzanie – rzekł z przebiegłą miną. – Widuje pan Elizabeth?

– Ich córkę? Od czasu do czasu.

– Ja i jej ojciec zawarliśmy umowę.

– Doprawdy? Nie słyszałem o tym.

Joshua wsparł się na poduszkach. Zaczęły go gnębić wyrzuty sumienia. Trochę zbyt późno rozwijał umiejętność odczuwania skrupułów moralnych, która długo pozostawała w uśpieniu, ale lubił Rossa i w czasie wielodniowej choroby zastanawiał się, czy nie powinien zrobić czegoś szczególnego, by podtrzymać zainteresowanie syna Elizabeth.

– Może wyślę jutro Juda do Cusgarne – mruknął. – Poproszę Jonathana, by mnie odwiedził.

– Wątpię, czy pan Chynoweth będzie miał czas. W tym tygodniu odbywa się kwartalne posiedzenie sądu. Ach, co za miły widok...!

Do sypialni niezgrabnie weszła Prudie Paynter z dwiema świecami. Żółtawa poświata padała na jej spoconą czerwoną twarz i czarne włosy.

– A lekarstwo pan wzion? – spytała ochrypłym szeptem.

Joshua spojrział z irytacją na doktora.

– Już panu mówiłem, Choake. Mogę łykać pigułki, niechaj Bóg ma mnie w swojej opiece, ale nie

zniosę żadnych mikstur ani naparów.

– Pamiętam, że kiedy praktykowałem w Bodmin jako młody medyk – rzekł z namaszczeniem Choake – jeden z moich pacjentów, wielce cierpiący z powodu bezmoczności i kamieni...

– Nie stój jak słup, Prudie! – warknął Joshua do służącej. – Wynoś się!

Prudie przestała się drapać i z ociąganiem opuściła sypialnię.

– Uważa pan tedy, że zaczynam odzyskiwać zdrowie? – spytał Joshua, nim lekarz zdążył podjąć opowieść. – Kiedy zacznę normalnie chodzić?

– Hm, hm... To dopiero nieznaczna poprawa, jak powiedziałem. Wymaga pan troskliwej kuracji. Proszę regularnie zażywać lekarstwa, a przekonam się pan, że postawię pana na nogi...

– Jak się czuje pana żona? – spytał złośliwie Joshua.

Choake, któremu znowu przerwano, zmarszczył brwi.

– Dziękuję, wyśmienicie.

Pulchna, sepleniąca Polly, o połowę młodsza od Choake'a, wniosła spory posag, lecz nie dała doktorowi potomstwa i był to główny zarzut pod jej adresem. Dopóki pozostawała bezpłodna, Choake nie potrafił odwieść miejscowych kobiet od kupowania serdecznika i innych ziół od wędrownych Cyganów.

2

Medyk odjechał i Joshua znowu został sam, tym razem do rana. Gdyby uparcie pociągał za sznur dzwonnka, mógłby wezwać Juda albo Prudie, którzy niechętnie przychodzili, nim udali się na spoczynek. Później już się nie pojawiali, a zresztą dało się u nich dostrzec oznaki głuchoty, gdy jego stan się pogorszył. Wiedział, że spędzają większość każdego wieczoru na pijaństwie. Kiedy są już nieprzytomni, nic nie jest w stanie poderwać ich na nogi. Jednak nie miał siły robić im awantur jak za dawnych czasów.

Gdyby Ross mieszkał w Namparze, wszystko wyglądałoby inaczej. Charles miał rację, lecz tylko częściowo. To on, Joshua, zachęcił Rossa do wyjazdu. Nie uważał, że synowie powinni przebywać w domu, pełniąc funkcję dodatkowej służby. Niech nauczą się samodzielności. Poza tym nie chciał, by chłopak stawał przed sądem, oskarżony o współudział w napaści na celników i przemyście rumu. Nie obawiał się skazania przez kornwalijskich sędziów, lecz podniesienia kwestii długów karcianych.

Tak, brakowało mu zmarłej przed trzynastu laty Grace.

Cóż, teraz jest samotny i wkrótce dołączy do żony. Nie dziwiło go, że prawie w ogóle nie myśli o pozostałych kobietach swojego życia. Grał z nimi w przyjemną, ekscytującą grę, im bardziej niebezpieczną, tym lepiej, lecz po rozstaniu natychmiast o nich zapominał.

Płomienie świec migotały w podmuchach wiejących spod drzwi. Zerwał się wiatr. Wcześniej Jud mówił, że rankiem na morzu pojawiła się martwa fala. Po okresie chłodu wracały deszcze i burze.

Joshua chciałby jeszcze raz popatrzeć na morze, które w tej chwili uderzało w skały za dworem w Namparze. Nie traktował oceanu w sposób sentymentalny, nie podziwiał jego piękna i nie lękał się związanych z nim niebezpieczeństw; odnosił się do niego jak do bliskiego sąsiada, którego wady, zalety i humory dokładnie poznał, nauczył się rozumieć.

Podobnie jak ziemię. Czy wielkie pole zostało zaorane? Niezależnie od tego, czy Ross się ożeni, to ziemia stanowi podstawę egzystencji Poldarków.

Z dobrą żoną potrafiącą zadbać o gospodarstwo... Elizabeth to jedynaczka; warto pamiętać o tej rzadkiej zalecie. Ród Chynowethów nieco zubożał, ale córka dostanie jakiś posag. Trzeba pojechać do Jonathana i wszystko uzgodnić. Powie: „Posłuchaj, Jonathanie. Ross nie odziedziczy dużo pieniędzy, ale

otrzyma ziemię, a na dłuższą metę jedynie to się liczy...”.

Joshua zapadł w drzemkę. Przyśniło mu się, że idzie skrajem wielkiego pola. Po prawej ręce miał morze, a w plecy wiał mu mocny wiatr. Czuł na karku ciepłe promienie słońca, powietrze smakowało jak wino z chłodnej piwnicy. Zaczął się odpływ i na plaży Hendrawna lśnił mokry piasek. Wielkie pole nie tylko zaorano, lecz również obsiano i kiełkowało na nim zboże.

Minął pole i dotarł na kraniec Damsel Point, gdzie klif obniżał się i opadał do morza pod łagodnym kątem. W dole wzbierała woda, uderzając w głązy i półki skalne, stale zmieniając barwę.

Ruszył w dół po skałach, aż nagle kolana otoczyła mu zimna woda i poczuł w nogach ból podobny do tego, którego doświadczał w ciągu kilku ostatnich miesięcy wskutek puchliny. Nie powstrzymało go to i zanurzył się po szyję. Później popłynął. Czuł radość, że po dwóch latach znowu kąpie się w morzu. Oddychał z przyjemnością chłodnym powietrzem, zanurzył twarz po same oczy. Ciało zaczęło mu drętwieć. Słyszac w uszach i w sercu szum fal, powoli zatonął w chłodnym, miękkim mroku.

Zasnął. Na zewnątrz powoli zniknęło ostatnie światło dnia, a dwór, drzewa, strumień i nadmorskie urwiska spowiła ciemność. Wiatr wiejący z zachodu przybrał na sile, szumiał wśród zrujnowanych budynków kopalni na wzgórzu, szeleścił w koronach jabłoni, targał oderwanym narożnikiem strzechy na jednej ze stodół, wpadał przez zepsutą okiennicę do biblioteki, w której wśród kurzu i rupieci ostrożnie biegały dwa szczury, i zalewał podłogę kroplami zimnego deszczu. W ciemności pluskał i bulgotał strumień, a za nim kołysała się z piskiem na zawiasach długo nienaprawiana furtka. W kuchni Jud Paynter odkorkował drugi gąsior ginu, a Prudie dorzuciła drew do ognia.

– Wiatr mocno duje, niech go wszyscy diabli! – odezwał się Jud. – Wiatr, wiatr i wiatr... Nic, jeno ten przekłety wiatr.

– Nie starczy polan do rana – zauważyła Prudie.

– Spal zydel – stwierdził Jud. – Twardy jest, to będzie dobry żar.

– Nalej mi ginu, czarny smoku – powiedziała Prudie.

– Sama se nalej, babo! – odrzekł Jud.

Joshua spał.

KSIEGA PIERWSZA

*Październik 1783
– kwiecień 1785*

Rozdział pierwszy

1

Dzień był wietrzny. Białe popołudniowe niebo pokrywały strzępiaste obłoki, a na gościńcu, który w ciągu ostatniej godziny podróży stał się nierówny i piaszczysty, szeleściły zeschnięte liście.

W dylizansie siedziały cztery osoby. Chudy, wyglądający na kancelistę człowieczek o szczurzych rysach, ubrany w wyświechtany surdut, zajmował miejsce naprzeciwko grubej żony, która przyciskała do piersi nieforemne zawiniątko z różowej i białej materii – wystawała z niego pomarszczona, zaczerwieniona od gorąca twarzyczka niemowlęcia. Dwaj pozostali pasażerowie byli młodymi mężczyznami. Pierwszy, duchowny, miał około trzydziestu pięciu lat, drugi wydawał się znacznie młodszy.

Po wyjeździe z St Austell w dylizansie prawie przez cały czas panowała cisza. Dziecko smacznie spało mimo wstrząsów pojazdu, brzęczenia szyb i grzechotu dyszli; nie budziło się również na postojach. Starsze małżeństwo od czasu do czasu wymieniało półgłosem uwagi, ale chudy kancelista nie miał ochoty rozmawiać, najwyraźniej nieco skonfundowany obecnością osób należących do wyższej klasy społecznej. Młodszy z mężczyzn przez całą drogę czytał książkę, a starszy spoglądał na wiejskie krajobrazy, przytrzymując ręką spłowiałą zasłonę z brązowego aksamitu.

Był to niski, szczupły mężczyzna w czarnym stroju duchownego; włosy miał zaczesane do tyłu i założone za uszy. Nosił ubranie uszyte z pierwszorzędnego materiału, a jego łydki opinały jedwabne pończochy. Pociągła, poważna twarz o surowych, twardych rysach wydawała się kanceliście znajoma, lecz nie mógł sobie przypomnieć, gdzie ją widział.

Duchowny również znał z widzenia jednego z pasażerów dylizansu. Kilkakrotnie spojrzał na twarz młodszego towarzysza podróży, mężczyzny o gęstych włosach bez śladów pudru.

Kiedy znaleźli się w odległości piętnastu minut drogi od Truro i konie wspinały się stępą na strome wzgórze, młodszy pasażer uniósł oczy znad książki i spojrzał na duchownego.

– Bardzo przepraszam łaskawego pana – odezwał się starszy mężczyzna żywym, energicznym tonem. – Pańskie rysy wydają mi się znajome, ale nie mogę sobie przypomnieć, gdzie się spotkaliśmy. Może w Oksfordzie?

Młody mężczyzna był wysoki, chudy, o masywnych kościach i miał szramę na policzku. Nosił krótką dwurzędową kurtkę do jazdy konnej, tabaczkową kamizelkę i bryczesy tej samej barwy. Ciemne włosy o lekkim rudawym odcieniu miał zaczesane do tyłu i związane brązową wstążką.

– Wielebny doktor Halse, prawda? – spytał.

Niski kancelista, który słuchał toczącej się rozmowy, spojrzał porozumiewawczo na żonę. Doktor Halse był znaną osobistością: proboszczem Towerdreth, wikarym St Erme, dyrektorem gimnazjum w Truro, jednym z najbardziej wpływowych obywateli miasta i byłym burmistrzem. Wyjaśniało to jego wyniosłą postawę.

– A zatem zna mnie pan – odpowiedział łaskawie doktor Halse. – Zwykle dobrze pamiętam twarze.

– Miał pan wielu uczniów.

– Ach, to wszystko wyjaśnia. Dojrzałość zmienia rysy. Ale... hm... muszę się zastanowić... Hawkey, tak?

– Poldark.

Duchowny zmrużył oczy, usiłując sobie przypomnieć dawnego ucznia.

– Francis, prawda? Myślałem...

– Ross. Powinien pan lepiej pamiętać mojego brata stryjecznego, doktorze. Pozostał w szkole. Ja uznałem, błędnie, że moja edukacja powinna się zakończyć w trzynastym roku życia.

Duchowny przypomniał sobie.

– Ross Poldark. Ach tak... Zmienił się pan. Teraz sobie przypominam – odpowiedział, a w jego oczach rozbrzmiało chłodne rozbawienie. – Był pan krnąbrnym chłopcem. Musiałem często wymierzać panu różgi, a potem pan uciekł.

– Tak. – Poldark przewrócił stronicę książki. – Niemiły epizod. Pan miał ślady ugryzień, a mnie bolały pośladki.

Na policzkach duchownego pojawiły się dwie niewielkie różowe plamy. Patrzył przez chwilę na Rossa, po czym wyjrzał przez okno.

Niski kancelista słyszał o Poldarkach i o Joshui, w którego pobliżu, jak mówiono, w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych żadna kobieta, zamężna czy niezamężna, nie była bezpieczna. To na pewno jego syn. Dziwna twarz o wydatnych kościach policzkowych, z szerokimi ustami i równymi białymi zębami. Szarobłękitne oczy pokrywały ciężkie powieki, które nadawały wielu Poldarkom zwodniczo senny wygląd.

Doktor Halse przeszedł do ataku.

– A Francis? Chyba ma się dobrze? Ożenił się?

– Nic o tym nie wiem. Przebywałem przez pewien czas w Ameryce.

– Mój Boże... Ta wojna to okropny błąd. Zawsze byłem jej przeciwnikiem. Widział pan walki?

– Brałem w nich udział.

Dyliżans dotarł w końcu na szczyt wzgórza i woźnica ściągnął cugle przed długim zjazdem.

– Jest pan torysem? – spytał doktor Halse, marszcząc spiczasty nos.

– Żołnierzem.

– Cóż, ta wojna to nie wina żołnierzy. Anglia nie włożyła w nią serca. Na tronie zasiada nieudolny starzec. Długo nie pożyje. Księżę Walii ma zupełnie inne poglądy.

W najbardziej stromej części wzgórza na drodze znajdowały się głębokie koleiny, toteż dyliżans kołysał się niebezpiecznie i podskakiwał. Dotarli na dół i pomocnik siedzący na koźle obok woźnicy zadał w róg. Skręcili w St Austell Street. Było wtorkowe popołudnie i sklepy odwiedzało niewielu ludzi. Za dyliżansem biegło dwóch półnagich uliczników, żebrząc o miedziaki, ale przestali go ścigać, gdy skręcił w błotnistą St Clement's Street. Przy akompaniamencie głośnych okrzyków i skrzypienia skręcili za róg, przejechali rzekę po wąskim moście, ruszyli nierówną drogą wybrukowaną kocimi łbami, znów kilkakrotnie skręcili, aż wreszcie dyliżans zatrzymał się przed oberżą Pod Czerwonym Lwem.

Korzystając z zamieszania, wielebny doktor Halse wysiadł, chłodno się pożegnał i odszedł. Ruszył szybkim krokiem między kałużami wody i końskiego moczu, aż dotarł do przeciwnej strony ulicy. Poldark wstał z miejsca, by również wysiąść, i kancelista po raz pierwszy zauważył, że mężczyzna kuleje.

– Mógłbym panu pomóc? – spytał, odstawiając swoje bagaże.

Młody człowiek odmówił, podziękował i wysiadł z dyliżansu, ująwszy dłoń chłopca pocztowego.

Kiedy Ross stanął na ulicy, zaczął siąpić deszcz – lekka mżawka niesiona kapryśnymi podmuchami wiatru, który stale zmieniał kierunek w kotlinie między wzgórzami.

Rozejrzał się i pociągnął nosem. Wszystko wydawało się znajome, jakby już wrócił do rodzinnego

domu. Wąska, brukowana ulica, którą płynął strumień wody; przysadziste, stłoczone domy z wykuszowymi oknami i koronkowymi zasłonami; ukryte za nimi twarze ludzi obserwujących przybycie dylizansu, a nawet krzyki chłopców pocztowych – prawie nic się nie zmieniło.

W dawnych czasach Truro było dla Rossa i jego rodziny głównym ośrodkiem życia. W mieście znajdował się port, urząd stemplowy znakujący rządowymi pieczęciami wyroby z cyny i miedzi, centrum targowe, kwitło życie towarzyskie. W ciągu kilku ostatnich lat miasto gwałtownie się rozrosło. Wśród starych, beładnie rozrzuconych domów pojawiły się nowe, okazałe budynki. Truro stało się zimową rezydencją części najstarszych i najpotężniejszych rodów Kornwalii. Swoje ślady pozostawili również nowobogaccy: Lemonowie, Treworthy'owie, Warlegganowie, skromne rodziny, które osiągnęły sukces i bogactwo dzięki rozwojowi nowych gałęzi przemysłu.

Dziwne miasto. Ross wyraźnie czuł to po powrocie. Pełne tajemnic, niewielkie miasto ukryte wśród wzgórz, z których spływały liczne strumienie. Miejsce niemal otoczone przez wodę i połączone z resztą świata przepławami, mostami i kładkami. Wilgotne, dręczone przez febrę.

Jud się nie pojawił.

Ross wszedł do oberży, powłócząc nogą.

– Miał tu na mnie czekać mój służący – powiedział. – Nazywa się Paynter. Jud Paynter z Nampary.

Oberżysta spojrział na niego krótkowzrocznymi oczyma.

– Ach tak, Jud Paynter. Bardzo dobrze go znamy, panie. Ale dziś go nie widzieliśmy. Miał go pan tu spotkać? Chłopcze, idź sprawdzić, czy Paynter – znasz go? – czy Paynter jest w stajni albo nas dzisiaj odwiedził.

Ross zamówił szklaneczkę brandy. Kiedy ją dostał, chłopiec wrócił i oznajmił, że pana Payntera nie widziano dziś w oberży.

– Otrzymał wyraźne polecenie. Nieważne. Macie konia wierzchowego, którego mógłbym pożyczyć?

Oberżysta potarł czubek długiego nosa.

– Cóż, mamy od trzech dni klacz jako zastaw za dług. Chyba moglibyśmy ją pożyczyć, jakby zechciał pan podać swoje nazwisko.

– Nazywam się Poldark. Jestem bratankiem Charlesa Poldarka z Trenwith.

– Dobry Boże, ależ tak! Powinienem był pana poznać, panie Poldark. Natychmiast osiodłamy dla pana klacz.

– Nie, zaczekaj. Jest jeszcze widno. Niech będzie gotowa za godzinę.

Znalazszy się znowu na ulicy, Ross ruszył wąskim zaułkiem o nazwie Church Lane. Na końcu skręcił w lewo, minął szkołę, gdzie niefortunnie zakończyła się jego edukacja, po czym zatrzymał się przed drzwiami z napisem: „Nat. G. Pearce. Notariusz i pełnomocnik sądowy”. Kilka razy pociągnął za sznur dzwonnka, aż wreszcie wpuściła go do domu pryszczata kobieta.

– Pan Pearce jest dziś niezdrów – powiedziała. – Spytałem, czy zechce pana przyjąć.

Wspięła się po drewnianych schodach i po jakimś czasie zaprosiła Rossa na górę, wychyliwszy się nad nagryzioną przez korniki poręczą. Podążył na piętro i wprowadzono go do salonu.

Nathaniel Pearce siedział w fotelu przed dużym kominkiem. Jedną nogę miał obandażowaną i opartą o drugi fotel. Był grubym mężczyzną o jasnopurpurowej, tłustej od obżarstwa twarzy.

– Ach, cóż za niespodzianka, panie Poldark! Jakże się cieszę! Proszę mi wybaczyć, że nie wstaję: znowu ta podagra. Każdy atak wydaje się gorszy od poprzedniego. Proszę łaskawie usiąść.

Ross uściśnął wilgotną dłoń i wybrał fotel stojący daleko od kominka, jednak nie najdalszy, by nie urazić gospodarza. W niewietrzonym pomieszczeniu panowało nieznośne gorąco i śmierdziało stęchlizną.

– Napisałem do pana, że wracam w tym tygodniu – zaczął Ross. – Na pewno pan pamięta.

– O tak, panie... eee... kapitanie Poldark, na chwilę mi to umknęło. To bardzo miło z pańskiej strony,

że odwiedził mnie pan w drodze do domu. – Pearce poprawił perukę, która, jak zwykle u prawników, odsłaniała czoło i miała długi warkoczyk związany wstążką. – Czuję się osamotniony, kapitanie. Moja córka rzadko dotrzymuje mi towarzystwa; stała się zagorzałą metodystką i prawie co wieczór chodzi na spotkania modlitewne. Tak często mówi o Bogu, że czuję się zażenowany. Musi pan wypić kielich madery.

– Nie mogę zostać dłużej – odparł Ross. Naprawdę nie mogę, bo inaczej zemdleję, pomyślał. – Bardzo pragnę znaleźć się jak najszybciej w domu, ale chciałem się z panem zobaczyć po drodze. Pański list dotarł do mnie dopiero na dwa tygodnie przed odpłynięciem z Nowego Jorku.

– Ach, mój Boże, cóż za zwłoka! Na pewno był to dla pana wielki cios. Został pan ranny. Czy poważnie?

Ross wyprostował nogę.

– Dowiedziałem się z pańskiego listu, że ojciec zmarł w marcu. Kto zarządzał majątkiem po jego śmierci, mój stryj czy pan?

Pearce w roztargnieniu podrapał się po włosach na piersi.

– Wiem, że chciałby pan, żebym był z panem szczerzy...

– Naturalnie.

– Cóż, kiedy przejęliśmy sprawy pańskiego ojca, panie... eee... kapitanie Poldark, okazało się, że nie bardzo jest czym zarządzać.

Na twarzy Rossa powoli pojawił się uśmiech. Wydawał się dzięki temu młodszy, mniej nieprzenikniony.

– Naturalnie wszystko pan odziedziczył. Przed odjazdem otrzyma pan ode mnie kopię testamentu. Gdyby zmarł pan przed ojcem, majątek przeszedłby na bratanicę pana ojca, Verity Poldark. Poza ziemią nie ma praktycznie nic. Och, co za piekielny ból!

– Nigdy nie uważałem ojca za bogatego człowieka. Jednak pytam o to ze specjalnego powodu. Czy ojca pochowano w Sawle?

Prawnik przestał się drapać i spojrzał przenikliwie na Rossa.

– Zamierza pan zamieszkać w Namparze, kapitanie?

– Tak.

– Byłbym zaszczycony, mogąc w dalszym ciągu prowadzić pańskie sprawy. – Poldark wstał, a Pearce prędko dodał: – Muszę pana uprzedzić, że pańska posiadłość jest nieco zaniedbana.

Ross się odwrócił.

– Nie odwiedziłem go osobiście – ciągnął Pearce. – Przez tę nogę, rozumie pan, kapitanie... Bardzo nieprzyjemne, a ja nie mam jeszcze pięćdziesięciu dwóch lat. Jednak jeździł tam mój dependent. Pana ojciec przez dłuższy czas chorował. Kiedy dziedzic niedomaga, często nie wszystko jest schludne, zadbane, prawda? Pański stryj również ma już swoje lata. Czy Paynter przyprowadził panu konia?

– Powinien to zrobić, ale się nie pokazał.

– Cóż, drogi panie, dlaczego nie zostanie pan z nami? Moja córka wróci z kaplicy i przygotuje kolację. Mamy wieprzowinę, tak, zacną wieprzowinę, i wygodne łóżka. Odpoczynek dobrze nam robi.

Ross wyjął chusteczkę i otarł twarz.

– To niezwykle miło z pana strony. Jednak skoro dotarłem tak blisko domu, pragnę go zobaczyć.

Pearce westchnął i wyprostował się w fotelu.

– Proszę łaskawie pomóc mi wstać, dobrze? Dam panu kopię testamentu, by mógł pan zabrać dokument do Nampary i przeczytać w dogodnej chwili.

Rozdział drugi

1

W Trenwith House trwał obiad.

Normalnie już by się skończył, bo kiedy Charles Poldark i jego domownicy jedli sami, posiłek rzadko zajmował więcej niż dwie godziny, ale tym razem okazja była wyjątkowa. Ze względu na gości obiad podano w dużej sali w środkowej części dworu, która była zbyt obszerna i pełna przeciągów, by służyć jako codzienna jadalnia.

Przy długim, wąskim dębowym stole siedziało dziesięć osób. U szczytu siedział Charles, po lewej stronie miał swoją córkę Verity Poldark, po prawej Elizabeth Chynoweth, obok której siedział syn Charlesa, Francis. Dalej zajmowali miejsca państwo Chynowethowie, rodzice Elizabeth, a na przeciwległym krańcu siedziała ciotka Agatha, która kruszyła chleb i przeżuwała go bezzębnymi dziąsłami. Po drugiej stronie stołu kuzyn William-Alfred rozmawiał z doktorem Choakiem i jego żoną.

Po potrawach z ryb, drobiu i mięsa Charles kazał podać wety. W czasie posiłków męczyły go wiatry, co budziło zawstydzenie gości płci żeńskiej.

– Niech mnie kule biją! – odezwał się, gdy najedzeni goście zamilkli. – Nie wiem, dlaczego nie weźmiecie ślubu jutro, zamiast czekać miesiąc albo dłużej, gołąbeczki? Prrrt! Czego wam brakuje? Boicie się zmienić zdanie?

– Chętnie skorzystałbym z twojej rady, ojcze, ale decyzja należy również do Elizabeth – odparł Francis.

– Miesiąc to bardzo niewiele – zauważyła pani Chynoweth, dotykając medalionu spoczywającego na piersi w fałdach modnych koronek. Jej urodę psuł długi, spiczasty nos. Kiedy ktoś widział ją po raz pierwszy, doznawał wstrząsu, że można tak oszpecić piękno. – Muszę mieć czas na przygotowania, a cóż dopiero Elizabeth! Matka wydająca córkę za mąż przeżywa na nowo dzień swojego ślubu. Żałuję tylko, że nie możemy się lepiej przygotować. – Zerknęła na męża.

– Co ona powiedziała? – spytała ciotka Agatha.

– Cóż, tak to jest, tak to jest – rzekł Charles Poldark. – Powinniśmy okazać cierpliwość, podobnie jak nowożeńcy. Wznoszę toast. Za szczęśliwą młodą parę!

– Ojciec wznosił ten toast już trzy razy – zaprotestował Francis.

– Nieważne. Cztery to szczęśliwa liczba.

– Nie mogę z tobą pić, ojcze.

– Cicho, chłopcze! To nieważne.

Goście wypili toast, czemu towarzyszyły śmiechy. Kiedy odstawiono kielichy na stół, wniesiono światła. Gospodyni, pani Tabb, przyniosła szarlotkę, ciasto śliwkowe i galaretki.

– Mam nadzieję, że okaże się równie pyszna, jak wygląda – odezwał się Charles, unosząc nóż i widelec nad największym kawałkiem szarlotki. – Gdzie śmietana? Ach, tam. Podaj mi ją, proszę, Verity, moja droga.

– Bardzo mi przykro, ale nie jestem w stanie zjeść nic więcej – odezwała się Elizabeth, przerywając milczenie.

Elizabeth Chynoweth była szczuplejsza od matki i odznaczała się większą urodą. Gdy żółtawe światło świec odepchnęło ciemność w stronę belkowania na wysokim suficie, biała jasna twarz Elizabeth, kontrastująca z drewnianym oparciem fotela, przykuła uwagę wszystkich gości w pogrążonej w półmroku

sali.

– Nonsens, dziecko – odezwał się Charles. – Jesteś chuda jak zjawa. Powinnaś nabrać trochę ciała.

– Doprawdy, ja...

– Patrząc na Elizabeth, nikt nigdy nie uwierzyłby, jaka potrafi być uparta, panie Poldark – rzekła z nieszczęrym uśmiechem pani Chynoweth. – Od dwudziestu lat namawiam ją do jedzenia, ale rezygnuje nawet z największych smakołyków. Może ty zdołasz ją przekonać, Francisie.

– Podoba mi się taka, jaka jest – odparł Francis.

– Tak, tak – odezwał się Charles Poldark. – Ale trochę jedzenia... Do diaska, to jeszcze nikomu nie zaszkodziło! Żona powinna być silna i zdrowa!

– Och, Elizabeth jest wyjątkowo silna – odparła śpiesznie pani Chynoweth. – Bardzo by się pan zdziwił. To cecha rodzinna, z pewnością rodzinna. Czy jako dziewczyna nie byłam drobna i krucha, Jonathanie?

– Tak, moja droga – potwierdził Jonathan Chynoweth.

– Posłuchajcie, jak wiatr się wzmaga! – rzekła ciotka Agatha, rozkruszając ciasto.

– Zupełnie tego nie rozumiem – odezwał się doktor Choake. – Pana ciotka, panie Poldark, chociaż głucha jak pień, zawsze doskonale słyszy odgłosy natury.

– Moim zdaniem to prawie zawsze jej wyobraźnia.

– To nie wyobraźnia! – oburzyła się ciotka Agatha. – Jak śmiesz tak mówić, Charlesie?!

– Czy ktoś jest za drzwiami? – wtrąciła Verity.

Pani Tabb znajdowała się w sieni, lecz niczego nie słyszała. Płomienie świec chwiały się w podmuchach powietrza, a czerwone adamaszkowe zasłony w oknach kołysały się jak poruszane czyjąś ręką.

– Oczekujesz kogoś, moja droga? – spytała pani Chynoweth.

Verity nie zmieszała się. Nie była tak urodziwa jak brat. Niska i ciemnowłosa, miała niezdrową cerę i duże usta, które pewnie Poldarkowie dziedziczyli po przodkach.

– Moim zdaniem to drzwi obory – odezwał się Charles i wypił łyk porto. – Miał się nimi wczoraj zająć Tabb, ale pojechał ze mną do St Ann's. Złoję skórę młodemu Bartle'owi za nieprzykładanie się do pracy.

– Podobno książe Walii tlwoni mnóstwo pieniędzy – wysepleniła pani Choake do pani Chynoweth. – Cytałam w „Melkulusu”, że pan ministel Fox obiecał mu apanasę w wysokości stu tysięcy funtów locnie, a telas, gdy zdobył władzę, nie może dotsymać obietnicy.

– Jest mało prawdopodobne, żeby minister Fox się tym zanadto przejmował – odpowiedział Jonathan Chynoweth. Był niskim mężczyzną o jedwabistej siwej brodzie, a jego pompatyczny sposób mówienia miał ukryć fakt, że nigdy w życiu nie podjął żadnej śmiałej decyzji. Pani Chynoweth poślubiła go jako osiemnastolatka, gdy miał trzydzieści jeden lat. Od tamtego czasu jego dochody znacznie się zmniejszyły.

– Czy pan Fox zrobił coś złego? – spytał głucho doktor Choake, spoglądając spod nastroszonych brwi. Chynoweth zacisnął wargi.

– Moim zdaniem odpowiedź jest oczywista.

– Można mieć różne opinie. Jeśli wolno mi zauważyć...

Doktor Choake urwał, ponieważ żona kopnęła go pod stołem, chociaż rzadko pozwalała sobie przywoływać męża do porządku w ten sposób. Choake'owie i Chynowethowie po raz pierwszy spotkali się na gruncie towarzyskim, a żona doktora uważała za niemądre wdawać się w spory polityczne z wciąż wpływowymi ziemianami.

Thomas Choake odwrócił się w stronę Polly i spojrział na nią nienawistnym wzrokiem, lecz nie zamierzała znosić jego złego humoru. Tym razem nie było wątpliwości, że ktoś puka do drzwi. Pani Tabb

postawiła na stole tacę z szarlotką i poszła otworzyć.

Zasłony falowały w podmuchach wiatru, a ze świec w srebrnych lichtarzach kapał воск.

– Boże miłosierny! – zawołała gospodyni, jakby zobaczyła zjawę.

2

Pojawienie się Rossa zupełnie zaskoczyło zgromadzonych. Kiedy stanął w drzwiach, goście siedzący przy stole po kolei wydawali okrzyki zdumienia. Elizabeth, Francis, Verity i doktor Choake zerwali się z miejsc. Charles zastygł w fotelu, mamrocąc coś niezrozumiale. Kuzyn William-Alfred czyścił metalowe oprawki okularów, a ciotka Agatha szarpała go za rękaw i pytała: „Co się stało?! O co chodzi?! Wieczera jeszcze się nie skończyła!”.

Ross zmrużył oczy, aż przyzwyczyli się do światła. Trenwith House znajdował się przy gościńcu do Nampary i nikt nie spodziewał się przybycia Rossa.

Pierwsza powitała go Verity. Podbiegła i zarzuciła mu ramiona na szyję.

– Ależ to ty, Ross, kochany! Jakże się cieszymy! – To wszystko, co zdołała wykrztusić.

– Verity! – Uściskał ją. I nagle zobaczył Elizabeth.

– Do diaska! – zawołał Charles. – Więc wreszcie wróciłeś, chłopcze! Spóźniłeś się na obiad, ale zostało jeszcze trochę szarlotki.

– Pokonali nas, Ross? – spytał doktor Choake. – Niech diabli wezmą tę przeklętą wojnę! Rozpoczęła się tak pechowo. Dzięki Bogu, że już się skończyła.

Francis po krótkim wahaniu szybko obszedł stół i uściskał dłoń Rossa.

– Cieszę się, że cię widzę, Ross! Tęskniliśmy za tobą.

Jedyną oznaką ich pokrewieństwa był kolor oczu pod tymi samymi ciężkimi powiekami. Francis był szczupłym, schludnym mężczyzną o świeżej cerze i wyrazistych rysach przystojnego młodzieńca. Wyglądał jak beztroski, sympatyczny, pewny siebie młody człowiek, który nigdy nie znalazł się w niebezpieczeństwie ani w kłopotach finansowych; walkę znał jedynie z gier i zabaw. Ktoś w szkole nazwał ich „jasnym Poldarkiem” i „ciemnym Poldarkiem”. Zawsze byli dobrymi przyjaciółmi, co mogło dziwić, gdyż ich ojcowie za sobą nie przepadali.

– To uroczysta chwila – rzekł kuzyn William-Alfred, ujmując kościstymi dłońmi oparcie krzesła. – Spotkanie członków rodziny po długiej rozłące. Ufam, że nie jesteś poważnie ranny, Ross. Ta blizna zniekształca ci twarz.

– Ach, to drobnostka – stwierdził Ross. – Najgorsze, że kuleję jak biedny osiołek.

Obszedł stół, witając się z pozostałymi gośćmi. Pani Chynoweth powitała go chłodno, wyciągając rękę z wyniosłą miną.

– Niech pan nam opowie o swoich psygodach, kapitanie – wysepleniła Polly Choake. – Jak psegłaliśmy wojnę, jacy są ci Amelykanie i...

– Bardzo podobni do nas, łaskawa pani. Właśnie dlatego ponieśliśmy klęskę. – Ross dotarł do Elizabeth.

– Witaj, Ross! – odezwała się cicho.

Spojrzał na jej twarz.

– Cieszę się, że cię widzę. Długo na to czekałem.

– Tak, długo – odpowiedziała. – Ach, Ross, może nawet za długo...

– Co teraz zamierzasz robić, chłopcze? – spytał Charles. – Najwyższy czas, żebyś się ustatkował. Majątek sam o siebie nie zadba, a najemnikom nie można ufać. W ostatnim roku twojemu ojcu bardzo cię

brakowało...

– O mało nie pojechałem do ciebie wczoraj wieczorem, ale zostawiłem to na dzisiaj – odezwał się Ross do Elizabeth. – Powściągliwość zasługuje na nagrodę.

– Muszę ci wszystko wyjaśnić. Pisałam do ciebie, ale...

– Do licha! – zawołała ciotka Agatha. – Niech mnie diabli porwą, jeśli to nie Ross! Chodź tu, chłopcze! Myślałam, że zginąłeś i dołączyłeś do błogosławionych dusz w niebie!

Ross z ociąganiem ruszył wzdłuż stołu, by powitać ciotkę. Elizabeth została na miejscu, tak mocno ściskając oparcie krzesła, że kostki jej rąk stały się bielsze nawet od twarzy.

Ross pocałował ciotkę Agathę w mechaty policzek i szepnął jej do ucha:

– Ciesz się, ciociu, że ciągle jesteś jedną z błogosławionych dusz na ziemi.

Zaśmiała się z zadowoleniem, ukazując blad różowe dziąsła o brązowym odcieniu.

– Może wcale nie jestem taka błogosławiona! Ale jeszcze nie zamierzam odchodzić z tego świata.

Rozmowa przybrała ogólny charakter. Wszyscy pytali Rossa, kiedy przypląnął, czego dokonał i co widział w Ameryce.

– Elizabeth, przynieś mi etolę z góry, dobrze, dziecko? – rzekła pani Chynoweth. – Trochę mi zimno.

– Tak, matko. – Odwróciła się i odeszła, wysoka i niewinna, po czym zaczęła wchodzić po schodach, trzymając dłoń na drewnianej poręczy.

– Ten Paynter to szelma – stwierdził Charles, wycierając dłonie o spodnie. – Na twoim miejscu bym go wyrzucił i znalazł człowieka, na którym można polegać.

Ross obserwował Elizabeth wchodzącą po schodach.

– Był przyjacielem mojego ojca.

Charles z lekką irytacją wzruszył ramionami.

– Przekonasz się, że dwór nie jest w dobrym stanie.

– Kiedy wyjeżdżałem, również nie był w dobrym stanie.

– Teraz jest jeszcze gorzej. Nie zaglądałem tam od pewnego czasu. Wiesz, co twój ojciec mówił o drodze do Trenwith: „Za daleko, by iść na piechotę, i za blisko, by jechać konno”.

– Zjedz, Ross – rzekła Verity, wręczając mu pełny talerz. – I usiądź tutaj.

Ross podziękował i usiadł na zaproponowanym miejscu między ciotką Agathą a panią Chynoweth. Wolałyby siedzieć obok Elizabeth, ale to musiało poczekać. Zdziwił się, że zastał ją w Trenwith. W ciągu dwóch lat, gdy się z nią spotykał, jej ojciec i matka ani razu nie odwiedzili Nampary. W trakcie jedzenia zerknął kilkakrotnie na schody, by zobaczyć, czy wraca.

Verity pomagała pani Tabb wynosić półmiski i talerze, Francis stał przed drzwiami, szczypiąc się wargę, a pozostali goście siedzieli na swoich miejscach. Zapadła cisza.

– Na wsi wszystko wygląda już inaczej, Ross – rzekł pan Chynoweth, gładząc się po jedwabistej brodzie. – Ludzie są niezadowoleni. Wzrosły podatki, a płace spadły. Kraj jest wyczerpany po długich wojnach, a teraz, gdy rządzą wigowie, przyszłość rysuje się w coraz ciemniejszych barwach.

– Gdyby wigowie doszli wcześniej do władzy, Anglia nie poniosłaby klęski – stwierdził zdecydowanie doktor Choake.

Ross spojrzał na Francisca.

– Przerwałem przyjęcie. Czy świętujemy pokój, czy nową wojnę?

W ten sposób zmusił obecnych do wyjaśnienia, którego nie mieli ochoty udzielić.

– Nie – odpowiedział Francis. – Ja... eee... Chodzi o to...

– Świętujemy coś zupełnie innego – rzekł Charles, kiwając ręką, by znów napełniono mu kieliszek. – Francis się żeni. To przyczyna naszego spotkania.

– Żeni? – powtórzył Ross, krojąc mięso. – No, no, no... A kim jest szczęśliwa...

– Z Elizabeth – dokończyła pani Chynoweth.

Zapadła cisza. Ross odłożył nóż.

– Z Eli...

– Z moją córką.

– Przynieść ci coś do picia? – szepnęła Verity do Elizabeth, która dotarła do podnóża schodów.

– Nie, nie... Proszę, nie.

– Och... – westchnął Ross. – Żeni się z Elizabeth.

– Jesteśmy bardzo szczęśliwi z mariażu naszych starożytnych rodów – ciągnęła pani Chynoweth. –

Bardzo szczęśliwi i bardzo dumni. Jestem przekonana, Ross, że ty także, podobnie jak my, życzyysz Francisowi i Elizabeth szczęścia w małżeństwie.

Elizabeth ostrożnie podeszła do pani Chynoweth.

– Twoja etola, mamó.

– Dziękuję, kochanie.

Ross nie przerwał jedzenia.

– Nie wiem, co o tym sądzicie, ale ja jestem przywiązany do tego porto – rzekł po chwili milczenia

Charles. – Przemycono je z Cherbourga jesienią 1779 roku. Kiedy po raz pierwszy go spróbowałem, powiedziałem do siebie: „Kupuję cały ładunek”. Cieszę się, że to zrobiłem. Nigdy więcej nie pojawiło się nic podobnego. – Opuścił ręce, opierając wielki brzuch o blat stołu.

– Spodziewam się, że wreszcie się ustatkujesz, prawda, Ross? – spytała ciotka Agatha, kładąc pomarszczoną rękę na jego ramieniu. – A może jakaś miła żoneczka, co? Musimy ci ją znaleźć! To nasze następne zadanie!

Ross popatrzył na doktora Choake’a.

– Leczył pan mojego ojca?

Medyk skinął głową.

– Bardzo cierpiał?

– Pod koniec. Ale trwało to krótko.

– Dziwne, że zmarł tak nagle.

– Nic nie można było zrobić. Wdała się puchlina, której nie dało się wyleczyć.

– Dwukrotnie odwiedziłem Joshuę – odezwał się kuzyn William-Alfred. – Ale z żalem stwierdzam, że nie był skłonny skorzystać z pociechy duchowej, którą mu proponowałem. Czułem smutek, że nie mogę mu pomóc, choć należymy do tej samej rodziny.

– Poczęstuj się szarlotką, Ross – odezwała się cicho Verity za plecami kuzyna, spoglądając na nabrzmiałe żyły na jego szyi. – Sama ją upiekłam dziś po południu.

– Muszę jechać. Wstąpiłem tylko na kilka minut, by pozwolić koniowi odpocząć. Kuleje.

– Och, powinieneś u nas przenocować. Kazałam pani Tabb przygotować pokój. Twój koń może się potknąć w ciemności i cię zrzucić.

Ross popatrzył na Verity i się uśmiechnął. W tym towarzystwie nie mogli zamienić ani słowa o prywatnych sprawach.

Francis, a także jego ojciec, włączyli się do dyskusji, ten drugi z mniejszym zaangażowaniem. Francis wydawał się spięty, ojciec niepewny, a Ross zdeterminowany.

– Cóż, postępuj wedle własnego uznania, chłopcze. Na twoim miejscu nie miałbym ochoty przyjeżdżać dziś w nocy do Nampary. Będzie zimno i mokro, może powitanie nie okaże się miłe. Wypij jeszcze trochę porto na rozgrzewkę.

Ross posłuchał i wypił trzy kielichy jeden po drugim. Nalał sobie po raz czwarty i wstał.

– Zdrowie Elizabeth i Francisca – rzekł powoli. – Niechaj będą ze sobą szczęśliwi.

Toast wypito prawie w zupełnym milczeniu. Elizabeth w dalszym ciągu stała za fotelem matki. Francis w końcu odszedł od drzwi i ujął ją za ramię.

Zapadła cisza.

– Jakse miło włacać do domu – odezwała się w końcu pani Choake. – Kiedy wyjeżdżam, nawet niedaleko, zawsze jestem szczęśliwa z powrotu. Jakie są te kolonie w Amelyce, kapitanie Poldark? Powiadają, że nawet słońce świeci tam inaczej.

Głupota Polly Choake nieco rozładowała atmosferę i gdy Ross kończył posiłek, goście zaczęli znowu rozmawiać. Kilku z nich odczuwało ulgę, że przyjął nowinę tak spokojnie.

Ross nie zamierzał zostać dłużej na przyjęciu i zbierał się do odejścia.

– Przyjedź za dzień lub dwa, dobrze? – odezwał się Francis i w jego głosie zabrzmiała sympatia. – Wciąż prawie nic nie wiemy o twoich przygodach, okolicznościach, w jakich zostałeś ranny, i rejsie powrotnym do kraju. Elizabeth wraca jutro do domu. Planujemy wziąć ślub za miesiąc. Jeśli będziesz potrzebował w Namparze mojej pomocy, przyślij mi wiadomość, wiesz, że z radością przyjadę. Cóż, na twój widok przypominają mi się dawne czasy. Baliśmy się o twoje życie, czyż nie tak, Elizabeth?

– Owszem – przyznała.

Ross wziął kapelusz. Stali razem przy drzwiach i czekali, aż Tabb przyprowadzi klacz Rossa. Poldark nie chciał pożyczać świeżego konia na ostatnie pięć kilometrów drogi.

– Tabb zaraz przyjdzie, jeśli da sobie z nią radę. Ostrzegłem go, żeby uważał.

Francis otworzył drzwi. Do sieni wpadło kilka kropli deszczu niesionych wiatrem. Taktownie wyszedł na zewnątrz, by zobaczyć, czy Tabb przyprowadził konia.

– Mam nadzieję, że moje nagłe zmartwychwstanie nie popsło atmosfery na przyjęciu – odezwał się Ross.

Światło z wnętrza dworu padało na twarz Elizabeth, lśniło w szarych oczach. Na jej twarzy pojawiły się cienie. Wyglądała na chorą.

– Jestem szczęśliwa, że wróciłeś, Ross. Bałam się, wszyscy się baliśmy... Co o mnie myślisz?

– Dwa lata to dużo czasu, prawda? Może za dużo.

– Elizabeth, uważaj, żebyś się nie zaziębiła – odezwała się pani Chynoweth. – Nocne powietrze jest chłodne.

– Dobrze, mamó.

– Do widzenia. – Ross ujął jej dłoń.

Wrócił Francis.

– Tabb już przyprowadził konia. Kupiłeś tę klacz? Ładne zwierzę, ale bardzo nerwowe.

– Złe traktowanie sprawia, że nawet najlepsi ludzie stają się agresywni – odpowiedział Ross. – Czy deszcz przestał padać?

– Niezupełnie. Znasz drogę?

Ross się uśmiechnął.

– Każdy kamień. Coś się zmieniło?

– Nic cię nie zwiedzie. Nie przejeżdżaj przez Mellingey po moście, środkowa deska jest przegniła.

– Była przegniła już wtedy, gdy wyjeżdżałem.

– Nie zapomnij, że spodziewamy się wkrótce cię u nas zobaczyć – ciągnął Francis. – Verity chce cię częściej widywać. Jeśli znajdziemy czas, jutro cię odwiedzimy.

Odpowiedział mu tylko wiatr, deszcz i stukot kopyt klaczy, która z niechęcią ruszyła podjazdem.

Zapadł już zmrok, choć na zachodzie wciąż lśniła czerwonawa luna. Wiatr przybrał na sile i padał lekki, zacinający deszcz.

Ross miał beznamiętny wyraz twarzy i nikt by się nie zorientował, że pół godziny wcześniej przeżył największą katastrofę w życiu. Przestał pogwizdywać na wietrze i gadać do narowistej klaczy, nie okazywał jednak żadnych uczuć.

W młodości nauczył się od ojca, że nie należy uznawać niczego za oczywiste, ale w swoich relacjach z Elizabeth Chynoweth wpadł w pułapkę, której mógłby uniknąć, gdyby pamiętał o tej zasadzie. Zakochali się, kiedy Elizabeth miała szesnaście lat, a Ross zaledwie dwadzieścia. Później nadmiar fantazji i skłonność do awanturnictwa wpędziły go w kłopoty, toteż zaakceptował propozycję ojca, by wstąpić do wojska, aż wszystko się uspokoi. Wyjechał do Ameryki, marząc o nowych doświadczeniach, i był pewien, że po powrocie nie zmieni się jedyna rzecz, na której mu naprawdę zależało.

Sam nie miał wątpliwości i nie spodziewał się, że może je żywić Elizabeth.

Po pewnym czasie z przodu pojawiły się światła kopalni Grambler. To właśnie na niej opierała się zmienna fortuna głównej gałęzi rodu Poldarków. Jej kaprysy decydowały nie tylko o zamożności Charlesa Poldarka i jego bliskich, lecz również o źródłach utrzymania trzystu górników i ich rodzin mieszkających w chatach na terenie parafii. Kopalnia była dla nich czymś w rodzaju łaskawego Molocha, któremu składali w ofierze swoje dzieci i który zapewniał im chleb.

Ross zauważył zbliżające się światła i zjechał na bok, przepuszczając karawanę mułów z jukami pełnymi rudy miedzi. Jeden z mężczyzn prowadzących karawanę przyjrzał mu się podejrzliwie, po czym wykrzyknął powitanie. Był to Mark Daniel.

Ross znalazł się między głównymi budynkami kopalni. Większość z nich stanowiły niskie szopy, lecz tu i tam wznosiły się mocne rusztowania wież wyciągowych i obszerne kamienne maszynownie. W górnych oknach maszynowni płonęły żółte latarnie; ich światła wyglądały tajemniczo na tle nocnego nieba. Ross przejechał obok jednej z nich i usłyszał zgrzyt i szcęk wielkiej maszyny wypompowującej wodę z najgłębszych czeluści ziemi.

Zauważył grupki górników i ludzi z latarniami. Kilku mężczyzn spojrzało na postać na koniu. Chociaż życzyli mu dobrej nocy, pomyślał, że nikt go nie rozpoznał.

W jednej z maszynowni zabrzmiał dźwięk dzwonu, nawet dość melodyjny. Nadeszła pora zmiany szychty – właśnie dlatego wokół było tylu ludzi. Górnicy szykowali się do zejścia pod ziemię. Setki innych wdrapywały się teraz jak mrówki po chwiejnych drabinach, pokonując odległość stu sążni dzielącą ich od powierzchni ziemi. Byli spoceni, pokryci rdzawymi plamami rudy lub czarnym kopciem od wybuchów prochu. Wyjście z kopalni wraz z narzędziami zajmowało pół godziny lub dłużej. Po drodze zalewała ich woda z dziurawych rur. Po zakończeniu szychty wielu z nich czekał pięcio- lub sześciokilometrowy marsz na wietrze i deszczu.

Ross pojechał dalej. Od czasu do czasu ogarniały go tak silne emocje, że czuł się jak człowiek chory na febrę.

Pokonał w bród strumień Mellingley, po czym ze znużeniem wspiął się wąską drogą w stronę ostatniej kępy sosen. Zacerpnął głęboko tchu. Powietrze pachniało deszczem i morzem. Miał wrażenie, że słyszy szum fal. Na szczycie wzniesienia klacz, którą opuścił zły humor, potknęła się i o mało nie upadła, toteż Ross niezgrabnie zszedł na ziemię i ruszył pieszo. Na początku z trudem kuśtykał, lecz ból kostki był w dziwny sposób miły, bo pozwalał zapomnieć o myślach, które inaczej zajmowałyby mu umysł.

W zagajniku panował nieprzenikniony mrok i Ross po omacku posuwał się naprzód częściowo zarośniętą ścieżką. Po drugiej stronie powitały go zrujnowane budynki kopalni Wheal Maiden, nieczynnej od czterdziestu lat. Jako chłopiec bawił się obok zniszczonego wyciągu i kołowrotu, czołgał się płytkim kanałem odpływowym biegnącym przez wzgórze i mającym ujście w pobliżu strumienia.

Teraz czuł, że naprawdę jest w domu; zaraz znajdzie się na własnej ziemi. Przez całe popołudnie nie mógł się tego doczekać, lecz w tej chwili nic nie miało znaczenia. Był po prostu zadowolony, że podróż dobiega końca i że wreszcie odpocznie.

Na dnie doliny powietrze było nieruchome. Plusk i szmer strumienia Mellingey, przez pewien czas niesłyszalny, znów się pojawił niczym mruczenie chudej starej kobiety. Rozległo się pohukiwanie sowy, która bezszelestnie przeleciała w mroku przed twarzą Rossa. Z ronda jego kapelusza kapąła woda. Z przodu, na tle ciemnego nieba rysowały się kontury dworu w Namparze.

Wydał się Rossowi mniejszy, niż go zapamiętał, niższy, bardziej przysadzisty: przypominał rząd chat parobków. Nie płonęły żadne światła. Przywiązał konia do krzaka bzu, który tak się rozrósł, że zasłaniał znajdujące się za nim okna; po czym zastukał szpicrutą we frontowe drzwi.

W Namparze padał niedawno ulewny deszcz; w kilku miejscach z dachu ciekły strumyczki wody i na porośniętym trawą piasku utworzyły się kałuże. Ross pchnął drzwi, które ustąpiły bez oporu. Otworzyły się ze skrzypieniem, przesuwając leżący na podłodze stos śmieci, a Ross spojrzął w głąb niskiej, nieforemnej sieni.

– Jud! – zawołał. – Jud!

Klacz przed domem zarżała i uderzyła kopytami w ziemię. Coś przebiegło z szelestem za boazerią. Nagle zauważył oczy. Były migotliwe, zielonozłote, spoglądały na niego nieruchomo z odległego kąta sieni.

Wkuśtykał do domu, czując pod stopami liście i ziemię. Ruszył po omacku wzdłuż boazerii, skrzył w prawo, aż dotarł do drzwi salonu. Poślizgnął się na jakiejś mazistej substancji, wyciągnął rękę i przewrócił lichtarz. Podniósł go, umieścił w nim świecę i zaczął szukać krzesiwa. Po kilku próbach iskra padła na właściwe miejsce i zapalił świecę.

Był to największy pokój w domu, wyłożony do połowy wysokości ciemną mahoniową boazerią. W przeciwległym rogu znajdował się ogromny kominek szerokości połowy pomieszczenia. Wokół znajdowały się niskie ławy. W tym pokoju zawsze koncentrowało się życie rodziny; był dostatecznie duży i przewiewny dla najweselszej kompanii w najgorętsze dni, a zarazem miał przytulne kąty i wygodne meble pozwalające dobrze się czuć w czasie zimowych wichur. Ale teraz wszystko się zmieniło. Na kominku nie płonął ogień, na ławach zaś siedziały kury. Podłogę pokrywała stara słoma i odchody. Z jednej z opraw świec spoglądało na Rossa oko młodego koguta. Na ławie przy oknie leżały dwa martwe kurczaki.

Po lewej stronie sieni znajdowały się drzwi do sypialni Joshui. Ross je otworzył. Dostrzegł oznaki życia: ubrania, które nigdy nie należały do jego ojca, brudne stare suknie, pognieciony trójrożny kapelusz, odkorkowany gąsior cuchnący ginem. Ale drzwi wielkiego łóża były zasunięte, a trzy drozdy siedzące w klatce pod oknem z zamkniętymi okiennicami nie mogły powiedzieć, gdzie jest para służących, których szukał Ross.

Na końcu pokoju znajdowały się drzwi prowadzące do tej części dworu, która nigdy nie została ukończona, lecz Ross tam nie poszedł. Powinien zajrzeć do sypialni na piętrze w tylnej części domu, gdzie zawsze spali Jud i Prudie.

Odwrócił się w stronę drzwi wejściowych, po czym przystanął i zaczął nasłuchiwać. Do jego uszu dobiegł dziwny dźwięk. Kury się uspokoiły i w domu zapadła cisza. Pomyślał, że usłyszał skrzypienie niskich schodów, ale kiedy uniósł świecę i popatrzył na nie, okazało się, że są puste.

Nie było to szuranie szurzących łap, cichy plusk strumienia na dworze ani szelest zwęglonych papierów pod podeszwami butów.

Popatrzył na sufit, ale belki i deski wyglądały normalnie. Coś otarło się o jego nogę. Znowu zobaczył kocie oczy. Była to kotka ojca, Tabitha Bethia, która wyrosła na wielkie szare zwierzę. Miała sierść

pokrytą parchem. Wydawało się, że poznaje Rossa, a on z ulgą pogłaskał ją po uniesionym łbie.

Znów rozległ się dziwny dźwięk i tym razem Ross zorientował się, skąd dochodzi. Podeszedł do łoża skrzyniowego i rozsunął drzwi. Buchnęła na niego fala smrodu potu i ginu. Wsunął do środka świecę. W łożu, kompletnie pijani, spali objęci Jud i Prudie Paynterowie. Kobieta miała na sobie długą flanelową koszulę nocną. Jej usta były otwarte, a pokryte żyłakami nogi rozrzucone. Judowi nie udało się rozebrać. Chrapał obok żony w bryczesach i onucach.

Ross spoglądał na nich przez dłuższą chwilę.

Później cofnął się i postawił lichterz na wielkim, niskim kufrze stojącym obok łoża. Wyszedł z sypialni i podążył do stajni na wschodnim krańcu dworu. Znalazł tam drewniane wiadro i podeszedł z nim do pompy. Napełnił je, zaniósł do domu i wszedł do sypialni. Chlusnął wodą na łożo.

Znowu wyszedł. Na zachodzie świeciło kilka gwiazd, lecz wiatr przybierał na sile. Zauważył, że w stajni są tylko dwa zagłódzone konie. Ramoth, tak, to Ramoth. W chwili wyjazdu Rossa miał dwanaście lat i był prawie ślepy wskutek zaćmy.

Ross przyniósł do dworu drugie wiadro wody, minął sień i sypialnię, po czym znów oblał Juda i Prudie.

Klacz zarżała, gdy mijał ją po raz drugi. Wołała jego towarzystwo od ciemności i nieznajomego otoczenia.

Kiedy przyniósł trzecie wiadro, Jud wystawił łysą głowę z drzwi łoża i stękał. Tym razem Ross oblał tylko służącego.

Przyszedł z czwartym wiadrem i zobaczył, że Jud wylazł z łoża i próbuje strząsnąć wodę z ubrania. Prudie dopiero się budziła, więc Ross chlusnął jej prosto w twarz. Jud zaczął kląć i sięgnął po nóż. Ross uderzył go w bok głowy i przewrócił na podłogę. Później znów ruszył po wodę.

Gdy pojawił się po raz piąty, w oczach służącego malowało się więcej przytomności, chociaż ciągle leżał na podłodze. Zaczął złorzeczyć i grozić na widok Rossa. Jednak po chwili na jego twarzy pojawiło się zdziwienie.

– Wielki Boże... Toż to panicz Ross, prawda?

– Zmartwychwstałem – odpowiedział Ross. – Trzeba się zająć koniem. Wstawaj, bo cię zabiję.

Chwycił mężczyznę za kołnierz koszuli, postawił na nogi i pchnął w stronę drzwi.

Rozdział trzeci

1

Deszczowy październik jest przygnębiający, ale nieco maskuje ruinę i brud. W świetle poranka wszystko wygląda inaczej.

Nawet w okresie apogeum prac górniczych Joshua zawsze uprawiał kilka pól, a dwór był czysty i przytulny, ładnie umeblowany i dobrze wyposażony jak na kornwalijską prowincję. Między ósmą a dziesiątą Ross obszedł posiadłość, po czym wywołał z domu Paynterów, stanął w rozkroku i popatrzył na nich ostrym wzrokiem. Przeszli z nogi na nogę, zaniepokojeni jego spojrzeniem.

Jud, dziesięć centymetrów niższy od Prudie, miał pięćdziesiąt kilka lat, był silny jak buldog, a wygięte w łuk nogi nadawały mu wygląd kawalerzysty. W ciągu ostatnich dziesięciu lat prawie zupełnie wyłysiał i pozostał mu tylko wianuszek włosów wokół głowy. Mieszkał w tym okręgu od urodzenia. Najpierw pracował jako sztygar zmianowy w kopalni Gumbler, a potem w Wheal Grace, przyjęty przez Joshea mimo swojego zamiłowania do mocnych trunków.

Jud poznał Prudie przed dziesięciu laty w Bedruthan. O ich pierwszym spotkaniu nie opowiadał nawet po pijanemu. Nigdy nie wzięli ślubu, ale w końcu zaczęła się posługiwać jego nazwiskiem. Skończyła czterdzieści lat, miała szerokie ramiona, potężny brzuch i rzadkie ciemne włosy, w których zawsze roilo się od wszy.

– Wyglądacie na zmęczonych. Przez cały ranek ciężko harowaliście, prawda? – spytał Ross.

Jud spojrział na niego niepewnie spod bezwłosych brwi. Mając do czynienia z Joshea, zawsze wolał zachowywać ostrożność, ale nigdy nie obawiał się panicza Rossa. Lekkomysłny, chudy młodzik nie miał w sobie niczego, czego można by się bać. Ale dwa lata żołnierki zmieniły charakter młodego Poldarka.

– Dom jest wysprzątany, jak trza – odpowiedział Jud z lekką urazą. – Pracowaliśmy dwie godziny, panie. Od szorowania podłogi powłaziły mi drzazgi w łapska, niech to wszyscy diabli! Może nabawie się gangreny? Idzie przez rękę do góry, idzie żyłami, a potem siup i trup!

Ross obrócił senne, lecz niespokojne oczy na Prudie.

– Twoja żona nie pochorowała się od wody? A może w ogóle zapomniała, jak wygląda i smakuje woda? W więzieniach dają jej mało.

Jud spojrział na niego ostro.

– Więzienie, panie?! Prudie nic nie przeszkrobała! Co takiego zrobiła?!

– To samo co ty. Szkoda, że nie wsadzą was do jednej celi.

Prudie zachichotała.

– Żartowniś z pana, jaśnie panie!

– To wy żartujecie od pięćdziesięciu dni – odpowiedział Ross.

– Nie można nikogo posłać do więzienia za to, że se wypił kapke trunku – rzekł Jud. – To naprzeciw prawu, nie w porządku. To niesprawiedliwe, nierozumne i naprzeciw naturze. I tyle dla pana zrobiłem...

– Byłeś ochmistrem mojego ojca. Po jego śmierci stałeś się odpowiedzialny za stan majątku. Wszystkie pola leżą odłogiem, zarośnięte chwastami, a stodoły i stajnie popadły w ruinę, bo nikt ich nie naprawiał. W sadzie na ziemi gniją jabłka, bo nie miał kto ich zebrać...

– Tego roku owoce nie obrodziły. Jabłka spadły, bo w środku osy były. Okropne. Jabłko do niczego się nie nadaje, kiedy w środku osa. Można jeno zabić robala i zjeść jabłko, to wszystko.

– Dobrze, że nie połkłam jednej takiej osy – powiedziała Prudie. – Jadłam se spokojnie jabłko i jak

ugryzłam, raptem słysze bzyczenie: bzzz... bzzz... I zobaczyłam ose! Nie widziałam łebka, a kuper kręcił się jak ogon owcy. Ruszała nóżkami i miała cały brzuch w paski. Jakbym jej nie usłyszała...

– Wystarczy jedno użądlenie w gębę, a potem siup i trup! – dodał ponuro Jud.

– Jesteście patentowanymi leniami – odpowiedział Ross. – Potraficie tylko jedno: wynajdywać wymówki. Jak dwie świnie w chlewie, które taplają się w gnojówce.

Prudie uniosła fartuch i wytarła nos.

Ross się rozkręcał. Przyzwyczyił się do wyzwisk w szkole i w czasie służby w wojsku. Ponadto znał swoich słuchaczy.

– Podejrzewam, że łatwo jest warzyć nędzny gin z zacnego zboża – zakończył. – Niejednego powieszono za mniejsze przestępstwo.

– Myślelim... Chodziły słuchy... – Jud niespokojnie mlaskał. – Ludzie gadali...

– Że zginąłem? Kto to mówił?

– Wszyscy – odpowiedziała poważnie Prudie.

– Jednak słyszę o tym tylko w tej okolicy. To wyście rozpuścili te plotki?

– Nie, nie, to nieprawda. To nie my! Pan powinien nam podziękować, bo zawsze mówiłem, że to kłamstwo. Wierutne kłamstwo, gadałem. Ufałem, że pan żyje, Prudie może poświadczyć. Powiedz, Prudie, czy wierzyliście w takie brudne łgarstwa?!

– Wielki Boże, nie! – odrzekła Prudie.

– Mój stryj zawsze uważał was za próżniaków i marnotrawców. Chyba mogę się postarać, by to on was osądził.

Stali przed Rossem, przestępując z nogi na nogę, w połowie niezadowoleni, a w połowie zaniepokojeni. Ross nie rozumiał ich kłopotów, a oni nie potrafili ich wyjaśnić. Dawno przestali mieć jakiegokolwiek poczucie winy. Przekonali siebie samych, że postępują słusznie. W tej chwili byli oburzeni, że Ross robi im wymówki. Wszystko, co robili, wynikało z ważnych powodów.

– Mamy jeno dwie pary rąk – odezwał się Jud.

Ross stracił na chwilę poczucie humoru, bo ta uwaga wcale go nie rozbawiła.

– W tym roku w więzieniach szaleje febra – powiedział. – Będziecie cierpieć nie tylko z powodu braku taniego ginu.

Odwrócił się i wyszedł, pozostawiając Juda i Prudie z ich lękami.

2

W ciemnych stajniach oberży Pod Czerwonym Lwem Ross podejrzewał, że jego klacz kuleje z powodu uszkodzonej pęciny, lecz w świetle dnia okazało się, że źle ją podkuto. Miała płaskostopie, a podkowę nieprawidłowo przymocowano.

Następnego dnia pojechał do Truro na prawie ślepym Ramocie, by zobaczyć, czy uda mu się dobić targu z oberzystą.

Karczmarz miał wątpliwości, czy upłynęło dostatecznie dużo czasu, żeby mógł sprzedać konia otrzymanego jako zastaw, ale Ross nigdy nie przywiązywał większej wagi do ścisłego przestrzegania prawa i zdołał go przekonać.

Podczas pobytu w mieście wypisał weksel na rzecz banku Pascoe'a i wydał część swojego skromnego kapitału na dwa młode woły, które kazał odebrać Judowi. Skoro chciał uprawiać ziemię, musiał zainwestować w zwierzęta pociągowe.

Przytroczył kilka mniejszych rzeczy do siodła i tuż po pierwszej wrócił do Nampary, gdzie czekała na

niego Verity. Przez chwilę serce zabiło mu mocniej, bo pomyślał, że to Elizabeth.

– Nie przyjechałeś mnie odwiedzić, kuzynie, więc ja postanowiłam odwiedzić ciebie – powiedziała.
– Czekam od przeszło czterdziestu minut.

Ross pochylił się i pocałował ją w policzek.

– Powinnaś mnie uprzedzić. Byłem w Truro. Jud ci powiedział?

– Tak, zaproponował mi fotel ogrodowy, ale bałam się na nim usiąść, bo mógłby się załamać pod moim ciężarem. Ach, Ross, Nampara wygląda fatalnie!

Spojrzał w stronę zabudowań. Szklarnia była całkowicie porośnięta powojem, który przekwitł i teraz wiąkł.

– Wszystko można naprawić.

– Wstydzę się, że tak rzadko tu przyjeżdżaliśmy, że nie pojawiałam się częściej – odpowiedziała. – Ci Paynterowie...

– Byliście zajęci.

– O tak. Dopiero teraz, po zakończeniu żniw, mamy wreszcie czas na wizyty. Ale to żadne usprawiedliwienie.

Popatrzył na stojącą obok Verity. Ona przynajmniej się nie zmieniła. Ciągle miała szczupłą, zgrabną sylwetkę, niesforne włosy i pełne wargi. Przyszła z Trenwith w roboczej sukience, bez kapelusza, niedbale zarzuciwszy na plecy szarą opończę.

Ruszyli wokół stajni.

– Niedawno kupiłem klacz – odezwał się Ross. – Musisz ją zobaczyć. Dziedzic jest stary i do niczego się nie nadaje, a wielki Ramoth jest ślepy, nie potrafi ominąć kamieni ani dziur.

– Opowiedz mi o swojej ranie – poprosiła. – Czy jeszcze cię boli? Kiedy ją odniosłeś?

– Och, dawno. Nad rzeką James. To drobnostka.

Spojrzała na niego.

– Zawsze ukrywasz, że coś cię boli, prawda?

– To właśnie moja klacz – powiedział. – Zapłaciłem za nią dwadzieścia pięć gwinei. Okazyjna cena, nie sądzisz?

Zawahała się.

– Ona też kuleje? Francis mówił... Trzyma prawą nogę w taki sposób...

– Dojdzie do siebie szybciej ode mnie. Kazałem jej zmienić podkowy. Szkoda, że człowiek nie może wyleczyć się z rany, zmieniając buty.

– Jak się nazywa?

– Nie wiadomo. Czekam, aż wymyślisz jakieś imię.

Verity odrzuciła do tyłu włosy i zmarszczyła brew.

– Hm... Nazwałabym ją Czarnulka.

– Dlaczego?

– Ma ładny czarny pas na grzbiecie. To także hołd złożony jej nowemu właścicielowi.

Ross roześmiał się, po czym rozsiadł Ramotha i zaczął go czyścić, a tymczasem Verity paplała, oparta o drzwi stajni. Charles często utyskiwał, że brakuje jej ogłady, co znaczyło, że nie potrafi prowadzić wyszukanej, miłej konwersacji, która tak uprzyjemnia życie. Ale w obecności Rossa nigdy nie była milkliwa.

Zaprosił ją na kolację, lecz odmówiła.

– Muszę iść. Teraz, gdy ojciec nie jest już taki żwawy, mam znacznie więcej obowiązków.

– I chyba sprawiają ci przyjemność. Najpierw chodź ze mną nad morze. Może upłynąć wiele dni, zanim się znowu zobaczymy.

Nie oponowała, bo sprawiało jej przyjemność, że Ross szuka jej towarzystwa. Szli przytuleni do siebie jak dzieci. Oparł długą, kościstą rękę na ramieniu Verity i dzięki temu nie rzucało się w oczy jego kalectwo.

Aby dotrzeć z dworu nad morze najkrótszą drogą, należało przejść przez kamienne ogrodzenie i zejść na plażę Hendrawna, ale tym razem ruszyli długim polem; drogą, którą pokonał we śnie Joshua.

– Czeka cię dużo ciężkiej pracy, by doprowadzić posiadłość do porządku, mój drogi – powiedziała Verity, rozglądając się. – Potrzebujesz pomocy.

– Najpierw muszę przetrzymać zimę.

Usiłowała odczytać wyraz jego twarzy.

– Nie zamierzasz znowu wyjechać, Ross?

– Zrobiłbym to zaraz, gdybym miał pieniądze albo nie kulał, ale te dwie przeszkody razem...

– Zatrzymasz Juda i Prudie?

– Zgodzili się pracować bez wynagrodzenia. Zatrzymam ich, aż gin trochę wywietrzeje im z głów.

Dziś rano przyjąłem chłopca o nazwisku Carter, który szukał pracy. Znasz go?

– Carter? Jeden z synów Connie Carter z kopalni Grambler?

– Chyba tak. Praca pod ziemią okazała się dla niego za ciężka. Na głębokości sześćdziesięciu sążni nie ma przewiewu, który oczyściłby chodniki z dymu po wybuchach, i Carter mówi, że rankiem kasłał czarną flegmą. Musi pracować na świeżym powietrzu.

– Ach, to Jim Carter, najstarszy syn Connie. Jego ojciec zmarł młodo.

– Cóż, nie stać mnie na utrzymywanie inwalidów, ale wygląda na rozsądnego chłopca. Zaczyna pracę jutro o szóstej.

Dotarli na skraj klifu, dwadzieścia lub trzydzieści metrów nad poziomem morza. Po lewej stronie urwiska opadały w stronę zatoki Nampara, po czym wznosiły się stromo w kierunku Sawle. Na wschodzie, w rejonie plaży Hendrawna, morze było tego dnia wyjątkowo spokojne: tu i tam ciemnoszare, z plamami fioletu i żywej zieleni. Fale wydawały się cieniami, poruszały się jak węże pod kocem, prawie niewidoczne, aż docierały do brzegu jako grzywy białej piany.

Twarz Rossa owiewała lekka morska bryza, prawie nie burząc mu włosów. Zaczął się odpływ. Spoglądali na zielonkawy ocean, falujący pod niskimi chmurami.

Ross nie spał tej nocy dobrze. Kiedy Verity patrzyła na niego z boku, widziała szarobłękitne oczy osłonięte przymkniętymi powiekami i białą szramę na policzku. Na twarzy stryjecznego brata malował się dziwny niepokój. Odwróciła wzrok i rzekła nagle:

– Kiedy dowiedziałeś się... dowiedziałeś o Francisie i Elizabeth, na pewno cię to zaskoczyło...

– Nie byłem z nią po słowie.

– To dziwne... – ciągnęła Verity, lekko się zacinając. – Wszystko stało się tak nagle. Francis prawie nie widywał Elizabeth przed latem zeszłego roku. Poznali się na przyjęciu u Pascoe'ów. Później bez przerwy o niej mówił. Naturalnie powiedziałam mu, że... że się z nią przyjaźnisz. Ale ona wspomniała mu o tym już wcześniej.

– To miło z jej strony.

– Ross... Jestem pewna, że żadne z nich nie zamierzało zrobić niczego nieuczciwego. Takie rzeczy po prostu się zdarzają. Nie można walczyć z chmurami, deszczem ani błyskawicami. To się stało samo. Znam Francisia i wiem, że bardzo się w niej zakochał.

– Bardzo wzrosły ceny, odkąd wyjechałem – powiedział Ross. – Kupowałem dziś holenderskie płótno i płaciłem trzy szylingi i trzy pensy za metr. Wszystkie moje koszule zjadły mole.

– Krążyły pogłoski, że zginąłeś. Nie wiem, kto je rozpuszczał, ale myślę, że najwięcej mogliby na tym skorzystać Paynterowie.

– Nie więcej niż Francis.

– To prawda – odrzekła Verity. – Ale to nie jego sprawa.

Ross wpatrywał się zbolalym wzrokiem w morze.

– To niezbyt miła myśl – rzekł po chwili.

Dotknęła jego ramienia.

– Bardzo chciałabym ci pomóc, mój drogi. Dlaczego częściej nas nie odwiedzasz? Dlaczego nie jesz z nami codziennie kolacji? Gotuję lepiej od Prudie.

Ross pokręcił głową.

– Muszę sam się z tego otrząsnąć. Kiedy ślub?

– Pierwszego listopada.

– Tak prędko? Myślałem, że poczekają co najmniej miesiąc.

– Wczoraj podjęli decyzję.

– Ach, rozumiem...

– Ślub odbędzie się w Trenwith, bo wszystkim to najbardziej pasuje. Cusgarne to prawie ruina, jest tam zimno i z sufitów kapie woda. Elizabeth przyjedzie rano powozem z rodzicami.

Paplała dalej, zdając sobie sprawę, że Ross prawie jej nie słucha, lecz chciała mu pomóc przetrwać trudny okres. W końcu umilkła i podobnie jak on, spojrzała w morze.

– Gdybym była pewna, że nie będę ci przeszkadzać, zimą przyjeżdżałabym jak najczęściej. Jeśli...

– Byłoby mi bardzo miło – odpowiedział.

Ruszyli z powrotem w stronę dworu. Ross nie zauważył, że Verity straszliwie się zaczerwieniła.

A zatem ślub miał się odbyć pierwszego listopada, za niespełna dwa tygodnie.

Szedł jakiś czas z kuzynką, a gdy się pożegnali, stanął na skraju sosnowego zagajnika i patrzył, jak Verity podąży szybkim, energicznym krokiem w stronę kopalni Grambler. Nad pustymi, pokrytymi hałdami gruzu wrzosowiskami płynęły w kierunku Trenwith obłoki dymu i pary z kopalni.

3

Za wzniesieniem tworzącym południowo-wschodni kraniec kotliny Nampary znajdowało się obniżenie terenu, w którym stało niewielkie skupisko chat zwane przysiółkiem Mellin.

Była to część majątku Poldarków. Sześć chat tworzyło kwadrat, toteż wszyscy widzieli, co akurat robią sąsiedzi. Mieszkały w nich rodziny o nazwiskach Triggs, Clemmow, Martin, Daniel i Vigus. Ross udał się tam w poszukiwaniu tanich parobków do pracy.

Poldarkowie zawsze utrzymywali dobre stosunki ze swoimi dzierżawcami. Różnice klasowe były oczywiste; wszyscy uważali je za coś naturalnego i nie było potrzeby o nich wspominać, ale w rejonach, gdzie życie koncentrowało się wokół najbliższej kopalni, zdrowy rozsądek zawsze okazywał się ważniejszy od konwenansów. Drobnych właścicieli ziemskich o imponującej genealogii i pustych sakiewkach akceptowano jako część należącej do nich ziemi.

W drodze do domu Martinów Ross musiał minąć trzy chaty. Przed drzwiami pierwszej, paląc fajkę, wygrzewał się Joe Triggs. Był wysłużonym górnikiem w wieku około pięćdziesięciu pięciu lat, cierpiącym na reumatyzm i utrzymywanym przez ciotkę, która z trudem wiązała koniec z końcem, zarabiając na życie handlem rybami w Sawle. Wydawało się, że Joe Triggs przesiedział przed swoją chałupą cały ponaddwuletni pobyt Rossa w Ameryce i nie zmienił w tym czasie pozycji. Anglia straciła imperium na zachodzie i zdobyła imperium na wschodzie; walczyła samotnie przeciwko Amerykanom, Francuzom, Holendrom, Hiszpanom i sułtanowi Hajdarowi Alemu, władcy Majsuru. Państwa, floty

i narody ścierały się ze sobą, powstawały i upadały. We Francji wzbił się w niebo pierwszy balon, „Royal George” zatonął w Spithead, a William Pitt Młodszy został po raz pierwszy premierem. Jednak dla Joego Triggsa nic się nie zmieniło. Upływające dni niczym się od siebie nie różniły. Jednostajnie odchodziły w przeszłość, a jedyna istotna zmiana polegała na nasilającym się bądź słabnącym bólu barku lub kolana.

Ross zamienił kilka słów ze starszym mężczyzną, spoglądając na pozostałe chaty. Najbliższa stała pusta, bo cała rodzina zmarła na ospę w 1779 roku; niedawno zapadła się część dachu. Następna, należąca do Clemmowów, wyglądała niewiele lepiej. Czegóż można się spodziewać? Młodszy i bystrzejszy z braci, Eli Clemmow, przeniósł się do Truro, gdzie znalazł pracę jako lokaj, a w Mellin został tylko Reuben.

Trzy chaty po przeciwległej stronie kwadratu prezentowały się dobrze. Ross szczególnie lubił Martinów i Danielów. Nick Vigus również dbał o swój dom, choć był oślizgłym łotrem.

W chacie Martinów Rossa powitała pogodna żona Zacky’ego – miała płaską twarz i nosiła okulary – po czym wprowadziła go do ciemnej izby na parterze, gdzie na glinianej polepie bawiło się troje nagich dzieci. Po wyjeździe Rossa Martinom urodziły się dwie nowe pociechy, toteż w chacie mieszkało już jedenaście osób. W tej chwili pani Martin znowu była brzemienna. Cztery chłopcy pracowali pod ziemią w kopalni Gambler, podobnie jak najstarsza córka Jinny. Troje młodszych dzieci od pięciu lat wżwyz idealnie nadawało się do pielienia chwastów. Ross poszukiwał właśnie takich tanich parobków.

Tego słonecznego ranka chłonał widoki, dźwięki i zapachy własnej posiadłości, a wojna w Ameryce wydawała się nieistotna i daleka. Zastanawiał się, co jest bardziej rzeczywiste: świat prostych rolników związanych z ziemią czy też świat, w którym ludzie walczą ze sobą w imię polityki i zasad, żyją lub umierają w chwale – a jeszcze częściej nędznie – dla abstrakcyjnych idei, takich jak patriotyzm lub niepodległość.

Wydawało się, że żona Zacky’ego nigdy nie przestanie paplać, lecz w tejże chwili z szychty w kopalni wróciła Jinny. Wydawała się zdyszana. Kiedy otworzyła niskie drzwi chaty, wyraźnie zamierzała coś powiedzieć, ale zauważyła Rossa, zrobiła krok do przodu, dygnęła niezgrabnie i milczała.

– To moja najstarsza córka – odezwała się żona Zacky’ego, krzyżując ramiona na obfitym biuście. – Skończyła siedemnaście lat. Co z tobą, dziecko? Zapomniałaś panicza Rossa?

– Nie, matko. Nie, jaśnie panie. Nie zapomniałam. – Podeszła do ściany, rozwiązała fartuch i zdjęła duży płócienny czepek.

– Ładna dziewczyna – rzekł Ross, przyglądając się z roztargnieniem Jinny. – Powinnaś być z niej dumna.

Jinny oblała się rumieńcem, a żona Zacky’ego spojrzała na córkę.

– Znowu łazi za tobą ten Reuben?

Na drzwi padł cień i Ross ujrzał wysoką postać Reubena Clemmowa, który zmierzał w stronę swojej chaty. Miał na sobie wilgotny granatowy strój wiertacza, złożony z bluzy, spodni i starego kaszkietu ze świecą przyklepioną gliną do daszka. Niósł cztery narzędzia górnicze, w tym ciężki żelazny świder.

– Chodzi za mną dzień w dzień – rzekła z irytacją dziewczyna, a w jej oczach pojawiły się łzy. – Prosi, żebym poszła z nim na spacer, a potem nic nie mówi i jeno się gapi. Dlaczego nie zostawi mnie w spokoju?!

– Nie przejmuj się tym tak bardzo – odparła matka. – Idź i każ tym trzem urwisom wracać do domu, jeśli chcą dostać coś do jedzenia.

Ross zorientował się, że ma okazję, aby opuścić chatę. Wstał, a tymczasem Jinny wybiegła z domu i zawołała piskliwym głosem troje dzieci Martinów, które pracowały na poletku kartofli.

– To moje wielkie zmartwienie – odezwała się pani Martin. – Reuben wszędzie za nią chodzi. Zacky

już dwa razy go ostrzegał.

– Jego chata jest w strasznym stanie. Na pewno nie możecie wytrzymać od smrodu, gdy wiatr wieje w waszą stronę.

– Och, to nas nie obchodzi. Martwimy się o córkę.

Ross widział Reubena Clemmowa, który stał w drzwiach swojej chaty i patrzył na Jinny, wodząc za nią małymi bladymi oczyma o niepokojącym wyrazie. Bracia Clemmow zawsze sprawiali kłopoty w okolicy. Ich rodzice nie żyli od kilku lat. Ojciec był głuchoniemy i miewał ataki paroksyzmów. Dzieci wyśmiewały się z niego z powodu wykrzywionych ust i gdaczących dźwięków, jakie wydawał. Matka wyglądała normalnie, ale było w niej jakieś zepsucie; nie wystarczały jej zwykłe ludzkie grzechy spółkowania i pijaństwa. Ross pamiętał, jak publicznie wychłostano ją na rynku w Truro za sprzedawanie trujących proszków do spędzania płodu. Bracia Clemmow od lat sprawiali mniejsze lub większe kłopoty, ale wcześniej to Eli wydawał się gorszy.

– Zbroił coś, gdy mnie nie było?

– Reuben? Nie. Jeno raz, zeszłej zimy, walnął w łeb Nicka Vigusa, który się z niego naśmiewał. Ale go za to nie winimy, bo sama chętnie bym to zrobiła.

Ross pomyślał, że powrót do prostego życia wieśniaków nie stanowi drogi ucieczki. Zamienił funkcję dowódcy kompanii piechoty na obowiązek troszczenia się o ludzi mieszkających w jego majątku. Mógł nie być właścicielem ziemskim w całym znaczeniu tego słowa, lecz nie uchylał się od swoich powinności.

– Myślicie, że może skrzywdzić Jinny?

– Tego nie wiemy – odparła żona Zacky’ego. – Ale gdyby coś zrobił, nigdy nie stanie przed sądem. Bardzo się martwię jako matka i trudno się dziwić.

Reuben Clemmow zauważył, że jest obserwowany. Popatrzył martwym wzrokiem na dwoje ludzi stojących w drzwiach przeciwległej chaty, po czym odwrócił się, wszedł do swojego domu i zatrzasnął drzwi.

Jinny wracała z pola z trojgiem dzieci. Ross popatrzył na dziewczynę z większym zainteresowaniem. Była ładna, szczupła i zgrabna. Poczciwe brązowe oczy, jasna cera, lekko piegowaty nos – na pewno ma wielu adoratorów wśród młodych mężczyzn z okolicy. Nic dziwnego, że nie podoba jej się prawie czterdziestoletni przygłupi Reuben.

– Jeśli dalej będzie sprawiał kłopoty, zawiadomcie mnie, a wtedy przyjadę i porozmawiam z nim – powiedział Ross.

– Dziękujemy, jaśnie panie. Bylibyśmy panu bardzo wdzięczni. Gdyby pan z nim porozmawiał, może wzięłby to sobie do serca.

4

Wracając do dworu, Ross minął maszynownię Wheal Grace – kopalni, która była źródłem zamożności ojca i w końcu pochłonęła wszystkie jego pieniądze. Znajdowała się na wzgórzu w dolinie naprzeciwko kopalni Wheal Maiden, przed kilkuset laty działającej pod nazwą Trevorgie. Joshua wykorzystał część starych, prymitywnych wyrobisk i zmienił nazwę w hołdzie swojej żonie. Ross postanowił obejrzeć Wheal Grace, bo każde zajęcie wydawało się lepsze od bezczynności.

Następnego popołudnia włożył strój górniczy ojca i wyszedł z dworu, ścigany przez gderliwe uwagi Prudie na temat zgniłych desek i zepsutego powietrza, gdy wtem zauważył jeźdźca zmierzającego doliną i zorientował się, że to Francis Poldark.

Kuzyn siedział na pięknym dereszku i miał na sobie modny strój: jasnobrązowe bryczesy, żółtą kamizelkę, wcięty surdut z ciemnobrązowego aksamitu z wysokim kołnierzem.

Ściągnął wodze przed Rossem i koń gwałtownie się zatrzymał.

– Hola, Rufusie, spokojnie! Witaj, Rossie! – Zeskoczył na ziemię, uśmiechając się przyjaźnie. – Spokojnie, chłopcze! Cóż to? Wybierasz się do Grambler?

– Nie. Zamierzam zajrzeć do Grace.

Francis uniósł brwi.

– Okazała się starą dziwką. Zamierzasz ją uruchomić?

– Dziwki też się czasem przydają. Sprawdzam, czy to, co posiadam, ma jakąś wartość.

Francis lekko się zarumienił.

– Rozsądne podejście. Odłóż to na godzinę.

– Chodź ze mną – zaproponował Ross. – Ale może w tym stroju nie masz ochoty na takie eskapady?

Francis zarumienił się jeszcze bardziej.

– Naturalnie, że pójdę – odparł szybko. – Pożycz mi stary strój górniczy Joshui.

– Nie ma potrzeby. Zejdę tam innego dnia.

Francis oddał konia Judowi, który przed chwilą wrócił z pola.

– Możemy porozmawiać po drodze. Wizyta w kopalni będzie dla mnie interesująca.

Weszli do domu i Ross przejrzał rzeczy ojca, których Jud i Prudie nie sprzedali. Kiedy znalazł odpowiedni strój, Francis zdjął modne ubranie i przywdział kombinezon górniczy.

Opuścili dwór. Chcąc przewyciężyć skrępowanie, Ross zaczął opowiadać o swoich przygodach w Ameryce, dokąd został wysłany z Irlandii jako chorąży, niedoświadczony rekrut służący w regimencie zaledwie od miesiąca. W ciągu pierwszych szalonych trzech miesięcy walczył pod komendą lorda Cornwallisa i do tego sprowadzało się całe jego doświadczenie bojowe: natarcie w stronę Portsmouth, nagły atak Francuzów, gdy przeprawiali się przez rzekę James, rozgromienie La Fayette’a. Trafiła go w kostkę kula z muszkietu. W rezultacie znalazł się w Nowym Jorku i uniknął oblężenia Yorktown, po czym tuż przed podpisaniem rozejmu otrzymał cios bagnetem w policzek w czasie drobnej potyczki.

Dotarli do kopalni i maszynowni. Ross oglądał przez chwilę teren porośnięty wysokimi kolczastymi chwastami, po czym podszedł do stryjecznego brata, który zaglądał do sztolni.

– Jak głęboko doszli? – spytał Francis.

– Chyba nie dalej niż na trzydzieści sążni. Większość chodników jest ciągle zalana. Ale słyszałem, jak ojciec mówił, że stare wyrobiska Trevorgie odwodniły się samoistnie.

– W Grambler doszliśmy na głębokość osiemdziesięciu sążni i mamy nadzieję znaleźć bogate pokłady rudy. Kiedy ostatnio używano tej drabiny?

– Chyba przed dziesięciu laty. Osłoń mnie, dobrze?

Silny wiatr utrudniał zapalenie świec z konopnymi knotami. Umieścili świece na daszkach kasków i szykowali się do zejścia po drabinie. Francis chciał iść pierwszy, ale Ross go powstrzymał.

– Zaczekaj. Wypróbuję szczeble.

Górne wydawały się solidne i Francis ruszył za Rossem. Szyb był dość szeroki. Miał przymocowaną do ściany drabinę wspieraną przez drewniane platformy umieszczone w równych odstępach. W górnej części rury pomp wciąż były przytwierdzone do ścian, lecz w dolnej odpadły. Kiedy znikło światło słoneczne, poczuli stęchłą woń stojącej wody.

Bez trudu dotarli do pierwszego poziomu. Drżący płomień świecy na kasku Rossa oświetlił wąski chodnik. Ross postanowił zbadać niższy poziom. Zawołał do znajdującego się na górze Francisca i ruszyli w dół. W pewnym momencie Francis wyrwał ze ściany kamień, który uderzył w niższą platformę i wpadł z cichym pluskiem do niewidzialnej wody na dnie sztolni.

Szczeble drabiny były zdradliwe. Kilku brakowało, a jeden się złamał, gdy Ross stanął na nim całym ciężarem ciała. Stopa Rossa zatrzymała się na następnym szczeblu, który okazał się mocny.

– Jeśli kiedykolwiek otworzę kopalnię, umieszczę w głównym szybie żelazne drabiny! – zawołał, a jego głos odbił się echem w ciasnej przestrzeni.

– Zamierzamy to zrobić w Grambler, gdy nadejdą lepsze czasy. Tak zginął ojciec Bartle’a.

Ross czuł, jak ziębną mu nogi. Pochylił głowę i popatrzył na czarną, oleistą wodę, która wypełniała boczny chodnik. W ciągu ostatnich miesięcy jej poziom się obniżył, ściany tunelu pokrywał zielony szlam. Z ust Rossa wydobywała się para, mieszając się z dymem świecy. Znalazł się przy wejściu na drugi, najniższy poziom starej kopalni Trevorgie.

Zszedł dwa szczeble niżej, aż woda sięgnęła mu do kolan, po czym zstąpił z drabiny i znalazł się w tunelu.

– Fu, co za smród! – odezwał się Francis. – Pewnie wrzucono tu mnóstwo bękartów!

– Moim zdaniem ten chodnik biegnie na wschód w stronę Mongoose pod dnem doliny – powiedział Ross.

Ruszył naprzód. Chłupot z tyłu świadczył, że Francis zszedł z drabiny i podążał za nim.

Po ścianach spływała brązowa i zielona woda. W niektórych miejscach strop znajdował się tak nisko, że musieli się pochylać, by przejść. Powietrze było stęchłe i wilgotne; kilkakrotnie wydawało się, że świece zgasną. Tunel rozszerzył się i przeszedł w komorę, a Francis zrównał się z bratem. Ross spoglądał na ścianę, gdzie rozpoczęto wydobycie rudy.

– Widzisz żyłę cyny w pirycie? – spytał Ross. – Żle wybrali głębokość. Wiesz, jakie wielkie są uskoki w Grambler.

Francis zmoczył palec i potarł skałę w miejscu, gdzie znajdowały się brązowe, plamiste żyłki rudy cyny.

– I co dalej? Po powrocie z Ameryki nie widziałeś naszych zestawień kosztów w Grambler. Zyski mają dziwną skłonność do przeskakiwania na niewłaściwą stronę księgi rachunkowej.

– W Grambler zesłicie za głęboko – odparł Ross. – Już kiedy wyjeżdżałem, maszyny kosztowały fortunę.

– Pożerają węgiel w straszliwym tempie – powiedział Francis. – Chrup-chrup-chrup! Nie mogą się nim nasycić.

– Tu wystarczy niewielka maszyna. Na tym poziomie można pracować nawet bez pomp.

– Nie zapominaj, że jest jesień.

Ross odwrócił się i spojrzał na czarną, śmierdzącą wodę sięgającą mu ponad kolana, a potem na strop komory. Dotarli tak daleko tylko dlatego, że lato było suche. W tej chwili poziom wody się podnosił. Za kilka dni, może nawet godzin powrót stałby się niemożliwy.

– Ross, słyszałeś, że w przyszłym tygodniu się żenię, prawda? – odezwał się Francis.

Ross przestał patrzeć na wodę i się wyprostował. Był osiem centymetrów wyższy od kuzyna.

– Mówiła mi Verity.

– Hm. Wspomniała, że nie zamierzasz przyjść na ślub.

– Och... trudno to wyjaśnić w kilku słowach. Mam tyle spraw... Mój dom przypomina zburzoną Kartaginę. Poza tym nigdy nie przepadałem za ceremoniami. Chodźmy trochę dalej. Zastanawiam się, czy nie można odwodzić tych starych wyrobisk za pomocą kanału wydrążonego w kotlinie za Marasanvose.

Po kilku sekundach Francis podążył za bratem.

Rozkołysane płomyki świec oświetlały mroczny chodnik, rzucając groteskowe cienie na czarną wodę.

Wkrótce tunel zaczął się zwężać i stał się jajowaty, wysoki na metr dziewięćdziesiąt i szeroki na nie więcej niż dziewięćdziesiąt centymetrów. Wydrążono go w taki sposób, by mógł się nim posuwać jeden

górnika z pochyloną głową pchający taczkę. Woda sięgała do najszerszej części owalnego chodnika, którego ściany wygładziły łokcie dawno zapomnianych ludzi.

Francis miał ochotę zaczerpnąć tchu, wyprostować plecy, czuł, że nad jego głową wiszą tysiące ton skał.

– Naturalnie musisz przyjść na ślub – powiedział podniesionym głosem. Jego świeczka zaskwierczała, gdy kapnęła na nią kropla wody. – Bylibyśmy niepokieszeni, gdybyś się nie pojawił.

– Bzdury. Ludzie szybko przestaną plotkować.

– Jesteś dziś cholernie złośliwy. Chcemy, żebyś przyjechał. Ja i...

– Elizabeth?

– Specjalnie o to prosiła.

Ross w ostatniej chwili powstrzymał się od komentarza.

– Bardzo dobrze. O której?

– W południe. Moim drużbą będzie George Warleggan.

– George Warleggan?

– Tak. Gdybym wiedział, że ty...

– Popatrz, dno chodnika się podnosi. Skręcamy na północ.

– Nie chcemy urządzać hucznego wesela – powiedział Francis. – Tylko rodzina i kilkoro przyjaciół.

Uroczystość poprowadzi kuzyn William-Alfred w asyście wielebnego Odgersa. Ross, chciałbym wytłumaczyć...

– Powietrze staje się czystsze – rzekł posępnie Ross, po czym przecisnął się przez wąskie zakole chodnika, strącając deszcz kamyków, które z pluskiem wpadały do wody.

Przebyli kilka metrów i już prawie wyszli na suche podłoże. Z przodu lśniło światło. Wciąż idąc do góry, dotarli do jednego z pionowych szybów wentylacyjnych umożliwiających pracę pod ziemią. Biegł w dół, podobnie jak główny szyb. Niecały metr poniżej krawędzi poziomego chodnika znajdowała się tafla czarnej wody. Na drugą stronę prowadziła wąska kładka z desek. W szybie wentylacyjnym nie było drabiny.

Popatrzyli na niewielki krąg światła wysoko w górze.

– Gdzie znajduje się ten otwór? – spytał Ross. – To chyba dziura przy drodze do Reen-Wollas...

– Albo na skraju wydm. Posłuchaj, Ross, chciałbym wszystko wytłumaczyć. Poznałem Elizabeth tej wiosny i nawet nie przyszło mi do głowy, że stanę między tobą a nią. Było to jak grom z jasnego nieba. Ja i Elizabeth...

Ross odwrócił się z wykrzywioną, wściekłą twarzą.

– Do diabła, czy nie wystarczy, że...

Na jego twarzy malowała się taka złość, że Francis cofnął się po drewnianej kładce przerzuconej nad szybem. Załamała się pod jego ciężarem jak suchy patyk i wpadł do wody.

Stało się to tak szybko, że przez chwilę Ross nie zareagował. Pomyślał, że Francis nie umie pływać.

W jakiś sposób Francisowi udało się wynurzyć, bo w czarnej wodzie pojawiły się ręka i jasne włosy. Ubranie jeszcze nie nasiąkło i pomagało utrzymać się na powierzchni, a obok unosił się kask. Ross położył się na brzuchu, wychylił nad krawędzią szybu i o mało nie stracił równowagi. Na twarzy Francisza malowała się rozpacz. Woda była lepka cieczą. Szarpnął jedną z desek przegniłej kładki, oderwał ją, wsadził do wody i duży żelazny gwóźdź zaczepił o ramię kuzyna. Francis chwycił koniec deski i Ross zdołał przyciągnąć go do siebie, nim zbutwiałe drewno się rozpadło.

Napiął mięśnie na śliskim chodniku i wyciągnął brata z szybu.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu. Francis chwycił ustami powietrze i wypluwał brudną wodę.

– Na Boga, dlaczego się tak rozzłościłeś? – spytał gniewnie.

– Na Boga, dlaczego nie nauczyłeś się pływać? – odparł Ross.

Znowu zapadło milczenie. Wypadek wyzwolił w nich emocje; przez pewien czas unosiły się w powietrzu niczym niebezpieczny gaz, którego nie można nazwać, lecz nie wolno ignorować.

Kiedy siedzieli na ziemi, Francis zerkał na kuzyna. Pierwszego wieczoru, w chwili powrotu Rossa, rozumiał jego rozczarowanie i złość. Ale jako lekkomyślny, zachowujący się swobodnie młody człowiek nie zdawał sobie sprawy z siły jego uczuć ukrytych pod maską spokoju. Teraz to zauważył.

Wyczuwał również, że wpadnięcie do szybu nie było jedynym niebezpieczeństwem, które mu groziło... i może nadal grozi.

Obaj zgubili świece, a nie wzięli zapasowych. Francis zerkał na krąg światła wysoko w górze. Szkoda, że nie ma drabiny. Czekala ich nieprzyjemna wędrówka w przeciwną stronę, szukanie drogi po omacku.

Po chwili Francis strząsnął z siebie wodę i ruszył chodnikiem. Ross podążył za nim z ironicznym, a zarazem posępnym wyrazem twarzy. To, co się stało, pozwoliło Francisowi zrozumieć siłę niechęci brata – ale Ross miał wrażenie, że ukazało również jego słabości.

Przynajmniej czegoś się o sobie dowiedział.

Rozdział czwarty

1

W tygodniu poprzedzającym ślub Ross opuścił swój majątek tylko raz, by odwiedzić kościół w Sawle.

Joshua wyraził życzenie, by pochowano go z żoną, więc było niewiele do obejrzenia.

Pamięci Grace Mary, ukochanej małżonki Joshui Poldarka, która odeszła z tego świata 9 dnia maja 1770 roku w wieku 30 lat. Quid Quid Amor Jussit, Non Est Contemnere Tutum.

Poniżej Charles kazał wyryć słowa: *I Jaśnie Wielmożnego Pana Joshui Poldarka z Nampary w Kornwalii, zmarłego 11 dnia marca 1783 roku w wieku 59 lat.*

Oprócz tego jedyna zmiana polegała na tym, że wykarczowano krzaki posadzone przez Joshuę i mogiłę porastała rzadka trawa. Obok na niewielkim nagrobku znajdował się napis: *Claude Anthony Poldark, zgasły 9 stycznia 1771 w szóstym roku życia.*

Po czterech dniach Ross wrócił do kościoła, by pogrzebać nadzieje, które żywił przeszło dwa lata.

Przez cały czas chodziła mu po głowie myśl, że ślub z jakiegoś powodu się nie odbędzie. Trudno mu było uwierzyć w małżeństwo Elizabeth, tak jak trudno byłoby mu uwierzyć w przepowiednie o jego śmierci.

Kościół znajdował się kilometr od wioski Sawle, przy prowadzącym do niej gościńcu. Tego dnia główny ołtarz przystrojono złocistymi chryzantemami, a czterech muzykantów grało hymny na skrzypcach i wiolach da gamba. Przybyło dwadzieścioro gości. Ross siedział w jednej z przednich, wysokich ławek, idealnie nadających się do drzemki, patrzył na dwie postacie klęczące przed ołtarzem i słuchał monotonnego głosu Williama-Alfreda, który wypowiadał formuły religijne i prawne.

Wkrótce – niezwykle szybko jak na wagę ceremonii – znaleźli się z powrotem przed kościołem, gdzie zgromadziło się około pięćdziesięciu wieśniaków z Sawle, Trenwith i wioski Grambler. Stali w pełnej szacunku odległości i gdy w drzwiach kościoła pojawiła się młoda para, wznieśli cichy, nieskładny okrzyk.

Był jasny październikowy dzień, zza szarobiałych chmur płynących powoli po błękitnym niebie od czasu do czasu wyglądało słońce. Rześki wiatr rozwiewał koronkową woalkę Elizabeth, co nadawało jej niematerialny, eteryczny wygląd. Chwilami wydawała się jednym z mniejszych obłoków, który zgubił drogę i trafił między ludzi. Niebawem młoda para wsiadła do powozu i pojechała wyboistą drogą, a reszta gości weselnych podążyła za nimi konno.

Elizabeth i jej rodzice przyjechali z Kenwyn w powozie należącym do rodziny Chynowethów. Pojazd podskakiwał i kołysał się na wąskich, pokrytych koleinami drogach, podnosząc obłoki kurzu, który osiadał na ludziach zebranych na trasie przejazdu. Pojawienie się powozu na tym pustkowiu było niezwykle wydarzeniem. Normalnym środkiem transportu były wierzchowce i karawany mułów. Wieści o pojawieniu się niezwykłego wehikułu o czerwonych kołach okutych żelazem docierały do okolicznych mieszkańców szybciej niż sam pojazd i wszyscy wylegali na drogę, by go zobaczyć: robotnicy przemawający rudę cyny w pobliskich strumieniach, wieśniacy i ich żony, parobkowie, górnicy, którzy akurat nie mieli szychty, i każdy, kto tylko miał dość sił. Szczekały psy, ryczały muły, a wzdłuż drogi biegły w obłokach kurzu nagie dzieci.

Kiedy powóz dotarł do podjazdu dworu, woźnica puścił konie kłusem. Bartle, siedzący z tyłu, zadał w róg, po czym młoda para zajechała z fasonem przed Trenwith House wśród radosnych okrzyków otaczających ją jeźdźców.

We dworze przygotowano przyjęcie, które zaćmiło wszystkie inne podobne uroczystości. Przybyli wszyscy goście obecni tego wieczoru, kiedy w Trenwith pojawił się Ross. Pani Chynoweth, piękna jak samica orła; doktor Choake i jego głupiutka, ładna żona; Charles, który uczcił ten dzień przywdzianiem nowej peruki, czerwonej kamizelki i brązowego aksamitnego surduta z pięknymi koronkowymi mankietami. Verity nieustannie wstawała od stołu i sprawdzała, czy wszystko jest w porządku. W miarę upływu popołudnia jej puszyste włosy nieco się rozczochrały. Kuzyn William-Alfred, chudy, blade i nieprzystępny, nadawał spotkaniu rys powagi i stateczności. Jego żona Dorothy była nieobecna, gdyż znowu spodziewała się dziecka. Naprzeciwko szczytu stołu siedziała jak zwykle ciotka Agatha w staromodnej aksamitnej krynolinie i w ładnym koronkowym czepku na niemodnej peruce.

Jednym z nowych gości był Henshawe, nadsztygar w kopalni Grambler, potężnie zbudowany młody człowiek o jasnoblękitnych oczach i drobnych dłoniach oraz stopach, na których stąpał zwinnie mimo znacznej tuszy. Pani Henshawe nie czuła się swobodnie w tym towarzystwie i zachowywała się nieco pretensjonalnie. Od czasu do czasu przerywała jedzenie, by zerknąć niepewnie na pozostałych gości. Jednak jej mąż, pracujący w kopalni od ósmego roku życia i niepiśmienny, przywykł do towarzystwa ludzi należących do wyższych klas społecznych i wkrótce zaczął dłużyć w zębach widelczykiem do ciasta.

Naprzeciwko, starając się nie zwracać uwagi na zachowanie Henshawe'a, zajmowała miejsce pani Teague, wdowa po dalekim kuzynie posiadającym niewielki majątek w pobliżu St Ann's. Towarzyszyło jej pięć córek na wydaniu, siedzących przy stole w nieregularnych odstępach. Były to Faith, Hope, Patience, Joan i Ruth.

Obok pani Teague siedział kapitan Blamey, którego Ross nigdy wcześniej nie spotkał, milczący, przystojny mężczyzna w wieku około czterdziestu lat, kapitan jednego ze statków pocztowych kursujących między Falmouth a Lizboną. Ross zauważył, że w czasie całego długiego posiłku żeglarz odezwał się tylko dwa razy – do Verity, dziękując jej za coś, co przyniosła. Nie pił.

Drugi duchowny uczestniczący w weselu nie pomagał kuzynowi Williamowi-Alfredowi w czasie oficjalnej ceremonii zaślubin. Wielebny Odgers, niski, zasuszony człowieczek, był duszpasterzem Sawle oraz wioski Grambler, za co administrator parafii, mieszkający w Penzance, płacił mu czterdzieści funtów rocznie. Wielebny Odgers utrzymywał za to żonę, krowę i dziesięcioro dzieci. Przybył na wesele w powycieranym od ciągłego noszenia stroju i w spłowiałej peruce z końskiego włosia. Nie przestając jeść, nieustannie wyciągał brudną rękę z połamanymi paznokciami, by nakładać sobie kolejne potrawy. Jego szybkie, ukradkowe ruchy miały coś z królika: skubać, skubać, jeść, jeść, nim coś mnie spłoszy.

Listę gości zamykała rodzina Nicholasa Warleggana: ojciec, matka i syn.

Reprezentowali nowobogackich hrabstwa. Ojciec Nicholasa Warleggana był wiejskim kowalem, który odlewał cynę. Nicholas przeniósł się do Truro i założył odlewnię. Z tych korzeni wyrosły wszystkie odgałęzienia fortuny Warlegganów. Pan Nicholas Warleggan miał grubą górną wargę, oczy czarne jak bazaltowe kamyki i wielkie kwadratowe ręce ciągle noszące ślady pracy fizycznej. Dwadzieścia pięć lat wcześniej poślubił Mary Lashbrook z Edgumbe i pierwszym owocem tego związku był obecny na sali George Warleggan, który zyskał popularność wśród przedsiębiorców górniczych i bankierów, prześcigając ojca pod względem wpływów.

George miał masywną, proporcjonalną twarz: wydatny nos nieco cofnięty w okolicach nozdrzy, jakby jego właściciel zamierzał za chwilę czemuś zaprzeczyć, oraz duże, przenikliwe, brązowe oczy, którymi posługiwał się chętniej niż szyją, zerkając na boki, gdy chciał popatrzeć na coś, co nie znajdowało się na wprost niego – tę cechę uchwycił Opie, gdy na początku roku namalował jego portret.

Kiedy wreszcie posiłek dobiegł końca, wielki stół odsunięto na bok i wyczerpani goście usiedli w kręgu, by obserwować walki kogutów.

Verity i Francis protestowali, że taka forma rozrywki nie przystoi w czasie wesela, lecz Charles postawił na swoim. Rzadko można oglądać walkę we własnym domu; zwykle wiązało się to z koniecznością jazdy do Truro lub Redruth, co było męczące i na co miał coraz mniejszą ochotę. Poza tym Nicholas Warleggan przywiózł Czerwonego Pazura, koguta znanego z wielu zwycięstw, i był skłonny wystawić go przeciwko każdemu ptakowi, który byłby gotów na pojedynek. Koguty Charlesa mogłyby stać się zbyt łagodne, gdyby od czasu do czasu nie walczyły z silnymi przeciwnikami.

Służący Warlegganów przyniósł Czerwonego Pazura i innego koguta. Po chwili doktor Choake przybył z dwoma własnymi kogutami, po czym pojawił się Bartle z trzema kogutami Charlesa.

Ross rozejrzał się po gwarnej sali, szukając wzrokiem Elizabeth. Wiedział, że nie znosi walk kogutów. I rzeczywiście, przeniosła się do tylnej części i siedziała na ławie obok schodów, popijając herbatę z Verity. Kuzyn William-Alfred, który nie aprobował walk kogutów z powodów teologicznych, zajął miejsce w niszy po drugiej stronie schodów, gdzie na trójnożnym mahoniowym stole leżała Biblia, a na ścianach wisiały portrety przodków obserwujących z dezaprobatą całą scenę. Ross usłyszał, że kuzyn William-Alfred rozmawia z wielebnym Odgersem o fatalnym stanie kościoła w Sawle.

Kiedy Ross podszedł do Elizabeth, na jej twarzy pojawił się lekki rumieniec.

– Elizabeth wygląda prześlicznie w sukni ślubnej, prawda, Ross? – odezwała się Verity. – Niezwykle udane przyjęcie, przynajmniej do tej pory, nie sądzisz? Ach, ci mężczyźni i ich walki kogutów! Nie są w stanie trawić jedzenia, jeśli nie oddają się krwawym rozrywkom. Napijesz się herbaty?

Ross podziękował. Nie miał ochoty na herbatę.

– Znakomita wieczerza. Teraz pragnę tylko iść spać.

– Cóż, powinnam odszukać panią Tabb. Trzeba wszystko przygotować. Połowa gości zostanie na noc.

Verity opuściła Rossa i Elizabeth, którzy przysłuchiwali się przez chwilę sporom i dyskusjom na temat wielkości areny. Perspektywa walki kogutów sprawiła, że towarzystwo szybko odzyskało wigor po posiłku. Była to energiczna epoka.

– Wy też zostanieie na noc? – spytał Ross.

– Tak, do jutra. Rano wyjeżdżamy na dwa tygodnie do Falmouth.

Patrzył na nią, gdy rozglądała się po sali. Jej jasne włosy ufryzowano i upięto na czubku głowy, odsłaniając szyję i uszy; zwieńczenie stanowiła niewielka spinka z rzędem pereł. Zapinana pod szyją sukni miała bufiaste rękawy z pięknej koronki.

Chciał z nią porozmawiać, a teraz nie miał pojęcia, co powiedzieć, podobnie jak w czasach, gdy się poznali. Jej kruche piękno często sprawiało, że bywał milczący, dopóki nie poznał jej prawdziwej natury.

– Na pewno się zastanawiasz, dlaczego chciałam, żebyś przyjechał, Ross – powiedziała. Umilkła na chwilę i kilka razy przygryzła dolną wargę, a Ross patrzył, jak warga na przemian bieleje i czerwienieje. – Dziś jest mój dzień. Chcę być szczęśliwa i widzieć wokół siebie szczęśliwe twarze. Nie ma czasu na wyjaśnienia, może zresztą nie umiałabym niczego wyjaśnić. Chcę, byś mi wybaczył, że uczyniłam cię nieszczęśliwym.

– Nie muszę ci niczego wybaczać – odparł Ross. – Nigdy się nie zaręczyliśmy.

Zerknęła na niego szarymi oczyma, w których błysnęło coś w rodzaju oburzenia.

– Wiesz, że to nie wszystko...

Pierwsza walka kogutów dobiegła końca. Rozległy się okrzyki i brawa, a służący zabrali z areny pokonanego, ociekającego krwią ptaka.

– I to ma być walka, do diaska?! – zawołał Charles Poldark. – Prrrt! Rzadko zdarza się zarobić tak prędko pięć gwinei!

– Tak, Paracelsus nie docenił przeciwnika – odparł doktor Choake, którego kogut pokonał koguta Warlegganów. – Fatalny błąd.

– Sypki tiumf – wysepleniła Polly Choake, gładząc po głowie zwycięzcę trzymanego przez służącego.

– Zdobywca nie wygląda głoźnie, dopóki nie wpadnie w złość. Podobno ja też taka jestem!

– Jednak odniósł obrażenia, łaskawa pani – rzekł sługa. – Pobrudzi sobie pani rękawiczki.

– Teraz psynajmniej stać mnie na nową pałę! – odparła Polly.

Rozległy się śmiechy, a mąż Polly zmarszczył brwi z powodu niestosownej uwagi żony.

– Tak czy inaczej, walka nie była ciekawa – odezwał się Charles. – Wiele młodszych kogutów poradziłoby sobie lepiej. Mój Książę Krwi pokonałby i Zwycięzcę, i Paracelsusa, choć jeszcze niedawno był kurczakiem!

– A może Książę Krwi mógłby stanąć do walki z moim Czerwonym Pazurem? – spytał George Warleggan.

– Z kim? Co takiego? – spytała ciotka Agatha, ocierając ślinę, która pociekła jej po brodzie. – Nie, to nie przystoi, doprawdy!

– Przynajmniej przekonalibyśmy się, czy Książę Krwi ma naprawdę błękitną krew – rzucił Warleggan.

– Pojedynek mistrzów? – odezwał się Charles. – Nie mam nic przeciwko temu. Ile waży pański kogut?

– Dokładnie cztery funty.

– Niech tedy walczą! Książę Krwi waży trzy funty trzynaście uncji. Popatrzmy na nich.

Przyniesiono oba koguty i zaczęto porównywać. Czerwony Pazur, niewielki jak na swoją wagę, wyglądał groźnie i miał blizny po dwudziestu walkach. Książę był młodym ptakiem, który tylko raz czy dwa brał udział w lokalnych walkach.

– A stawka? – spytał George Warleggan.

– Wedle pańskiej woli. – Charles spojrział na gościa.

– Sto gwinei? – spytał Warleggan.

Przez chwilę panowało milczenie.

– ...a wszystkie kolumny wspierające dach stoją tylko dzięki żelaznym sztabom i kłomom, które nieustannie wymagają wzmocnienia – mówił wielebny Odgers. – Wschodnia ściana może w każdej chwili runąć, podobnie zachodnia.

– Tak, tak, zgadzam się! – zawołał Charles. – Zaczynamy walkę!

Przygotowania rozpoczęto z większą dbałością o szczegóły niż zwykle. Niezależnie od zwyczajów Nicholasa Warleggana miejscowi właściciele ziemscy o statusie finansowym Charlesa Poldarka rzadko zawierali tak wysokie zakłady.

– ...wiedziałaś, że to nie wszystko – powtórzyła półgłosem Elizabeth. – Zawarliśmy umowę, ale byliśmy tacy młodzi...

– Wyjaśnienia niczego nie zmienią – odpowiedział Ross. – Dziś się wszystko rozstrzygnęło.

– Elizabeth, pamiętaj, że to twój dzień – rzekła pani Chynoweth, która nagle podeszła do córki. – Powinnaś rozmawiać z gośćmi, a nie siedzieć na uboczu.

– Dziękuję, mam. Ale wiesz, że nie gustuję w walkach kogutów. Jestem pewna, że w tej chwili nikt za mną nie tęskni.

Pani Chynoweth wyprostowała się i spojrzała córce w oczy. Nie próbowała dalej jej przekonywać, bo wyczuła, że Elizabeth, choć mówi cichym głosem, podjęła nieodwołalną decyzję. Pani Chynoweth popatrzyła na Rossa i uśmiechnęła się bez odrobiny ciepła.

– Ross, wiem, że trochę się pan interesuje walkami kogutów. Może mógłby mi pan wyjaśnić kilka zasad?

Ross odwzajemnił uśmiech.

– Jestem przekonany, czcigodna pani, że zasady walki nie mają dla pani żadnych tajemnic. Nie sądzę, bym mógł pani udzielić użytecznych rad.

Pani Chynoweth obrzuciła go ostrym spojrzeniem, po czym się odwróciła.

– Przyślę do ciebie Francisa, Elizabeth – powiedziała i odeszła.

W sali zapadła cisza przed rozpoczęciem walki.

– W najgorszym stanie jest cmentarz – ciągnął wielebny Odgers. – Tyle grobów, że kiedy grabarz wbija łopatę w ziemię, natychmiast natrafia na gnijące zwłoki, czaszki, szkielety. Ludzie boją się tam kopać.

– Jak śmiesz odzywać się w ten sposób do mojej matki! – powiedziała Elizabeth.

– Czy szczerłość zawsze jest obraźliwa? – odrzekł Ross. – Przepraszam.

Nagły gwar wśród widzów świadczył o tym, że walka się rozpoczęła. Czerwony Pazur od początku wydawał się faworytem. Trzy lub cztery razy bezbłędnie zaatakował z błyszczącymi ślepiami. Zadał przeciwnikowi kilka ran i zręcznie się wycofał, zanim tamten użył swoich szponów. Księżę Krwi był bojowym ptakiem, lecz nie mógł się równać z Czerwonym Pazurem.

Walka się przeciągała i publiczność ogarnęło podniecenie. Charles i Agatha krzyczeli, zagrzewając koguty do walki. Księżę Krwi upadł, trzepocąc skrzydłami. Cudem uniknął *coup de grâce* wymierzonego przez Czerwonego Pazura, któremu udało się na niego wskoczyć, po czym wstał i kontynuował pojedynek. Ptaki wreszcie się rozdzieliły. Stały naprzeciwko siebie ze spuszczoneymi łbami. Straciły część piór na szyi. Czerwony Pazur wydawał się zmęczony. Księżę Krwi był w koszmarnym stanie, jednak Czerwony Pazur nie potrafił go pokonać.

– Poddaj go, Charles! – wrzasnęła ciotka Agatha. – Poddaj go! Księżę Krwi to prawdziwy mistrz! Nie pozwól, by go okaleczono w pierwszej walce!

Charles ścisnął palcami dolną wargę i nie wiedział, co robić. Zanim się zdecydował, koguty znów rzuciły się na siebie. I nagle, ku zaskoczeniu wszystkich widzów, Księżę Krwi przejął inicjatywę. Wydawało się, że triumfalnie czerpie siły ze swojej młodości. Czerwony Pazur, zmęczony i zaskoczony, padł na piasek.

George Warleggan chwycił ojca za rękę, wytrącając mu tabakierkę.

– Przerwij walkę! – rzucił ostro. – Wbił szpony w łeb Pazura!

Jako pierwszy zauważył to, co teraz widzieli wszyscy: Księżę Krwi dzięki determinacji i szczęściu rozstrzygnął walkę na swoją korzyść. Gdyby Warleggan natychmiast nie zainterweniował, kariera Czerwonego Pazura dobiegłaby końca. Wił się na podłodze, rozpaczliwie próbując zrzucić z siebie przeciwnika.

Nicholas Warleggan powstrzymał swojego służącego, pochylił się, podniósł tabakierkę i schował do kieszeni.

– Niech dalej walczą – powiedział. – Nie lubię emerytów.

– Mamy mistrza! – zawołała ciotka Agatha. – Mój Boże, to mistrz, naprawdę! Nie powinniśmy przerwać walki? Ten kogut jest skończony. Niech mnie diabli, wygląda, jakby zdechł! Dlaczego ich nie rozdzieliliście?

– Wypiszę panu weksel na sto gwinei – rzekł Warleggan do Charlesa spokojnym tonem, który nikogo nie zwiódł. – Jeśli chce pan sprzedać Księcia Krwi, proszę o prawo pierwokupu. Moim zdaniem można by z niego zrobić groźnego zawodnika.

– Dopisało mi szczęście – odpowiedział Charles, na którego szerokiej, spoconej twarzy malowało się zadowolenie. – Wyjątkowe szczęście. Rzadko widywałem lepsze walki i bardziej zaskakujące zakończenia. Czerwony Pazur walczył wspaniale.

– Rzeczywiście, wspaniale – odezwał się pan Chynoweth. – Pojedynek mistrzów, hm, tak to nazwał, prawda, Charlesie. Kto następny?

– Ten, kto walczy i ucieka, następnego dnia doczeka – rzekła sentencjonalnie ciotka Agatha, próbując

poprawić perukę. Zaśmiała się. – Ale nasz Książę nie pozwoli nikomu uciec. Zawsze zabija przeciwnika, nim słudzy rozdziela koguty. Bardzo się spóźniliście, do licha! A może zrobiliście to celowo... Zrobiliście to celowo? Kto nie potrafi przegrywać, traci więcej, niż powinien.

Na szczęście nikt jej nie słuchał, a na arenie stanęły do walki dwa następne koguty.

– Nie masz prawa obrażać mojej matki – rzekła Elizabeth. – Ani żadnego powodu. Wyszłam za mąż chętnie i z własnej woli. Jeśli chcesz kogoś krytykować, krytykuj mnie.

Ross zerknął na siedzącą obok niego dziewczynę. Nagle opuściła go złość i pozostał tylko ból, że wszystko między nimi skończone.

– Nikogo nie krytykuję – odpowiedział. – Co się stało, to się nie odstanie. Nie chcę psuć ci szczęśliwego dnia. Mam własne życie i... pozostaniemy sąsiadami. Będziemy się czasem widywać.

Francis wyszedł z tłumu widzów i strząsnął kroplę krwi z jedwabnego halsztuka.

– Mam nadzieję, że któregoś dnia mi wybaczysz – ciągnęła cicho Elizabeth. – Byliśmy tacy młodzi. Później...

Ross spoglądał na jej nadchodzącego męża, czując śmierć w sercu.

– Nie oglądasz walki? – spytał Francis stryjecznego brata. Jego przystojna twarz była zaczerwieniona po dobrym posiłku i winie. – Nie dziwię się. Jest bardzo słaba w porównaniu z poprzednią. Książę Krwi był zdumiewający. Cóż, kochanie, nie czujesz się zaniedbywana w dniu swojego ślubu? Wstyd mi z tego powodu i postaram się to naprawić. Niechaj mnie piekło pochłonie, jeśli jeszcze raz zostawię cię dziś samą.

2

Kiedy wieczorem Ross opuścił Trenwith House, długo jechał na oślep w posępnym nastroju, gdy tymczasem na niebie wschodził księżyc. W końcu Czarnulka, która jeszcze niezupełnie wyzdrowiała, znów zaczęła lekko kuleć. W tym czasie Ross znajdował się daleko za Namparą na wietrznym, nagim, nieznajomym pustkowiu. Zawrócił klacz i pozwolił jej samodzielnie odszukać drogę do stajni.

Niestety nie udało jej się tego dokonać i upłynęła duża część nocy, nim Ross wreszcie ujrzał kikut komina kopalni Wheal Grace, co świadczyło, że jest na terenie swojego majątku.

Zjechał w dolinę, rozsiodłał Czarnulkę i wszedł do domu. Wypił kieliszek rumu, wszedł na górę do sypialni, po czym położył się na łóżku w ubraniu i butach. Ale gdy w kwadratowych oknach pojawił się brzask, wciąż miał otwarte oczy.

Mrok był wtedy największy.

Rozdział piąty

1

Ross miał wrażenie, że początek zimy ciągnie się w nieskończoność. Przez całe dni dolinę wypełniała mgła, ściany dworu w Namparze ociekały wodą, a strumień wezbrał, niosąc żółtawy muł. Po Bożym Narodzeniu mrozy oczyściły powietrze. Wysoka trawa na szczytach klifów zeszywniała, na skałach i hałdach kopalni osiadł szron, piasek na brzegu morza stwardniał i pokrył się warstwą soli, dopóki nie splukały jej wzburzone fale.

Verity często odwiedzała Rossa. Była łącznikiem z resztą rodziny, przynosiła plotki i dotrzymywała mu towarzystwa. Odbywali długie piesze wędrówki szczytem klifu, niekiedy w strugach deszczu, gdy na niebie wisiały niskie chmury. W takich chwilach morze wyglądało ponuro jak porzucony kochanek, a w piaszczysty brzeg uderzały spienione bałwany. Ross kroczył naprzód, czasami słuchając Verity, rzadziej coś mówiąc, ona zaś szła szybko obok niego z rozwianymi włosami i policzkami zaróżowionymi od wiatru.

Któregoś dnia w połowie marca Verity przyjechała do Nampary i została wyjątkowo długo. Patrzyła, jak Ross zbija podporę jednej z belek w spiżarni.

– Jak twoja kostka, Ross? – spytała.

– Już nic nie czuję. – Nie było to zupełnie zgodne z prawdą, ale wolał tak mówić. Prawie nie kulał i zmuszał się do normalnego chodzenia, jednak często odczuwał ból.

Verity przyniosła kilka słoików z konfiturami własnej roboty i zaczęła je ustawiać na półkach.

– Ojciec twierdzi, że brakuje ci paszy dla bydła. Możesz brać ją od nas. Mamy także nasiona rzodkiewki i cebuli, gdybyś ich potrzebował.

Ross zawahał się na moment.

– Dziękuję – odpowiedział. – W zeszłym tygodniu zasiałem groch i fasolę. Jest jeszcze dużo miejsca.

Verity spoglądała na wypisaną przez siebie etykietę.

– Myślisz, że mógłbyś tańczyć, Ross? – zapytała.

– Tańczyć? Co masz na myśli?

– Och, nie jakiś skoczny taniec, reel albo hornpipe, ale coś dystyngowanego, na uroczystym balu, który ma się odbyć w Truro w przyszłym tygodniu, w Wielki Poniedziałek.

Ross przestał uderzać młotem.

– Mógłbym, gdybym miał ochotę. Ale ponieważ jej nie mam, problem nie istnieje.

Verity zastanawiała się przez chwilę, nim znowu się odezwała. Ross ciężko pracował całą zimę; schudł i pobrał. Za dużo pił i za dużo myślał. Verity pamiętała go z czasów, gdy był wesołym, beztrudnym chłopcem, rozmownym i skłonny do żartów. Lubił śpiewać. Ten chudy, melancholijny mężczyzna wydawał się kimś obcym, choć bardzo starała się go zrozumieć. Winę ponosiły wojna i Elizabeth.

– Jesteś jeszcze młody – powiedziała. – W Kornwalii można znaleźć wiele rozrywek. Dlaczego nie wybierzesz się na bal?

– A ty idziesz?

– Jeśli ktoś mnie zabierze.

Ross się odwrócił.

– Wcześniej nie interesowałaś się balami. Będą tam Francis i Elizabeth?

– Mieli pojechać, ale się rozmyślili.

Ross podniósł młot.

– No cóż...

– To bal dobroczynny – ciągnęła Verity. – Ma się odbyć w Assembly Rooms. Mógłbyś spotkać przyjaciół, których nie widziałeś po powrocie. Jakaś odmiana po całej tej pracy i samotności.

– Z pewnością. – Ross nie był zachwycony pomysłem Verity. – Cóż, może to przemyśle.

– Gdybyś nie chciał dużo tańczyć z powodu bólu kostki, nie miałyby to... nikt by tego nie zauważył – dodała Verity, czerwieniąc się po same uszy.

Ross nie dał po sobie poznać, że widzi jej rumieniec.

– Będziesz musiała długo wracać konno do domu. To niezbyt przyjemne, zwłaszcza w deszczu.

– Och, mogę przenocować w Truro. Przyjmie mnie Joan Pascoe, znasz ją. Wyślę do niej kogoś i poproszę, by dla ciebie również przygotowali pokój. Będzie zachwycona.

– Nie tak szybko – odrzekł. – Jeszcze się nie zgodziłem. Mam mnóstwo roboty w Namparze.

– Tak, Ross – stwierdziła Verity.

– Jesteśmy spóźnieni z siewami. Dwa pola znalazły się pod wodą. Nie ufam Judowi na tyle, by pozwolić mu pracować samemu.

– Tak, Ross.

– Zresztą nie mógłbym spędzić nocy w Truro, bo w poniedziałek rano zamierzam pojechać konno na jarmark w Redruth. Potrzebuję więcej bydła.

– Tak, Ross.

Obejrzał klin wbity pod belkę. Nie siedział jeszcze solidnie.

– Kiedy mam po ciebie przyjechać? – spytał.

Tego wieczoru poszedł z Markiem i Paulem Danielami, Zackym Martinem, Judem Paynterem i Nickiem Vigusem łowić ryby na plaży Hendrawna. Posługiwali się tradycyjnymi linkami z haczykami. Ross nie przepadał za starymi metodami połowu, ale nie miał innego wyposażenia.

Było zimno i pogoda nie sprzyjała wyprawom na ryby, lecz górnicy byli przyzwyczajeni do przemoczonych ubrań i skrajnych temperatur, więc nie zwracali na to uwagi, a Ross nigdy nie zważał na pogodę. Nie złowili ani jednej ryby, ale spędzili noc w przyjemnym nastroju. Rozpalili w jednej z jaskiń duże ognisko, korzystając z drewna wyrzuconego na brzeg, siedzieli wokół niego, opowiadali historie i popijali rum, a ich głosy odbijały się echem od ścian pieczary.

Zacky Martin, ojciec Jinny i dziesięciorga innych dzieci, był cichym, sympatycznym, niskim mężczyzną z wesołymi oczami i siwym kilkudniowym zarostem. Potrafił czytać i pisać, toteż uchodził w okolicy za człowieka uczonego. Przed dwudziestu kilku laty przybył do Sawle z Redruth. Na początku uważano go za obcego, lecz przewyciężył uprzedzenia miejscowych i poślubił córkę kowala.

W pieczarze odciągnął Rossa na stronę i powiedział, że żona wierci mu dziurę w brzuchu w sprawie obietnicy, którą pan Ross złożył w ich chacie wkrótce po powrocie do Nampary. Chodzi o Reubena Clemmowa prześladowającego młodą Jinny. Dręczy ją i straszy, wszędzie za nią chodzi, usiłuje porozmawiać z nią na osobności, z dala od braci i sióstr. Oczywiście jeszcze niczego nie zrobił. Jeśli stałoby się coś takiego, sami potrafiliby sobie z nim poradzić, ale nie chcą wywoływać awantury. Żona Zacky'ego nieustannie powtarza, że gdyby pan Ross porozmawiał z Reubenem, może odzyskałby on rozsądek.

Ross popatrzył na łysą głowę Juda drzemiącego przy ognisku po wypiciu rumu. Spojrzał na dziobatą twarz Nicka Vigusa, która lśniła demonicznie w blasku czerwonych płomieni, i na potężne plecy Marka Daniela pochylonego nad sprzętem rybackim.

– Dobrze pamiętam, co obiecałem – odezwał się do Zacky’ego. – Porozmawiam z nim w niedzielę. Zobaczymy, czy się opamięta. Jeśli nie, każę mu opuścić chatę. Powinniśmy się pozbyć ostatniego z braci Clemmowów. To paskudna rodzina.

3

Ross spełnił przyrzeczenie dopiero po Wielkim Poniedziałku. Pod wpływem impulsu obiecał, że odwiezie Verity na bal. Z sympatii do niej musiał dotrzymać słowa.

Kiedy przybyli na miejsce, w Assembly Rooms było już pełno gości. Tego wieczoru zebrała się tam duża część elity Kornwalii. Ross i Verity weszli do środka w chwili, gdy muzycy stroili instrumenty przed pierwszym tańcem. Salę oświetlały dziesiątki świec wiszących na ścianach. Usłyszeli gwar i poczuli aromaty perfum niesione przez fale ciepłego powietrza. Zaczęli się przeciskać wśród grup rozmawiających gości. Wokół słychać było kroki, szcęk otwieranych tabakierek i szelest jedwabnych sukni.

Ross ubrał się przyzwoicie, jak zwykle, gdy miał się spotkać z ludźmi należącymi do własnej klasy. Również Verity, trochę niespodziewanie, włożyła dużo wysiłku, by jak najlepiej się prezentować. Jaskrawa barwa jej szkarłatnej sukni kontrastowała z opalenizną miłej, prostodusznej twarzy. Ross nie przypominał sobie, by siostra stryjeczna kiedykolwiek wyglądała tak ładnie. Całkowicie różniła się od Verity, która obojętna na deszcz i wichurę chodziła po błotnistych polach Trenwith w bryczesach i wiejskiej koszuli.

Pani Teague i jej pięć córek należały do kompanii przyprowadzonej przez Joan Pascoe, do której mieli się przyłączyć Ross i Verity. Wymieniano uprzejme powitania, a tymczasem Ross spoglądał melancholijnie na piątkę panien Teague i zastanawiał się, dlaczego żadna nie jest zamężna. Faith, najstarsza, była jasnowłosa i ładna, natomiast młodsze, zależnie od wieku, miały coraz ciemniejsze włosy i wydawały się coraz mniej atrakcyjne, jakby ich matka stopniowo traciła siłę i chęć w miarę rodzenia kolejnych córek.

Przynajmniej raz nie brakowało kawalerów, a pani Teague, w nowej peruce z loczkami i ze złotymi kolczykami w uszach, rozglądała się z zadowoleniem po sali balowej. W skład kompanii Joan Pascoe wchodziło sześciu młodych mężczyzn; Ross był wśród nich najstarszy. Czuł, że są bardzo młodzi. Świadczyły o tym ich sztuczne maniery i banalne komplementy. Tytułowali go kapitanem i odnosili się do niego z szacunkiem, o który nie zabiegał – wszyscy z wyjątkiem Whitwortha, chełpliwego eleganta studiującego w Oksfordzie i mającego zamiar wstąpić do stanu duchownego. Był wyjątkowo modnie ubrany. Miał na sobie wcięty surdut ozdobiony kwiatami haftowanymi jedwabiem. Mówił najgłośniej i wyraźnie chciał zostać okrzykniętym przywódcą kompanii, co Ross zaakceptował bez sprzeciwu.

Ross przyjechał na bal, by sprawić przyjemność Verity, toteż postanowił zachowywać się zgodnie z duchem wieczoru, krążąc wśród panien, prawiąc im oczekiwane komplementy i słuchając oczekiwanych odpowiedzi.

Nawiązał rozmowę z Ruth Teague, najmłodszą i najmniej atrakcyjną z pięciu córek pani Teague. Stała w pewnej odległości od sióstr i na chwilę znalazła się poza zasięgiem wzroku zaborczej matki. Był to jej pierwszy bal; wydawała się osamotniona i zdenerwowana. Ross uniósł głowę i policzył młodych ludzi towarzyszących córkom Teague’ów. Było ich zaledwie czterech.

– Czy mógłbym liczyć na taniec? – spytał. – Byłaby to dla mnie ogromna przyjemność.

Ruth Teague poczerwieniała jak piwonია.

– Dziękuję panu. Jeśli mama się zgodzi...

– Będę czekał z niecierpliwością.

Uśmiechnął się i odszedł, by przywitać się z lady Whitworth, matką eleganta z Oksfordu. Po chwili zerknął na Ruth i zauważył, że pobladła. Czy szrama na policzku nadaje mu tak groźny wygląd? A może przygody miłosne ojca w dalszym ciągu rzucają cień na nazwisko Poldarków?

Zauważył, że do towarzystwa przyłączył się inny mężczyzna i rozmawia z Verity. Tęgi, spokojnie ubrany, z włosami związanymi w bezpretensjonalny kucyk wydawał się Rossowi znajomy. Był to kapitan Andrew Blamey, dowódca statku pocztowego z Falmouth, którego Ross poznał na weselu Elizabeth.

– Cóż, nie spodziewałem się tu pana spotkać, kapitanie – rzekł.

– Kapitan Poldark! – Blamey uścisnął Rossowi rękę, lecz wydawało się, że nie wie, co odpowiedzieć. – Niezbyt dobrze tańczę – wykrztusił w końcu.

Rozmawiali przez chwilę o statkach żaglowych. Kapitan Blamey odpowiadał monosylabami i zerkał na Verity. Kiedy orkiestra zaczęła wreszcie grać, Ross przeprosił marynarza. Miał zatańczyć z kuzynką. Ustawili się w pary pośrodku sali, na początku stały osoby utytułowane.

– Czy za chwilę tańczysz z kapitanem Blameyem? – spytał Ross.

– Tak. Masz coś przeciwko temu?

– Skądże znowu. Zaprosiłem pannę Ruth Teague.

– Ach, najmłodszą z sióstr? To miło z twojej strony.

– Zawsze warto spełnić dobry uczynek – odparł Ross. A tuż przed rozpoczęciem tańca dodał żartobliwym tonem: – Tak naprawdę wcale nie potrafię dobrze tańczyć...

Verity popatrzyła mu w oczy.

Orkiestra zagrała menueta. Miękkie, żółte światło świec padało na barwne suknie: złote, kremowe, łososiowe lub fioletowe. Dodawało piękna i wdzięku noszącym je damom, sprawiało, że ludzie pozbawieni wdzięku i niezgrabni wydawali się eleganccy, łagodziło krzykliwe barwy i rzucało miękkie kremowoszare cienie, które przydawały wszystkim urody. Grała orkiestra, tancerze wykonywali piruety, oddalali się od siebie, zbliżali, składali ukłony, obracali się na obcasach, brali się za ręce, wysuwali do przodu stopy. Ruchome cienie tworzyły skomplikowane wzory złożone ze światła i z mroku, wdzięczną alegorię słońca i ciemności, życia i śmierci, nieustannego przeplatania się wątku i osnowy ludzkiej egzystencji.

Przyszła kolej na taniec z Ruth Teague. Ross czuł chłód jej dłoni w różowej koronkowej rękawiczce. Wciąż była zdenerwowana i zastanawiał się, jak ją uspokoić. Z pozoru biedna szara myszka, ale gdy przyjrzał jej się bliżej, z czym nie musiał się kryć, bo przez cały czas spuszczała oczy, zauważył, że ma cechy godne uwagi – podbródek znamionujący silny charakter, witalność przebijającą przez żółtawą cerę, migdałowy krój oczu nadający twarzy oryginalny wygląd. Była jedyną kobietą z wyjątkiem Verity, która nie maskowała mocnymi perfumami naturalnego zapachu swojego ciała. Kiedy okazało się, że pachnie tak świeżo jak Verity, Ross instynktownie poczuł do niej sympatię.

Starał się miło z nią rozmawiać i natychmiast udało mu się wywołać uśmiech na jej twarzy. Zainteresowanie partnerką sprawiło, że zapomniał o bólu kostki. Tańczyli razem następny taniec i pani Teague uniosła ze zdziwieniem brwi. Spodziewała się, że Ruth spędzi większość wieczoru razem z nią, co było zwyczajowym obowiązkiem dobrze ułożonej najmłodszej córki.

– Cóż za piękny bal – odezwała się lady Whitworth, siedząca obok pani Teague. – Jestem pewna, że nasze dzieci świetnie się bawią. Kim jest ten wysoki kawaler tańczący z małą Ruth? Nie dosłyszałam jego nazwiska.

– Kapitan Poldark. Bratanek Charlesa Poldarka.

– Co takiego?! Syn Joshui Poldarka?! W ogóle go nie poznałam! Zupełnie niepodobny do ojca, prawda? Nie taki przystojny. A jednak... na swój sposób niezwykły, ta blizna... Zaleca się do pani

córki?

– Tak właśnie zaczynają się zaloty, prawda? – odparła pani Teague, uśmiechając się słodko do przyjaciółki.

– Naturalnie, moja droga. Ale gdyby Ruth zdobyła adoratora przed pani dwiema najstarszymi córkami, byłoby to dla nich bardzo ambarasujące. Wielka szkoda, że w naszym hrabstwie niezbyt skrupulatnie przestrzega się etykiety związanej z debiutem w towarzystwie. W hrabstwie Oksford rodzice nigdy nie pozwoliliby córkom zachowywać się tak swobodnie jak Patience, Joan i Ruth. Najpierw Faith i Hope musiałyby przynajmniej się zaręczyć. W takich sytuacjach często dochodzi do zatargów między siostrami. Ach, to syn Joshui Poldarka, a ja w ogóle go nie poznałam! Ciekawe, czy odziedziczył temperament po ojcu. Dobrze pamiętam Joshuę.

Po tańcu Ruth usiadła obok matki i lady Whitworth. Jej twarz, zwykle blada, była teraz zaróżowiona. Wachlowała się szybko, lśniły jej oczy. Pani Teague miała ochotę ją wypytać o Rossa, ale nie mogła nic powiedzieć, dopóki lady Whitworth znajdowała się irytująco blisko. Ross byłby znakomitą partią dla małej Ruth, choć jego ojciec miał godną ubolewania wadę: chwycił przynętę, ale nie łapał się na haczyk.

– Panna Verity jest dziś bardzo ożywiona – odezwała się pani Teague, by odwrócić uwagę lady Whitworth od córki. – Chyba jeszcze nie widziałam jej w tak dobrym humorze.

– Towarzystwo młodych ludzi, bez wątpienia – odpowiedziała sucho przyjaciółka. – Widzę, że jest również kapitan Blamey.

– Kuzyn Blameyów z Roseland, jak rozumiem.

– Podobno zaprzeczają, że to bliskie pokrewieństwo.

– Ach, doprawdy? – Pani Teague nadstawiła uszu. – Dlaczego?

– Słyszysz się różne plotki. – Lady Whitworth obojętnie machnęła dłonią w rękawiczce. – Oczywiście nikt ich nie powtarza w obecności młodzieży.

– Słucham? Nie, nie, naturalnie.

Kapitan Blamey skłonił się Verity.

– Bardzo tu ciepło – rzekł. – Może miałyby pani ochotę na coś do picia?

Skinęła głową, równie milcząca jak on. W czasie tańca w ogóle nie rozmawiali. Przeszli do sali z bufetem i usiedli w rogu za zasłoną z paproci. Verity popijała bordo i obserwowała przechodzących ludzi. Blamey pił wyłącznie lemoniadę.

Muszę coś powiedzieć, pomyślała Verity. Dlaczego nie potrafię rozmawiać o zwyczajnych sprawach jak inne panny? Gdybym potrafiła go skłonić do mówienia, bardziej by mnie polubił. Jest nieśmiały tak jak ja; powinnam ułatwić mu sytuację. Mogłabym mówić o hodowli, ale co go obchodzą śwynie i kurczęta? Oboje nie interesujemy się górnictwem. Nie wiem nic o morzu, widziałam tylko łodzie, kutry rybackie i niewody. Katastrofa morska w zeszłym miesiącu... ale może nie byłoby taktownie o tym wspominać. Dlaczego nie umiem po prostu paplać, chichotać i opowiadać anegdot? Mogłabym napomknąć, że świetnie tańczy, lecz to nieprawda, bo tańczy jak wielki, dobroduszny niedźwiedź, którego widziałam w zeszłym roku na Boże Narodzenie.

– Tu jest chłodniej – zauważył kapitan Blamey.

– Tak – zgodziła się Verity.

– W sali jest trochę za gorąco, by tańczyć. Kilka powiewów zimnego wieczornego powietrza nikomu by nie zaszkodziło.

– Zima jest w tym roku bardzo łagodna. Zupełnie inna niż zwykle.

– Jak wdzięcznie pani tańczy – rzekł kapitan Blamey, rumieniąc się. – Nigdy nie spotkałem nikogo tak... eee... hm...

– Bardzo lubię tańczyć – odpowiedziała Verity. – Ale rzadko mam do tego okazję w Trenwith. Dziś to

wyjatkowa przyjemność.

– Dla mnie również, o tak. Nie przypominam sobie, by coś sprawiło mi tak wielką przyjemność...

Zapadła cisza i słychać było tylko śmiech panien i kawalerów flirtujących w sąsiedniej wnęce. Bardzo dobrze się bawili.

– Jakież głupoty opowiadają czasem młodzi ludzie! – rzucił nagle Andrew Blamey.

– Ach, tak pan sądzi? – odpowiedziała z ulgą Verity.

Teraz ją uraziłem, pomyślał. Użyłem niewłaściwych słów. Nie miałem zamiaru komentować jej zachowania. Jakie ma ładne ramiona... Powinienem wykorzystać sposobność, by jej wszystko powiedzieć. Ale czy mam prawo oczekiwać, że byłaby zainteresowana? Na pewno wyraziłbym swoje uczucia tak niezręcznie, że obraziłaby się już po pierwszych słowach. Jaką ma gładką cerę... Jest jak zachodni wiatr o wschodzie słońca, świeży, orzeźwiający, podobny do oddechu morza.

– Kiedy płynie pan do Lizbony? – spytała Verity.

– W piątek po południu. Wyruszamy, gdy zacznie się odpływ.

– Byłam trzy razy w Falmouth. Ładny port.

– Najpiękniejszy na półkuli północnej. Dalekowzroczny rząd stworzyłby tam wielką bazę marynarki wojennej. Anglii przydałoby się coś takiego.

– Do czego? – zapytała Verity, obserwując twarz Blameya. – Czyż nie panuje pokój?

– Chwilowo. Za rok lub dwa znowu zaczną się spory z Francją. Niczego nie rozstrzygnięto. A kiedy wybuchnie wojna, o wszystkim zdecyduje flota.

– Ruth – odezwała się pani Teague w drugim pokoju. – Widzę, że Faith nie tańczy. Czy mogłabyś dotrzymać jej towarzystwa.

– Dobrze, mamu. – Dziewczyna posłusznie wstała.

– Jakie plotki ma pani na myśli? – spytała pani Teague, gdy została sama z przyjaciółką.

Lady Whitworth uniosła uczernione brwi.

– O kim?

– O kapitanie Blameyu.

– O kapitanie Blameyu? Mój Boże, moim zdaniem nie należy zanadto wierzyć pogłoskom, prawda?

– Nie, nie, z pewnością. Staram się nie przywiązywać do nich żadnej wagi.

– Proszę pamiętać, że słyszałam to z dobrego źródła, bo inaczej nie powtórzyłabym tej nowiny nawet pani. – Lady Whitworth uniosła pergaminowy wachlarz z kurzej skórki, malowany w cherubiny. Zasłoniwszy się, pochyliła się w stronę ucha pani Teague, ozdobionego kolczykiem z perłą, i zaczęła szeptać.

W trakcie opowiadania niewielkie czarne oczka pani Teague stały się jeszcze mniejsze. Poruszała nerwowo pomarszczonymi powiekami.

– Nie! – zawołała. – Doprawdy?! W takim razie nie powinien zostać wpuszczony do sali balowej! Uważam za swój obowiązek ostrzec Verity.

– Jeśli ma pani zamiar to zrobić, proszę to zostawić na inną okazję, moja droga. Może dojść do sceny, a ja nie chciałabym w niej uczestniczyć. Poza tym Verity może o wszystkim wiedzieć, moja droga. Wie pani, jakie są dzisiejsze panny. Szaleją na punkcie mężczyzn. Verity Poldark ma już dwadzieścia pięć lat, podobnie jak pani najstarsza córka. Może to być dla niej jedna z ostatnich szans na uniknięcie staropanieństwa.

Kiedy Ruth Teague wracała do siostry, podszedł do niej Ross. Zamierzał ją zaprosić do następnego tańca. Był to podobny do menueta gawot, który w tej chwili rywalizował z menuetem i zdobywał przewagę.

Ross zauważył, że Ruth uśmiecha się swobodniej, z mniejszym skrępowaniem. Z początku była trochę

przerazona jego atencją, lecz szybko zaczęła jej ona pochlebiać. Panna mająca cztery niezamężne siostry nie przychodzi na swój pierwszy bal z przesadnymi oczekiwaniami. To, że zwróciła na siebie uwagę miejscowego właściciela ziemskiego, uderzyło jej do głowy jak wino. Ross powinien ostrożniej je dawkować. Ale w dobroduszny sposób był po prostu zadowolony, że sprawił radość miłej dziewczynie.

Ku swojemu zdziwieniu spostrzegł, że czerpie z tańca przyjemność. Miło było rozmawiać z ludźmi, choć próbował przekonać siebie, że tym gardzi. Podziękował Ruth za taniec, a potem poprosił ją o następny. Przez cały czas rozmawiał z nią szeptem, a ona momentami głośno chichotała, obserwowana z dezaprobatą przez drugą siostrę, która tańczyła w sąsiednim kwadracie z dwoma starszymi dżentelmenami i utytułowaną damą.

W bufecie kapitan Blamey wyjął rysunek.

– Proszę spojrzeć, to fokmaszt, grotmaszt i bezanmaszt. Na fokmaszcie jest grotzagiel...

– Pan to narysował? – spytała Verity.

– Tak, to szkic żaglowca mojego ojca. To okręt wojenny. Ojciec zmarł przed sześciu laty. Jeśli...

– Wyjątkowo ładny rysunek.

– Cóż... można się tego nauczyć. Widzi pani, fokmaszt i grotmaszt mają ożagłowanie rejowe, to znaczy żagle wiszą na rejach... hm... w poprzek statku. Grotmaszt ma częściowo ożagłowanie rejowe, ale znajdują się na nim gafel i bezan oraz spinakerbom. Dawniej nazywano to żaglem łacińskim. A to bukszpryt. Nie ma go na tym szkicu, ale jest żagiel rozprzowy, a zatem... Panno Verity, kiedy będę mógł się z panią znowu zobaczyć?

Ich głowy znajdowały się obok siebie. Verity patrzyła przez chwilę w brązowe, szczere oczy.

– Nie potrafię powiedzieć, kapitanie.

– Marzę o tym...

– Och... – westchnęła Verity.

– ...na fokmaszcie znajduje się grotzagiel. Później górne i dolne topsle. Ta część przymocowana do bukszprytu to drzewce dziobowe i... i...

– Do czego służą drzewce dziobowe? – spytała Verity, nie mogąc złapać tchu.

– Czy... hm... Czy mógłbym mieć nadzieję, że... Gdybym mógł mieć nadzieję, że moje zainteresowanie jest choćby w najmniejszym stopniu odwzajemnione... Gdyby to było możliwe...

– Myślę, że to możliwe, kapitanie.

Musnął jej palce.

– Panno Verity, daje mi pani nadzieję, perspektywę, która uszczęśliwiłaby każdego mężczyznę. Czuję się... czuję... Ale zanim spotkam się z pani ojcem, muszę pani coś powiedzieć i tylko zachęta z pani strony może sprawić, że ośmielę się to zrobić...

Do bufetu wkroczyło pięć osób i Verity natychmiast się wyprostowała, gdyż zauważyła, że to Warlegganowie w towarzystwie Francisa i Elizabeth. Elizabeth natychmiast ją spostrzegła, uśmiechnęła się, pomachała do niej dłonią i podeszła.

Miała na sobie muślinową suknię w brzoskwiniowym kolorze i biały turban z kreyy ciasno opinający głowę.

– Nie mieliśmy zamiaru przyjeżdżać, moja droga – powiedziała, rozbawiona zaskoczeniem Verity. – Jak ładnie wyglądasz! Miło mi pana widzieć, kapitanie Blamey.

– Do pani usług.

– Tak naprawdę to wina George’a – ciągnęła Elizabeth, podekscytowana i olśniewająco piękna. – Jedliśmy kolację i chyba uznał nas za nudziarzy.

– Okrutne słowa z pięknych warg – odparł George Warleggan. – Wina leży po stronie pani męża, który chciał zatańczyć to barbarzyńskie écosaise.

Zbliżył się Francis. Miał zaczerwienioną od wina twarz, co w jakiś sposób podkreślało jego urodę.

– Niczego nie straciliśmy – powiedział. – Wszystko dopiero się zacznie. Nie mógłbym dziś siedzieć beczynnie, nawet gdyby zależały od tego losy Anglii.

– Ani ja – dodała Elizabeth. Uśmiechnęła się do kapitana Blameya. – Mam nadzieję, że nie razi pana nasz entuzjazm.

Żeglarz głęboko zaczerpnął tchu.

– Bynajmniej, szanowna pani. Mam dziś powody do szczęścia.

W sali balowej Ruth Teague wróciła do matki, a lady Whitworth odeszła.

– A zatem kapitan Poldark wreszcie cię pożegnał, dziecko? – spytała pani Teague. – Jakie podał wyjaśnienie?

– Żadnego, mamó – odparła Ruth, wachlując się szybko.

– Cóż, zainteresowanie takiego miłego kawalera przynosi ci zaszczyt, ale trzeba znać miarę. Powinnaś pamiętać o dobrych manierach, nawet jeśli on je lekceważy. Już zaczęły się plotki.

– Doprawdy? Och, nie mogę odmówić mu tańca. Jest bardzo uprzejmy i miły.

– Bez wątpienia, bez wątpienia. Jednak pamiętaj, że trzeba się cenić. I powinnaś myśleć o siostrach.

– Zaprosił mnie do następnego tańca.

– Co takiego? I co powiedziałaś?

– Zgodziłam się.

– Och! – Pani Teague zadrżała lekko, lecz nie wydawała się bardzo niezadowolona. – Cóż, obietnica to obietnica, więc możesz z nim zatańczyć. Ale nie powinnaś jeść z nim kolacji i zostawiać Joan samej.

– Nie zapraszał mnie na kolację.

– Udzielasz bardzo szczerych odpowiedzi, dziecko. Myślę, że jego umizgi uderzyły ci do głowy. Może porozmawiam z nim po kolacji?

– Nie, nie, mamó, nie wolno ci tego robić!

– Cóż, zobaczymy – rzekła pani Teague, która w rzeczywistości nie miała najmniejszego zamiaru zrażać potencjalnego kandydata do małżeństwa. Protestowała dla pozorów, zachowując się jak matka jedynaczki z posagiem w wysokości dziesięciu tysięcy funtów. Ponieważ jednak miała pięć córek na wydaniu i żadnych środków na posagi, znalezienie mężów wymagało zaangażowania.

Problem z Rossem rozwiązał się sam. Kiedy nadeszła pora kolacji, z niewiadomych powodów zniknął. W czasie ostatniego tańca z Ruth był sztywny i zamyślony, a dziewczyna zastanawiała się rozpaczliwie, czy krytyczne uwagi matki dotarły w jakiś sposób do jego uszu.

Po zakończeniu tańca szybko opuścił salę balową i wyszedł na dwór. Nocne niebo było lekko zachmurzone. Niespodziewany widok Elizabeth sprawił, że błyskawicznie opuściło go udawane zadowolenie. Przede wszystkim pragnął zejść jej z oczu. Zapomniał o swoich zobowiązaniach wobec Verity i o tym, że jest członkiem kompanii panny Pascoe.

Na dworze stały dwa lub trzy powozy pilnowane przez służących, a także lektyka. Rozjarzone okna wykuszowe domów na placu oświetlały nierówne kocie łby i drzewa na dziedzińcu kościoła pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny. Skręcił w tamtą stronę. Piękno Elizabeth znów nim wstrząsnęło. Myśl o tym, że cieszy się nim inny mężczyzna, stanowiła piekielną torturę. Dalszy flirt z małą szarą myszką nie wchodził w rachubę.

Ross zacisnął rękę na chłodnym pręcie ogrodzenia pod drzewami, próbując przezwyciężyć zazdrość i ból, jak przezwycięża się zawroty głowy. Tym razem musi raz na zawsze zniszczyć w sobie uczucie do Elizabeth. Jeśli nie zdoła, powinien znowu wyjechać z kraju. Musi przeżyć własne życie, musi iść swoją drogą. Na świecie istnieją inne kobiety, może zwyczajne, jednak wystarczająco czarujące i urodziwe, obdarzone ponętnym ciałem. Musi zapomnieć o zauroczeniu Elizabeth albo przenieść się do innej części

Anglii, gdzie nie będzie miał okazji do porównań. Prosty wybór.

Ruszył przed siebie i gestem ręki odprawił żebraka, który podążył za nim, opowiadając o swojej nędzy i niedostatku. Dotarł do oberży Pod Niedźwiedziem. Otworzył drzwi i zszedł po trzech stopniach do zatłoczonej sali pełnej niskich drewnianych stołów i ław. Pod ścianami stały beczki z mosiężnymi obręczami, spiętrzone aż do sufitu. Był Wielki Poniedziałek i w oberży znajdowało się mnóstwo ludzi. Wnętrze oświetlały kopcające łożówki umieszczone w lichtarzach przymocowanych do ścian i Ross z początku nie zauważył wolnego miejsca. Usiadł w rogu i kazał sobie podać brandy. Oberżysta przyjął zamówienie, dotykając dłonią grzywki, i wziął czysty kieliszek, by uhonorować niespodziewanego gościa. Ross zdał sobie sprawę, że po jego wejściu zapadła cisza. Jego surdut i lniana koszula rzucały się w oczy wśród obszarpanych, niedożywionych pijaków.

– Nie pozwolę na takie gadanie – rzekł niepewnie oberżysta. – Złaz z tej beczki, Jacku Tripp!

– Zostanę tam, gdzie jestem! – odpowiedział wysoki, chudy mężczyzna ubrany lepiej od pozostałych.

Nosił o wiele za duży, postrzępiony surdut

– Daj mu spokój! – rzucił grubas rozparty na ławie. – Kawka ma prawo siadać na kominie!

Rozległy się śmiechy, bo porównanie było celne.

Goście znów zaczęli rozmawiać, zorientowawszy się, że Ross jest zbyt głęboko zatopiony w myślach, by zwracać uwagę na otoczenie. Od czasu do czasu kiwał ręką na oberżystę, by napełnił mu kieliszek; poza tym w ogóle się nie poruszał. Jackowi Trippowi pozwolono dalej siedzieć na beczce.

– Ładnie gadasz, przyjacielu, ale czy wszyscy nie jesteśmy tacy sami? Każdy z nas zrodził się z kobiety. Żebak i handlarz zbożem rodzą się i umierają tak samo, prawda? Możesz mówić, że jedni pławią się w bogactwie, a inni zdychają z głodu z woli Boga. Ale to brednie. Wymyślili je ludzie, bogaci kupcy i im podobni, by zachować to bogactwo i trzymać nędzarzy w niewoli. Można ładnie gadać o Bogu, przekupując duchownych żarciem i winem...

– Zostaw Boga w spokoju – odezwał się głos z tyłu.

– Nie mam nic przeciwko Bogu – odparł Jack Tripp. – Ale nie podoba mi się Bóg, którego wymyślili handlarze zbożem. Czy Chrystus nie mówił, że wszyscy zasługują na sprawiedliwość? Czy głodzenie kobiet i dzieci to sprawiedliwość?! Klechy napychają sobie kałduny, a nasze kobiety jedzą czarny chleb i bukowe liście, dzieci marnieją i zdychają. W Penryn jest zboże, przyjaciele!

W sali rozległy się pomruki aprobaty.

– Postaw damie kielich, panie – szepnął Rossowi do ucha jakiś głos. – Pijesz sam, a to przynosi nieszczęście. Z samotnej wieczerzy diabeł się cieszy.

Ross spojrział w zuchwałę, ciemne oczy kobiety, która usiadła obok niego. Była wysoka, koścista, dwudziestoczero- lub dwudziestopięcioletnia, odziana w męski strój do jazdy konnej, niegdyś elegancki, lecz teraz bardzo znoszony. Prawdopodobnie wcześniej miał już kilku właścicieli. Chustka na szyi była brudna, a żabot przekrzywiony. Ross zauważył wysokie kości policzkowe, szerokie usta, lśniące zęby, duże, zuchwałę oczy. Czarne włosy były niestarannie ufarbowane na rudo.

Obojętnie skinął na oberżystę.

– Dziękuję, panie – rzekła kobieta, po czym przeciągnęła się i ziewnęła. – Piję za pańskie zdrowie. Ma pan smutne oblicze. Melancholia, panie, tak to bywa. Towarzystwo panu nie zaszkodzi.

– No, w Penryn jest zboże! – zawołał ochryple Jack Tripp. – Ale dla kogo?! Nie dla takich jak my! Nie, nie, trzeba sprzedawać żywność za granicę. Teraz to wymyślili! Mają nas w dupie! Możemy zdechnąć! Dlaczego nie ma roboty w kopalniach? Bo cyna i miedź są tanie. A dlaczego są tanie, przyjaciele? Bo kupcy i odlewnicy ustalają je między sobą, jak chcą! Niech górnicy zdychają! Co to obchodzi kupców?! Młynarze też mogą zdychać, tak jak wszyscy inni!

Ross wsparł się na łokciu. Krzykacze z szynków... Ludzie lubili słuchać takich podżegaczy, uczyli się

wyrażania swoich żalów.

Kobieta dotknęła jego ręki. Odsunął jej dłoń i dopił brandy.

– Jesteś samotny, panie; właśnie to cię boli. Pozwól, powrózę ci z ręki. – Odwróciła jego dłoń, by ją obejrzeć. – Tak... tak... Zawód miłosny, panie, właśnie to cię boli. Zdradziła cię kobieta o jasnych włosach. Ale jest inna, ciemnowłosa. – Pokazała długim palcem wskazującym miejsce na dłoni Rossa. – Widzisz, blisko ciebie. Bardzo blisko. Da ci szczęście, panie. Nie jak te słodkie panny, które obawiają się pary spodni. Podobasz mi się, panie, nie gniewaj się, że to mówię. Założę się, że potrafisz zadowolić kobietę. Ale strzeż się. Nie bądź zbyt wybredny, bo te słodkie panny mogą ci wmówić, że miłość to salonowa gra. Miłość to nie salonowa gra, panie, jak sam dobrze wiesz.

Ross zamówił następną kolejkę.

– A co z biedną Betsey Pydar?! – zawołał Jack Tripp, przekrzykując rozmawiających gości. – Pytam was o to, przyjaciele! Cóż to, nie słyszeliście o wdowie Pydar?! Ściganej przez ekonomów i zdychającej z głodu...

Kobieta wypła trunek jednym haustem, lecz nie puściła ręki Rossa.

– Widzę małą, przytulną chatkę nad rzeką. Podobasz mi się, panie. Bardzo cię lubię. Wyglądasz na mężczyznę, który wie, o co chodzi. Mam dar czytania w ludzkich sercach.

Ross popatrzył na nią, a ona śmiało odwzajemniła jego spojrzenie. Chociaż poznali się dopiero przed chwilą, wydawało się, że naprawdę go pragnie. Nie była to tylko kwestia pieniędzy.

– A co na to pastor Halse, jak się dowiedział? – zawołał Tripp. – Wrzasnął, że Betsey Pydar sama jest sobie winna, bo złamała prawo! Właśnie takie są klechy...!

Ross wstał, cofnął rękę, rzucił oberżyskie monetę i przepchnął się przez tłum do wyjścia.

Na dworze panował całkowity mrok i siąpiła drobna mżawka. Stał przez chwilę, nie wiedząc, co robić. Kiedy ruszył zaułkiem, usłyszał, że kobieta wychodzi z oberży.

Szybko go dogoniła. Szła obok niego wysoka i silna. Znowu ujęła jego dłoń. Instynktownie miał ochotę ją wyrwać i kazać odejść kobiecie. Ale w ostatniej chwili, oszołomiony, poczuł straszliwą samotność, która ogarnęła go jak fala trującej mgły. Przepędzi ją i co potem? Co zrobi? Wróci na bal?

Odwrócił się i poszedł z kobietą.

Rozdział szósty

1

Na szczęście Verity postanowiła spędzić noc z Joan Pascoe, toteż Ross nie musiał zostać na balu. Z chaty Margaret pojechał prosto do domu i dotarł do Nampary, gdy pierwsze promienie dziennego światła rozproszyły chmury zasnuwające niebo w nocy.

Był wtorek, dzień targowy w Redruth. Ross rozebrał się, pobiegł na plażę i wszedł do spienionej wody. Chłodne strugi oczyściły go z części miazmatów poprzedniej nocy; lodowate fale działały dziwnie kojąco. Kiedy wyszedł z morza, urwiska na krańcu plaży stały się jaśniejsze, a na niebie na wschodzie pojawiła się luna o barwie kadmowej żółci. Osuszył się, ubrał i obudził Juda, po czym zjedli śniadanie w pierwszych promieniach słońca wpadających przez okno.

Przybyli do Redruth tuż przed dziesiątą, zjechali stromą błotnistą drogą do miasteczka, dotarli do kaplicy, przekroczyli rzekę i wspięli się na wzgórze, gdzie odbywał się jarmark. Handel już trwał. Sprzedawano i kupowano bydło, produkty rolne, masło, sery.

Ross musiał się liczyć z pieniędzmi, dlatego znalezienie tanich wołów zajęło mu trochę czasu i skończył zakupy dopiero po południu. Na drugim placu ustawili swoje stragany najważniejsi kupcy z hrabstwa. W górnej części zgromadzili się handlarze lepszymi towarami. Sprzedawano siodła, odzież i buty. W dolnej części znajdowały się stragany z piernikami i innymi słodyczami, swoje usługi oferowali tam powroźnicy, stolarze, ostrzyciele noży. Można było kupić latarnie, zapałki, lak do pieczętowania listów, srebrne sprzączki, bransoletki z włosia, używane peruki, tabakierki, materace i nocniki.

Doprowadzenie zakupionych wołów do Nampary musiało zająć Judowi kilka godzin, toteż Ross miał mnóstwo czasu na obejrzenie jarmarku. Na trzecim placu nie wystawiali się kupcy. Był to teren szczerołapów, domokrażców, przedstawień za pół pensa. Jeden z narożników należał do aptekarzy i zielarzy. Siedzieli w kucki na ziemi i głośno zachwalali swoje specyfiki, niezawodne lekarstwa na wszelkie choroby. Krople na kaszel, pachnidła, krople na nerwy, pomady, eliksir styraksowy, proszek na febrę, krople jezuickie. Można tu było kupić olejek z babki, olej roślinny, anielską wodę, szalej na skrofuły i łopianowe rzepy na szkorbut.

Na ostatnim, najbardziej hałaśliwym placu znajdowały się teatrzyki i katarynki, a także stragan, gdzie w grze w kości można było wygrać ciasto wielkanocne. Ross krążył wśród tłumów ludzi, którym proste przyjemności przynosiły ulgę, pozwalały zapomnieć o goryczy i szaleństwach zeszłego wieczoru. Zapłacił pół pensa i obejrzał najgrubszą kobietę na świecie, która, jak uskarżał się mężczyzna stojący obok, nie była tak gruba jak zeszłoroczna. Za drugie pół pensa szła z gościem za parawan i kładła jego rękę w sekretnym miejscu, lecz sąsiad Rossa utrzymywał, że to oszustwo, bo kładzie rękę gościa na jego własnym czole.

Stał przez kwadrans w ciemnej szopie, patrząc na mimów przedstawiających walkę świętego Jerzego ze smokiem. Zapłacił pół pensa, by popatrzeć na człowieka, któremu w dzieciństwie świnie odgryzły ręce i nogi, lecz potrafił znakomicie rysować kredą trzymaną w ustach. Za kolejne pół pensa obejrzał wariatkę w klatce, szczutą przez publiczność.

Obszedłszy jarmark, usiadł w szopie, w której podawano trunki, i wypił szklaneczkę rumu z wodą. Kiedy spoglądał na przechodzących ludzi, przypomniały mu się słowa Jacka Trippa, podburzającego pospólstwo. Większość była słaba, śmierdząca, cherława, ze śladami po ospie, w łachmanach – wyglądali znacznie gorzej od świń sprzedawanych na jarmarku. Czy to dziwne, że klasy wyższe uważają

się za inną rasę?

Jednak to, co Ross widział w Ameryce, podkopywało jego wiarę w podziały społeczne. Jack Tripp miał rację. Wszyscy ludzie rodzą się tak samo. Przywileje klasowe to ich własny wymysł.

Wybrał ostatnią szopę z trunkami znajdującą się na krańcu jarmarku. Panowały tu mniejszy hałas i smród, ale kiedy zamawiał drugą szklaneczkę, z tyłu rozległy się wrzaski i kilku ludzi podeszło do narożnika, by zobaczyć, co się dzieje. Część z nich zaczęła się śmiać. Krzykom towarzyszyło szczekanie. Ross wstał i popatrzył nad głowami ludzi stojących w pobliżu.

Za szopą znajdował się plac, na którym wcześniej stało stado owiec. Teraz był pusty, z wyjątkiem grupy obszarpanych uliczników obserwujących kulę sierści toczącą się po ziemi. Okazało się, że to pies i kot, które chłopcy przywiązali sznurkiem za ogony. Zwierzęta były podobnych rozmiarów. Na początku próbowały walczyć, lecz żadne nie zdobyło przewagi i teraz postanowiły się rozdzielić. Pies szarpnął za sznurek i kot padł na ziemię, sycząc wściekle, lecz po chwili wstał i powoli zaczął ciągnąć psa do tyłu, wbijając pazury w ziemię.

Widzowie ryczeli ze śmiechu. Ross uśmiechnął się lekko i już miał usiąść, gdy nagle mały chłopiec wyrwał się dwóm trzymającym go obdartusom i pobiegł w stronę zwierząt. Wyminął ulicznika, który chciał go zatrzymać, uklęknął na ziemi i nie zważając na drapanie kota, usiłował rozwiązać sznurek przymocowany do psiego ogona. Kiedy widzowie zorientowali się, co robi, rozległy się gniewne pomruki, ponieważ ludzie uznali, że pozbawia ich darmowej rozrywki. Lecz pomruki tłumu zostały natychmiast zagłuszone przez wściekle wrzaski uliczników, którzy rzucili się na chłopca psującego im zabawę. Usiłował się bronić, lecz wkrótce upadł na ziemię.

Ross sięgnął po szklaneczkę, wypił łyk rumu, ale nie usiadł. Z przodu stanął wysoki mężczyzna i częściowo zasłonił mu widok.

– Dosyć tych żartów – odezwał się ktoś. – Zrobią chłopakowi krzywdę, jak będą go kopać. Te łobuzy nie znają miary!

– Czy ktoś potrafi ich okiełznać? – spytał niski kupiec z opaską na oku. – Są jak dzikie koty. Przynoszą wstyd miastu.

– Jak ktoś się skarży, wybijają mu okna – dodał inny mężczyzna. – I cieszą się, że mają powód. Ciotka Mary Treglown ma chatę przy drodze do Pool...

– Jo, wim...

Ross dopił trunek i zamówił następny. Później zmienił zdanie i zaczął się przeciskać przez tłum.

– Boże jedyny! – zawołała nagle jakaś kobieta. – To przecież dziewczyna! A może źle widzę? Nikt ich nie powstrzyma?!

Ross wyjął z buta szpicrutę i wyszedł na plac. Trzech uliczników zauważyło, że się zbliża. Dwóch uciekło, ale jeden został. Stał z wyszczerzonymi zębami, gotowy do walki. Ross uderzył go w twarz szpicrutą. Obdartus wrzasnął i uciekł. Świsnął rzucony kamień.

Było jeszcze trzech uliczników. Dwóch siedziało na dziewczynie, a trzeci kopał ją w plecy. Nie zauważył zbliżającego się Rossa, który trafił go w skroń i pozbawił przytomności. Drugiego złapał za spodnie na siedzeniu, podniósł i wrzucił do pobliskiej kałuży. Trzeci uciekł, pozostawiając ofiarę leżącą na ziemi z twarzą w błocie.

Ubranie z pewnością było chłopięce: luźna koszula i bluza, zbyt obszerne spodnie sięgające poniżej kolan. Obok leżała okrągła czarna czapka. Zmierzwiłone włosy wydawały się za długie jak na chłopca. W bark Rossa trafił kamień.

Noskiem buta przewrócił ofiarę uliczników na plecy. Mogła to być dziewczyna. Była przytomna, lecz nie mogła złapać tchu. Przy każdym oddechu jęczała.

Na placu pojawiło się kilku mieszkańców Redruth, ale kiedy kamienie zaczęły padać coraz częściej,

czym prędzej się wycofali.

– Zranili cię, dziecko? – spytał Ross.

Dziewczyna gwałtownie podciągnęła kolana i usiadła.

– Boże święty! – wymamrotała. – Niech zdechną w męczarniach!

Kamienie padały coraz bliżej. Dwa trafiły Rossa w plecy. Odłożył szpicrutę i wziął dziewczynę na rękę; prawie nic nie ważyła. Kiedy niósł ją do szopy, zauważył, że w stronę uliczników idzie grupa dzierżawców z kijami w rękach.

Posadził ją na końcu drewnianego stołu, przy którym niedawno siedział. Położyła głowę na blacie. Teraz, gdy kamienie przestały być groźne, ludzie stłoczyli się dokoła.

– Co ci zrobili, kochana?

– Na pewno ma połamane zebra...

– Biedaczka ledwo zipie.

– Przyłożę im...

Ross zamówił dwie szklaneczki rumu.

– Pozwólcie dziecku odetchnąć – rzucił niecierpliwie. – Kto to jest? Jak się nazywa?

– Nigdy jej wcześniej nie widział – odparł jeden z mężczyzn.

– Widzi mi się, że jest z Roskear – dodał drugi.

– Ja ją znam – odezwała się kobieta, przyglądając się dziewczynce. – To córka Toma Carne’a.

Mieszka w Illuggan.

– Więc gdzie jest jej ojciec?

– Na szychcie.

– Wypij to. – Ross postawił szklaneczkę obok łokcia dziewczyny, a ona podniosła ją i wychyliła trunek duszkiem. Wyglądała na jedenaście, dwanaście lat, była chuda jak patyk i miała podartą, brudną koszulę. Jej twarz zasłaniały rozczochrane ciemne włosy.

– Jesteś tu sama? – spytał Ross. – Gdzie twoja matka?

– Jej matka nie żyje – wtrąciła kobieta i Ross poczuł odór przetrawionego ginu. – Wyzionęła ducha sześć lat nazad.

– To nie moja wina – odezwała się dziewczyna, odzyskując mowę.

– Nikt nie mówi, że twoja – odparła kobieta. – Dlaczego nosisz ubrania brata i udajesz chłopaka?

Dostaniesz w skórę od ojca!

– Odejdź, kobieto! – rzekł Ross, zirytowany, że znajduje się w centrum uwagi. – Odejdźcie wszyscy!

Nie macie się na co gapić? – Odwrócił się do dziewczyny. – Jesteś tu sama? Co tu robisz?

Usiadła.

– Gdzie Garrick? Męczyli go.

– Garrick?

– Mój pies. Gdzie jest Garrick? Garrick! Garrick!

– Tutaj. – Przez tłum przepchnął się jeden z dzierżawców. – Złapałem go dla ciebie. Nie przyszło łatwo.

Dziewczyna wstała, wzięła czarne zawiniątko, w którym coś się poruszało, po czym znowu usiadła, trzymając je na kolanach. Pochyliła się nad szczeniakiem, by sprawdzić, czy jest ranny, i jeszcze bardziej zakrwawiła sobie rękę. Nagle jęknęła i uniosła oczy, które rozbłysły gniewnie w pokrytej brudem twarzy.

– O Boże święty, łajdaki! Ucieli mu ogon!

– Jam to zrobił – odparł spokojnie wieśniak. – Ten kundel o mało mnie nie pogryzł. Poza tym ogon był już prawie oderwany i psiakowi będzie bez niego lepiej.

– Dopij rum – zwrócił się Ross do dziewczyny. – Jeśli możesz mówić, powiedz, czy czujesz pod skórą

połamane kości. – Dał wieśniakowi sześć pensów, a tłum zrozumiał, że przedstawienie zakończone, i zaczął się rozchodzić, choć przez pewien czas grupka ludzi pozostawała w bezpiecznej odległości, zainteresowana dżentelmenem.

Garrick był wybiedzonym szczeniakiem o długiej, chudej szyi i szaroczarnej, kędzierzawej sierści. Trudno było wyobrazić sobie jego rodziców.

– Weź to – odezwał się Ross, wyjmując chusteczkę. – Wytrzyj ręce i sprawdź, czy zadrapania są głębokie.

Dziewczyna przestała się obmacywać i spojrzała z powątpiewaniem na płócienną chusteczkę.

– Pobrudzę ją – rzekła.

– Wiem.

– Krwi nie da się sprać.

– Rób, co mówię. Nie sprzeczasz się.

Dotknęła rogiem chusteczki kościstego łokcia.

– Skąd się tu wzięłaś?

– Przyszłam.

– Z ojcem?

– Jest w kopalni.

– Przyszłaś sama?

– Z Garrickiem.

– Nie możesz wrócić w takim stanie. Znasz tu kogoś?

– Nie. – Nagle przestała się wycierać. – Ojej, dziwnie się czuję.

– Napij się jeszcze.

– Nie... mam pusty żołądek...

Wstała i chwiejnie pokuśtykała do narożnika szopy. Tutaj, ku rozbawieniu gawiedzi, która w dalszym ciągu obserwowała całą scenę, z wysiłkiem zwymiotowała wypity rum. Potem zemdlała, a Ross zaniósł ją do sąsiedniej szopy i kupił jej dobry obiad.

2

Była ubrana w porwaną, wystrzępioną koszulę i spodnie ze spłowiałego brązowego sztruksu. Była bosa i zgubiła okrągłą czapkę. Miała wychudzoną, bladą twarz i wielkie ciemnobrązowe oczy.

– Jak się nazywasz? – spytał Ross.

– Demelza.

– A twoje chrześcijańskie imię?

– Słucham?

– Jak masz na imię?

– Demelza.

– Dziwne imię.

– Jest po matce.

– Demelza Carne, tak?

Westchnęła i skinęła głową najedzona. Szczeniak leżący pod stołem również westchnął.

– Mieszkam w Namparze, za Sawle. Wiesz, gdzie to jest?

– Koło St Ann's?

– Wracam z Redruth do domu, dziecko. Jeśli nie możesz iść, zawiozę cię do Illuggan.

W oczach dziewczyny przemknął cień. Nie odpowiedziała. Ross zapłacił szynkarzowi i kazał osiodłać konia.

Po dziesięciu minutach odjechali. Siedziała w milczeniu przed Rossem. Garrick ponuro truchtał za klaczą Rossa. Od czasu do czasu przysiadał na ziemi i oglądał podejrzliwie swój zad, by sprawdzić, gdzie się podział ogon, za którym czasem biegał w kółko i którym czasem merdał, a teraz nie mógł go znaleźć.

Przejechali przez wrzosowisko nierówną drogą wykorzystywaną do transportu urobku z kopalni, ubitą na kamień przez pokolenia mułów. Wszędzie widać było ślady robót górniczych. Prawie wszystkie drzewa ścięto, by wyciosać z nich belki, i w okolicy rosły tylko nieliczne karłowate sosny. Strumienie miały brunatną barwę, a wśród pól uprawnych wznosiły się hałdy kamieni i płonnej skały wydobytej z szybów. Monotonię krajobrazu urozmaicały szopy maszynowni, drewniane żurawie, młyny, kołowroty poruszane przez konie. Na podwórkach niewielkich chat znajdowały się rowy i kanały odwadniające. Uprawa ziemniaków i wypas kóz odbywały się w obłokach pary buchającej z kominów maszynowni. Nie było to miasto, nawet nie wieś, tylko wielki obszar pokryty siedzibami pracujących ludzi.

Ross jeszcze nigdy nie jechał do Illuggan tą drogą. Udoskonalenie pomp parowych oraz odkrycie nowych złóż cyny i miedzi sprawiło, że górnictwo kornwalijskie przeżyło okres rozkwitu, lecz przed kilku laty zaczął się kryzys. Wcześniej ludzie przenosili się do lepszych okręgów, gdzie złoża były najbogatsze, i liczba ludności błyskawicznie wzrastała. Teraz, w okresie załamania gospodarczego na początku lat osiemdziesiątych, wielu żywicieli rodzin było bez pracy, i pojawiły się wątpliwości, czy tak liczna ludność zdoła się utrzymać. Niebezpieczeństwo nie było nagłe, lecz stale obecne.

Dziewczyna zaczęła się wiercić.

– Może mnie pan zsadzić? – spytała.

– Jesteśmy dopiero w połowie drogi do Illuggan.

– Wiem. Chyba nie wrócę na jakiś czas do domu.

– Dlaczego?

– Nie odpowiedziała.

– Czy twój ojciec wie, że byłeś w Redruth?

– Tak, ale pożyczyłam koszulę i spodnie brata. Ojciec kazał mi iść na jarmark, a ja pożyczyłam niedzielne ubranie Luke'a.

– No i?

– Nie kupiłam tego, po co poszłam. A ubranie Luke'a jest całe brudne. Myślę sobie...

– Dlaczego nie poszłaś w swoim ubraniu?

– Ojciec podarł je wczoraj wieczorem, jak mnie lał.

– Czy ojciec często cię bije? – spytał Ross.

– Jeno jak jest napity.

– Jak często?

– Och... ze dwa razy na tydzień. Rzadziej, jak nie ma pieniędzy.

Zapadło milczenie. Było późne popołudnie i za dwie godziny zapadnie zmrok. Dziewczyna uniosła rękę do szyi i rozwiązała tasiemkę.

– Może pan zobaczyć – powiedziała. – Zbił mnie wczoraj wieczorem. Niech pan podciągnie koszulę.

Ross spełnił polecenie i zdjął koszulę z jednego ramienia. Dziewczyna miała na plecach czerwone pręgi. Niektóre rany częściowo się zagoiły. Były pokryte brudem, a na brzegach zebrały się wszy. Ross zaciągnął koszulę.

– A dziś wieczorem?

– Och, dałby mi dziś w skórę. Ale poczekam i wrócę do domu, jak znowu będzie pod ziemią.

Jechali dalej.

Ross, nieodrodne dziecko swojej epoki, nie był szczególnie wrażliwy na cierpienia zwierząt, choć sam rzadko je bił. Jednak bezsensowne okrucieństwo w stosunku do dzieci budziło w nim obrzydzenie.

– Ile masz lat?

– Trzynaście, panie.

Pierwszy raz nazwała go panem. Powinien wiedzieć, że takie drobne, wygłodzone dzieci są zawsze starsze, niż się wydaje.

– Pracujesz?

– Sprzątam dom, sadzę kartofle i karmię świnie.

– Masz rodzeństwo?

– Sześciu braci.

– Młodszych?

– Tak. – Odwróciła się i gwizdnęła przeszywająco na Garricka.

– Kochasz ojca?

Popatrzyła ze zdziwieniem na Rossa.

– Tak.

– Dlaczego?

Wzruszyła ramionami.

– Bo tak każe Pismo.

– Jesteś zadowolona, że mieszkasz z ojcem?

– Uciekłam, jak miałam dwanaście lat.

– I co się stało?

– Przyprawdzili mnie z powrotem.

Czarnulka spłoszyła się, gdy przez drogę przebiegł gronostaj, i Ross ściągnął wodze.

– Jeśli przez jakiś czas nie pokażesz się ojcu na oczy, na pewno zapomni o twoim przewinieniu.

Pokręciła głową.

– Nie zapomni – odpowiedziała.

Dotarli do rozwidlenia gościńca. Prosto jechało się do Illuggan, a prawe odgałęzienie biegło wokół St Ann's, skąd Ross mógłby pojechać zwykłą drogą do Sawle.

– Zejdę tutaj – rzekła Demelza.

– Potrzebuję dziewczyny do pracy w moim domu – odezwał się Ross. – W Namparze, za St Ann's. Dostałabyś jedzenie i lepsze ubranie, niż masz teraz. Ponieważ jesteś niepełnoletnia, wypłacałbym wynagrodzenie twojemu ojcu. Potrzebuję kogoś silnego, bo praca jest ciężka – dodał.

Patrzyła na niego oczami rozszerzonymi ze zdumienia, jakby zaproponował coś występnego. Nagle podmuch wiatru zwał jej włosy na oczy i zaczęła mrugać.

– Dwór jest w Namparze – ciągnął Ross. – Ale może nie chcesz tam jechać.

Odgarnęła włosy z czoła i milczała.

– Dobrze, w takim razie zsiadaj – powiedział z ulgą. – Albo zawiozę cię do Illuggan, jeśli chcesz.

– Mieszkać w pańskim domu? – spytała. – Od dziś? Tak, proszę.

Było oczywiste, dlaczego propozycja Rossa jej się spodobała: pozwalała uniknąć lania, które czekało ją dziś wieczorem.

– Potrzebuję dziewczyny do kuchni – rzekł Ross. – Kogoś, kto potrafiłby ciężko pracować, szorować, a poza tym byłby czysty. Zatrudniłbym cię na rok. Mieszkałabyś daleko od domu, więc nie mogłabyś uciekać raz na tydzień.

– Nie chcę nigdy wracać do domu.

– Będę musiał się zobaczyć z twoim ojcem i uzyskać jego zgodę. To może być trudne.

– Dobrze szoruję – powiedziała. – Jestem robotna... panie.

Czarnulka przestępowała z nogi na nogę zniecierpliwiona długim postojem.

– Jedźmy i porozmawiajmy z twoim ojcem. Jeśli się zgodzi...

– Nie teraz. Niech mnie pan zabierze, proszę. Umiem szorować. Jestem robotna.

– Trzeba to załatwić zgodnie z prawem. Muszę cię wynająć od twojego ojca.

– Ojciec wychodzi z kopalni dopiero godzinę po wschodzie słońca. Później pije w gospodzie i wraca do domu.

Ross zastanawiał się, czy dziewczyna nie kłamie. Działał pod wpływem impulsu. Potrzebował jeszcze jednej osoby do pracy w domu i w polu. Nie podobała mu się myśl, że dziewczyna miałaby wrócić do zapijanego górnika. Jednak nie miał też ochoty czekać wiele godzin w zapluskwionej chacie wśród gołych dzieci, a potem spotkać pijanego brutala, który mógłby odrzucić jego propozycję. Czy Demelza naprawdę chce z nim jechać?

– Jest jeszcze Garrick. Nie wiem, czy mogę go zabrać.

Zapadło milczenie. Ross przyglądał się uważnie chudej, zabiedzanej dziewczynie i widział, że toczy ze sobą walkę. Popatrzyła na psa, potem na Rossa i zrobiła nieszczęśliwą minę.

– Garrick to mój przyjaciel – powiedziała.

– A zatem?

Przez jakiś czas się nie odzywała.

– Garrick i ja zawsze jesteśmy razem. Nie mogę go zostawić, żeby umarł z głodu.

– A zatem?

– Nie mogę, panie. Nie mogę...

Ze zrozpaczoną miną zsiadała z klaczy.

Ross nagle zrozumiał, że to, co próbował udowodnić, dowiodło czegoś zupełnie przeciwnego. Wyprowadziła go w pole ludzka natura. Jeśli ona nie chce opuścić przyjaciela, on też nie może.

3

Dogonili Juda na rozstajach tuż za szubienicą w Bargus, gdzie spotykają się cztery drogi i cztery parafie. Woły były zmęczone długą wędrówką, a Jud ich poganianiem. Nie mógł jechać wygodnie na ślepym Ramocie, bo na siodle wisały cztery duże kosze pełne żywych kurcząt. Głęboko zirytowała go również konieczność opuszczenia jarmarku, nim się upił. Wracał z targu trzeźwy pierwszy raz, odkąd skończył dziesięć lat.

Popatrzył z kwaśną miną na zbliżającą się klacz, po czym skierował Ramotha na pobocze, by przepuścić Rossa. Związane powrozem woły, idące jeden za drugim, posłusznie podążyły za Ramothem.

Ross w trzech zdaniach wyjaśnił, kim jest dziewczyna siedząca na Czarnulce, lecz nie tłumaczył, dlaczego przyjął ją do pracy.

Jud uniósł pozbawione rzęs powieki.

– Każdy może se kupić kulawą kobyłę, ale brać do domu znajdzie to co innego – rzekł gderliwie. – Nie wolno brać do domu znajd. Można se narobić kłopotów z prawem, ot co!

– I ty śmiesz mówić o kłopotach z prawem! – prychnął Ross.

Jud nie patrzył na drogę i Ramoth potknął się w koleinie.

– Niech zgnije! – zaklął Jud. – Znowu się potknął! Jak tu jeździć na ślepym koniu?! Jak koń może widzieć drogę, kiedy ślepy?! To naprzeciw naturze. To naprzeciw naturze konia!

– Mnie zawsze słucha – odpowiedział Ross. – Patrz, gdzie jedziesz, człowieku. Jest wyjątkowo wrażliwy na prowadzenie. Nie poganiaj go, na tym polega sekret.

– Poganiać go! Jakby laźł szybciej od ślimaka, toby się potknął o kamień i zara wylądował w rowie. To niebezpieczne. Szkapę się potyka, człek spada na łeb, a potem siup i trup!

Ross spał Czarnulkę i ruszyli naprzód.

– Parszywy, brudny kundel! – rozległ się z tyłu zirytowany głos Juda, który dostrzegł podążającego za nimi Garricka. – Boże Wszechmogący, widzisz i nie grzmisz! Niedługo przygarniem cały przekłety przytułek!

Garrick uniósł włochatą powiekę, spojrzął na Juda i przebiegł obok. Czuł, że na rozstajach dróg rozmawiano na jego temat i że sprawa została załatwiona po przyjacielsku.

Ross postanowił wydać bezwzględna walkę wszom i pluskwom. Pół roku wcześniej w domu roiło się od robactwa, głównie z winy Prudie. Ross nie był szczególnie wrażliwy, ale musiał działać stanowczo. W końcu zagroził, że wsadzi Prudie pod pompę i umyje, co dało pewne rezultaty i obecnie robactwo prawie znikło z domu – nawet z samej Prudie, z wyjątkiem wszy gnieźdzących się w jej rzadkich czarnych włosach. Gdyby pozwolił Demelzie wejść do domu w tym stanie, mógłby zniweczyć swoje dotychczasowe wysiłki. Dlatego najpierw należy ją i psa umyć, a później przebrać w czyste rzeczy. Prudie powinna coś dla niej znaleźć.

Dotarli do Nampary o zachodzie słońca – pół godziny przed Judem, jak oceniał Ross. Wybiegł im na spotkanie Jim Carter i odprowadził Czarnulkę do stajni. W zimie zdrowie chłopca znacznie się poprawiło; wyglądał teraz lepiej. Jego ciemne oczy rozszerzyły się ze zdumienia na widok dziewczyny siedzącej na koniu przed Rossem. Jednak w odróżnieniu od Payntera nie skomentował tego ani słowem i czekał, aż Ross da mu wodze klaczy. Demelza popatrzyła z zainteresowaniem na chłopca, po czym rozejrzała się po okolicy. Dwór, dolina, jabłonie, strumień i zachód słońca: cynobrowa smuga nad ciemnym morzem.

– Gdzie jest Prudie? – spytał Ross. – Powiedz, że chcę z nią pomówić.

– Nie ma jej, panie – odpowiedział Jim Carter. – Wyszła zaraz po pana odjeździe. Powiedziała, że idzie do kuzynki do Marasanvose.

Ross zaklął cicho. Paynterowie mieli wyjątkowy talent do znikania, gdy byli potrzebni.

– Zostaw Czarnulkę – powiedział. – Sam się nią zajmę. Jud jest trzy kilometry stąd. Prowadzi kupione przeze mnie woły. Idź i mu pomóż. Jeśli się pośpieszysz, spotkasz go, nim dotrze do brodu na Mellingey.

Carter puścił wodze, spojrzął na Demelzę i śpiesznie ruszył w górę doliny.

Ross wpatrywał się przez chwilę w znajdę, z której zamierzał zrobić człowieka. Stała w poszarpanej koszuli i spodniach do połowy łydki, ze zmierzwionymi włosami opadającymi na twarz, z brudnym, wygłodzonym szczeniakiem u stóp. Jeden z dużych palców u nogi był nieco zwrócony do wewnątrz. Splotła ręce za plecami i spoglądała na bibliotekę. Ross pomyślał, że musi być twardy. Nie wolno czekać do jutra.

– Chodź ze mną – powiedział.

Poszła za nim wraz z Garrickiem na tyły dworu, gdzie między spiżarnią a stodołą znajdowała się pompa.

– Jeśli masz u mnie pracować, musisz być czysta, rozumiesz?

– Tak... panie.

– Nie mogę wpuścić do domu brudnej dziewczyny. Ludzie, którzy u mnie pracują, muszą być czysti. Powinni się myć. Rozbierz się i stań pod pompą. Poleję cię wodą.

– Tak... panie. – Zaczęła posłusznie rozwiązywać tasiemkę pod szyją. Nagle znieruchomiła i powoli uniosła oczy na Rossa.

– Nie włożysz więcej tych rzeczy – powiedział. – Znajdę ci czyste ubranie.

– Może mogę sama pompować? – spytała.

– I jednocześnie stać pod kranem? – rzucił szorstko. – Bzdura. Pośpiesz się. Nie zamierzam tracić całego wieczoru. – Podszedł do pompy i nacisnął dźwignię.

Spoglądała na niego przez chwilę przenikliwym wzrokiem, po czym zdjęła koszulę. Mimo brudu widać było, że się zaczerwieniła. Potem szybko ściągnęła spodnie i wskoczyła pod kran.

Ross energicznie pompował wodę. Pierwsze mycie nie usunie całego brudu, ale będzie to przynajmniej jakiś początek. Postąpił słusznie. Miała drobne, wychudzone ciało z dopiero pojawiającymi się oznakami kobiecości. Zauważył ślady ojcowskiego pasa, a także fioletowe siniaki na plecach i bokach, gdzie po południu kopali ją ulicznicy. Na szczęście, podobnie jak Demelza, nie mieli butów.

Jeszcze nigdy się tak nie myła. Parskała i krztusiła się, gdy na jej głowę tryskał strumień wody, która spływała po jej ciele i znikła w ścieku. Garrick szczekał, lecz się nie cofnął, więc również on się umył.

W końcu Ross przestał naciskać dźwignię, obawiając się, że utopi dziewczynę. Kiedy potoki wody zmieniły się w strumyczek, poszedł do spiżarni i wziął pierwsze lepsze prześcieradło.

– Wytrzymaj się tym – powiedział. – Przyniosę ci jakieś odzienie.

Wchodząc ponownie do domu, zastanawiał się, co jej dać. Rzeczy Prudie, nawet gdyby były dostatecznie czyste, będą za wielkie. Podobnej do Demelzy postury był Jim Carter, ale miał tylko jedno ubranie i stale je nosił.

Ross poszedł na górę do swojego pokoju i zaczął przeglądać szuflady, przeklinając się za to, że nigdy nie jest dostatecznie przewidujący. Nie mógł w nieskończoność trzymać dziewczyny na dziedzińcu. W końcu wziął koszulę z holenderskiego płótna, skórzany pas i krótki ranny surdut ojca.

Wyszedłszy z domu, zobaczył, że Demelza próbuje się zasłaniać prześcieradłem. Na jej twarz i barki opadały mokre czarne włosy. Nie dał jej ubrania od razu, tylko kazał iść za sobą do kuchni. Nie wpuścił Garricka do domu, zatrzasnął przed nim drzwi, po czym dorzucił do ognia i kazał Demelzie wysuszyć się przed kominkiem, a następnie włożyć przyniesione rzeczy. Spojrzała na niego, ociekając wodą, i skinęła głową na znak, że rozumie.

Wyszedł, by rozsiodłać Czarnulkę.

Rozdział siódmy

1

Demelza Carne spędziła noc w wielkim łożu skrzyniowym, w którym przez kilka miesięcy dokonywał żywota Joshua Poldark. Nie było żadnej innej izby, w jakiej można by ją ulokować. Później miała zająć sypialnię między schowkiem na pościel a pokojem Paynterów, lecz na razie piętrzyły się tam stosy gratów.

Demelza, która przez całe życie mieszkała w zatłoczonej wiejskiej chacie i spała na słomie przykryta workami, miała wrażenie, że znalazła się w królewskim pałacu, gdzie panuje niewyobrażalny luksus. Samo łoże było prawie tak duże jak komórka, w której spała z czterema braćmi. Kiedy Prudie, zrzedząc i mrużąc, pokazała jej, gdzie spędzi noc, Demelza myślała, że przyjdą jeszcze trzy lub cztery służące, by dzielić łoże razem z nią, a kiedy nikt się nie pojawił i wydawało się, że zostanie sama, minęło dużo czasu, nim zdecydowała się położyć.

Nie potrafiła przewidywać przyszłości ani analizować sytuacji; utrudniało to samo położenie Demelzy. W chacie roilo się od dzieci, więc nie miała czasu, by spokojnie się nad czymś zastanowić. Nie mogła myśleć nawet w trakcie pracy. Po co rozważać, co przyniesie jutro, skoro wszystko dzieje się tu i teraz, pochłania całą energię, a czasem budzi trwogę? Dlatego instynktownie pogodziła się z nagłą zmianą na lepsze, jaka zaszła w jej życiu. Przyjmowała ją z filozoficznym spokojem w taki sam sposób jak bójkę na jarmarku.

Przeraził ją dopiero nagły luksus. Kąpiel pod pompą była niespodzianką, ale brutalność i nieliczenie się z jej uczuciami wcale jej nie dziwiły – znała to z doświadczenia. Gdyby Ross cisnął jej dwa worki i kazał spać w stajni, posłuchałaby i uznała, że wszystko jest w porządku. Ale to, co ją spotkało, za bardzo przypominało bajki opowiadane przez matkę Starej Meggy Sumpman. Miało w sobie coś z tej przerażającej, koszmarnej atmosfery i coś z opowieści jej matki, w których wszyscy spali w atlasowej pościeli i jedli ze złotych talerzy. Wyobraźnia Demelzy łatwo akceptowała to jako baśnie, lecz jej znajomość życia nie pozwalała uznać ich za rzeczywistość. Wszystko zaczęło się od dziwnego, pachnącego lawendą stroju, który do niczego nie pasował i groteskowo wisiał na jej chudym ciele. Był miły, lecz podejrzany, podobnie jak sypialnia.

Kiedy w końcu zebrała się na odwagę i postanowiła wejść do łóżka, miała dziwne myśli: bała się, że wielkie drewniane drzwi cicho się zatrzasną i nigdy nie zdoła wyjść, bała się, że mężczyzna, który ją tu przywiózł, choć z pozoru miły i mający poczciwe oczy, przygotował jakiś złowrogi plan, że w czasie jej snu zakradnie się do sypialni z nożem lub batem – albo po prostu się zakradnie. Myśląc o tym, spoglądała na deseń wystrzępionych jedwabnych kotar, na złocistą gałkę na sznurze od dzwonka, na czyste, miękkie prześcieradła, piękne krzywizny brązowego lichterza na trójnożnym wiklinowym stoliku stojącym obok łoża. W lichterzu dopalało się jedyne źródło światła oddzielające Demelzę od mroku – świeca, którą powinna zgasić, a która bardzo szybko zgaśnie sama.

Spojrzała w czarną otchłań pieca i wyobraziła sobie, że przez komin może lada chwila wypełznąć coś okropnego i wskoczyć do paleniska. Popatrzyła na dwa stare miechy, na dwa dziwne ornamenty namalowane na gzymsie (jeden przypominał wizerunek Maryi Dziewicy) i na pokrytą wygrawerowanymi napisami szablę wiszącą nad drzwiami. W ciemnym kącie obok łoża wisiał portret, ale Demelza nie zdążyła mu się przyjrzeć, gdy w sypialni przebywała Gruba Dama, a po jej wyjściu bała się opuścić krąg światła rzucany przez świecę.

Mijał czas. Skwierczała dopalająca się świeca i ku belkom powały płynęły spiralne kręgi dymu przypominające kosmyki włosów starej kobiety. W sypialni znajdowało się dwoje drzwi. Wyjątkową grozę budziły w Demelzie te prowadzące nie wiadomo dokąd, chociaż za każdym razem, gdy obracała głowę w ich kierunku, okazywały się szczelnie zamknięte.

Coś drapało w okno. Nasłuchiwała z bijącym sercem. Nagle usłyszała znajome dźwięki, wyskoczyła z łóżka i podbiegła do okna. Upłynęło kilka minut, nim się domyśliła, jak je otworzyć. Kiedy okno uchyliło się na kilkanaście centymetrów, do pokoju wślizgnął się czarny kształt. Demelza objęła rękami szyję Garricka, o mało nie dusząc go z miłości i strachu, że mógłby zacząć szczekać.

Bliskość Garricka wszystko zmieniała. Lizał ją po policzkach i uszach długim, szorstkim językiem, a ona zanosła go do łóżka.

Płomień świecy przygasł na chwilę, po czym znów się wyprostował. Demelza pośpiesznie chwyciła dywan leżący przed kominkiem i drugi spod drzwi i zrobiła improwizowane posłanie dla siebie i szczeniaka. Światło powoli słabło i kolejne meble pogrążyły się w mroku. Demelza położyła się na dywanach razem z psem, zwinęła w kłębek i szeptała mu do ucha pieszczotliwe słowa, czując, że szczeniak powoli się uspokaja.

Zapadły ciemność i cisza. Demelza i Garrick zasnęli.

2

Ross spał mocno, i nic dziwnego, bo poprzedniej nocy nie zmrużył oka, męczony dziwnymi, niepokojącymi snami. Obudził się wcześniej i jakiś czas leżał w łóżku, spoglądając na jasny, wietrzny poranek i zastanawiając się nad wydarzeniami ostatnich dwóch dni. Bal i chuda, szalona Margaret: banał wyższych sfer i banał nizin społecznych. Ale nie wydawały się zupełnie banalne. Zadbala o to Elizabeth. Zadbala o to Margaret.

Poza tym jarmark i jego skutki. Tego ranka przyszło mu do głowy, że przyjęcie do domu Demelzy może spowodować kłopoty. Miał mętne pojęcie o prawie i żywił dla niego lekką pogardę, przypuszczał jednak, że trzynastoletniej dziewczyny nie można zatrudnić jako służącej bez zgody ojca.

Pomyślał, że powinien pojechać do stryja. Charles od trzydziestu lat sprawował funkcję sędziego, więc istniała szansa, że udzieli mu rozsądnych rad. Ross zastanawiał się również nad ostentacyjnymi zalotami kapitana Andrew Blameya do Verity. Tańczyła z nim bez przerwy, aż do chwili, kiedy Ross opuścił salę balową. Wkrótce rozejdą się plotki. Ross zastanawiał się, dlaczego Blamey jeszcze nie rozmawiał z Charlesem. Słońce stało wysoko na niebie, gdy pojechał do Trenwith. Tego ranka powietrze było cudownie rześkie i czyste. Cała okolica tonęła w miękkich, pastelowych barwach. Po cierpieniach poprzednich dni nawet pustkowie wokół Gambler wydawało się mniej ponure.

Kiedy ujrzał w dali sylwetkę urodziwego dworu z epoki Tudorów, przyszło mu do głowy, że ojciec był skazany na klęskę, próbując zbudować siedzibę mającą rywalizować ze starym gniazdem rodu Trenwithów. Budynek, choć niezbyt duży, wydawał się jednak przestronny – powstał w epoce, w której łatwo było o pieniądze i tanią siłę roboczą. Wzniesiono go na planie kwadratu, z niewielkim wewnętrznym dziedzińcem. We frontowej części znajdowała się obszerna sień ze schodami i galerią, po prawej duży salon i biblioteka, a po lewej salon dzienny oraz salon zimowy. Kuchnie i spiżarnia mieściły się z tyłu i tworzyły czwarty bok kwadratu. Dwór był w dobrym stanie jak na swój wiek – w 1509 roku zbudował go Jeffrey Trenwith.

Nie pojawił się służący, by odprowadzić klacz, toteż Ross przywiązał ją do drzewa i zastukał szpicrutą w drzwi. Było to główne wejście, lecz rodzina częściej korzystała z mniejszej bocznej furty. Już

miał do niej podejść, gdy drzwi otworzyła pani Tabb i skłoniła się z szacunkiem.

– Dzień dobry, jasnie panie. Szuka pan panicza Francisa?

– Nie, stryja Charlesa.

– Bardzo mi przykro, ale obaj są w Grambler. Rankiem przybył nadsztygar Henshawe i udali się razem do kopalni. Raczy pan wejść? Zapytam, kiedy wrócą.

Ross wszedł do domu, a pani Tabb poszła szukać Verity. Przez chwilę patrzył na wzory świateł i cieni kreślone na posadzce przez promienie słońca wpadające do sieni przez wąskie, długie, wielodzielne okna, po czym ruszył ku schodom, przy których stał w dniu wesela Elizabeth. Tym razem nie było tłumy wystrojonych gości, hałaśliwych walk kogutów, rozmawiających duchownych; wolał dzisiejszy spokój. Długi stół był pusty, z wyjątkiem rzędu lichtarzy. Na stoliku w niszy obok schodów leżała wielka, oprawiona w mosiądz Biblia rodowa, z której obecnie w chwilach pobożności korzystała tylko ciotka Agatha. Ross zastanawiał się, czy w księdze odnotowano małżeństwo Francisa, podobnie jak wszystkie poprzednie w ciągu ostatnich dwustu lat.

Popatrzył na rząd portretów na ścianie obok schodów. W sieni również wisiły portrety, a jeszcze więcej było ich w galerii na piętrze. Potrafiłby wymienić imiona zaledwie kilkunastu przedstawionych na nich postaci. Większość wczesnych malowideł wyobrażała członków rodu Trenwithów. Nawet późniejsze nie były opatrzone datami ani podpisami. Niewielki, wyblakły portret w niszy, gdzie leżała Biblia, poza zasięgiem promieni słonecznych, przedstawiał założyciela rodu Poldarków, niejakiego Roberta d'Arqué, który przybył do Anglii w 1572 roku. Farba olejna popękała i widać było tylko pociągłą, ascetyczną twarz, długi nos i przygarbione plecy. Przez trzy pokolenia panowała dyskretna cisza, aż wreszcie pojawiły się ładne portrety autorstwa Godfrey'a Knellera: pierwszy przedstawiał Annę-Marię Trenwith, drugi zaś Charlesa Viviana Raffe'a Poldarque'a, który poślubił Annę-Marię w 1696 roku. Wyróżniała się urodą; miała wielkie ciemnobłękitne oczy i piękne rudozłote włosy.

Cóż, Elizabeth będzie wspaniałym uzupełnieniem, ozdobą galerii przodków, jeśli ktoś ją namaluje. Opie trochę za bardzo lubi ciemne pigmenty...

Usłyszał odgłos zamykanych drzwi i kroki. Odwrócił się, spodziewając się ujrzeć Verity, lecz była to Elizabeth.

– Dzień dobry, Rossie – rzekła z uśmiechem. – Verity jest w Sawle. Zawsze tam jeździ w środę rano. Francis i jego ojciec są w kopalni. Ciotka Agatha leży w łóżku, męczy ją podagra.

– Och tak – odparł drewnianym tonem. – Zapomniałem. Nieważne.

– Gdybyś zechciał dotrzymać mi przez kilka minut towarzystwa w salonie... – powiedziała.

Podążył za nią powoli w stronę drzwi salonu. Po wejściu usiadła przy kołowrotku, ale nie zaczęła prząść.

Znowu się uśmiechnęła.

– Tak rzadko cię widzujemy... Powiedz, jak ci się podobał bal.

Usiadł i spojrzał na nią. Tego ranka wydawała się blada, a prosta suknia z bawełny tkaney w wypukłe paski podkreślała jej młodość. Wydawała się małą dziewczynką o urodzie kobiety. Piękną, kruchą, spokojną, zamezną. Ross poczuł mroczne pragnienie, by zburzyć jej spokój. Stłumił je.

– Bardzo się ucieszyliśmy, że przyszedłeś – ciągnęła. – Ale tak niewiele tańczyłeś, że prawie cię nie widzieliśmy.

– Miałem inne sprawy.

– Nie zamierzaliśmy przyjeżdżać na bal – odpowiedziała Elizabeth, nieco speszona ponurym tonem Rossa. – Zdecydowaliśmy się w ostatniej chwili.

– Kiedy wrócą Francis i Charles?

– Obawiam się, że nieprędko. Widziałeś, jak podobało się George'owi Warlegganowi écossaise?

Wcześniej przysięgał, że za nic w świecie go nie zatańczy.

– Nie patrzyłem na niego.

– Masz jakąś ważną sprawę do Francisa?

– Nie do Francisa, tylko do stryja Charlesa. Ale to nic pilnego.

Zapadło milczenie.

– Verity mówiła, że wczoraj byłeś na jarmarku w Redruth. Kupiłeś wszystkie potrzebne zwierzęta?

– Część. Chciałem porozmawiać ze stryjem właśnie w sprawie pewnego niespodziewanego nabytku,

który przywiozłem z jarmarku.

Elizabeth spuściła oczy i popatrzyła na kołowrotek.

– Ross... – odezwała się cicho.

– Moja wizyta wytrąciła cię z równowagi.

Nie poruszyła się.

– Spotkam się z Charlesem i Francisem w drodze powrotnej – rzekł Ross i wstał.

Nie odpowiedziała. Później uniosła oczy i załśniły w nich łzy. Ujęła palcami wełnianą nić, którą przędła, i łzy zaczęły kapać na jej dłonie.

Ross znowu usiadł. Miał wrażenie, że spada w przepaść.

– Wczoraj na jarmarku spotkałem dziewczynę, jeszcze dziecko – powiedział, próbując się ratować. – Ojciec ją katował. Potrzebowałem kogoś do pomocy dla Prudie, a ta mała bała się wracać do domu. Zawiozłem ją do Nampary i zatrudniłem jako podkuchenną. Nie wiem, jak to wygląda od strony prawnej.

Elizabeth, dlaczego płaczesz?

– Ile ma lat? – spytała.

– Trzyście. Ja...

– Odesłałabym ją do rodziców. Tak byłoby bezpieczniej, nawet gdybyś miał zgodę jej ojca. Wiesz, jak surowo są oceniani ludzie.

– Nie przyjadę tu więcej – powiedział. – Wytrącam cię z równowagi... i nic z tego nie wynika.

– To nie twoja wizyta...

– Więc co mam o tym sądzić?

– Boli mnie, że mnie nienawidzisz.

Machinalnie zginał szpicrutę.

– Wiesz, że to nieprawda. Wielki Boże, powinnaś rozumieć...

Zerwała nić.

– Odkąd cię poznałem, myślałem tylko o tobie – ciągnął. – W Ameryce marzyłem o powrocie do Anglii, by cię zobaczyć. Byłem pewien tylko jednej rzeczy: swoich uczuć do ciebie. Nie istniała żadna inna prawda. Tkwiła we mnie głębiej niż wszystko, czego nauczylem mnie ludzie, w co kazano mi wierzyć.

– Nie mów nic więcej... – Zbladła jak kreda. Lecz tym razem jej bezbronność go nie powstrzymała. Musiał wszystko z siebie wyrzucić.

– Nie jest przyjemnie zrobić z siebie głupca z powodu swoich uczuć – rzekł. – Zbudować świat marzeń z dziecinnych obietnic. A jednak... nawet dziś nie wierzę, że to, co sobie mówiliśmy, było błahe, niedojrzałe. Jesteś pewna, że tak mało ci na mnie zależało, jak teraz udajesz? Pamiętasz dzień w ogrodzie twojego ojca, gdy się wymknęłaś i spotkaliśmy się w szklarni? Powiedziałaś wtedy...

– Zapominasz się... – szepnęła, zmuszając się do wypowiedzenia tych słów.

– O nie, nie zapominam się. Pamiętam.

Sprzeczne uczucia miotające Elizabeth nagle znalazły ujście. Wieloznaczne powody, które skłoniły ją do zaproszenia Rossa do salonu, sympatia, przyjaźń, kobieca ciekawość, urażona duma zmieniły się w oburzenie. Była tak zaniepokojona uczuciami, jakie budził w niej Ross, że musiała je w sobie zdusić.

Ogarnęła ją złość na niego, należało jednak jakoś wybrnąć z sytuacji.

– Popełniłam błąd, zapraszając cię tutaj. Zależy mi na twojej przyjaźni, to wszystko.

– Potrafisz bardzo dobrze panować nad swoimi uczuciami. Kształtujesz je tak, jak ci odpowiada.

Szkoda, że ja tego nie umiem. Na czym polega sekret?

Drżąc, wstała od kołowrotka i ruszyła w stronę drzwi.

– Jestem zameżna – powiedziała. – Nie powinieneś... nie powinniśmy rozmawiać w taki sposób. To nieuczciwe wobec Francisa. Miałam nadzieję, że pozostaniemy dobrymi sąsiadami i dobrymi przyjaciółmi. Mieszkamy tak blisko. Moglibyśmy sobie pomagać. Ale ty nie potrafisz niczego zapamiętać i niczego wybaczyć. Może oczekuję za wiele... Sama nie wiem. Ale, Ross, łączyła nas tylko dziecięca przyjaźń. Bardzo cię lubiłam i dalej bardzo cię lubię. Potem wyjechałeś i poznałam Francisa. Z nim wszystko było inne. Pokochałam go. Dojrzałam. Ja i Francis nie byliśmy dziećmi, tylko dorosłymi ludźmi. Później zaczęły krążyć plotki, że nie żyjesz... Po twoim powrocie byłam bardzo szczęśliwa. Bardzo żałowałam, że... że nie potrafiłam zachować wiary w ciebie. Gdybym mogła wszystko naprawić, chętnie bym to zrobiła. Pragnęłam, żebyśmy pozostali bliskimi przyjaciółmi, i myślałam... Aż do dziś myślałam, że to możliwe. Ale teraz...

– Teraz lepiej, żebyśmy nie byli przyjaciółmi.

Podszedł do drzwi i położył rękę na klamce.

Elizabeth miała suche, bardzo ciemne oczy.

– Żegnaj – powiedziała. – Na jakiś czas.

– Żegnaj. – Pochylił się i pocałował jej dłoń. Czując jego dotknięcie, wzdrygnęła się, jakby był nieczysty. Pomyślał, że budzi w niej odrazę.

Odprowadziła go do frontowych drzwi. Czarnulka zarżała na jego widok.

– Postaraj się zrozumieć – odezwała się Elizabeth. – Kocham Francisa i jestem jego żoną. Jeśli potrafisz o mnie zapamiętać, tak będzie lepiej. To wszystko, co mogę powiedzieć.

– Tak – przyznał. – To wszystko, co można powiedzieć.

Skinął głową i odjechał, pozostawiając ją w ciemnej sieni.

Rozdział ósmy

1

Cóż, wszystko skończone, rzekł do siebie w duchu. Sprawa zamknięta. Kiedy zburzył ciętymi uwagami spokój Elizabeth, poczuł dziwną, perwersyjną przyjemność – jeśli było to zadowolenie, rozmowa w jakiejś mierze mu go dostarczyła.

Przede wszystkim jednak czuł straszliwą samotność, pustkę, pogardę do samego siebie. Zachował się niewłaściwie. Tak łatwo odgrywać odrzuconego kochanka, zgorzkniałego, sarkastycznego gbura.

Nawet jeśli wytrącił Elizabeth z równowagi, natychmiast wyrównała rachunki, i to z nawiązką. I rzeczywiście – choćby pod wpływem bólu nie wiadomo jak się wysilał, by ją zranić, mogła ugodzić go znacznie boleśniej jednym wypowiedzianym zdaniem.

Minął Grambler i prawie dotarł do Nampary, gdy przypomniał sobie, że nie spotkał Charlesa ani Verity i wciąż nie zna odpowiedzi na dwa pytania, które chciał zadać w Trenwith.

Zjechał w dolinę tak przygnębiony, że nie odczuł żadnej satysfakcji na widok własnej posiadłości, która wreszcie zaczęła wyglądać lepiej dzięki włożonej w nią pracy. W pobliżu Wheal Grace zobaczył sylwetki Juda i młodego Cartera, rysujące się na tle nieba, którzy prowadzili sześć wołów w jarzmach. Na razie zwierzęta nie potrafiły jeszcze pracować razem, ale w ciągu mniej więcej tygodnia chłopiec je tego nauczy.

Dotarłszy do Nampary, Ross zsiadł ze znużeniem z Czarnulki i spojrzał na czekającą na niego Prudie.

– No, o co chodzi?

– Chce z panem gadać trzech ludzi. Wleźli do dworu jak do własnej chałupy. Są w salonie.

Ross bez większego zainteresowania kiwnął głową i wszedł do salonu. Stało tam trzech ludzi z gminu. Byli wysocy, barczyści i poważni. Poznał po ubraniach, że to górnicy.

– Pan Poldark? – odezwał się najstarszy. Nie mówił z należytych szacunkiem. Miał około trzydziestu pięciu lat, masywną pierś, przekrwione oczy i gęstą brodę.

– Czego chcecie? – rzucił niecierpliwie Ross. Nie był w nastroju do rozmów z delegacjami górników.

– Nazywam się Carne, Tom Carne – odparł mężczyzna. – To moi bracia.

– Czego... – zaczął Ross i nagle coś mu się przypomniało. A zatem wszystko rozstrzygnie się bez pomocy Charlesa.

– Podobno ma pan moją córkę.

– Kto ci to powiedział?

– Wdowa Richards. Mówiła, że zabrał ją pan do siebie.

– Nie znam tej kobiety.

Carne niecierpliwie przestąpił z nogi na nogę i zamrugnął. Nie zamierzał dać się spławić.

– Gdzie moja córka? – spytał ponuro.

– Łazili po domu – rzekła Prudie stojąca przy drzwiach.

– Stul pysk, babo! – warknął Carne.

– Jakim prawem tu przychodzisz i odzywasz się w ten sposób do mojej służącej? – zapytał Ross z jadowitą grzecznością.

– Prawem, na Boga?! Porwałeś mi córkę! Zwabiłeś do siebie! Gdzie dziewczucha?!

– Nie mam pojęcia.

Carne wysunął dolną wargę.

- To ją znajdź!
- No! – wtrącił jeden z braci.
- Żebyś mógł ją zabrać do domu i skatować?
- Robię ze swoimi bachorami, co chcę! – warknął Carne.
- Ma całe plecy w ranach.
- Oglądałeś jej plecy?! Pójdiesz do więzienia!
- Kiedy dziewczyna skończy czternaście lat, może iść, gdzie chce. Takie jest prawo.
- Nie ma czternastu lat!
- Potrafisz tego dowieść?

Carne zacisnął pas od spodni.

- Posłuchaj, psie, nie będę niczego dowodził. To moja córka i nie będzie dziwką jakiegoś zasranego jaśnie pana ani teraz, ani jak skończy czterdzieści lat, jasne?!

- To lepsze od zajmowania się twoim chlewem – odparł Ross.

Carne zerknął na braci.

- Nie odda dziewczuchy.
- Zmusim gada – rzekł drugi brat, mniej więcej trzydziestoletni mężczyzna o ospowatej twarzy.
- Lece po Juda – odezwała się Prudie od drzwi i wyszła, człapiąc.
- To jak, panie? – spytał Carne.

- Dlatego przyprowadziłeś braci, tak? – odparł Ross. – Brak ci odwagi, żeby samemu to załatwić?

- Mogłem przyciągnąć tu dwieście chłopca, panie! – Carne wojowniczo uniósł głowę. – Nie lubim złodziei dzieci w Illuggan. Łać go, chłopaki!

Dwaj bracia Carne’a natychmiast się ożywili. Pierwszy przewrócił kopniakiem fotel, a drugi stół, na którym stało kilka kubków i talerzy. Carne chwycił lichtarz i cisnął na podłogę.

Ross przeszedł przez salon i zdjął ze ściany jeden z dwóch francuskich pistoletów pojedynkowych. Odciągnął kurek.

- Zastrzelę każdego, kto niszczy meble w moim domu! – zagroził.

Zapadła cisza. Trzej mężczyźni znieruchomieli, wyraźnie zaniepokojeni.

- Gdzie moja córka?! – wrzasnął Carne.

Ross usiadł na poręczy fotela.

- Wynoście się z mojej ziemi, nim was oskarżę o napad!

- Lepiej chodźmy, Tom – powiedział najmłodszy z braci. – Wrócim z resztą chłopów.

- To moja sprawa! – Carne szarpnął swoją brodę i spojrzał z ukosa na przeciwnika. – Chcesz ją kupić?

- Ile żądasz?

Carne namyślał się przez chwilę.

- Pięćdziesiąt gwinei.

- Pięćdziesiąt gwinei, na Boga?! – zawołał Ross. – Za to powinienem dostać siedem twoich bachorów!

- To ile dajesz?

- Gwineę rocznie, dopóki u mnie pracuje.

Carne splunął na podłogę. Ross spojrzał na plwocinę.

- W takim razie lanie, jeśli masz na nie ochotę.

Carne wykrzywił się szyderczo.

- Łatwo mówić, jak się ma pistolet!

- I jak jest trzech na jednego.

- Odstąpią na moje słowo.
- Wolę poczekać na swoich ludzi.
- No, takem myślał. Pójdźmy, bracia.
- Zostań – rzekł Ross. – Chętnie skręcę ci kark. Zdejmij kapotę, bydlaku.

Carne popatrzył na niego zmrużonymi oczyma, jakby się zastanawiał, czy Ross mówi poważnie.

- Odłóż pistolet.

Ross położył go na komodzie. Carne uśmiechnął się z zadowoleniem, ukazując bezzębne dziąsła.

Odwrócił się w stronę braci i burknął:

- Nie wtrącać się, jasne? To moja sprawa. Załatwię psa.

Ross zdjął surdut, kamizelkę i halsztuk. Czekał. Zdał sobie sprawę, że tego ranka najbardziej pragnął właśnie walki. Jeszcze nigdy na niczym mu tak nie zależało.

Carne zaatakował i jego ruchy świadczyły, że jest doświadczonym zapaśnikiem. Podbiegł, chwycił prawą rękę Rossa i próbował go podciąć. Ross uderzył go w pierś i odstąpił na bok. Zachowaj spokój, najpierw oceń siły przeciwnika.

„Nie kocham cię”, powiedziała Elizabeth. Cóż, prosto i jasno. Wyrzucony jak zardzewiała ozdóbka. Odtrącony. Kobiety. Napadnięty we własnym domu przez przekłętą, bezczelną łajdaka z przekrwionymi oczyma. Zachowaj spokój. Carne znowu rzucił się na Rossa, próbując powtórzyć poprzedni manewr, lecz tym razem błyskawicznie wsadził głowę pod pachę Rossa, objął drugą ręką jego nogę i próbował go unieść. Znana technika rzutu. Cofnij się szybko, wykonaj półobrót i szarpnij głowę do góry. Dobrze, udało się. Złam mu ten przeklęty kark. Ross stracił równowagę, odzyskał ją na chwilę, obaj runęli z hukiem na podłogę. Carne usiłował kopnąć go kolanem w brzuch. Cios pięścią w twarz, raz, dwa razy. Wyswobodził się. Przetocz się na bok i wstań.

Drugi brat, ciężko dysząc, odsunął przewrócony stół. Zajmij się nim później. A potem trzecim. Carne z kocią zręcznością zerwał się na nogi i chwycił Rossa za kołnierz koszuli.

Wytrzymała. Zatoczyli się i uderzyli w wysoką szafę, która zakołysała się niebezpiecznie. Dobre irlandzkie płótno przestało być dobre. Snuł się po sali balowej jak zakochany cielak, porykując na widok obiektu swoich uczuć. Włóczył się... koszuli nie dawało się podrzeć. Unieś rękę i chwyć Carne'a za nadgarstek. Z całej siły uderz go łokciem w przedramię. Górnik rozluźnił chwyt, stękając z bólu. Ross objął przeciwnika w pasie, a Carne złapał go za prawą rękę i pochyliwszy głowę, usiłował zadać cios prawym łokciem, lecz znajdowali się zbyt blisko siebie. Górnik próbował kopnąć Rossa, zdołał oderwać go od ziemi i odrzucić na metr na pokrytą boazerią ścianę pokoju. Włóczył się i znalazł to, czego szukał: alkohol i kurwy. Boże, cóż za rozwiązanie! Lepsza jest walka. Carne znów wstał i zaatakował. Dwa uderzenia pięścią nie zdołały go zatrzymać; objął Rossa w pasie.

- Teraz jest twój! – krzyknął drugi brat.

Carne był wyjątkowo silny. Nie próbował wykonać rzutu, tylko zaczął wyginać Rossa do tyłu. Połamał już w ten sposób kości kilku ludziom. Ross wyszczerzył zęby z bólu, ale miał mocne plecy. Po chwili przestał się wyginać w krzyżu i kołysał się na kolanach, trzymając ręce na podbródku Carne'a, z palcami nóg tuż nad ziemią, jakby klęczał na udach górnika. Straszliwy wysiłek. Przed oczyma tańczyły mu ciemne plamki. Carne stracił równowagę i znów runęli na podłogę. Górnik nie przestawał ścisnąć Rossa. Pokonaj tego zapijaczego łajdaka, który katuje własne dziecko. Plamki i krew. Dostanie nauczkę. Złam tę świnię. Złam go. Ross gwałtownie podciągnął do góry kolana, szarpnął się w bok, był wolny. Zerwał się pierwszy. Kiedy Carne wstał, Ross z rozmachem uderzył go w szczękę, wkładając w cios wszystkie siły. Carne poleciał do tyłu i wylądował na kominku między pogrzebaczami i polanami drewna. Tym razem wstawał nieco dłużej.

Ross splunął krwią na podłogę.

– Chodź, bydlaku, jeszcze nie jesteś pokonany!

– Pokonany?! – prychnął Carne. – Przez takiego nędznego maminsynka z taką wyszukaną szramą na gębie?! Pokonany, gadasz?!

2

– W porządku – warknął Jud. – Nie mogę iść szybciej. I co zrobim, jak tam dojdziem? Jest trzech na trzech. A Jim to dzieciak, cienki jak trzcina i delikatny jak lilia.

– Och, przestań! – odpowiedział Carter. – Zaryzykuję.

– A ja? – spytała Prudie, pocierając wielki czerwony nos. – Potrafie się rozprawić z każdym chłopem, jak mam ochotę. Chłopy to nadęte pyszałki! Walnij takiego w łeb chochlą i co wtedy? Czołga się po podłodze i chlipie.

– Polecę przodem – rzekł Jim. Trzymając w ręku skórzany bat, zaczął zbiegać kłusem ze wzgórza.

– Gdzie ta znajda? – zwrócił się Jud do żony.

– Nie wiem. Przeleźli cały dwór, przed tym jak kapitan Ross wrócił do domu. Dziwuje się, żeś ich nie wypatrzył i żeś nie przyleciał. I żeś mnie nie słyszał, jakem wrzeszczała. Darłam się jak opętana.

– Nie mogę być wszędzie naraz – odparł Jud, przekładając na drugie ramię długie widły. – Żaden śmiertelnik tego nie może. Jakby w majątku było czterdzieści sześć Judów Paynterów, tedy może któryś by był tam, gdzie ci się nada. Ale jest jeno jeden, Bogu dzięki...

– Amen – zakończyła Prudie.

– Dobra, dobra. Nie myśl sobie, że zawsze usłyszysz twoje wrzaski.

– Tak, ale nie chce, cobyś udawał głuchego, jak leżysz na polu i kopcisz fajkę. Widziałam twoje kolana i poznałam łaty, a obok buchał dym jak z komina.

Zauważyli Jima Cartera wychodzącego spomiędzy jabłoni. Pobiegł przez ogród w stronę dworu. Dotarł do drzwi i wszedł do środka.

Prudie zgubiła jeden z rozczłapanych pantofli i musiała się zatrzymać, by go odzyskać. Tym razem zaczął gderać Jud. Weszli między jabłonie, lecz nim dotarli do końca sadu, zobaczyli wracającego Jima.

– Wszystko w porządku. Oni... walczą uczciwie... Warto popatrzeć!

– Co takiego?! – zawołał Jud. – Zapasy?! Spóźnilim się?!

Rzucił widły na ziemię, puścił się pędem i przybiegł do domu przed Jimem i Prudie. Salon był zdemolowany, ale sama walka dobiegała już końca. Ross usiłował wyrzucić Toma Carne'a za drzwi, lecz ten, chociaż zbyt wyczerpany, by stanowić zagrożenie, rozpaczliwie się bronił, bo wyrzucenie z domu byłoby dla niego ostateczną hańbą. Uczepił się Rossa i framugi, z wściekłym, oślim uporem nie chcąc się przyznać do porażki.

Ross zauważył sługę i obnażył zęby w uśmiechu.

– Otwórz okno, Jud...

Paynter chciał spełnić polecenie, ale natychmiast zastąpił mu drogę najmłodszy brat Carne'a.

– Zostaw! Umówili się. Niech walczą uczciwie!

Po chwili pozornego spokoju Carne nagle znów odzyskał wigor i z szaleńczą siłą chwycił Rossa za gardło. Poldark puścił go i zadał dwa ciosy pięścią. Dłonie górnika zwiotczały, a Ross chwycił go za kark i za spodnie na siedzeniu. Staranował nim drzwi, przebiegł sień, staranował następne drzwi, odtrącając na bok Prudie, która z zapartym tchem obserwowała całą scenę. Bracia Carne'a czekali z niepewnymi minami, a Jud uśmiechnął się do nich znacząco.

Rozległ się plusk i po chwili Ross wrócił do salonu. Ciężko dyszał i wycierał krew z rozciętego

policzka.

– Teraz ochłonie. – Spojrzał ostro na dwóch braci. – Który następny?

Żaden się nie poruszył.

– Jud.

– Tak, panie.

– Pokaż tym dżentelmenom, jak opuścić moją posiadłość. Później wróc i pomóż Prudie posprzątać ten bałagan.

– Tak, panie.

Drugi brat powoli się uspokoił i zaczął mieć czapkę w rękach. Wydawało się, że chce coś powiedzieć.

– Brat ma rację, a pan nie ma racji, to pewne, panie – rzekł w końcu. – Ale walka była dobra. Najlepsza, jaką widziałem poza ringiem.

– A nawet na ringu, do licha! – dodał najmłodszy i splunął. – Tom wiele razy mnie złał. Nigdy nie myślałem, że zobaczę, jak ktoś trzepie mu skórę. Dziękuję, panie.

Wyszli.

Rossa bolało całe ciało. Miał pokrwawione knykcie i zwichnięte dwa palce. Jednak mimo zmęczenia czuł się zadowolony i dziwnie rześki, jakby walka oczyściła go ze złych humorów. Puszczono mu krew, jak robi to medyk choremu na febrę.

– O mój Boże! – zawołała Prudie, wchodząc do salonu. – Przyniosę szarpie i terpentynie!

– Nie będziesz mnie leczyć! – burknął Ross. – Lepiej lecz meble. Potrafisz naprawić fotel? A tu są pogięte miski. Gdzie dziewczyna, Prudie? Powiedz jej, że może już wyjść.

– Bóg jeden wie, gdzie się schowała. Zobaczyła, że ojciec lezie, i migiem uciekła. Po mojemu jest we dworze, ale go przetrzepali.

Podeszła do drzwi.

– Nie bój się, kruszynko! Twój ojciec polazł! Wyrzucilim go. Wyjdź, gdzie byś nie była!

Cisza.

Rana na policzku Rossa prawie przestała krwawić. Włożył kamizelkę i surdut na podartą i zakrwawioną koszulę, po czym schował halsztuk do kieszeni. Musi się czegoś napić, a kiedy Jud wróci i potwierdzi, że naprawdę odeszli, zejdzie na plażę i wykąpie się w morzu. Sól oczyści zadrapania i rany.

Podszedł do wielkiego kredensu, który niebezpiecznie kołysał się podczas walki, i nalał sobie szklaneczkę brandy. Wypił ją duszkiem i nagle zobaczył oczy Demelzy Carne, bardzo ciemne i rozszerzone, patrzące z najwyższej półki kredensu.

Wybuchnął głośnym śmiechem, a Prudie natychmiast przybiegła do salonu.

Rozdział dziewiąty

Tego dnia Jim Carter wrócił od Jinny Martin około dziewiątej wieczorem. Przyjaźnili się trochę, nim zaczął pracować dla Rossa, ale w zimie szybko pojawiło się uczucie.

Normalnie poszedłby prosto do stajni i spał na stryszku aż do świtu, lecz tym razem zastukał do drzwi dworu i poprosił o rozmowę z Rossem. Jud, wtajemniczony w całą sprawę, bez zaproszenia podążył za nim do salonu.

– Chodzi o górników z Illuggan – oznajmił chłopak bez żadnych wstępów. – Zacky Martin słyszał od Willa Nanfana, że dziś wieczorem wybierają się do Nampary, by się zemścić za porwanie córki Toma Carne'a.

Ross odstawił szklaneczkę, lecz trzymał palec między stronami książki.

– Poradzimy sobie z nimi, jeśli przyjdą.

– No nie wim, panie – wtrącił Jud. – Jak jest jeden albo dwóch, da się rade, jak dzisiaj, ale jak jest ich setka, są jak wściekły smok. Jak ktoś im wlezie w drogę, rozerwą na strzępy.

Ross się zamyślił. W tym, co mówił Jud, była odrobina racji. Kiedy tłum górników wpadał w szal, praworzędność stawała się pustym słowem. Jednak było mało prawdopodobne, że wybiorą się w daleką drogę z powodu takiej drobnostki. Chyba że pili. Była Wielkanoc.

– Ile pistoletów mamy w domu?

– Zdaje się trzy.

– Jeden powinien wystarczyć. Nabij je i podsyp prochu. Nie możemy nic więcej zrobić.

Jud i Jim Carter wyszli. Ross słyszał za drzwiami ich niezadowolone szepty. Czy mógłby poczynić jeszcze jakieś przygotowania? Nie przewidział, że nierozważne zatrudnienie Demelzy jako podkuchennej doprowadzi do takich skutków, ale mleko już się rozlało i nie zamierzał się wycofać. W czasie dwuletniego pobytu w Ameryce zapomniał o zaściankowości tych ludzi. Kornwalijscy górnicy i wieśniacy uważali za cudzoziemca każdego, kto mieszkał w odległości kilkudziesięciu kilometrów. Wzięcie niepełnoletniej dziewczyny do domu położonego w odległości dwudziestu kilometrów musiało wywołać gwałtowne emocje, choćby nawet ona sama chętnie się zgodziła. Działał pod wpływem ludzkiego odruchu, a potraktowano go jak porywacza. Cóż, niechaj psy szczekają.

Pociągnął za sznurek dzwonka, wzywając Prudie. Weszła do salonu, człapiąc powoli.

– Idź spać, Prudie, i dopilnuj, by dziewczyna też się położyła. I przyślij do mnie Juda.

– Wyszedł w tej minucie. Polaż z Jimem Carterem.

– W takim razie nieważne.

Jud wkrótce wróci. Prawdopodobnie odprowadza chłopca na stryszek stajni, oświetlając mu drogę. Ross wstał i poszedł po francuski pistolet skałkowy ładowany od tyłu, kupiony przez ojca w Cherbourg'u przed dziesięciu laty. Była to najcelniejsza i najbardziej niezawodna broń, jaką dysponował.

Złożył lufę i zajrzał do środka. Sprawdził, czy krzemień krzesze iskry, ostrożnie nasypał prochu na panewkę, załadował kulę, po czym położył pistolet na fotelu przy oknie. Nie było nic więcej do zrobienia, więc usiadł, nalał sobie brandy i pogrążył się w lekturze.

Mijał czas i Ross nie mógł się doczekać powrotu Juda. Noc była prawie bezwietrzna, we dworze panowała cisza. Od czasu do czasu za boazerią przemykał szczur. Tabitha Betha, parchata kotka, miauczała i prężyła grzbiet przed kominkiem. Co kilka minut w palenisku rozsypywało się w proch któreś z polan.

O wpół do jedenastej podszedł do drzwi i popatrzył na dolinę. Noc była pochmurna, szemrał i pluskał

strumień, między drzewami cicho przeleciała sowa.

Wyszedł z dworu, zostawiając otwarte drzwi, a następnie okrążył dom i stanął koło stodoły. Morze było bardzo ciemne. Zaczął się przyptyw. Nadchodząca fala uderzała w nadbrzeżne skały z głośnym trzaskiem przypominającym huk gromu i w mroku tryskała do góry fontanna białej piany.

Po popołudniowej bijatyce Rossowi dokuczała kostka, ciało miał zeszywniałe i czuł ból w plecach, jakby złamał zebro. Wszedł do stajni i wdrapał się na stryszek. Jima Cartera nie było.

Zszedł na dół, poklepał Czarnulkę, usłyszał Garricka obijającego się w budzie, którą dla niego przygotowano, po czym wrócił do domu. Niech diabli porwą Juda i jego pomysły... Był pewny, że postąpił słusznie, nie opuszczając majątku po ostrzeżeniu Cartera. Nie mógł okazać strachu.

Zajrzał do sypialni na parterze. Łoże skrzyniowe było tej nocy puste, bo Demelza przeniosła się już do nowego pokoju. Wspiął się po schodach i cicho otworzył drzwi jej sypialni. W środku panował kompletny mrok, lecz usłyszał szybki, podniecony oddech. Leżała w łóżku, ale nie spała. W jakiś sposób wyczuła niebezpieczeństwo. Nie odezwał się i wyszedł.

Z sąsiedniego pokoju dobiegały dźwięki przypominające piłowanie drewna zardzewiałą piłą, toteż nie musiał szukać Prudie. Znów zszedł na dół i próbował czytać. Nie pił więcej. Jeśli Jud wróci, będą pełnić straż, zmieniając się co dwie godziny. Jeśli się nie pojawi, Ross będzie sam czuwał do rana.

O wpół do dwunastej skończył rozdział, zamknął książkę i znów wyszedł z domu. Gałęzie bzu zakołysały się w podmuchu wiatru i znów znieruchomiały. Tabitha Betha podążyła za Rossem i przyjacielsko otarła się łbem o jego buty. Strumień odmawiał niekończącą się litanię. W kępie wiązów rozległ się piskliwy śpiew lelka. Nad Grambler wschodził księżyc.

Ale Grambler leżało na południowym zachodzie. Łuna widoczna na niebie była zbyt silna jak na światło wschodzącego lub zachodzącego księżyca. Pożar.

Ross pobiegł w tę stronę, po czym się zatrzymał i zastanowił. Nieobecność Juda i Cartera oznaczała, że jest jedyną osobą strzegącą majątku i bezpieczeństwa dwóch kobiet. Jeśli górnicy z Illuggan rzeczywiście wstąpili na ścieżkę wojenną, pozostawienie dworu bez opieki byłoby wyjątkowo nierozsądne. Jeśli pożar ma coś wspólnego z całą sprawą, Ross z pewnością spotka górników po drodze, gdy wyruszy w tamtym kierunku. Ale część mogłaby go minąć i dotrzeć do Nampary. Lepiej zostać i nie ryzykować, że spalą dwór.

Przygryzł dolną wargę, przeklinając w duchu Juda jako bezużytecznego łajdaka. Oduczy go uciekać, gdy tylko pojawia się niebezpieczeństwo. Zniknięcie sługi wydawało się znacznie większym występkiem niż zaniedbanie dworu przed powrotem Rossa z Ameryki.

Pokuśtykał do długiego pola na tyłach zabudowań i miał wrażenie, że widzi w dali migotanie płomieni. Wrócił do domu. Przez chwilę miał ochotę obudzić Prudie i powiedzieć, by uważała na siebie. Jednak w ciemnym dworze panowała cisza, tylko w salonie pełgało za zasłonami żółte światło świecy i w końcu postanowił nie niepokoić służącej. Zastanawiał się, co czuje Demelza, siedząc samotnie w ciemnej sypialni.

Brak zdecydowania to cecha, której nienawidził najbardziej. Po kolejnych pięciu minutach zaklął, chwycił pistolet i ruszył śpiesznie w górę doliny.

Deszcz ściekał mu po twarzy, gdy dotarł do sosnowego zagajnika za Wheal Maiden. Zatrzymał się po drugiej stronie i spojrzął w stronę Grambler. Ogień płonął w trzech miejscach. Pożary nie wydawały się duże i poczuł ulgę. Nagle zauważył dwie postacie wspinające się po stoku w jego stronę. Jedna z nich niosła latarnię.

Czekał. Byli to Jud i Jim Carter.

Rozmawiali, a Carter wydawał się podniecony i zdyszany. Za nimi wynurzyło się z mroku czterech następnych mężczyzn: Zacky Martin, Nick Vigus, Mark i Paul Danielowie, wszyscy z przysiółka Mellin.

Kiedy się z nim zrównali, ruszył w ich stronę.

– Niech mnie kule biją, to przecie kapitan Poldark! – zawołał Jud, ukazując bezzębne dziąsła. – To dziwota, że pan tutaj, jasnie panie. Pięć minut temu żem sobie myślał: kapitan Poldark na pewno idzie tera spać, wyciąga się wygodnie w łóżku. Przyszło mi do głowy, że ja też bym wolał leżeć w łóżku zamiast chodzić o suchym pysku w czasie ulewy...

– Gdzie byliście?

– W wiosce Grambler. Postanowili wstąpić do gospody i przepędzić wieczór w miłej kompanii...

Pozostali mężczyźni podeszli do Rossa i się zatrzymali. Nick Vigus został nieco z tyłu. W świetle latarni widać było, że na jego chytrej twarzy pojawił się uśmiech. Zacky Martin pociągnął go za rękaw.

– Chodź, Nick. Nie wstaniesz rano do kopalni. Dobranoc, panie.

– Dobranoc – odpowiedział Ross. Mężczyźni przeszli obok niego. Wokół pożarów pojawiły się światła latarni i poruszające się postacie. – Co tam, Jud?

– Te pożary? Jak pan chce usłyszeć, zara opowiem, jak było...

– Było tak, panie – zaczął Jim Carter, nie mogąc się powstrzymać. – Jak Will Nanfan powiedział, że górnicy z Illuggan planują napaść na pana dwór za porwanie córki Toma Carne'a, postanowiliśmy ich powstrzymać. Will mówił, że jest ich ze stu; mają kije, pałki i takie tam różne... Chłopy z Grambler pamiętają górnikom z Illuggan to i owo od czasu zeszłorocznego jarmarku na świętego Michała, poleciałem tedy do Grambler, zwołałem wszystkich i powiedziałem...

– Kto miał opowiadać? – przerwał z godnością Jud, ale podekscytowany Jim zapomniał o swojej zwykłej nieśmiałości.

– ...i powiedziałem: „Słuchajcie! Chłopy z Illuggan zaraz tu przyjdą i wywołają awanturę!”. Nie musiałem nic więcej gadać. Połowa chłopów z Grambler siedziała w gospodach i piła gin; ucieszyli się na myśl o bitce! Tymczasem Jud poleciał do Sawle i powiedział to samo! Nie poszło mu tak łatwo, ale wrócił z dwudziestoma albo trzydziestoma...

– Było tego trzydzieści sześć – powiedział Jud. – Ale siedem łachudrów poszło do szynku wdowy Tregothnan i chyba ciągle tam piją. To wina Boba Mitchella. Jakby...

– Zdążyli rozpalić trzy ogniska...

– Trzy ogniska – powtórzył Jud. – A potem...

– Pozwól chłopcu dokończyć opowieść – przerwał mu Ross.

– Cóż, rozpaliliśmy trzy ogniska – ciągnął Carter. – Czekaliśmy spokojnie, aż nagle usłyszeliśmy kroki górników z Illuggan, osiemdziesięciu albo stu. Na czele szedł Remfrey Flamank, pijany jak bela. Jak dotarli na miejsce, Mike Andrewartha wdrapał się na murek i krzyknął: „Czego chcecie, chłopcy z Illuggan? Po coście tu przyjeźli, chłopcy z Illuggan?”. Wtedy Remfrey Flamank rozchylił koszulę, pokazał włochatą pierś i ryknął: „A co cię to obchodzi, do licha?!”. Paul Daniel na to: „Obchodzi, bo nie chcem, żeby chłopcy z Illuggan łążyły po naszej okolicy”. Wtedy górnicy wydali groźny pomruk, jakby ktoś szczuł niedźwiedzia.

Jim Carter umilkł na chwilę, by złapać oddech.

– Później niski górnik, co miał na policzku brodawkę jak śliwka, krzyknął: „Nie kłóć się z wami, druhowie! Przyszlim zabrać dziewczuchę z Illuggan, którą porwał ten fircyk wasz pan, i dać mu nauczkę, co by zapamiętał na całe życie! Nie kłóć się z wami!”. Potem odezwał się Jud: „Kto mówi, że nie można nająć do roboty służącej? Wygrał ją w uczciwej walce, sukinsyny! Żadnego z was na to nie stać! Wszystkie chłopcy z Illuggan to...”.

– Dobra, dobra! – przerwał Jud, nagle zirytowany. – Wiem, com powiedział! Sam bym umiał powtórzyć swoje słowa... – Rozzłoszczony, obrócił głowę, ukazując podbite oko.

– Jud krzyknął: „Wszystkie chłopcy z Illuggan to brudne, zezowate bękarty, kulawe wyskrobki, podłe

gnidy!”. Przemawiał pięknie jak kaznodzieja. I nagle ktoś trafił go kamieniem w oko.

– I doszło do bijatyki, jak się domyślam? – spytał Ross.

– Było nas prawie dwustu. Boże, to była porządna robota... Widziałeś tego wielkiego draba z jednym okiem, Jud? Wczepił się w niego Mark Daniel, aż nagle nadleciał Sam Roscollar. A Remfrey Flamank...

– Cichaj, chłopcze! – przerwał mu Jud.

Jim wreszcie przestał gadać. Dotarli do domu w milczeniu, które tylko raz przerwał gardłowy śmiech i słowa: „Remfrey Flamank, pijany jak bela!”.

– To bezczelność wychodzić i wszczynać bójki, zostawiając mnie w domu, bym się opiekował kobietami. Co wy sobie właściwie myślicie?!

Jud i Carter milczeli.

– Sam potrafię załatwiać swoje sprawy, rozumiecie?

– Tak, panie.

– Cóż, idźcie spać, wszystko skończone. Ale nie myślcie, że o tym zapomnę!

Jud i Carter nie widzieli w mroku twarzy Rossa, więc nie byli pewni, czy to groźba kary, czy obietnica nagrody. Zająknął się lekko, co mogło świadczyć o z trudem powstrzymanym gniewie.

Nie przyszło im do głowy, że Ross stara się nie wybuchnąć śmiechem.

Rozdział dziesiąty

1

Na wschodnim skraju posiadłości Poldarka, mniej więcej kilometr od dworu w Namparze, na szczycie klifu znajdowała się trzecia kopalnia, Wheal Leisure. Leżała na granicy z dobrami pana Horace'a Treneglosa, który mieszkał we dworze w Mongoose, położonym kilkanaście kilometrów w głąb łądu, za piaszczystymi wydmami plaży Hendrawna.

W Wheal Leisure wydobywano za czasów Joshui cynę metodą odkrywkową, ale nie miedź. Ross oglądał to miejsce w zimie, zastanawiając się nad wznowieniem robót górniczych w swoim majątku. Początkowo rozważał ponowne uruchomienie Wheal Grace, lecz później jego myśli skupiły się na Wheal Leisure.

Zaletą była łatwość odwadniania wyrobisk za pomocą chodników odpływowych biegnących do ściany klifu, a w części ostatnich próbek rudy zebranych w kopalni i troskliwie przechowywanych przez Joshuę znajdowały się wyraźne ślady miedzi.

Jednak Ross nie dysponował wystarczającym kapitałem, toteż w Wielki Czwartek pojechał do Mongoose. Pan Treneglos był posuniętym w latach wdowcem mającym trzech synów. Najstarszy służył w marynarce wojennej, a dwaj pozostali z pasją oddawali się polowaniom na lisy. Treneglos, człowiek wykształcony, nie interesował się przedsięwzięciami górniczymi, ale kopalnia leżała częściowo na terenie jego posiadłości, dlatego wypadało go odwiedzić.

– Wydaje się, że to dziewiczy teren. Nie prowadzono tam prawie żadnych robót. Dlaczego nie uruchomi pan Wheal Grace, gdzie są już szyby?! – zakrzyknął pan Treneglos, wysoki, gruby mężczyzna, przygłuchy i niezgrabny. Siedział z ugiętymi nogami na brzegu fotela, trzymając jedną rękę na kolanie i drugą przy uchu. Jego spodnie trzeszczały w szwach, a guziki były bliskie zerwania.

Ross wyjaśnił, dlaczego woli Wheal Leisure.

– Cóż, drogi panie, to wszystko brzmi bardzo przekonująco – rzekł głośno pan Treneglos. – Nie mam nic przeciwko temu, żeby wywiercił pan kilka dziur w mojej ziemi. Powinniśmy być dobrymi sąsiadami. – Uniósł głos. – W tym miesiącu poniosłem wielkie wydatki na polowania swoich chłopców i mam mało gotówki, ale w przyszłym mógłbym panu pożyczyć pięćdziesiąt gwinei. Powinniśmy być dobrymi sąsiadami. Co pan na to?!

Ross podziękował i stwierdził, że jeśli uruchomi kopalnię, będzie ona prowadzona jako wspólna inwestycja: każdy ze współników obejmie jeden lub kilka udziałów, pokrywając koszty wstępne w nadziei na przyszłe zyski.

– Tak, znakomity pomysł. – Pan Treneglos nadstawił ucha. – Cóż, proszę niedługo mnie odwiedzić, dobrze? Zawsze chętnie panu pomogę, drogi chłopcze. Powinniśmy być dobrymi sąsiadami. Nie mam nic przeciwko odrobinie ryzyka. Może znajdziemy nowe Grambler? – Roześmiał się tubalnie i wziął książkę. – Czyta pan autorów klasycznych, chłopcze? To lekarstwo na wiele chorób współczesnego świata. Często próbowałem zainteresować nimi pana ojca. A tak przy okazji: jak się miewa?

Ross wyjaśnił.

– Do licha, tak, to smutne... Miałem na myśli pana stryja – dodał półgłosem.

Ross jechał do domu, zdając sobie sprawę, że obietnica Treneglosa to i tak dużo na tym etapie. Potrzebował fachowej rady. Człowiekiem, do którego powinien się zwrócić, był nadsztygar Henshawe z Grambler.

Jim Carter pracował na jednym z pól wraz z trojgiem dzieci młodego Martina. Podbiegł do przejeżdżającego Rossa.

– Chcę przekazać nowinę, panie – powiedział. – Reuben Clemmow uciekł.

Od ostatniego spotkania w zeszłą niedzielę wydarzyło się tak wiele, że Ross zupełnie zapomniał o Clemmowach. Rozmowa nie była przyjemna. Mężczyzna zachowywał się podejrzanie i wyzywająco. Ross próbował go przekonać, przebić mur podejrzeń i niechęci, jednak od razu zdał sobie sprawę z porażki. Reuben go nienawidził, a dobre rady i przyjazne słowa nie mogły tego zmienić. Było to zbyt głęboko zakorzenione.

– Dokąd poszedł?

– Nie wiadomo. Musiał się przestraszyć pana słów, że go pan wyrzuci.

– Chcesz powiedzieć, że nie przychodzi do kopalni?

– Od wtorku. Nikt go nie widział od wtorku.

– Cóż, dobrze – stwierdził Ross. – Oszczędzi to nam kłopotów.

Carter uniósł wzrok. Tego ranka jego młoda twarz o wydatnych kościach policzkowych była bardzo blada.

– Jinny uważa, że Reuben ciągle się tu kręci, panie. Mówi, że nie uciekł daleko.

– Ktoś na pewno by go widział.

– Tak, panie, cały czas jej to powtarzam, ale Jinny mi nie wierzy. Proszę o wybaczenie, ale mówi, że powinien pan na siebie uważać.

Ross się uśmiechnął.

– Nie martw się o mnie, Jim. I nie martw się o Jinny. Kochasz ją?

Carter spojrzał mu w oczy i przełknął ślinę.

– Powinieneś być zadowolony, że się pozbyłeś rywala. Chociaż wątpię, czy był naprawdę poważnym konkurentem.

– Nie, panie – odparł Jim. – Po prostu się boimy...

– Wiem, czego się boicie. Jak coś zobaczysz albo czegoś się dowiesz, daj mi znać. Ale przede wszystkim nie dostrzegaj groźnych zjaw w każdym kącie.

Ross pojechał dalej. Łatwo mi mówić, pomyślał. Może ten nicpoń uciekł do brata do Truro? A może nie? Z takimi ludźmi nigdy nic nie wiadomo. Dla Martinów byłoby lepiej, gdyby Reuben trafił do więzienia.

2

Chociaż Ross kilkakrotnie jeździł do Truro, nie spotkał się więcej z Margaret. Nie miał na to ochoty. Przygoda, którą przeżył w dniu balu, nie wyleczyła go z miłości do Elizabeth i dowiodła, że zaspokajanie żądzy niczego nie rozwiązuje.

Demelza zadomowiła się w Namparze niczym bezpańska kotka, która znalazła wygodny kąt. Ross zdawał sobie sprawę z siły więzów rodzinnych wśród górników i spodziewał się, że po tygodniu znajdzie ją zwiniętą w kłębek, płaczącą z tęsknoty za ojcem i jego biciem. Gdyby okazała jakąkolwiek chęć powrotu do domu, natychmiast by ją odesłał, ale tak się nie stało. Prudie zaś mówiła, że to dobra dziewczyna.

To, że już trzy godziny po przyjeździe do Nampary Demelza wkradła się w łaski ogromnej Prudie, okazało się kolejną niespodzianką. Może wyzwoliła w niej głęboko ukryty instynkt macierzyński, jak wygłodzone kaczątko w wielkiej alce?

Odczekawszy miesiąc, Ross wysłał Jima Cartera – Jud nie chciał iść – by porozmawiał z Tomem Carne'em i przekazał mu dwie gwinee jako roczną opłatę za pracę Demelzy w charakterze służącej. Jim opowiadał, że Carne groził, że połamie mu wszystkie kości, przyjął jednak złoto, co sugerowało, że pogodził się ze stratą córki.

Po jednej próbie inwazji podczas Wielkanocy górnicy z Illuggan przycichli. Mogło dojść do awantur w czasie następnych świąt, ale odległość między Namparą a Illuggan zapobiegała przypadkowym bójkom. Ross przez pewien czas podejrzewał, że mogą próbować uprowadzić Demelzę, i zabronił jej oddalać się od domu. Pewnego wieczoru, kiedy wracał konno z St Ann's, obrzucono go kamieniami z zażywością, lecz była to ostatnia oznaka niechęci okolicznych mieszkańców. Ludzie mieli własne zmartwienia.

Przeglądając rupiecie w bibliotece, Prudie znalazła sztukę mocnej dymki, z której po upraniu i skrojeniu uszyła dla Demelzy dwie workowate suknie. Później zrobiła dwie halki ze starego prześcieradła obszytego koronką. Dziewczyna nigdy nie widziała koronek i zawsze starała się obciągać halki, by koronki wystawały spod sukienki.

W dużej mierze wbrew własnej woli Prudie zaangażowała się w walkę, za którą nie przepadała, czyli walkę z wszami. Musiała często przypominać Demelzie, że nowy chlebodawca nie toleruje dwóch rzeczy: brudnego ciała i brudnych włosów.

– Skąd będzie wiedział, że jestem brudna? – spytała pewnego dnia dziewczyna, patrząc na strumyczki deszczu spływające po butelkowitzelonym szkle okna w kuchni. – Skąd będzie wiedział? Mam ciemne włosy i nie zmieniają się od mycia.

Prudie zmarszczyła brwi, polewając tłuszczem mięso piekące się na rożnie nad ogniem.

– To prawda, ale brud czyni wszy.

– Wszy? – powtórzyła Demelza i podrapała się po głowie. – Przecież wszyscy mają wszy.

– Pan Ross ich nie lubi.

– Ale ty też masz wszy – odrzekła poważnie Demelza. – Masz gorsze wszy ode mnie.

– Pan Ross ich nie lubi – powtórzyła z uporem Prudie.

– Więc jak się ich pozbyć?

– Trza się myć, myć, myć – odpowiedziała Prudie.

– Jak jaka przekłeta kaczką – dodał Jud, który właśnie wszedł do kuchni.

Demelza obróciła głowę i popatrzyła na niego z ciekawymi ciemnymi oczyma. Później spojrzała z powrotem na Prudie.

– To dlaczego się ich nie pozbyłaś? – spytała ze szczerym zainteresowaniem.

– Za mało się myje – wyjaśnił sarkastycznie Jud. – Ma pańską skórę i nie może skrobać się do żywego dla przyjemności pana Rossa, boby jej to zaszkodziło. Ale po prawdzie wszystko zależy od samych wszów. To śmieszne, mądre zwierzątko. Lubią jednych ludzi bardziej od innych, ciągnie ich do niektórych ludzisków, jak do swoich. A inne ludzie są czyste z natury. Popatrz na mnie. Nie znajdziesz na mojej głowie ani jednej wszy, ani jednej, powiadam!

Demelza spojrzała na Judę.

– Tak, ale ty jesteś łysy – odpowiedziała.

Jud cisnął na podłogę przyniesiony torf.

– Lepiej, cobyś nauczyła dziewczuchę siedzieć cicho! – zwrócił się zrzędlawie do żony. – Lepiej, cobyś nauczyła ją dobrych manier i tego, by się odzywała z szacunkiem do ludzi, i jeszcze respektu dla starszych i lepszych od siebie. Wtedy byś mogła się poklepać po łbie i gadać: „Ach, porządnie pracuje, ucze ją szacunku”. A ty co robisz? Łatwo odpowiedzieć. Łatwo rozumować. Wiesz, czego ją uczysz? Tupetu!

Tego wieczoru Jim Carter siedział w chacie Martinów i rozmawiał z Jinny. Zaprzyjaźnił się z Martinami zimą, gdy pracował w Namparze. W miarę jak jego uczucie do Jinny rosło, coraz rzadziej spotykał się z własną rodziną. Odczuwał przykrość z tego powodu, bo matka z pewnością za nim tęskniła, ale nie mógł być w dwóch miejscach jednocześnie. Bez troska atmosfera panująca w domu Martinów sprawiała, że dobrze się tam czuł: zachowywał się swobodnie, śmiał się, żartował.

Ojciec Jima, sztygar zmianowy, nieźle zarabiał, lecz w wieku dwudziestu sześciu lat zachorował na gruźlicę, która zagrażała mu od dawna, i po sześciu miesiącach pani Carter została wdową z pięciorgiem małych dzieci, które należało wychować. Jim, najstarszy, miał osiem lat.

Fred Carter płacił sześć pensów tygodniowo za naukę chłopca w szkółce ciotki Alice Trevemper i mówiło się, że Jim ma tam chodzić jeszcze przez rok. Jednak życie pokrzyżowało te plany, jak wiatr rozwiewa dym, i młody Carter został przesiewaczem w Grambler. Była to praca „na trawie”, czyli na powierzchni, ponieważ górnicy kornwalijscy nie traktują swoich dzieci tak bezdusznie jak ludzie w innych regionach kraju. Jednak praca była ciężka, bo chłopiec przesiewał w wodzie rudę miedzi i przez dziesięć godzin dziennie stał zgarbiony nad korytem. Jego matkę niepokoiło, że syn pluje krwią po powrocie do domu. Ale wielu innych chłopców też pluło krwią. Szyling i trzy pensy tygodniowo miały duże znaczenie dla rodziny.

W wieku jedenastu lat zaczął pracować na dole, na początku jako pomocnik doświadczonego górnika, wywożąc urobek na taczce, lecz odziedziczył zdolności po ojcu. Kiedy miał szesnaście lat, został sztygarem zmianowym i zarabiał dość pieniędzy, by utrzymać rodzinę. Był z tego bardzo dumny, ale po dwóch latach tracił wiele dniówek wskutek chorób i stale męczył go wilgotny kaszel, podobnie jak ojca. W wieku dwudziestu lat, bardzo niezadowolony ze swojego losu, dał się przekonać matce i odszedł z kopalni, przekazując swoje stanowisko młodszemu bratu, po czym zatrudnił się jako parobek w Namparze. Chociaż kapitan Poldark płacił uczciwe stawki, Jim miał teraz zarabiać przez kwartał mniej niż dotychczas w ciągu miesiąca. Martwiła go nie utrata tylko pieniędzy, lecz również pozycji. Był górnikiem z krwi i kości. Lubił tę pracę i zależało mu na niej.

Zrezygnował z czegoś, na czym bardzo mu zależało, ale stał się silniejszy, zdrowszy. I przestał się obawiać o przyszłość.

Siedział w rogu chaty Martinów i rozmawiał szeptem z Jinny. Po prawej stronie kominka siedział Zacky Martin, paląc glinianą fajkę i czytając gazetę, a po lewej pani Martin trzymała na kolanach dwojkę małych dzieci: trzyletnią Betsy Marię Martin, dochodzącą do zdrowia po ciężkiej odrze, oraz najmłodszego członka rodziny, dwumiesięczne niemowlę, które od czasu do czasu kwiliło. Chata, oświetlona kamionkową lampą o dwóch knotach zanurzonych w oleju z sardynek, pachniała rybami. Jinny i Jim siedzieli na drewnianej ławie domowej roboty i byli zadowoleni, że kryją się w bezpiecznym cieniu. Jinny nie chciała jeszcze wychodzić po zmroku, nawet w towarzystwie Jima – była to jedyna rzecz, o którą się spierali – i przysięgała, że nie ma chwili spokoju, bo wyobraża sobie za każdym krzakiem skuloną postać. Lepiej siedzieć w chacie, nawet gdyby cała rodzina miała pełnić funkcję przyzwoitki.

W przyćmionym świetle widoczne były jedynie część pomieszczenia, powierzchnie i boki mebli, krzywizny, krańce i profile. Ze stołu sprzątnięto już talerze po wieczery złożonej z herbaty, chleba jęczmiennego i puddingu z grochu. W miejscu, gdzie na blacie stał stary, przeciekający imbryk z cyny, odznaczał się krąg wilgoci. Na drugim końcu stołu walały się okruszki pozostawione przez dwie młodsze dziewczynki. Zacky siedział w cieniu; widać było tylko gęstą rudą czuprynę z pasmami siwizny, fajkę trzymaną w ustach i egzemplarz wydrukowanej drobnym drukiem gazety „The Sherborne Mercury”. Zacky mocno ścisnął gazetę we włochatej dłoni, jakby z obawy, że porwie ją wiatr. Na płaskiej twarzy żony Zacky’ego, nucącej coś pod nosem, lśniły okulary w drucianych oprawkach. Światło padało raz na jeden,

raz na drugi policzek kobiety, gdy przekręcała głowę, patrząc na niespokojne dzieci. Małeńka Inez Mary, owinięta szarym szalem, prawie niewidoczna, bez przerwy zaciskała i otwierała pulchną piąstkę, jakby chciała zmanifestować swoje istnienie. Na drugim ramieniu pani Martin spoczywała główka dziecka o bujnej rudej czuprynie i mającego piegowaty nosek.

Na podłodze połyskiwały długie gołe nogi Matthew Marka Martina, przywodząc na myśl srebrzyste pstrągi. Reszta jego ciała była ukryta w wielkim cieniu matki. Na ścianie obok Jinny i Jima poruszał się inny cień, rzucany przez brązowego kota, który wdrapał się na półkę, gdzie stała forma do ciasta, i spoglądał z góry na rodzinę.

Był to dobry tydzień, bo Zacky miał nocne szychty i pozwalał dzieciom siedzieć prawie do dziewiątej. Jim znał już tryb życia Martinów i zauważył, że zbliża się chwila, gdy powinien się pożegnać. Natychmiast przypomniało mu się wiele rzeczy, które ciągle chciał powiedzieć Jinny. Zaczął mówić, gdy wtem rozległo się stukanie do drzwi, otworzyła się ich górna połowa i ukazała się potężna sylwetka Marka Daniela.

Zacky opuścił gazetę, zdjął okulary i zerknął na popękaną klepsydrę, by się upewnić, że nie musi jeszcze wychodzić do pracy.

– Wcześniej dziś jesteś, chłopie. Zachodź i czuj się jak u siebie. Jeszcze nawet się nie obułem.

– Chcę z tobą zamienić słowo czy dwa, chłopie – odpowiedział Daniel. – No, jak sąsiad z sąsiadem.

Zacky wystukał fajkę.

– Jasne. Zachodź i czuj się jak u siebie.

– Na osobności, za przeproszeniem szanownej małżonki – odpowiedział Mark. – Słówko w prywatnej sprawie. Tak sobie myślę, że może byś wyszedł na dwór?

Zacky wybałuszył oczy, a jego żona cicho zagruchała do zaniepokojonych dzieci. Zacky odłożył gazetę, przygładził włosy i wyszedł z Markiem Danielem.

Jim z wdzięcznością wykorzystał okazję, by znów szeptać do Jinny. Zadał ważne pytanie, gdzie mogą się jutro spotkać, po tym jak Jinny skończy pracę w kopalni i w domu przed zmrokiem, a on już wróci z pola... Pochyliła głowę i słuchała. Zauważył, że nawet jeśli siedzą w głębokim cieniu, gładka, blada skóra na jej czole połyskuje lekko, podobnie jak krągłe policzki. W oczach Jinny zawsze płonęło światło.

– Czas się kłaść, dzieciaki – odezwała się żona Zacky'ego, wreszcie nie zaciskając warg. – Inaczej nie oderwiecie głów od poduszek, jak trzeba będzie wstawać. No już, Matthew Mark i ty, Gabby. I Thomas. Jinny, moja droga, wiem, że trudno się tak wcześnie pożegnać ze swoim chłopcem, ale wiesz, jak jest rano.

– Tak, mam – odpowiedziała z uśmiechem Jinny.

Wrócił Zacky. Wszyscy spoglądali na niego z ciekawością, ale udawał, że tego nie zauważa. Podszedł do fotela i zaczął składać gazetę.

– Dorosłe chłopcy, a plotkują w sekrecie jak dzieciaki. Co to za sekrety? O czym tak szeptaliście, Zachariah? – spytała żona Martina.

– O tym, ile plam jest na Księżycu – odpowiedział Zacky. – Mark mówi, że dziewięćdziesiąt osiem, a ja, że sto dwie. Postanowiliśmy zapytać pastora, niech on rozstrzygnie.

– Nie chcę słuchać twoich drwin – rzekła żona Zacky'ego, lecz bez przekonania. Po dwudziestu latach małżeństwa głęboko wierzyła w mądrość męża i protestowała przeciwko jego dziwnemu zachowaniu jedynie dla pozorów. Poza tym i tak zamierzała wszystko od niego wyciągnąć rano.

Jim, ośmielony panującym mrokiem, pocałował Jinny w nadgarstek i wstał.

– Chyba już na mnie pora, proszę państwa – powiedział, używając standardowej formuły pożegnania. – Dobranoc, Jinny. Dobranoc państwu. Dobranoc wszystkim.

Podszedł do drzwi, ale Zacky go zatrzymał.

– Zaczekaj, chłopcze. Mam chęć na spacer i jest jeszcze czas do szychty. Pójdę z tobą.

Mimo protestów żony wyszedł na dwór i zamknął drzwi. Otoczyła ich wilgotna ciemność. Na ich twarze i ręce padał drobniutki deszcz. Mieli wrażenie, że to niewidzialne pajęczyny lecące z nieba.

Ruszyli naprzód. Początkowo potykali się w ciemności, ale wkrótce oczy przyzwyczyły się do mroku i szli pewnie jak wieśniacy wędrujący po znajomej okolicy.

Jim był zdziwiony i trochę zdenerwowany, bo Zacky mówił zbyt ponurym tonem. Jim zawsze traktował go jako kogoś ważnego ze względu na jego wykształcenie. Kiedy Zacky brał do ręki postrzępiony egzemplarz „The Sherborne Mercury”, Jim podziwiał ten wspaniały gest. Poza tym Zacky był ojcem Jinny. Jim zastanawiał się, czy zrobił coś złego.

Dotarli do szczytu wzgórza obok kopalni Wheal Grace. Widać było stamtąd światła dworu w Namparze, dwie opalowe plamki w ciemności.

– Oto co chciałem ci powiedzieć: w Marasanvose widziano Reubena Clemmowa – odezwał się Zacky.

Wieś Marasanvose znajdowała się o kilometr w głąb lądu od przysiółka Mellin. Jim Carter poczuł, że cierpnie mu skóra.

– Kto go widział?

– Mały Charlie Baragwanath. Nie wiedział, kto zaś, ale z opisanego wychodzi, że to nieomylnie Clemmow.

– Rozmawiał z nim?

– Reuben zagadał do małego Charliego. To było na drodze między Marasanvose i Wheal Pretty. Charlie mówi, że Reuben miał długą brodę i targał na plecach dwa worki.

Schodzili powoli ze wzgórza w stronę Nampary.

– A Jinny zaczęła się już trochę uspokajać... – rzucił ze złością Jim. – Jakby się o tym dowiedziała, bardzo by ją to wzburzyło.

Mimo lęku nagle poczuł wdzięczność i sympatię do Zacky’ego, że zaufał mu w taki sposób, potraktował jak równego sobie, a nie jak kogoś bez znaczenia. Dawał do zrozumienia, że wie o jego uczuciu do Jinny.

– Co pan ma zamiar zrobić, panie Martin?

– Zobaczyć się z kapitanem Rossem. Musi wiedzieć.

– Mam z panem iść?

– Nie, chłopcze. Załatwię to sam.

– Zaczekam na pana przed dworem – zaproponował Jim.

– Nie, chłopcze. Idź spać. Jutro nie wstaniesz. Powiem ci rano, co radzi pan Ross.

– Wolałbym poczekać, jeśli nie robi to panu różnicy. Nie chce mi się spać.

Dotarli do dworu w Namparze i rozstali się przed drzwiami. Zacky cicho wślizgnął się do kuchni. Prudie i Demelza leżały w łóżkach, ale Jud jeszcze nie spał i ziewał przeraźliwie. Zaprowadził Zacky’ego do Rossa.

Ross jak zwykle zajmował swoje miejsce, czytał i pił przed pójściem do łóżka. Nie był jeszcze senny i wysłuchał opowieści Martina. Następnie wstał, podszedł do kominka, stanął tyłem do ognia i patrzył na niskiego górnika.

– Charlie Baragwanath z nim rozmawiał?

– Nie można powiedzieć, że to była rozmowa. Przywitani się, można powiedzieć, a potem Reuben złapał ciastko i uciekł. Ukradł ciastko dziesięcioletniemu chłopakowi!

– Głodni ludzie są zdolni do wszystkiego.

– Charlie mówi, że popędził do lasu koło Mingoose.

– Cóż, trzeba coś zrobić. Możemy urządzić obławę i wygonić go z kryjówki. Rzecz w tym, że jak dotąd nie zrobił nic złego. Nie możemy wsadzić do więzienia człowieka za to, że jest nieszkodliwym głupkiem. Ale nie wolno czekać, by udowodnił, że jest naprawdę groźny.

– Pewnie mieszka w pieczarze, może w starej kopalni – powiedział Zacky. – I kłusuje.

– Tak, bez wątpienia. Mógłbym przekonać stryja, by nagiął prawo i wydał nakaz jego aresztowania.

– Jakby pan uznał za słuszne. Myślę, że to ludzi zadowoli bardziej, niż jakby złapali go samego – rzekł Zacky.

Ross pokręcił głową.

– Łapcie go tylko w ostateczności. Spotkam się rano ze stryjem i zdobędę nakaz aresztowania. To najlepsze rozwiązanie. Tymczasem dopilnuj, by Jinny nie wychodziła sama.

– Tak, panie. Dziękuję. – Zacky odwrócił się, by odejść.

– Istnieje pewien sposób rozwiązania problemu Jinny – ciągnął Ross. – Zastanawiałem się nad tym. Wygląda na to, że chłopak, który u mnie pracuje, Jim Carter, bardzo ją lubi. Czy ona też go lubi?

Na ogorzalej twarzy Zacky'ego pojawił się uśmiech.

– Chyba ugryzł ich ten sam robak.

– Nie wiem, co myślisz o tym chłopcu, ale moim zdaniem to poważny kandydat na zięcia. Jinny ma siedemnaście lat, a on dwadzieścia. Gdyby się pobrali, mogłoby to im wyjść na dobre i jest prawdopodobne, że Reuben zrezygnowałby ze swoich ambicji.

Zacky podrapał się po zaroście na podbródku. Jego kciuk wydał ostry, szeleszczący dźwięk.

– Lubię chłopaka. Nie ma fiu-bździu w głowie. Ale chodzi o jego zarobki i o chałupę. Nasza nie podźwignie drugiej rodziny. Jim dostaje tyle, że wystarczy ledwie na czynsz, a na jedzenie już nie. Zamyślałem dobudować do naszej chaty przybudówkę, ale jest na nią bardzo mało miejsca.

Ross odwrócił się i trącił czubkiem buta polana płonące na kominku.

– Nie stać mnie na płacenie parobkowi pensji górnik. Ale w Mellin są dwie wolne chaty, w drugim rzędzie. Nie dają żadnego dochodu, a Jim mógłby zamieszkać za darmo w jednej z nich, pod warunkiem że ją wyremontuje. Nie musi płacić czynszu, dopóki u mnie pracuje.

Zacky mrugnął.

– Za darmo? To wielka różnica. Mówił pan o tym chłopakowi?

– Nie. Kierowanie jego życiem to nie moja sprawa. Ale ty możesz z nim porozmawiać, jeśli chcesz.

– Pogadam z nim jeszcze dzisiaj wieczora. Stoi przed domem... Nie, zaczekam do jutra. Codziennie przychodzi do nas, regularnie jak w zegarku. – Zacky urwał. – To bardzo ładnie z pana strony. Nie chciałby pan się z nimi zobaczyć? Mógłby pan im sam powiedzieć.

– Nie, nie, nie chcę w tym uczestniczyć. Zasugerowałem tę możliwość. Ale wykorzystajcie ją, jeśli chcecie.

Kiedy niski górnik odszedł, Ross ponownie nabił fajkę, zapalił ją i wrócił do lektury. Tabitha Bethia wskoczyła mu na kolana, ale jej nie zrzucił. Delikatnie pociągał ją za ucho w trakcie czytania. Przewróciwszy kilka stronic, zdał sobie sprawę, że nic do niego nie dociera. Opróżnił szklaneczkę, lecz nie napełnił jej ponownie.

Nie czuł wstydu i nie miał sobie nic do zarzucenia. Postanowił iść do łóżka trzeźwy.

Deszczowa pogoda sprawiła, że w ciągu ostatnich tygodni nie odwiedzał Trenwith House. Nie widział Verity od balu i wyczuwał, że kuzynka go unika, by nie mógł kpić z jej przyjaźni z kapitanem Blameyem.

Nazajutrz po wizycie Zacky'ego pojechał w ulewnym deszczu zobaczyć się ze stryjem i był zdziwiony, kiedy zastał w domu stryja wielebnego Johnsa. Kuzyn William-Alfred z chudą szyją sterczącą z wysokiego kołnierzyka był jedyną osobą w salonie, gdy pani Tabb wprowadziła tam Rossa.

– Twój stryj jest na górze – rzekł duchowny, po czym mocno uściśnął rękę Rossa chłodną dłonią. – Wkrótce zejdzie. Mam nadzieję, że jesteś w dobrym zdrowiu, Ross?

– Tak, dziękuję.

– Hm – chrząknął z namysłem William-Alfred. – Bardzo się cieszę. Wyglądasz lepiej niż wtedy, gdy cię ostatnio widziałem. Nie masz już worków pod oczami, jeśli wolno mi to powiedzieć.

Ross puścił tę uwagę mimo uszu. Lubił Williama-Alfreda niezależnie od jego nudnej pobożności, ponieważ wiara i sposób życia kuzyna były absolutnie szczere. Cenił go znacznie wyżej od uwikłanego w politykę doktora Halse'a.

Spytał o żonę Williama-Alfreda i wyraził uprzejme zadowolenie, że stan zdrowia Dorothy się poprawia. W grudniu Bóg pobłogosławił ich kolejną córką. Później Ross spytał o zdrowie mieszkańców Trenwith House, zastanawiając się, czy odpowiedź nie wyjaśni obecności Williama-Alfreda. Ale nie – wszyscy byli zdrowi, nie istniała żadna przyczyna, która kazałaby Williamowi-Alfredowi przybyć tu aż ze Stithians. Francis i Elizabeth spędzali tydzień z Warlegganami w ich wiejskim domu w Cardew. Ciotka Agatha przygotowywała w kuchni napar z ziół. Verity – Verity była na górze.

– Przebyłeś długą drogę w takiej ulewie – zauważył Ross.

– Przyjechałem wczoraj wieczorem, kuzynie.

– Cóż, wczoraj też lało.

– Mam nadzieję, że dziś wyjadę, jeśli przestanie padać.

– Kiedy następnym razem się tu pojawisz, przejeżdż jeszcze pięć kilometrów i odwiedź Namparę. Mogę cię przenocować, choć nie w tak dobrych warunkach jak tutaj.

William-Alfred wydawał się zadowolony. Rzadko spotykał się z jawnymi wyrazami przyjaźni.

– Dziękuję. Z pewnością przyjadę.

Do pokoju wszedł Charles Poldark, sapiąc jak kaszalot wydmuchujący powietrze. Zejście po schodach wymagało od niego ogromnego wysiłku. Stale przybierał na wadze i miał stopy opuchnięte od podagry.

– Ach, Ross, chłopcze, wreszcie nas odwiedziłeś! Co się stało? Czy twój dwór zalało morze?

– Jest takie niebezpieczeństwo, jeśli nie przestanie padać. Przerwałem ci ważne zajęcia, stryju?

Kuzyn William-Alfred i Charles Poldark wymienili spojrzenia.

– Nic mu nie powiedziałaś? – spytał Charles.

– Nie mogłem tego zrobić bez twojej zgody.

– Cóż, a zatem mów. Prrrt! To sprawa rodzinna, a Ross jest bliskim krewnym, choć niezonatym.

William-Alfred spojrział na Rossa bladyszarymi oczyma.

– Wczoraj nie przyjechałem z towarzyską wizytą, lecz by porozmawiać ze stryjem Charlesem o sprawie mającej wielkie znaczenie dla naszej rodziny. Przez jakiś czas wahałem się, czy zajmować się kwestiami, które...

– Chodzi o Verity i kapitana Blameya – rzekł krótko Charles. – Do licha, nie wierzyłem własnym uszom! Żeby dziewczyna...

– Wiesz, że twoja siostra stryjeczna zaprzyjaźniła się z marynarzem, niejakim Andrew Blameyem?

– Wiem. Poznałem go.

– Podobnie jak my wszyscy! – rzucił gwałtownie Charles. – Był na weselu Francis'a!

– Wtedy nic o nim nie wiedziałem – ciągnął William-Alfred. – Widziałem go po raz pierwszy w życiu. Ale w zeszłym tygodniu poznałem jego historię. Wiedząc, że ma zostać... że wielu ludzi łączy go

z kuzynką Verity, przybyłem przy najbliższej sposobności. Naturalnie najpierw starałem się dokładnie sprawdzić wiadomości, które do mnie dotarły.

– O cóż zatem chodzi? – spytał Ross.

– Kapitan Blamey był wcześniej żonaty. To wdowiec z dwojgiem małych dzieci. Może o tym wiecie. Jest także nałogowym pijakiem. Kilka lat temu w pijackim szale kopnął w brzuch swoją brzemienną żonę, która zmarła. Służył wtedy w marynarce wojennej, dowodził fregatą. Został zdegradowany i spędził dwa lata w więzieniu. Po zwolnieniu przez jakiś czas żył na łasce krewnych, aż wreszcie otrzymał obecne stanowisko. Jak rozumiem, planowany jest bojkot jego statku pocztowego. Ludzie chcą zmusić kompanię, by go zwolniła.

William-Alfred zakończył swoją relację, wypowiadaną beznamiętnym tonem, i oblizał wargi. W jego głosie nie było niechęci, co sprawiało, że opowieść zabrzmiała gorzej niż oskarżenie. Charles splunął przez otwarte okno.

– Verity wie? – spytał Ross.

– Tak, do licha! – zawołał Charles. – Po prostu nie mogę w to uwierzyć. Wie od przeszło dwóch tygodni. Mówi, że to bez znaczenia.

Ross podszedł do okna i przygryzł kciuk. Zajmował się codziennymi sprawami, a tymczasem działały się takie rzeczy.

– Ale to przecież ważne – rzekł na poły do siebie.

– Verity twierdzi, że w tej chwili Blamey nie bierze alkoholu do ust – zauważył spokojnie William-Alfred.

– Cóż, hm... – Ross umilkł. – Owszem, ale...

– Dalibóg, wszyscy pijemy! – wybuchnął znowu Charles. – Jeśli mężczyzna nie pije, postępuje wbrew naturze. Prrrt! Ale nie stajemy się mordercami po kilku kielichach. Kopnąć kobietę w błogosławionym stanie to niewybaczalna zbrodnia. Nie wiem, jak mu się udało wymigać od kary. Powinien zadyndać na rei własnego statku. Nieważne, czy był pijany, czy trzeźwy.

– Tak – powiedział powoli Ross. – Raczej się z tym zgadzam.

– Nie wiem, czy Blamey zamierza prosić Verity o rękę – powiedział z namaszczeniem William-Alfred. – Lecz jeśli tak, czy możemy pozwolić, by wyszła za takiego człowieka?

– Na Boga, nie! – zawołał Charles, purpurowiejąc na twarzy. – Nigdy do tego nie dopuszczę!

– Jakie jest zdanie Verity? – spytał Ross. – Czy koniecznie chce go poślubić?

– Utrzymuje, że Blamey się poprawił. Na jak długo? Pijak zawsze pozostanie pijakiem. To nie do przyjęcia. Siedzi w swoim pokoju i wyjdzie stamtąd dopiero, gdy odzyska rozsądek.

– W zimie często się widywaliśmy. Mógłbym się z nią zobaczyć i porozmawiać. Może to by jakoś pomogło.

– Nie teraz, mój chłopcze. Może później. Jest równie uparta jak jej matka. Prawdę rzekłszy, jeszcze bardziej, co mówi samo za siebie. Jednak trzeba przerwać ten związek. Bardzo jej współczuję. Nie miała wielu wielbicieli. Ale nie pozwolę, by bydlak, który kopnął w brzuch brzemienną żonę, poszedł do łóżka z moją własną córką! To wszystko.

I w ten sposób po raz drugi tej wiosny Ross wrócił z Trenwith do domu, nie zrobiwszy tego, co zamierzał.

Było mu przykro z powodu cierpienia Verity. Charles mógł powiedzieć: „To wszystko”, lecz Ross poznał kuzynkę lepiej niż jej ojciec i bracia. Uczucia rodziły się w niej powoli i gasły stopniowo. Nie był pewien, czy wyrzeknie się miłości na rozkaz ojca. Mogła poślubić Blameya wbrew całej rodzinie i tylko wtedy to uczucie mogłoby nie przetrwać.

Była to najgorsza możliwość.

Rozdział jedenasty

– Wszystko gotowe, Jim?

Minął tydzień i spotkali się w stajni. Jim Carter nie potrafił znaleźć słów, by wyrazić swoją wdzięczność. Wcześniej dwa lub trzy razy próbował coś powiedzieć, lecz język stawał mu kołkiem. Teraz wreszcie wyrzucił z siebie:

– Tego chciałem najbardziej ze wszystkiego! Nie miałem żadnej nadziei, w ogóle nie wierzyłem! Chcę panu podziękować!

– Och, nonsens – odparł Ross. – Zawdzięczasz szczęście tylko sobie. Powiedz Zacky’emu, że wydano nakaz aresztowania Clemmowa. Kiedy go znajdziemy, trafi za kratki i trochę ochłonie.

– Muszę panu podziękować za chatę – ciągnął z uporem Jim. – To wielka różnica. Widzi pan, jakbyśmy nie mieli nadziei...

– Którą chatę wybraliście? – spytał Ross, by przerwać potok podziękowań. – Reubena czy sąsiednią?

– Sąsiednią, koło chaty Joego i Betsy Triggsów. Jak nie robi to panu różnicy, wolelibyśmy się nie wprowadzać do chaty Reubena. Nie czulibyśmy się tam dobrze, jeśli pan rozumie, co chcę powiedzieć. A druga chata po pięciu latach jest już czysta. Ospa dawno wywietrzała.

Ross skinął głową.

– Kiedy ślub?

Jim się zarumienił.

– Pierwsze zapowiedzi będą w przyszłą niedzielę... Prawie nie mogę... Jak pogoda się poprawi, zaczniemy dziś wieczorem naprawiać dach. Jest dużo do roboty. Jinny bardzo chciałaby przyjść i panu podziękować.

– Och, nie ma potrzeby – odpowiedział z niepokojem Ross. – Odwiedzę was, gdy się już urządzicie.

– Chcielibyśmy... – ciągnął z trudem Jim. – Jak wszystko się nam ułoży, zapłacimy panu czynsz... by pokazać, że...

– Nie, dopóki u mnie pracujesz. Ale to rozsądne myślenie.

– Jinny chce zostać w kopalni, przynajmniej na początek. Moi dwaj bracia dobrze sobie radzą i matka tak bardzo nie potrzebuje mojej pomocy... Myślę, że się uda...

Nagle Ross usłyszał kichnięcie i spostrzegł Demelzę, która szła przez dziedziniec, niosąc w fartuchu drewno na rozpałkę. Padał deszcz, a ona miała gołą głowę. Biegł za nią Garrick, duży i niezgrabny, w tej chwili wyrośnięty szczeniak, bez ogona, z czarną, kręconą sierścią. Przypominał trochę francuskiego pudła i Ross o mało się nie roześmiał.

– Demelza – odezwał się.

Stała jak wryta, upuszczając jedno z polan. Nie wiedziała, skąd dochodzi głos. Ross wyszedł z cienia stajni.

– Nie wpuszczasz Garricka do domu?

– Nie, panie. Zostaje za drzwiami. Zwyczajnie za mną biega. Jest strasznie zboląły, że nie może wejść. Ross podniósł polano i włożył je do fartucha Demelzy.

– Może mógłby wejść do kuchni, jakby też uwolnił się od krówek?

– Krówek?

– Tak, panie. Robaków we włosach.

– Och. – Ross zrozumiał, o co chodzi. – Wątpię, czy kiedyś się uwolni.

– Codziennie go myję, panie.

Ross zerknął na psa, który siedział i drapał się tylną łapą po kłapciastym uchu. Znowu popatrzył na Demelzę, która odwzajemniła jego spojrzenie.

– Jestem zadowolony, że Prudie uczy cię czystości. Mam wrażenie, że jego sierść jest nieco jaśniejsza.

Lubi, jak go myjesz?

– Boże, nie! Wije się jak piskorz.

– Hm... – mruknął niezobowiązująco Ross. – W takim razie przyprowadź go do mnie, kiedy uznasz, że jest czysty, a wtedy ci powiem.

– Tak, panie.

W drzwiach pojawiła się Prudie.

– Ach, tużeś mi, czarny smoku! – odezwała się do dziewczyny, po czym zauważyła Rossa. Na jej lśniącej, czerwonej twarzy pojawił się lekki uśmiech. – Jest tu panienska Verity, panie. Już zamierowałam jej powiedzieć, coby pana poszukała.

– Panienska Verity?

– Dopiero co przysła. Zamierowałam panu powiedzieć, pędziłam na łeb na szyje, daje słowo!

Ross zastał Verity w salonie. Zdjęła szarą opończę z kapturem obszytym futrem i ocierała z twarzy krople deszczu. Kraj jej sukni był mokry i pochlapany błotem.

– Hm, cóż za niespodzianka, moja droga – odezwał się Ross. – Szłaś w taką pogodę?

Twarz stryjecznej siostry nabrała niezdrowej, żółtawej barwy, a pod oczami widać było sine cienie.

– Musiałam się z tobą zobaczyć, Ross. Rozumiesz wszystko lepiej od innych. Chcę z tobą porozmawiać o Andrew.

– Usiądź – powiedział. – Każę ci przynieść trochę piwa i ciasto z migdałami.

– Nie, nie mogę długo zostać. Wymknęłam się... potajemnie. Przyjechałeś... przyjechałeś w zeszły czwartek, gdy był u nas William-Alfred?

Ross skinął głową i czekał na dalszy ciąg. Verity była zdyszana od szybkiego marszu albo emocji. Chciał jakoś ją uspokoić, ale nie umiał znaleźć właściwych słów. Mała, dobra Verity zderzyła się ze światem.

– Powiedzieli ci?

– Tak, moja droga.

– Co powiedzieli?

Przytoczył relację Williama-Alfreda, jak ją zapamiętał. Kiedy skończył, Verity podeszła do okna i zaczęła szarpać mokre futro muffki.

– Nie kopnął jej – oznajmiła. – To kłamstwo. Przewrócił ją i umarła. Reszta to prawda.

Ross wpatrywał się w strużki wody spływające po szybie.

– Jest mi niesłychanie przykro. Nie potrafię tego wyrazić.

– Tak, ale... Chcą, żebym z nim zerwała, przysięgła, że nigdy więcej go nie zobaczę.

– Nie sądzisz, że tak byłoby najlepiej?

– Ross, ja go kocham! – jęknęła.

Milczał.

– Nie jestem dzieckiem – ciągnęła. – Kiedy mi o tym opowiedział, a zrobił to na drugi dzień po balu, nie mogłam spać, nie mogłam jeść, cały czas czułam mdłości. Bardzo mu współczułam. To okropne, że usłyszałam to bezpośrednio od niego, bo nie było żadnej nadziei, że to nieprawda. Ojciec mnie nie rozumie, bo myśli, że nie zrobiło to na mnie wrażenia. Oczywiście, że zrobiło: byłam wstrząśnięta. Tak bardzo, że przez dwa dni leżałam w łóżku i gorączkowałam. Ale nie przestałam go kochać. Jakże mogłabym przestać go kochać? Człowiek zakochuje się na dobre i na złe. Wiesz o tym.

– Tak, wiem – odpowiedział.

– Znajac Andrew, prawie nie moglam w to uwierzyc. Czulam sie strasznie. Ale nie wolno zaprzeczac prawdzi. Nie wolno pragnac, by znikla, modlic sie, by okazala sie klamstwem, probowac o niej zapomniec. Zabil swoja zone. Powtarzalam sobie wiele razy, ze ja zabil. I to powtarzanie, zamiast zniszczyc moja miłość, zniszczylo moje przerazenie, strach. Powiedzialam sobie: zabil ja i poniosl karę. Czy to nie wystarczy? Czy czlowiek jest na zawsze potępiony? Przeciez chodze do kościoła, powtarzam modlitwe, w ktorej prosze Boga o przebaczenie. Jakze moglabym to robic, gdybym nie wierzyla w przebaczenie? Czy postepujemy bardziej moralnie od Chrystusa, zebyśmy mogli oceniać ludzi surowiej?

Mowila szybko, gwałtownie. Wlasnie takie argumenty podpowiadala jej miłość w ciszy sypialni.

– Teraz nie bierze alkoholu do ust – zakonczyła zalamnie.

– Myslisz, ze wytrwa?

– Jestem tego pewna.

– Co zamierzasz zrobic?

– On chce mnie poslubic. Ojciec sie nie zgadza. Moge mu sie sprzeciwic.

– Istnieja srodki przymusu – odparl Ross.

– Jestem pełnoletnia. Nie moga mnie powstrzymac.

Przeszedl przez salon i wrzucil polano do ognia.

– Czy Blamey rozmawial z Charlesem? Gdyby mogli o tym porozmawiac...

– Ojciec nie chce sie z nim widziec. To takie... takie niesprawiedliwe! Ojciec pije, Francis gra w karty. Nie sa swieci. A jednak potepiaja Andrew za to, co zrobil, i nie chca go wysluchac.

– Takie jest zycie, moja droga. Dzentelmen moze sie upic, dopoki zachowuje sie przyzwoicie; moze nawet pasc pod stol. Ale kiedy czlowiek trafia do wiazienia za zabojstwo, swiat nie jest gotow mu przebaczyc ani zapomniec, choc wyznaje religie przebaczenia. Ojcowie nie chca powierzac mu cerek z obawy, ze moze je spotkac to samo. – Umilkł, szukajac wlasciwych slow. – Jestem sklonny podzielic ten poglad.

Przez chwile spogladala na Rossa zbolalym wzrokiem, po czym wzruszyla ramionami.

– A zatem stoisz po ich stronie.

– Podzielam ich poglady, co do zasady. Czy chcialabyś, zebym cos zrobil?

Podniosla mokra opończe. Stala, trzymajac ja w palcach, i wbijala w nia wzrok.

– Jesli tak uwazasz, nie moge cie o nic prosic.

– Owszem, mozesz. – Podeszedl do Verity, wyjal z jej rak opończe i stanal obok niej przy oknie. Dotknal jej ramienia. – Dla mnie zima sie skonczyła, Verity. Nie tylko zima. Nie wiem, co by sie stalo, gdyby nie ty. Na pewno wszystko potoczyloby sie inaczej. Jesli teraz nadeszla twoja zima, czy mam ci odmowic pomocy, bo wyznaje inne poglady? Nie podoba mi sie pomysl twojego slubu z Blameyem, poniewaz bardzo mi zalezy na twoim szczesciu. Co nie znaczy, ze ci nie pomoge. Zrobię wszystko, o co poprosisz, w miare swoich mozliwosci.

Milczala przez chwile. Nagle Ross poczul pogarde dla samego siebie. To, co powiedzial, znaczylo, ze chce pomoc, ale sie zabezpiecza. Swiadczylo o slabosci, tchorzostwie. Powinien ostro sie sprzeciwic jej malzenstwu z Blameyem albo pomoc bez zadnych zastrzezen, nie stwarzajac wrazenia, ze sie waha albo sprzeciwia.

Bardzo trudne. Ich wyjatkowa przyjazn wykluczala pierwsze rozwiazanie. Nie chcial jednak popierac Blameya, bo nie mial do niego zaufania. Zawierzal jedynie Verity.

To za malo. Wybór byl trudny, ale powinien rozwazyc wszystko dokladniej. Co zrobilaby w tej sytuacji Verity na jego miejscu?

Puscil jej reke.

– Zapomnij o tym, co powiedziałem. Nie mam nic przeciwko twojemu małżeństwu z Blameyem. Zrobię, co zechcesz.

Westchnęła.

– Widzisz, przyszłam do ciebie, bo nie mam nikogo innego. Elizabeth okazuje wielkie zrozumienie, ale nie może otwarcie stanąć po mojej stronie przeciwko Francisowi. I myślę, że tak naprawdę nie chce. Poza tym... Pomyślałam... Chcę ci podziękować.

– Gdzie jest teraz Andrew?

– Na morzu. Wróci dopiero za dwa tygodnie. Kiedy przypłynie... Pomyślałam, że mogę do niego napisać, by się ze mną tu spotkał.

– W Namparze?

Popatrzyła na Rossa.

– Tak.

– Bardzo dobrze – odpowiedział natychmiast. – Daj mi znać dzień wcześniej, wszystko przygotuję.

Drżały jej wargi. Wyglądała, jakby miała się rozpłakać.

– Drogi Rossie, naprawdę bardzo mi przykro, że cię w to wplątuję. Jest wystarczająco... Ale nie potrafiłam...

– Bzdury. Nie pierwszy raz spiskujemy. Ale posłuchaj: musisz przestać się martwić. Inaczej nawet na ciebie nie spojrzę po powrocie. Im mniej się gryziesz, tym lepiej wszystko się skończy. Wracaj do domu i staraj się żyć normalnie, jakby nic się nie stało. Udawaj, że niczym się nie martwisz, łatwiej ci będzie to znieść. Bóg jeden wie, że nie mam prawa wygłaszać kazań, to po prostu dobra rada.

– Z pewnością. – Verity westchnęła i uniosła dłoń do zmęczonej twarzy. – Bardzo mi pomoże, jeśli będę mogła tu przychodzić i rozmawiać z tobą. Zostaję sama ze swoimi myślami, otoczona przez wrogów. Jedyne rozmowa z kimś, kto mnie rozumie...

– Przychodź, kiedy chcesz, tak często, jak masz ochotę. Zawsze tu jestem. Będziesz mi o wszystkim opowiadać. Przyniosę ci coś ciepłego do picia, a tymczasem Jud osiodła Czarnulkę. Potem odwiozę cię do domu.

Rozdział dwunasty

1

Jim Carter i Jinny Martin zawarli związek małżeński o pierwszej po południu w ostatni poniedziałek czerwca. Ceremonii przewodniczył wielebny Clarence Odgers, którego paznokcie były w dalszym ciągu czarne od sadzenia cebuli. Nowożeńcy musieli czekać przez kilka minut, aż włoży szaty liturgiczne. Uznał, że uroczystość powinna trwać jak najkrócej.

Zaczął następująco:

– Ukochani, zebraliśmy się tutaj w obliczu Boga i zgromadzenia... ehem... ehem... święty związek małżeński tego mężczyzny i tej niewiasty, który... ehem... ehem... dozogonna miłość... ehem... ehem... jakowoż... albowiem... ehem... trzeba rozważyć przyczyny, które sprawiły, że Pan nakazał małżeństwo. Przede wszystkim spłodzenie potomstwa to ważny... ehem... ehem... Po drugie, małżeństwo zapobiega grzechowi... ehem... ehem... rozpuście... ehem... czyste owieczki Pana Naszego Jezusa Chrystusa. Po trzecie, codzienne życie, pomoc, pocieszenie... ehem... ehem... dobro... ehem... ność... wość... ehem... ehem... mężczyzna... ność... ehem... albo zamilknąć na wieki... Proszę, abyście oboje... ehem... ehem... ehem...

Czerwonobrzęde włosy Jinny pięknie ufryzowano. Lśniły na drobnej główce pod białym kapelusikiem z muślinu.

Była znacznie spokojniejsza od Jima, który kilkakrotnie zaciął się ze zdenerwowania, udzielając odpowiedzi. Zdawał sobie sprawę, że wygląda elegancko, ponieważ Jinny kupiła mu od wędrownego handlarza jasnobłękitny halsztuk, a on sam nabył używany surdut o ciepłej śliwkowej barwie, z błyszczącymi guzikami, który wyglądał jak nowy. Prawdopodobnie będzie to jego najlepsze ubranie przez najbliższe dwadzieścia lat.

– ...i żyć zgodnie z Twoimi prawami, przez Pana Naszego Jezusa Chrystusa. Amen. Co Bóg złączył, człowiek niechaj nie rozłącza. Ponieważ N. i N... eee... ponieważ James Henry i Jennifer May wstąpili z własnej woli w święty związek małżeński i... eństwo... nazwiskiem... ehem... ehem... osość... dłonie... obrączki... Ogłaszam was mężem i żoną. W imię Oj... i Syna, i Ducha Świętego. Amen. – Wielebny Odgers śpieszył się do swoich cebul.

Uroczysty posiłek dla zaproszonych gości podano w chacie Martinów. Ross otrzymał zaproszenie, lecz odmówił, rzekomo z powodu pilnych spraw w Truro. Czuł, że goście będą lepiej się bawić pod jego nieobecność.

W weselu uczestniczyło jedenastu członków rodziny Martinów i sześciu członków rodziny Carterów, nie licząc młodej pary, toteż liczba pozostałych gości była z konieczności ograniczona. W kącie przy kominku siedział stary Greet, któremu dotrzymywali towarzystwa Joe i Betsy Triggsowie. Przybyli Mark i Paul Danielowie, żona Paula, a także Mary Daniel. Willa Nanfana i jego żonę zaproszono jako wujostwo panny młodej. Jud Paynter poprosił Rossa o wolne popołudnie, by uczestniczyć w weselu. Prudie była nieobecna z powodu bolącego koślawego palucha. Między gości w jakiś sposób zdołali się również wkraść Nick Vigus i jego żona – jak zawsze, gdy można było coś zjeść lub wypić za darmo.

W chacie panował taki tłok, że wszystkie młodsze dzieci musiały siedzieć na podłodze. Starsze, w wieku od dziewięciu do szesnastu lat, posadzono parami na drewnianej drabinie prowadzącej do sypialni. „Jak zwierzaki w arce”, zauważył dobrodusznie Jud. Drewniana ława, na której Jim i Jinny siadywali w czasie spokojnych, ciemnych zimowych wieczorów, zmieniła się w tron przeznaczony dla

młodej pary. Nowożeńcy przycupnęli na niej jak zakochane turkawki, by wszyscy mogli na nich patrzeć.

Posiłek składał się z potraw, które pobudzały apetyt, a jednocześnie groziły niestrawnością. Podano mnóstwo porto i miodu domowej roboty, by wprowadzić kompanię w dobry nastrój.

Kiedy uczta się skończyła, Zacky wygłosił mowę. Jim podziękował gościom za życzenia, a spłoniona Jinny nie chciała powiedzieć ani słowa. Mimo otwartych drzwi w chacie było nieznośnie duszno i gorąco. Wszystkim zdrętwiały nogi, niemowlęta płakały, młodzież zaczęła się sprzeczać, a obfity posiłek i brak powietrza sprawiły, że dorosłych ogarnęła senność. Po chwili kobiety i dzieci wyszły z chaty, by usiąść na zewnątrz, mężczyźni natomiast wyciągnęli wygodnie nogi, zapalili fajki lub zażyli tabakę. Później popijali porto i gin, gawędząc z ożywieniem o przerwaniu tamy na głębokości stu dwudziestu sążni albo o szansach na obfite połowy sardynek.

Żony Zacky'ego Martina i Paula Daniela były bardzo niezadowolone ze sposobu, w jaki ich mężowie zamierzali zakończyć uroczystość, ale Zacky, chociaż przyznawał, że dwa lata wcześniej odnalazł wiarę w Boga na spotkaniu modlitewnym w St Ann's, nie powstrzymał się od picia, pozostali zaś wzięli z niego przykład.

Zacky wybrał tanie porto po trzy szylingi i sześć pensów za galon, za to gin był wyborny. W pogodny wrześniey wieczór ośmiu mężczyzn popłynęło kutrem z Sawle do Roscoff i przywiozło dwie duże baryłki przedniego ginu. Jedną natychmiast się podzielili, a drugą postanowili zachować na wesele. Jud Paynter, jeden z ósemki, ukrył baryłkę w zrujnowanym zbiorniku na deszczówkę obok szklarni w Namparze, gdzie powinna być bezpieczna przed wścibskimi celnikami, którzy mogliby się pojawić w okolicy. Baryłka stała tam przez całą zimę. Jud Paynter i Nick Vigus przywieźli ją na uroczystość.

Kobietom pokazano nowy dom, do którego wcześniej ich nie wpuszczano. Chodziły po nim wraz z gromadkami dzieci, a tymczasem ich mężowie pili na umór.

– Mówią, że niedługo pozamykają wszystkie kopalnie – odezwał się piskliwie Nick Vigus znad kubka z ginem. – Podobno człowiek o nazwisku Raby kupił wszystkie wielkie hałdy żużlu w Kornwalii, bo potrafi z nich wydobywać miedź i teraz starczy jej Anglii na sto lat!

– To nie może być – zaoponował Will Nanfan, garbiąc ogromne plecy.

Zacky wypił łyk ginu.

– Jak nic się nie zmieni, czekają nas ciężkie czasy. W zeszłym roku United Mines z St Day straciły prawie osiem tysięcy funtów. Bóg jeden wie, ile straci Grambler, jak zrobią następny bilans. Ale nie trza o tym gadać w czasie wesela. Mamy kopalnie i mamy domy, pieniądze się znajdują. Może nie tyle, ile byśmy chcieli, ale i tak ludzie nam zazdroszczą...

– Diabelnie dziwny gin, Zacky – rzekł Paul Daniel, ocierając wąsy. – Jeszczem nigdy takiego nie pił. A może ongiś... Może ongiś...

– Taa, jakbym nie myślał o tym, com gadał, rzekłbym to samo – odparł Zacky i oblizał wargi. – Po prawdzie smakuje kapkę jak... jak...

– Terpentyna – dokończył Mark Daniel.

– Pali jak ogień – stwierdził stary Greet. – Pali jak ogień. Drzewiej, jakem był młody, wszyscy wiedzieli, że gin musi palić. Gin musi palić jak ogień. W sześćdziesiątym dziewiątym, jakem szukał miedzi nad Jeziorem Górnym, był taki skład, co sprzedawał gin, który wypalał gardło...

Kubek z ginem dano Joemu Triggsowi, najstarszemu uczestnikowi przyjęcia. Wypił łyk, a wszyscy obserwowali wyraz jego pomarszczonej twarzy ozdobionej bujnymi bokobrodami. Zacisnął wargi, głośno mlasnął i znowu się napił, po czym odstawił pusty kubek na stół.

– Nie tak zacny jak ten z Roscoff we wrześniey zeszłego roku – mruknął.

– Zaś to ten sam! – zawołało dwóch lub trzech mężczyzn.

Przez chwilę panowało milczenie.

– Inna baryłka – zauważył Jud. – Dla mnie jest dobry, jeno ciut niedojrzały. Właśnie tego mu brak. Musi dłużej leżeć. Jak stara krowa wuja Nebby’ego. Zanucił piosenkę:

*Baba stara i dziad stary,
Razem biedę klepali.
O, ho, ho, o, ho, ho...*

Wydawało się, że nagle wszystkim przyszło do głowy to samo straszne podejrzenie. Goście spoglądali w milczeniu na Juda, który dalej nucił i udawał, że niczego nie zauważa.

W końcu umilkł.

Zacky popatrzył na swój kubek.

– Bardzo dziwne, że dwie baryłki ginu tak inaczej smakują – rzekł cicho.

– Piekielnie dziwne – dodał Paul Daniel.

– Okropnie dziwne – zgodził się Mark Daniel.

– Może zostalim oszukane? – zasugerował Jud, ukazując dwa wielkie zęby w nieprzekonującym uśmiechu. – Te Francuzy to prawdziwe szelmy, klne sie na Boga żywego! Nie można im wierzyć. Nigdy bym sie nie odwrócił plecami do Francuza. Człek sie odwraca, żabojad wyciąga nóż, a potem siup i trup!

Zacky pokręcił głową.

– Czy Jean Lutté oszukał kiedy kogo?

– Zawsze handlował z nami uczciwie – dodał Will Nanfan.

Zacky potarł dłonią podbródek. Wydawał się żałować, że tego dnia się ogolił.

– Gadał, że to dwie dobre baryłki zacnego ginu tego samego gatunku, z tego samego roku. I to jest takie dziwne. Ten sam gatunek. Coś mi się zdaje, że ktoś go ochrzcił. Ciekawe kto?

– Niech to szlag, słuszna uwaga! – oznajmił Mark Daniel, który wypił już trzy półkwatki porto i miał zamiar się upić.

– Nie ma co tera gadać – zauważył Jud. – Nic żem nie zrobił. Nie ma żadnych dowodów. Nikt nie wie, gdzie leży wina. Każdy mógł ochrzcić ten gin, o ile tak było, w co wątpienie wierze. Ale miarkuje, że to żabojady. Nigdy nie wierz Francuzom, powtarzam. Ten żabojad z Roscoff wygląda porządnie, gada porządnie, ale czy postępuje porządnie? Wygląda jak porządny chrześcijanin, ale kto go tam wi? Może jest dwulicowy jak wszystkie Francuzy.

– Jak byłem wyciągowym, mieli w Sawle zacny gin – zaczął wspominać stary Greet. – Mieszkała tam naonczas ciotka Tamsin Nanpusker. Zginęła w pięćdziesiątym ósmym, zleciała po pijanemu do sztolni. Nie dziwota, skoro...

– Tak, dobrze pamiętam ciotkę Tamsin – wtrącił nieostroźnie Nick Vigus. – Jechała ongiś Stippy-Stappy Lane na starej maciorze, kompletnie pijana, a z tyłu laży jej bachory. Prawdziwa procesja. Stara ciotka Tamsin lubiła wypić...

– Niech mnie diabli! – ryknął Mark Daniel. – Nareszcie żem wszystko pojał! Wiem, gdzie żem wcześniej pił taki gin. To robota Nicka! To Nick! Podejrzewamy nie tego człeka. Pamiętacie truciznę, jaką Nick uwarzył w swojej kuchni diabli wiedzą z czego, a potem sprzedawał na jarmarku na świętego Michała? Gadał, że to gin, a durnie to kupowali i marnowali pieniądze, pamiętacie? Ten smakuje tak samo!

– No – potwierdził Will Nanfan. – No, to prawda. Prawda, Bóg mi świadkiem, bom sam wypił kapkę tego ginu i bardzom tego żałował. Miałem skręt kiszki i żem wył z bólu. Oszukał nas Nick Vigus!

Nick Vigus poczerwieniał, a potem zbladł jak kreda. Wszyscy wpatrywali się oskarżycielsko w jego podstępny, dziobaty twarz. Mark Daniel wypił kolejny łyk, by się upewnić, po czym podszedł do okna

i wylał trunek na grządkę z warzywami.

– Tfu, to samo świństwo albo jestem poganin! Nicku Vigusie, jesteś przeklętym oszustem i pora, byś dostał nauczkę! – Zaczął podwijać rękawy, obnażając ogromne włochate przedramiona.

Nick zaczął się cofać w stronę drzwi, ale Paul Daniel odciął mu drogę ucieczki. Mocowali się przez chwilę, po czym Mark Daniel mocno chwycił Nicka Vigusa w pasie, obrócił do góry nogami i postawił na głowie.

– To nie ja! – wrzasnął Nick. – To wina Juda Payntera! Jud Paynter przyszedł do mnie w zeszłym tygodniu i rzekł, rzekł...

– Nie dawajta wiary w ani jedno jego słowo! – zawołał Jud. – Wszyscy wiedzą, że m uczciwy człek i zawsze gadam prawdę! A Nick to łgarz! Sprzedałby własną matkę, coby uratować skórę. Wszyscy wiedzą, że...

– Potrząśnij Nickiem, Mark – przerwał Zacky. – Szybko powie całą prawdę.

– W zeszłym tygodniu Jud przyszedł do mnie i spytał: „Czy możesz uwarzyć kapkę ginu, chłopcze? Miałem baryłkę, ale cały gin wyciekł...”. Odwróć mnie, Mark, bo się uduszę...

Mark chwycił ofiarę jeszcze mocniej w pasie i uderzył jego wierzgającymi nogami w jedną z belek na suficie chaty.

– No, mój drogi – rzekł łagodnie. – Gadaj, bo inaczej umrzesz bez rozgrzeszenia!

– Powiedział, że cały gin wyciekł, bo szczury wygryzły dziurę w beczce... ach, ach... Ale nie chce sprawić wam przykrości i spytał, czy uwarzę, czy uwarzę...

– Łap go, Paul! – zawołał Will Nanfan, widząc, że Paynter zamierza się ulotnić. Jud miał minę psa, który coś zbroił.

Paul Daniel i Will Nanfan złapali go przy drzwiach. Po krótkiej szarpaninie i wymianie zdań zaprowadzili go na środek chaty.

– To nieprawda! – wrzasnął oburzony Jud, szeroko otwierając bezzębne usta. – Oskarżacie niewinnego człowieka! Jak możecie wierzyć temu oczajduszy?! To naprzeciw prawu, nie w porządku... To nie po angielsku! Klne sie na Boga, że to on zwinął pół baryłki! Jak możecie oskarżać człeka, co by nie ukradł nawet...

– Ja ukradłem połowę, a ty wypileś resztę! – wykrztusił Vigus, wisząc do góry nogami.

– Dajcie go mnie! – ryknął Jud, nagle próbując się wyrwać. – Zedre mu spodnie z tyłka! Sam to załatwie! Co, tchórze, dwóch na jednego?! Walczmy uczciwie! Rozprawie sie z wami po kolei! Puśćcie mnie, a skuje wam gęby!

– Zaczekaj chwilę, a to ja skuję ci gębę – rzekł Mark Daniel. – Jeden na jednego, zaraz zobaczysz. Chodźta na dwór, chłopcy!

Zaniósł Nicka Vigusa do drzwi, ciągle trzymając nieszczęśnika do góry nogami. Niestety wcześniej z innej chaty wyszło kilka kobiet, które usłyszały krzyki. Na ich czele podążała pani Vigus. Widząc męża w niezwykłej pozycji, wydała przesywający okrzyk i pobiegła do przodu, by go ratować. Mark odpędził ją i zaniósł Nicka w stronę chaty Joego i Betty Triggsów. Na jej tyłach znajdował się zielonkawy staw, gdzie wylewano fekalia. Od chwili zniknięcia Reubena Clemmowa było to najbardziej smrodliwe miejsce w okolicy.

Na brzegu stawu Mark szybko odwrócił bliskiego uduszenia Vigusa, chwycił go za spodnie i cisnął twarzą w bajoro.

Mark odetchnął głęboko i splunął na ręce.

– Teraz następny – powiedział.

I Jud Paynter również wylądował w stawie.

Kiedy wieczorem Ross wracał w zapadającym zmroku do domu z Truro, myślał o parze młodych ludzi, którzy rozpoczynali wspólne życie. Jeśli uruchomi nową kopalnię, zaproponuje Jimowi pracę na powierzchni, może jakieś zajęcie kancelaryjne, które pozwoli mu utrzymać rodzinę.

Dzisiejsza wyprawa do miasta miała związek z Wheal Leisure. Kupił różne rzeczy do domu, mąkę, cukier, szorstkie bawełniane płótno na ręczniki, parę butów do jazdy konnej, szczotkę i grzebień, po czym odwiedził notariusza, pana Nathaniała Pearce'a.

Pan Pearce, jak zawsze wylewny, siny i cierpiący na podagrę, siedział w fotelu, grzebał długim pogrzebaczem w kominku i słuchał z zainteresowaniem. Oświadczył, że, no cóż, propozycja uruchomienia kopalni brzmi bardzo ciekawie i z pewnością wymaga omówienia. Zabił wesz pod peruką i zawiesił wzrok. Czy nadsztygar Henshawe zamierza zainwestować własne kapitały? Ach, nadsztygar Henshawe cieszy się w Truro znakomitą opinią... On sam, jako notariusz, dysponuje bardzo skromnym zasobem wolnej gotówki, lecz ma kilku klientów zawsze zainteresowanych przedsięwzięciami mogącymi przynieść znaczne zyski. Chętnie zastanowi się nad całą sprawą i zobaczy, co da się zrobić.

Przedsięwzięcie posuwało się powoli, lecz jednak się posuwało i powinno nabrać impetu. Za dwa miesiące może zacząć drążyć pierwszą sztolnię.

Kiedy wprowadził klacz do stajni i rozsiadł, zastanawiał się, czy zaprosić Charlesa i Francisa do spółki.

Jechał do domu w dobrym tempie i przybył przed zmrokiem. Czarnulka była spocona i zziębnięta. Wydawała się zdenerwowana i nie mogła spokojnie ustać, gdy ją wycierał.

Pozostałe konie również zachowywały się nerwowo. Stary Ramoth potrząsał łbem i rżał. Ross zastanawiał się, czy do stajni wpełzną wąż. A może na stryżek zakradł się lis? Przez wrota ciągle wpadało trochę bladego światła, lecz w kątach panował mrok. Poklepał starego Ramotha po miękkich chrapach i zabrał się z powrotem do pracy. Wytarłszy Czarnulkę, dał jej trochę owsa i ruszył w stronę wyjścia.

Koło wrót znajdowały się stopnie prowadzące na stryżek, gdzie wcześniej spał Carter. Kiedy Ross zerknął do góry, coś przeleciało tuż obok jego głowy i ze straszliwą siłą uderzyło go w ramię. Runął na kolana; coś upadło z łomotem w słomę wyścielającą boksy. Szybko wstał i zataczając się, pobiegł do wyjścia. Znalazłszy się na zewnątrz, przywarł plecami do skrzydła bramy i dotknął barku.

Na początku ból przyprawił go o mdłości, lecz po chwili zaczął ustępować. Obmacał bark i nie natrafił na połamane kości. To, co go uderzyło, leżało na ziemi w stajni. Poznał ten przedmiot i właśnie z tego powodu tak pośpiesznie wybiegł z budynku. Był to świder górniczy, stalowe narzędzie, które po raz ostatni widział w rękach Reubena Clemmowa.

Zastał wszystkich domowników w kuchni. Prudie piła herbatę, Demelza próbowała zaszyć rozdartą sukienkę, posługując się grubą nicią i skrzywioną igłą, a Jud siedział w fotelu. Część jego twarzy zasłaniał duży bandaż, druga połowa zaś wyrażała cierpliwe pogodzenie się z losem.

– Pan kapitan! – odezwał się słabym, drżącym głosem. – Nie słyszeliśmy, jak pan przyjechał. Czy iść wytrzeć klacz?

– Już to zrobiłem. Dlaczego tak szybko wróciłeś z wesela? Co ci się stało? Prudie, podaj mi kolację za dziesięć minut. Muszę coś zrobić.

– Wesele już się skończyło – odpowiedział Jud. – Było lice, najlichsze, jakem widział. Jenó Martinowie i Carterowie, cała banda przeklętych głupków, i pare szumowin z kopalni. Rozumowałem, że Zacky zaprosi lepszych gości. Kiepsko żem się tam czuł z tym elementem...

– Coś się stało, panie? – spytała Demelza.

Ross popatrzył na dziewczynę.

– Stało? Nie, co miałoby się stać?

– A w drodze powrotnej żem się potknął o kamień koło Wheel Grace i upadł – zakończył Jud, ale Ross zniknął już w głębi domu.

– Siedź cicho, jak pan jest w złym humorze – skarcił Demelzę Jud. – Albo zobaczysz, że nie tylko ojciec może ci przetrzepać skórę. Przerywanie starszym dowodzi, żeś źle wychowana.

Demelza spoglądała na Juda wybałuszonymi oczyma, lecz nie odpowiedziała.

W salonie nie było pistoletu. Ross znalazł go w sypialni. Starannie naładował i podsypał prochu, a następnie odciągnął kurek. Wcześniej zaryglował wrota stajni, by tym razem Clemmow nie uciekł. Miał wrażenie, że osaczył wściekłego psa.

W narastającej ciemności zapalił latarnię sztormową i opuścił dom frontowymi drzwiami, po czym obszedł budynek i podążył w stronę stajni. Lepiej nie zostawiać Reubena zbyt długo samego, bo może skrzywdzić konie.

Cicho odsunął rygiel i odczekał, aż wiatr się uspokoi. Wreszcie uniósł drewnianą belkę, otworzył wrota na oścież, wszedł do środka, postawił latarnię w miejscu, gdzie nie mógł jej zgasić wiatr, i ruszył w stronę ciemnych boksów.

Czarnulka zarżała na widok zbliżającego się Rossa. Powiał wiatr, poruszając słomę i liście; zatrzepotał nietoperz, uciekając przed światłem. Stalowy świder zniknął.

– Wyjdź, Reuben! – zawołał Ross. – Chcę z tobą porozmawiać.

Żadnej odpowiedzi. Ross się jej nie spodziewał. W ciemności trzepotały skrzydła nietoperza krążącego po stajni. Ross ruszył naprzód.

Kiedy dotarł do drugiego konia, miał wrażenie, że słyszy za sobą jakiś ruch, i odwrócił się szybko z pistoletem gotowym do strzału, ale niczego nie zauważył. Zaczął żałować, że nie wziął ze sobą latarni, bo słabe światło nie docierało do mrocznego wnętrza stajni.

Dziedzic nagle się poruszył, uderzając kopytami w ziemię. Wszystkie konie rozumiały, że dzieje się coś złego. Ross odczekał pięć minut, stojąc w napięciu przy boksie i mając świadomość, że w tej chwili on oraz Reuben muszą zdać egzamin z cierpliwości i że zwycięży ten, kto dłużej zachowa zimną krew. Był pewny, że jej nie straci, i wraz z upływem czasu miał coraz większą ochotę iść dalej. Clemmow mógł się schronić ze swoją bronią na strychu. Może postanowił przeczekać noc w ukryciu?

Ross usłyszał, jak Jud wychodzi z dworu i człapie po kocich łbach. Na początku pomyślał, że idzie do stajni, ale sługa wszedł do wychodka. Później wrócił do domu i zamknął drzwi. W stajni panowała cisza.

Ross odwrócił się, by pójść po latarnię, gdy wtem usłyszał za plecami świst powietrza i trzask stalowego świdra uderzającego w ściankę, przy której przed chwilą stał. Drewno pękło, a Ross obrócił się i strzelił w postać biegnącą w półmroku. Coś trafiło go w głowę. Postać pobiegła w stronę wrót. Kiedy ukazała się na ich tle, Ross znów nacisnął spust. Ale tym razem proch na panewce się nie zapalił i Reuben Clemmow zniknął, nim Ross znowu odciągnął kurek.

Pobiegł do wrót i wyjrzał. Zauważył Reubena koło jabłoni i strzelił do niego z drugiej lufy. Później otarł z czoła strużkę krwi i ruszył w kierunku dworu, gdzie Jud, Prudie i Demelza właśnie wszczynali alarm.

Był zły i sfrustrowany, że Reuben uciekł, choć istniało duże prawdopodobieństwo, że złapią go rano.

Trudno mu będzie nie pozostawiać śladów.

Rozdział trzynasty

1

Wstał o świcie i ruszył po śladach krwi pozostawionych przez Clemmowa, ale przed przysiółkiem Mellin skręciły na północ w stronę wydm i zgubił trop. W następnych dniach Clemmow nie dał znaku życia i można było przypuszczać, że umarł gdzieś na piaszczystym pustkowiu z upływu krwi i zimna. Wszyscy byli zadowoleni, że w końcu zniknął, i nie zadawali żadnych pytań. Mieszkańcy dworu w Namparze nie zdradzili nikomu, że się znowu pojawił, a Ross wspominał o tym jedynie Zacky'emu.

Latem dwór w Namparze często ozdabiała kwiaty. Przynosiła je Demelza. Wstawała o świcie i teraz, gdy przestała się obawiać, że zostanie porwana do Illuggan i zbita, wędrowała po polach i drogach z Garrickiem, po czym wracała z wielkimi bukietami dzikich kwiatów, które ustawiała w salonie.

Prudie starała się jej to wyperswadować, gdyż uważała, że ozdabianie domu nie jest zadaniem podkuchennej, lecz Demelza w dalszym ciągu przynosiła kwiaty i w końcu pokonała opory Prudie. Czasami był to bukiet tawuły i firletki poszarpanej, a czasami naręcze naparstnic albo bukietek zawciągu pospolitego.

Jeśli Ross kiedykolwiek to spostrzegł, nie robił żadnych uwag.

Demelza przypominała młodą klacz, która przez czternaście lat miała klapki na oczach: żyła w kręgu najbliższej rodziny, skupiając się na zaspokajaniu najprymitywniejszych potrzeb. Przez pierwszych dziewięć lat była blisko związana z matką. Zmagaly się z chorobami, brutalnością ojca dziewczyny i biedą. Matka rodziła kolejne dzieci. W ciągu ostatnich pięciu lat Demelza musiała radzić sobie sama. Nic dziwnego, że teraz jej ciało i dusza odżyły. W ciągu miesiąca urosła dwa i pół centymetra; jej zainteresowanie kwiatami świadczyło, że budzi się w niej ciekawość świata.

Zaczęła się czesać i związywać włosy z tyłu. Czasem kucyk się nie rozsypywał i włosy nie opadały na twarz. Była niebrzydką dziewczyną. Miała ładną, jasną cerę, żywą twarz i inteligentne, bardzo szczere oczy. Za kilka lat pewnie zaczęłby się do niej zalecać jakiś młody górnik podobny do Jima Cartera.

Szybko się uczyła i miała wrodzony talent do naśladowania, toteż z łatwością poznawała nowe wyrazy i ich wymowę. Przestała kłąć. Ross poprosił Prudie o radę – grubej służącej bardzo to pochlebiło – i w konsekwencji Prudie, która, jeśli miała ochotę, potrafiła kłąć jak szewc, stopniowo oduczyła Demelzę posługiwania się brzydkimi wyrazami.

Kiedy Demelza zadawała dociekliwe pytania, Prudie niekiedy czuła, że wpadła w pułapkę. W przeciwieństwie do Demelzy znała zasady dobrego wychowania. Niektórych dziewcząt można by ich uczyć, samemu ich nie przestrzegając, ale nie Demelzy. Była zbyt bystra, natychmiast wyciągała wnioski i doprowadzała Prudie do konfuzji. Z tego powodu procesowi edukacji Demelzy zaczęło w końcu towarzyszyć coś w rodzaju reedukacji Prudie, która konstatowała z żalem, że w tej chwili nie może się nawet porządnie upić.

Ross przyglądał się temu z rozbawieniem. Nawet Jud nie wydawał się całkowicie odporny, lecz znosił sytuację gorzej od żony. Miał szczególne pretensje o to, że Prudie już od przeszło dwóch miesięcy nie uderzyła go kijem od szczotki.

Jednak zachowanie Paynterów nie poprawiło się dzięki kontaktowi z czystą, niewinną duszą dziecka, ponieważ owo dziecko nosiło w sobie ten sam grzech pierworodny.

Demelza się rozwijała i to samo można było powiedzieć o Garricku. Przybył do Nampany jako szczeniak, ale teraz, żywiąc się normalnym jedzeniem, rósł tak szybko, jakby miał wśród przodków psa

pasterskiego. W dalszym ciągu pokrywała go rzadka, czarna, kędzierzawa sierść. Brak ogona sprawił, że stał się dziwnie niezgrabny i łatwo tracił równowagę. Zapalał wielką sympatią do Juda, który nie znosił jego widoku. Pies biegał wszędzie za łysym służącym, kolebiąc się na boki. W lipcu uznano, że Garrick nie ma już pcheł, i wpuszczono go do kuchni. Uczcił to wydarzenie, podbiegając do Juda siedzącego przy stole i wylewając dzban cydru trzymany przez służącego na kolanach. Jud wstał, zalany cydrem, żałując utraty cennego trunku, i zamierzył się dzbanem na psa, który wypadł na dwór, a tymczasem Demelza uciekła do spiżarni i objęła rękami głowę, zanosząc się od śmiechu.

Pewnego dnia, ku zaskoczeniu Rossa, złożyła mu wizytę pani Teague wraz ze swoją najmłodszą córką Ruth.

Pani Teague wyjaśniła, że odwiedziły Mongoose i w drodze powrotnej postanowiły wstąpić do Nampary. Pani Teague nie była w Namparze od dziesięciu lat i oznajmiła, że jest niezwykle ciekawa, jak Ross sobie radzi. Jej mąż zawsze powtarzał, że rolnictwo to fascynujące hobby.

– W moim przypadku nie tylko hobby, łaskawa pani – odparł Ross. Naprawiał ogrodzenie wokół części swojego majątku. Był brudny, rozczochrany, miał poranione ręce pokryte rdzawymi plamami. Kiedy usiadł z damami w salonie, zwrócił uwagę, że pani Teague ma na sobie wyjątkowo elegancki strój do jazdy konnej. Ruth również się wystroiła.

Damy piły kordiał, który kazał przynieść. Spoglądając na córkę pani Teague, zdał sobie sprawę, co spodobało mu się w niej w czasie balu: uroda lekko uszmkowanych warg, niezwykle wykrój szarozielonych oczu, lekko uniesiony podbródek. Ostatnim rozpaczliwym wysiłkiem pani Teague zdołała tchnąć w najmłodszą córkę nieco życia. Tej witalności nie miały starsze siostry Ruth.

Rozmawiali uprzejmie o różnych sprawach. Pani Teague i Ruth przyjęły zaproszenie pana Johna Treneglosa, najstarszego syna Horace'a Treneglosa z Mongoose. John był mistrzem ceremonii podczas łowów w lesie Carnbarrow i wyrażał się z zachwytem o talentach jeździeckich Ruth. Zapraszał je tyle razy, że w końcu poczuły się zmuszone go odwiedzić. Dwór w Mongoose jest wspaniały, prawda? Gotycki i wyjątkowo przestronny, dodała pani Teague, rozglądając się po salonie Rossa. Pan Treneglos to wyjątkowo czarujący starszy pan, choć trudno nie zauważyć, że ostatnio bardzo się posunął.

Jaka szkoda, że kapitan Poldark nie jeździ na polowania! Łowy dają wiele korzyści: pozwalają poznawać ludzi z własnej klasy i są bardzo ekscytujące. Ruth zawsze w nich uczestniczy. To jedna z jej pasji, choć naturalnie ma również znacznie bardziej wyrafinowane zainteresowania. Otrzymała bardzo staranne wychowanie, rozwijając różne talenty. Pani Teague uważa, że córki powinny zdobyć umiejętności przydatne w domu. Jej koronkową mantylę wykonały samodzielnie Ruth i Joan, chociaż Joan nie jest tak zręczna jak młodsza siostra.

W czasie przemowy pani Teague Ruth wyglądała na zażenowaną. Wydymała wargi, rozglądała się ukradkiem po salonie i uderzała szpicrutą w jeden z eleganckich bucików. Ale gdy matka czymś się zajęła, dziewczyna skorzystała z okazji i posłała Rossowi porozumiewawcze, zachęcające spojrzenie. Ross pomyślał, że do zmroku zostało zaledwie kilka godzin i z pewnością nie zdoła dokończyć dziś naprawy ogrodzenia.

Pani Teague spytała, czy Ross często widuje się z resztą rodziny. Na balu w rezydencji Lemonów nie pojawił się żaden z Poldarków. Oczywiście nie można oczekiwać, że Elizabeth będzie się udzielać towarzysko tak aktywnie jak zawsze, ponieważ jest w błogosławionym stanie. Ruth oblała się rumieńcem, a Ross poczuł ukłucie bólu.

Pani Teague zastanawiała się, czy Verity mimo zakazu ojca w dalszym ciągu spotyka się z kapitanem Blameyem. Krążyły takie pogłoski. Cóż, Ross naturalnie nic o tym nie wiedział, żyjąc prawie jak pustelnik.

O wpół do szóstej pani Teague i Ruth wstały, szykując się do wyjścia. Podziękowały za zaproszenie na kolację, lecz postanowiły wrócić do domu. Było im bardzo miło, że mogły zobaczyć Rossa. Czy przyjechałby do nich z wizytą? Bardzo dobrze, któregoś dnia na początku przyszłego miesiąca. Mogą ustalić dokładną datę listownie. Nampara znowu stała się bardzo wygodna. Jednak wydaje się, że każdy dom potrzebuje kobiecej ręki, by nabrać szyku i poloru. Czy Ross tak nie sądzi?

Ruszyli w stronę drzwi frontowych. Pani Teague wesoło gawędziła, a Ruth była na przemian nadąsana i słodka. Usiłowała pochwycić spojrzenie Rossa i nawiązać z nim flirt jak w czasie balu. Służący pani Teague przyprowadził konie. Ruth wsiadła pierwsza, lekko i zgrabnie. Miała w sobie młodzieńczą grację i naturalny talent do jazdy konnej; znakomicie trzymała się w siodle. Po chwili pani Teague również wsiadła na konia, zadowolona, że Ross zerka z aprobatą na jej córkę. Eskortował je do granic swojej posiadłości.

Po drodze minęła ich Demelza. Niosła z Sawle kosz sardynek, gdyż niedawno wyładowano na brzeg pierwszy tegoroczny połów. Miała na sobie lepszą ze swoich dwóch sukienek z różowej dymki, a na jej rozczochrane włosy padały promienie słońca. Dziecko, dziewczyna, chuda, kanciasta, stawiająca długie kroki. Popatrzyła ze zdziwieniem na damy.

Zmrużyła oczy, niezgrabnie dygnęła i poszła dalej. Pani Teague wyjęła piękną koronkową chusteczkę i strzepnęła pyłek z sukni.

– Słyszałam, że... eee... adoptował pan dziewczynkę, kapitanie. To ona?

– Nikogo nie adoptowałem – odparł Ross. – Potrzebowałem służącej do pracy w kuchni. Jest dostatecznie duża, by samodzielnie o sobie decydować. Zamieszkała w Namparze. To wszystko.

– Ładniutka – orzekła pani Teague. – Tak, rzeczywiście wygląda, jakby potrafiła o sobie decydować.

2

Krytyczny moment romansu kapitana Blameya i Verity nastąpił pod koniec sierpnia. Niestety wydarzyło się to w dniu, gdy Ross miał złożyć rewizytę pani Teague.

W lecie Verity cztery razy spotkała się z kapitanem Blameyem w Namparze, kiedy przyplýwał do Anglii.

Chociaż Ross znał historię żeglarza, nie potrafił czuć do niego niechęci. Blamey był spokojnym człowiekiem, który nie lubił prowadzić banalnych rozmów. Miał przenikliwe spojrzenie i zachowywał się wyjątkowo skromnie – gdyby ktoś chciał go opisać, instynktownie użyłby przymiotnika „trzeźwy”. Jednak, jak sam przyznał, niegdyś był zupełnym przeciwieństwem trzeźwości. Czasem dawało się w nim wyczuć konflikt wewnętrzny. Ross wiedział, że Blamey ma na swoim statku opinię rygorysty; rozwinięta samokontrola i nieustanne pilnowanie się stanowiły echo dawnych zmagañ i pozwalały się domyślać, ile wysiłku kosztowało zwycięstwo. Szacunek dla Verity i okazywana jej czułość były w oczywisty sposób szczerze.

Jeśli Ross czegoś nie lubił, to siebie i swojej roli odgrywanej w całej sprawie. Ułatwiał stryjecznej siostrze schadzki z mężczyzną, choć zdrowy rozsądek podpowiadał, że nie powinna się z nim widywać. Jeśli stanie się coś złego, Ross będzie głównym winowajcą. Nie można oczekiwać trzeźwego spojrzenia na sytuację od pary zakochanych.

Ross nie był również zadowolony z efektów spotkań. Nie uczestniczył w rozmowach Verity i Blameya, wiedział jednak, że kapitan próbuje przekonać Verity, by z nim uciekła, ona zaś jak dotąd nie wyrażała na to zgody, w dalszym ciągu licząc, że jej ojciec zaakceptuje Andrew. Ale obiecała, że pojedzie z Blameyem do Falmouth, aby poznać jego dzieci, i Ross podejrzewał, że jeśli to zrobi, już nie wróci.

Nie można pojechać tak daleko i wrócić niepostrzeżenie. Jeśli do tego dojdzie, Verity przestanie stawiać dalszy opór. Kiedy znajdzie się w Falmouth, Blamey przekona ją, by go poślubiła, zamiast wracać do domu i stawiać czoło gniewowi ojca.

Tydzień wcześniej pani Teague wysłała do Rossa jednego ze swoich stajennych z zaproszeniem na „niewielkie przyjęcie” w następny piątek o godzinie czwartej po południu. Stajenny czekał, a Ross, przeklinając siebie w duchu, napisał bilecik, że przyjmuje zaproszenie. Następnego dnia przyszła Verity i spytała, czy mogłaby się spotkać z Andrew Blameyem w Namparze w piątek o trzeciej.

Ross nie widział potrzeby, aby być obecnym w trakcie ich rendez-vous, chyba że dla zachowania pozorów przyzwoitości, lecz znał Verity i wiedział, że to niepotrzebne. Dlatego wyraził zgodę i został w domu dostatecznie długo, by ich powitać.

Wprowadził Verity i Blameya do salonu, poprosił domowników, by ich nie niepokoiłi, po czym wsiadł na konia i pojechał w górę doliny, rozglądając się z żalem po posiadłości i zastanawiając się, ile pracy mógłby wykonać, zamiast uczestniczyć w eleganckim przyjęciu z udziałem kilku niemądrych młodych kobiet i mężczyzn. Na skraju doliny, tuż za Wheal Maiden, spotkał Francis i Charlesa.

Na chwilę zapomniał języka w gębie.

– Miło cię powitać na mojej ziemi, stryju – rzekł w końcu. – Postanowiliście złożyć mi wizytę? Jeszcze kilka minut i w ogóle byście mnie nie zastali.

– Postanowiliśmy cię odwiedzić – odparł krótko Francis.

Charles ściągnął wodze swojego konia. Obaj byli zaczerwienieni i źli.

– Krążą pogłoski, że Verity spotyka się w twoim dworze z tym Blameyem. Jedziemy się przekonać, czy to prawda.

– Obawiam się, że nie mogę was gościć dziś po południu – stwierdził Ross. – Jestem umówiony o czwartej dość daleko stąd.

– Verity jest teraz w twoim dworze – rzucił Francis. – Zamierzamy sprawdzić, czy jest tam również Blamey, czy ci się to podoba, czy nie.

– Prrrt! – Charles puścił wiatry. – Nie musisz być nieuprzejmy, Francisie. Może się mylimy. Daj nam słowo honoru, chłopcze, i odjedziemy w zgodzie.

– No więc co tam robi Verity? – spytał zaczepnie Francis.

– Moje słowo honoru nie sprawi, że kapitan Blamey zniknie, więc nie mogę go dać – odpowiedział Ross.

Wyraz twarzy Charlesa się zmienił.

– Niechaj cię diabli, Ross, nie masz w sobie krzty przyzwoitości! Gdzie twoja lojalność wobec rodziny?! Jak mogłeś ją zostawić sam na sam z tym kurewskim nasieniem?!

– Mówiłem ci, że tam jest, ojczy! – zawołał Francis, po czym zawrócił konia i pokłusował w dół doliny w stronę Nampary.

– Myślę, że źle oceniacie tego człowieka – powiedział Ross.

– Źle oceniliśmy ciebie! – prychnął Charles i podążył za synem.

Ross patrzył, jak zbliżają się do dworu. Miał nieprzyjemne poczucie, że wydarzy się coś złego. Ich słowa i miny nie pozostawiały wątpliwości, jakie mają intencje.

Zawrócił Czarnulkę i pojechał za nimi.

mozolnie zsiadał z konia.

Ross wszedł do pokoju. Kapitan Blamey stał przy kominku, trzymając Verity za rękaw, jakby chciał ją powstrzymać od zastąpienia drogi Francisowi. Nosił kapitański mundur z pierwszorzędnego granatowego sukna, z galonami, białym wykładanym kołnierzem i czarnym halsztukiem. Miał kompletnie beznamiętny wyraz twarzy, jakby chciał ukryć swoje uczucia, całkowicie nad nimi panować. Jego mocna budowa ciała i średni wiek kontrastowały z wyglądem Francisca, przystojnego młodego człowieka o aroganckiej minie. Ross zauważył, że Charles trzyma w ręku szpicrutę.

– ...nie mówić w ten sposób do swojej siostry – mówił Blamey. – Jeśli chce pan wypowiadać nieprzyjemne słowa, proszę je kierować do mnie.

– Plugawa kreatura! – prychnął Charles. – Skradać się za naszymi plecami! To moja jedyna córka!

– Spotkałem się z Verity w sekrecie, bo nie chce pan mnie wysłuchać – odparł Blamey. – Uważa pan, że...

– Wysłuchać?! – huknął Charles. – Zabójców żon nie ma co słuchać! Nie chcemy tu takich drani! Pozostawiają po sobie smród. Verity, weź konia i jedź do domu.

– Mam prawo decydować o swoim życiu – odpowiedziała cicho.

– Jedź, kochanie – poprosił Blamey. – To nie miejsce dla ciebie.

Uwolniła rękę.

– Zostanę.

– Więc zostań i niech cię piekło pochłonie! – zawołał Francis. – Takich łotrów jak ty można traktować tylko w jeden sposób, Blamey. Przysięgi i honor nie mają żadnego znaczenia. Może lanie przemówi ci do rozumu. – Zaczął zdejmować surdut.

– Nie na mojej ziemi – odezwał się Ross. – Jeśli zaczniecie bójkę, wyrzucę was.

Zapadła pełna konsternacji cisza.

– Na Boga żywego! – wykrzyknął Charles. – Masz czelność stawać po jego stronie?!

– Nie staję po niczyjej stronie. Nie rozstrzygniecie tej sprawy przez bójkę.

– Jesteś takim samym draniem jak on! – rzucił Francis. – Niewiele się od siebie różnicie.

– Słyszał pan, co powiedziała pana siostra – wtrącił cicho Blamey. – Ma prawo decydować o swoim życiu. Nie chcę wywoływać kłótni, ale Verity odjedzie ze mną.

– Najpierw zobaczę cię w piekle! – zawołał Francis. – Nie będziesz wycierał sobie butów naszą rodziną!

Kapitan Blamey nagle zbladł jak kreda.

– Ty bezczelny szczeniaku!

– Oto twój szczeniaku! – Francis pochylił się i uderzył Blameya otwartą dłonią w policzek.

Na policzku pojawiła się czerwona plama. Po chwili Blamey uderzył Francisca pięścią w twarz, a ten upadł na podłogę.

Zapadła cisza. Verity cofnęła się o kilka kroków ze skurczoną, zbolaną twarzą. Francis usiadł i otarł wierzchem dłoni krew ciekącą z nosa. Wstał.

– Kiedy mogę oczekiwać satysfakcji, kapitanie?

Teraz, gdy Blamey dał upust wściekłości, szybko się uspokoił. Jednak jego spokój był w pewien sposób inny. Jeśli stracił panowanie nad sobą, to tylko na chwilę.

– Jutro o świcie odpływam do Lizbony.

Na twarzy Francisca pojawił się wyraz pogardy.

– Właśnie tego się spodziewałem.

– Cóż, pozostaje dzień dzisiejszy.

Charles zrobił krok do przodu.

– Nie, Francis, nie musimy przestrzegać tych głupich francuskich zwyczajów. Dajmy mu w skórę i odjedźmy.

– Nie pozwolę na to – wtrącił Ross.

Francis oblizwał wargi.

– Żądam satysfakcji. Nie możesz zaprzeczyć, że mam do niej prawo. Ten człowiek utrzymuje, że jest dżentelmenem. Niech wyjdzie i stanie ze mną do walki, jeśli ma dość odwagi.

– Andrew – wtrąciła Verity. – Nie zgadzaj się.

Marynarz spojrział na dziewczynę nieobecny wzrokiem, jakby nienawiść jej brata już ich od siebie oddaliła.

– Walczcie na pięści – rzekł chrapliwie Charles. – Ten łajdak nie zasługuje na pojedynek na pistolety.

– Tylko kula może go zniechęcić – odparł Francis. – Muszę cię prosić o broń, Ross. Jeśli odmówisz, pošlę do Trenwith po własne pistolety.

– Zatem po nie pošlij! – rzucił ostro Ross. – Nie chcę uczestniczyć w tej morderczej awanturze.

– Wiszą na ścianie za twoimi plecami, człowieku! – wycedził przez zęby Blamey.

Francis odwrócił się i zdjął inkrustowane srebrem pistolety pojedynkowe, którymi Ross groził ojcu Demelzy.

– Czy strzelają? – spytał chłodnym tonem, zwracając się do Rossa.

Ross nie odpowiedział.

– Chodź na dwór, Blamey – odezwał się Francis.

– Posłuchaj, synu – stwierdził Charles. – Daj spokój tym nonsensom. To moja kłótnia i...

– W żadnym wypadku. Uderzył mnie.

– Wyjdźmy i nie zadawajmy się z tym szubrawcem. Verity pojedzie z nami, prawda, Verity?

– Tak, ojcze.

Francis popatrzył na Rossa.

– Wezwij swojego sługę i każ przygotować pistolety.

– Sam mu każ.

– Nie ma sekundantów – odezwał się Charles. – Taki pojedynek byłby niezgodny z przepisami.

– Formalności! W czasie polowania na wronę nie przestrzega się formalności.

Wyszli na dwór. Było widać, że Francisowi koniecznie zależy na pojedynku. Poblądły Blamey stał z boku, jakby sprawa go nie dotyczyła. Verity po raz ostatni poprosiła brata, by zrezygnował z walki, ale odpowiedział ostro, że należy jakoś rozwiązać sprawę jej afektu do Blameya i że wybrał właśnie taką drogę.

Jud stał przed domem, nie było więc potrzeby go wołać. Był wyraźnie zainteresowany całą sprawą. Wydawał się dumny, że powierzono mu tak odpowiedzialne zadanie. Widział pojedynek tylko raz w życiu, trzydzieści lat temu. Francis kazał mu pełnić funkcję arbitra i odliczyć piętnaście kroków. Jud zerknął na Rossa, który wzruszył ramionami.

– Tak jest, panie, piętnaście kroków.

Stali na murawie przed dworem. Verity nie chciała wejść do domu. Ścisnęła oparcie fotela ogrodowego.

Mężczyźni odwrócili się do siebie plecami. Francis był o trzy centymetry wyższy. Jego jasne włosy lśniły w słońcu.

– Zaczynać, panie?

– Tak.

Ross zrobił krok do przodu, lecz się zatrzymał. Ten impulsywny głupiec się nie wycofa.

– Proszę iść. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć...

Jud liczył, a dwaj mężczyźni oddalali się od siebie. Nagle przeleciała między nimi jaskółka.

Kiedy Jud doszedł do piętnastu, odwrócili się. Francis strzelił pierwszy i trafił Blameya w rękę. Blamey upuścił pistolet. Pochylił się, podniósł go lewą ręką i strzelił. Francis chwycił się za szyję i upadł.

4

Biegając do kuzyna, Ross pomyślał, że powinien być ich powstrzymać. Co się stanie z Elizabeth, jeśli Francis...

Przewrócił Francisa na plecy i zerwał mu z szyi żabot. Kula trafiła w szyję tuż koło barku i wyszła z drugiej strony. Dźwignął Francisa i zaniósł do dworu.

– Mój Boże! – zawołał Charles, podążając bezradnie za rannym. – Mój syn nie żyje... Mój syn...

– Bzdura! – przerwał Ross. – Jud, weź konia pana Francisa i jedź po doktora Choake'a. Powiedz, że to przypadkowy postrzał. Nie mów prawdy, pamiętaj!

– Jest poważnie ranny? – spytał kapitan Blamey, który obwiązał sobie dłoń chusteczką. – Ja...

– Proszę się stąd wynosić! – rzucił Charles, purpurowiejąc na twarzy. – Jak pan śmie wchodzić znowu do tego domu?!

– Nie tłóczcie się obok niego – odezwał się Ross, położywszy Francisa na kanapie. – Prudie, przynieś trochę czystych szarpi i miskę gorącej wody.

– Pozwólcie mi pomóc – odezwała się Verity. – Pozwólcie mi pomóc. Znam się na ranach. Mogę...

– Nie, nie. Zostawmy go w spokoju.

Przez moment panowała cisza, po czym Prudie wróciła z miską wody. Ross tamował krwawienie, przyciskając do rany swoją chusteczkę, która zabarwiła się na czerwono. Po chwili zastąpił ją mokrą szmatką. Francis skrzywił się z bólu i jęknął.

– Nic mu nie będzie – odezwał się Ross. – Pozwólcie mu odetchnąć.

Kapitan Blamey wziął kapelusz i wyszedł z pokoju. Siedział chwilę na ławce przed wejściem do dworu, obejmując głowę rękami.

– Na rany Chrystusa, naprawdę się przestraszyłem! – westchnął Charles, wycierając twarz i szyję pod peruką. – Myślałem, że chłopak zginął. Bogu niech będą dzięki, że ten łotr nie strzelał prawą ręką.

– Może wtedy by spudłował – zauważył Ross.

Francis odwrócił się, wymamrotał kilka słów i otworzył oczy. Odzyskał przytomność dopiero po chwili. W jego oczach nie było złości.

– Odjechał?

– Tak – odpowiedział Ross.

Francis uśmiechnął się ironicznie.

– Spudłowałem. Te twoje przekłete pistolety, Ross... Muszą mieć skrzywione muszki. Ach! Cóż, pijawki będą przez kilka tygodni głodne.

Przed domem, w ogrodzie, Verity podeszła do Andrew Blameya.

Marynarz kompletnie zamknął się w sobie. W ciągu piętnastu minut jego relacje z Verity całkowicie się zmieniły.

– Muszę jechać – powiedział i oboje natychmiast zauważyli, że użył liczby pojedynczej. – Powiniennem to zrobić, nim odzyska przytomność.

– Och, mój drogi, gdybyś mógł strzelić... strzelić w powietrze... albo wcale...

Pokręcił głową, zdając sobie sprawę ze złożoności własnej natury i z tego, że nie zdoła niczego

wytłumaczyć.

– Wiem, że to jemu na tym zależało... Sam wywołał kłótnię. Ale to mój brat. W tej sytuacji nie mogę...

Blamey za wszelką cenę próbował odnaleźć resztki nadziei.

– Z czasem wszystko odejdzie w przeszłość, Verity. Nasze uczucia się nie zmienią...

Nie odpowiedziała. Siedziała ze spuszczoną głową. Żeglarz wpatrywał się w nią przez chwilę.

– Może Francis miał rację – ciągnął. – Mamy same kłopoty. Może nigdy nie powinienem o tobie myśleć, patrzeć na ciebie.

– Nie, Francis nie miał racji. Ale po tym... nie możecie się pogodzić.

Po chwili Blamey wstał.

– Twoja ręka – powiedziała Verity. – Zabandażuję ją.

– To tylko draśnięcie. Szkoda, że nie celował lepiej.

– Możesz jeździć konno? Twoje palce...

– Tak, mogę jeździć konno.

Patrzyła, jak okrąża dwór. Szedł zgarbiony niczym starzec.

– Do widzenia, ukochana. Nawet jeśli nigdy się więcej nie zobaczymy, pozwól mi przynajmniej zachować wspomnienia.

Patrzyła, jak przekracza strumień, a później jedzie powoli w górę doliny. Nagle przestała go widzieć wyraźnie, bo w jej oczach pojawiły się łzy.

Rozdział czternasty

Cała kompania wróciła do Trenwith. Francis, tymczasowo opatrzony w Namparze, pojechał konno, a w tej chwili towarzyszył mu doktor Choake, który z wielką troską bandażował ranę. Charles poszedł do siebie, puszczając wiatry i mamrocząc z wściekłości, po czym zwymiotował i spał aż do kolacji.

Elizabeth o mało nie zemdląła na widok męża. Jednak szybko doszła do siebie. Biegała po schodach w górę i w dół, poganiając panią Tabb i Bartle'a, by jak najszybciej przynosili doktorowi Choake'owi niezbędne rzeczy. Starła się, by rannemu było wygodnie. Przez całe życie miała w sobie ukryty zasób nerwowej energii, nieujawnianej w zwykłych chwilach, lecz możliwej do wykorzystania w potrzebie. Była to jej fundamentalna siła, której mogłoby brakować silniejszej osobie.

Verity poszła do swojego pokoju...

Czuła się samotna w domu, w którym mieszkała od dwudziestu pięciu lat. Otaczali ją obcy. Co więcej, wrogowie. Odsunęli się od niej, a ona od nich – w ogóle jej nie rozumieli. Po południu zamknęła się w sobie; otoczyła ją skorupa smutku i obcości.

Zaryglowała drzwi i usiadła w fotelu. Jej romans się zakończył. Buntowała się przeciwko tej myśli, lecz wiedziała, że to prawda. Czuła się słaba, chora, rozpaczliwie zmęczona życiem. Gdyby śmierć mogła przyjść cicho i spokojnie, pogodziłaby się z nią, utonęłaby w niej, jak człowiek tonie w łóżku, myśląc tylko o śnie i zapomnieniu.

Rozejrzała się po pokoju. Wszystkie przedmioty były znajome, związane ze wspomnieniami życia codziennego.

Przez całe dzieciństwo i młodość wyglądała przez długie, wąskie, podnoszone do góry okno w alkowie. Patrzyła na herbarium, na cisowy żywopłot, na trzy krzywe sykomory. Patrzyła o każdej porze roku, w różnych nastrojach. Patrzyła na wzory tworzące się na szybach od mrozu, na krople spływające po szkle niczym łzy po policzkach starca. Pierwsze promienie wiosennego słońca padały przez okno na turecki dywan i ciemne dębowe deski.

Odkąd pamiętała, na rzeźbionej sosnowej półce nad kominkiem stał stary francuski zegar z połączanymi figurkami dam z epoki Ludwika XIV. Cienkie, metaliczne kuranty wybijały godziny od przeszło pół wieku. Powstał w czasach, gdy Charles był małym chłopcem, a nie zasapanym starcem o purpurowej twarzy, niszczącym romans córki. Byli zawsze razem – dziecko i zegar, dziewczyna i zegar, kobieta i zegar – w chorobie, wśród nocnych koszmarów, w czasie czytania bajek, w trakcie snów na jawie, wśród monotonii i wspianiałości życia.

Verity spojrzała na gablotkę ze szklanym blatem i rzeźbionymi nogami, fotele pokryte różową satyną, wiklinowy fotel bujany, przysadziste mosiężne lichtarze z rzędami profitek, poduszeczkę do igieł, koszyk na robótki obszyty haftowaną materią, miednicę do mycia z dwoma uchwyty. Nawet ozdoby pokoju stały się w jakiś sposób jej częścią: długie kotary z adamaszku, tapety ze spłowiałymi szkarłatnymi kwiatami na kremowym tle, białe gipsowe róże na gzymsie i suficie.

Zdawała sobie sprawę, że w swoim pokoju, którego nigdy nie odwiedził żaden mężczyzna z wyjątkiem brata i ojca, może dać upust emocjom, położyć się na łóżku i szlochać. Ale siedziała w fotelu w bezruchu.

Nie płakała. Rana była zbyt głęboka albo Verity nie potrafiła się poddać. Czekał ją wieczny ból z powodu straty i samotności, stopniowo stępiany przez upływ czasu, aż stanie się częścią jej charakteru, goryczą z domieszką zwiędłej dumy.

Andrew na pewno wrócił już do Falmouth, do mieszkania, o którym słyszała, lecz nigdy go nie

widziała. Mówił spokojnym tonem, lecz wyobrażała sobie, jak ponure jest jego życie na lądzie, w dwóch pokojach w zajeździe koło portu, gdzie usługiwała mu brzydka kobieta.

Miała zamiar to zmienić. Planowali wynająć dom z widokiem na zatokę, z kilkoma drzewami i ogrodem opadającym aż do kamienistej plaży. Chociaż rzadko opowiadał o swoim pierwszym małżeństwie, rozumiała, że większa część winy leżała po stronie żony – niezależnie od tego, jak niewybaczalny błąd popełnił na końcu. Czuła, że potrafi wszystko zmienić. Ze swoimi zdolnościami, zręcznością potrafi stworzyć dom pełen miłości, którego nigdy nie miał.

W tym pokoju, gdzie stała się dorosłą kobietą, wyschnie i zwiędnie. Obojętnym świadkiem tego procesu stanie się lustro w złoconych ramach wiszące w rogu. W nadchodzących latach będą jej towarzyszyć jedynie te ozdoby i meble. Zdała sobie sprawę, że je znienawidzi, a może już nienawidzi jako świadków jej upokorzenia i jałowości.

Bez przekonania próbowała się otrząsnąć z tego nastroju. Ojciec i brat działali w dobrej wierze, zgodnie z zasadami wpojonymi przez wychowanie. Jeśli w rezultacie zestarzeje się jako ich służąca, nie powinna ich o to obwiniać. Uważali, że „ocalili ją przed samą sobą”. Życie w Trenwith będzie spokojniejsze, bezpieczniejsze od życia żony wyrzutka społeczeństwa. Otaczali ją krewni i przyjaciele. W czasie długich letnich dni trzeba się zajmować pracami związanymi z uprawą ziemi: siewem, wiązaniem snopów, żniwami. Trzeba doglądać wyrobu sera i masła, przygotowywać syropy i przetwory. W zimie również było mnóstwo roboty. Wieczorami szycie zasłon, narzut i pończoch, przedzenie wełny i lnu z ciotką Agathą, warzenie piwa, gra w bezika, gdy pojawią się goście, pomaganie wielebnemu Odgersowi w prowadzeniu prób chóru w kościele w Sawle, leczenie służących naparami, gdy zachorują.

Tej zimy w domu pojawi się dziecko. Gdyby Verity odeszła, Elizabeth nie dałaby sobie rady, Francis nie potrafiłby pokierować służbą, nikt nie poprawiałby Charlesowi poduszek ani nie dbał, by jego srebrny kufel wypolerowano przed każdym posiłkiem. Verity zajmowała się setkami rzeczy związanych z prowadzeniem domu. Nawet jeśli nikt jej za to nie dziękował, wszyscy okazywali jej milczącą czułość i przyjaźń. Nie mogła tego lekceważyć.

Skoro w przeszłości nie uznawała swoich obowiązków za irytujące, to czemu teraz wyobraża sobie, że w przyszłości staną się przykre? Czy to pierwszy zwiastun zawodu miłosnego?

Mogłaby tak argumentować. Andrew odjechał bez niej. Siedział teraz w koszmarnej mieszkanie w Falmouth, obejmując głowę rękami. Za tydzień Andrew w Zatoce Biskajskiej, później Andrew chodzący nocą ulicami Lizbony, a za miesiąc z powrotem w swojej kwaterze. Andrew, który jadł, pił, spał, budził się, istniał, odjechał bez niej. Przywłaszczył sobie jej serce, a może część serca, i nic już nie będzie takie samo.

W zeszłym roku poddała się rytmowi codziennego życia, codziennej rutyny. Mogłaby tak żyć, nie buntując się, aż stałaby się kobietą w średnim wieku, zadowoloną, pozbawioną ambicji. Lecz od tej chwili musi płynąć pod prąd, zmagać się z losem, czując gorycz, żal i frustrację.

Siedziała samotnie w pokoju, aż zapadła ciemność, która otoczyła ją niczym ramiona matki.

Tego lata nie rozpoczęto robót w Wheal Leisure.

Po pewnym wahaniu Ross zaprosił Francisa do przyłączenia się do spółki. Kuzyn dość szorstko odrzucił propozycję, lecz projekt wstrzymywało coś ważniejszego. Giełdowa cena miedzi spadła do osiemdziesięciu funtów za tonę. Rozpoczynanie nowych prac górniczych w takim momencie było zbyt ryzykowne.

Rana na szyi Francisa szybko się zagoiła, ale on i jego ojciec w dalszym ciągu mieli za złe Rossowi udział w romansie Verity. Wcześniej krążyły pogłoski, że Francis Poldark i jego młoda żona szastają pieniędzmi, a teraz, gdy Elizabeth przestała uczestniczyć w życiu towarzyskim, Francis spędzał dużo czasu z George'em Warlegganem.

Ross rzadko widywał Verity, bo przez resztę lata prawie nie opuszczała Trenwith. Wysłał do pani Teague list z przeprosinami za nieprzybycie na przyjęcie „wskutek nieprzewidzianych okoliczności spowodowanych siłą wyższą”. To wszystko, co mógł napisać. Nie otrzymał odpowiedzi. Później dowiedział się, że „niewielkie przyjęcie” okazało się urodzinami Ruth, na których miał być gościem honorowym. Było za późno na przeprosiny. Spowodował nieodwracalne szkody.

Po przełożeniu początku robót w Wheal Leisure Jim Carter zrezygnował z pracy w posiadłości Rossa. Nie chciał być przez całe życie parobkiem. Wrócił do Grambler.

Pewnego sierpniowego wieczoru Jim podszedł do Rossa. Przez cały dzień kosili pole jęczmienia. Wyjaśnił, że Jinny nie będzie mogła pracować w Grambler po Bożym Narodzeniu – przynajmniej przez pewien czas – i że nie zdołają się utrzymać bez jej zarobków. Dlatego został sztygarem zmianowym w Grambler na głębokości czterdziestu sążni.

– Bardzo mi przykro, że odchodzę, panie – powiedział. – Ale to dobra praca. Wiem o tym. Jeśli będę miał szczęście, zarobię trzydzieści albo trzydzieści pięć szylingów na miesiąc, a to po naszej myśli. Jakby pan pozwolił zostać nam w chacie, to chcielibyśmy płacić czynsz.

– Niech tak będzie, skoro uważacie, że was stać – odparł Ross. – Ale nie bądź taki chętny do wydawania pieniędzy, jeśli nie masz pewności, że je zarobisz.

– Nie, panie – wymamrotał Jim. – Chodzi o to, że...

– Wiem, chłopcze. Nie jestem ślepy. Nie jestem także głuchy. Słyszałem plotki, że któreś nocy kłusowałeś z Nickiem Vigusem.

Jim zaczerwienił się po same uszy. Zaczął się jąkać i już miał zaprzeczyć, lecz nagle powiedział:

– Tak.

– To niebezpieczna rozrywka – stwierdził Ross. – W czyim majątku kłusowaliście?

– Treneglosów.

Ross stłumił śmiech. Ostrzegał Jima śmiertelnie poważnie i nie miał zamiaru łagodzić wymowy swoich słów.

– Trzymaj się z dala od Nicka Vigusa, Jim. Wpakuje cię w tarapaty, nim się spostrzeżesz.

– Tak, panie.

– Co na to Jinny?

– Mówi to samo co pan. Obiecałem... obiecałem jej, że więcej nie pójdę.

– W takim razie dotrzymaj obietnicy.

– Chodziłem dla Jinny. Żeby czasem zjadła jakiś smaczny kąsek...

– Jak się czuje?

– Dobrze, panie, dziękuję. Jesteśmy bardzo szczęśliwi tylko we dwoje. Może nawet bym chciał, żeby tak zostało. Żeby w chacie nie było nikogo innego. Ale Jinny jest szczęśliwa. To nie ona się boi.

2

W relacjach Demelzy Carne z resztą domowników dworu w Namparze w dalszym ciągu zachodziły subtelne zmiany. Kiedy prześcignęła Paynterów pod względem intelektualnym, szukała informacji w innych źródłach i to zbliżyło ją do Rossa, który czuł pewną przyjemność, mogąc jej pomagać. Wiele razy miał ochotę roześmiać się z jej uwag, lecz sobie na to nie pozwalał.

Pod koniec sierpnia, gdy na polach stawiano stogi zboża, Prudie poślizgnęła się, zraniła w nogę i musiała się położyć do łóżka.

Demelza przez cztery dni niepodzielnie zarządzała domem i chociaż Ross nie wiedział, czym się zajmowała, południowy posiłek zawsze pojawiał się punktualnie, a wieczorem, gdy wracał zmęczony do domu, czekał na niego obfity obiad. Kiedy Prudie zaczęła chodzić, Demelza nie próbowała dalej zarządzać domem, ale Prudie już nigdy nie odnosiła się do niej jak gospodyni do pomywaczki, której można rozkazywać. Skomentował to jedynie Jud, który powiedział żonie, że staje się słaba jak stara kobyła.

W ciągu tych czterech dni Ross nie rozmawiał z Demelzą o jej staraniach, lecz kiedy następnym razem pojechał do Truro, kupił jej czerwoną suknię, bardzo modną w górniczych osiedlach zachodniej Kornwalii. Oniemiała na jej widok – nietypowa reakcja – i poszła do sypialni ją przymierzyć. Później zauważył, że spogląda na niego w szczególny sposób. Wiedziała, że jako służąca powinna dbać o Rossa, zaspokajając jego potrzeby i zachcianki, lecz wprost nie mieściło jej się w głowie, że on może ją traktować tak samo.

W zastępstwie Jima Ross zaangażował starszego mężczyznę o nazwisku Jack Cobbledick. Był to melancholik powolny w myśleniu i w mowie, mający długie rude wąsy z domieszką siwizny opadające na wargi. Kiedy chodził, zawsze wysoko unosił chude nogi, jakby stapał po wyrosniętej trawie. Demelza kilka razy przeszła przez dziedziniec, unosząc swoje długie nogi w podobny sposób, co o mało nie doprowadziło do awantury.

We wrześniu, gdy trwał sezon połowów sardynek, Ross jeździł od czasu do czasu do Sawle, by obejrzeć łodzie wpływające do zatoki albo kupić pół beczki ryb do zasolenia, dopóki są świeże. Okazało się, że Demelza, mająca doświadczenie w przygotowywaniu zapasów żywności dla dużej, ubogiej rodziny, zna się na tym lepiej od niego, toteż niekiedy jeździła razem z nim, siedząc z tyłu na koniu, albo wyruszała pieszo pół godziny wcześniej. Czasem Jud zaprzęgał dwa woły do rozklekotanego wozu, jechał do Sawle i kupował za pół gwinei ładunek uszkodzonych lub nadpsutych ryb, które można było wykorzystać jako nawóz.

Z kościoła z Sawle wychodziło się na Stippy-Stappy Lane, a za niewielkim łukowatym mostkiem znajdował się porośnięty trawą plac otoczony szopami i chatami. Był centrum wioski. Kilka kroków dalej rozciągała się kamienista plaża i płytkie wejście do zatoki.

Tuż za plażą stały dwie chaty, w których oprawiano ryby, i w lecie właśnie tam skupiało się życie wsi. To tu sortowano sardynki i składowano je przez miesiąc w piwnicach do wysuszenia, po czym je konserwowano i eksportowano w beczkach do krajów basenu Morza Śródziemnego.

Elizabeth urodziła dziecko pod koniec października. Poród był długi i ciężki, lecz matka dobrze zniosła jego trudy i prędko doszła do siebie, gdyby nie to, że nazajutrz doktor Choake postanowił puścić jej krew. W konsekwencji przez następną dobę raz po raz mdlała, co wywoływało niepokój domowników, a Elizabeth trzeba było cucić, podsuwając jej pod nos spalone pióra.

Charles był w siódmym niebie. Wiadomość o narodzinach dziecka płci męskiej wyrwała go z poobiedniego odrętwienia.

– Cudownie! – zawołał do Francisa. – Doskonale się spisałeś, chłopcze! Jestem z ciebie dumny. A zatem mamy wnuka, co? Do kata, właśnie tego pragnąłem!

– Powinieneś podziękować Elizabeth, nie mnie – odparł Francis bezbarwnym tonem.

– Co takiego? Ach, mam nadzieję, że zrobiłeś, co do ciebie należało! – Charles zaniósł się śmiechem. – Nieważne, chłopcze. Jestem dumny z was obojga. Myślałem, że jej na to nie stać. Jak zamierzacie mu dać na imię?

– Jeszcze nie podjęliśmy decyzji – rzekł ponuro Francis.

Charles uniósł z fotela swoje ogromne ciało i wyszedł, kolebiąc się, do sieni, by obejrzyć portrety.

– Cóż, mamy w naszym rodzie wiele pięknych imion. Popatrzmy... jest Robert, Claude... Vivian... i Henry. Dwóch lub trzech Charlesów. Masz coś przeciwko imieniu Charles, chłopcze?

– Powinna o tym zdecydować Elizabeth.

– Tak, tak, na pewno to zrobi. Tak czy inaczej, mam nadzieję, że nie wybierze imienia Jonathan. Piekielnie głupie imię. Gdzie Verity?

– Na górze, pomaga.

– Cóż, powiedz, kiedy dziadek będzie mógł zobaczyć tego urwisa. Chłopiec, co? Dobrze się spisaliście.

Elizabeth przez dłuższy czas chorowała, dlatego chrzciny odbyły się dopiero na początku grudnia i nie były tak uroczyste, jak życzyłyby sobie Charles. W ceremonii, łącznie z najbliższą rodziną, uczestniczyło zaledwie osiemnaście osób.

Dorothy Johns, żona kuzyna Williama-Alfreda, chwilowo nie znajdowała się w błogosławionym stanie i tym razem towarzyszyła mężowi. Była zasuszoną, drobną, starannie ubraną kobietą w wieku czterdziestu lat, miała nieco skwaszony uśmiech i odznaczała się wyjątkową wstydlivością, która zupełnie nie pasowała do epoki. Dorothy nigdy nie używała wyrazu „brzuch” nawet w prywatnych rozmowach i istniały tematy, o których w ogóle nie wspominała, co budziło zdumienie większości jej przyjaciółek. Dwie ostatnie ciąży podkopały jej zdrowie, a Ross zauważył, że jest chuda i pomarszczona. Czy Elizabeth też będzie kiedyś tak wyglądać? W czasie pierwszej ciąży nawet wypiękniała.

Leżała na kanapie, na którą zaniósł ją Francis. Na kominku płonął wielki ogień. Tańczące płomienie przypominały baraszkujące ogary. Wielka sala była ciepła, ogień płonący na kominku odbijał się w oczach gości, za oknami płynęła rzadka, szara mgła. W sali znajdowało się mnóstwo kwiatów. Elizabeth spoczywała między nimi jak lilia, a wszyscy krążyli wokół niej. Jej ramiona i szyja miały woskową barwę, lecz na twarzy płonęły rumieńce. Przywodziła na myśl kwitnącą lilię wyhodowaną w szklarni.

Chłopiec otrzymał imiona Geoffrey Charles. Zawiniątko z błękitnego jedwabiu i koronki, maleńka główka pokryta puchatym meszkiem, ciemnobłękitne oczy i bezzębne dziąsła ciotki Agathy. Nie protestował w czasie ceremonii chrztu, po czym spokojnie wrócił na ręce matki. Wszyscy zgodnie uznali go za ideał.

W czasie przyjęcia, które nastąpiło później, Charles i pan Chynoweth rozmawiali o walkach kogutów,

a pani Choake opowiadała najświeższe plotki o księciu Walii.

Pani Chynoweth rozmawiała z George'em Warlegganem i skupiła na sobie całą jego uwagę, co zirykowało Patience Teague. Ciotka Agatha przeżuwała kawałki chleba i starała się dosłyszeć, co mówi pani Chynoweth. Verity milczała i wpatrywała się w blat stołu. Doktor Choake ze zmarszczonymi brwiami opowiedział Rossowi o oskarżeniach, które powinny zostać wysunięte przeciwko Hastingsowi, gubernatorowi Bengalu. Ruth Teague, siedząca zawstydzająco blisko Rossa, usiłowała rozmawiać z matką, jakby go nie było.

Zachowanie Ruth lekko rozbawiło Rossa, ale trochę zdziwiła go rezerwa okazywana mu przez kilka innych dam – Dorothy Johns, panią Chynoweth i panią Choake. W niczym im nie uchybił. Elizabeth starała się być dla niego wyjątkowo miła.

W połowie posiłku Charles z trudem wstał, by wznieść toast na cześć wnuka. Przemawiał przez kilka minut, dysząc jak buldog, po czym chwycił się gwałtownie za pierś, zawołał rozpaczliwie: „Powietrza! Powietrza!” i runął na podłogę.

Uczestnicy przyjęcia niezgrabnie podnieśli ogromne ciało Charlesa i posadzili go w fotelu. Potem Ross, Francis, George Warleggan i doktor Choake powoli zanieśli nieprzytomnego na górę, do sypialni.

Znalazłszy się w ogromnym łóżu z baldachimem z brązowymi kotarami, Charles oddychał jakby nieco lżej, ale nie poruszał się ani nie odzywał. Verity, wyrwana z letargu, pośpieszyła z pomocą doktorowi. Choake puścił Charlesowi krew, osłuchał pierś chorego, wyprostował się i podrapał się po łysym ciemieniu, jakby mogło to pomóc.

– Hm, tak... – mruknął. – Myślę, że to wystarczy. Zawał serca. Powinien mieć zupełny spokój i ciepło. Trzeba zamknąć okna i zaciągnąć kotary łoża, by się nie przeziębził. Jest bardzo gruby, hm, miejmy nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

Kiedy Ross wrócił do gości do sali na parterze, zobaczył, że czekają na wiadomości o stanie chorego. Byłoby nieuprzejmie wyjść, nie uzyskawszy konkretnych informacji od doktora Choake'a. Dowiedział się, że Elizabeth bardzo się zdenerwowała, przeprosiła gości i poszła do siebie.

Ciotka Agatha delikatnie poruszała kołyską niemowlęcia, skubiąc siwe włoski na podbródku.

– Zły znak – powiedziała. – Niedobrze, że w czasie chrzcina małego Charlesa duży Charles zasnął. Jakby piorun trafił we więz. Mam nadzieję, że nic z tego nie wyniknie.

Ross poszedł do dużego, pustego salonu i stanął przy oknie. Posępny dzień stał się jeszcze bardziej mroczny. Pogoda się popsowała i szybko pokrywały krople deszczu.

Zmiana, rozkład. Czy Charles tak szybko podąży za Joshua? Od pewnego czasu niedomagał: był coraz bardziej siny, niezgrabny, nie kontrolował odruchów. Stara Agatha i jej złe znaki. Jak to wpłynie na Verity? Będzie w żałobie, lecz jej sytuacja się nie zmieni. Dwór i ziemię odziedziczy Francis. Jeśli zechce, będzie mógł postawić cały majątek, grając z Warlegganem. Może odpowiedzialność wpłynie na niego trzeźwiąco?

Przeszedł z salonu do następnego pomieszczenia, biblioteki, małej, ciemnej, pachnącej stęchlizną i kurzem. Charles niewiele czytał, podobnie jak Joshua. Większość książek zgromadził ich ojciec Claude Henry.

Ross popatrzył na półki. Usłyszał głosy dwóch kobiet wchodzących do salonu, lecz nie zwrócił na nie szczególnej uwagi, bo znalazł nowe wydanie *Justice of the Peace* doktora Burna. Zaczął czytać rozdział o niepoczytalności, gdy dotarł do niego głos pani Teague, słyszalny przez otwarte drzwi.

– Cóż, drogie dziecko, czegoż innego można się spodziewać? Niedaleko pada jabłko od jabłoni, zawsze to mówię.

– Długa pani... – głos należał do sepleniącej Polly Choake – coś za histolie słysy się o stałym Josui! Baldzo zabawne. Skoda tylko, ze nie byłam wtedy w tych stłonach...!

– Dżentelmen wie, gdzie są granice, i nigdy ich nie przekracza – odpowiedziała pani Teague. – Zawsze powinien mieć uczciwe zamiary wobec damy należącej do własnej klasy. Stosunek do kobiet z klas niższych to inna sprawa. Mężczyźni to w końcu tylko mężczyźni. To bardzo nieprzyjemne, wiem, ale jeśli nie dochodzi do skandalu i dziewczka otrzymuje odpowiednią odprawę, nie ma żadnej szkody. Joshua nigdy nie widział różnicy między damami a prostymi dziewczkami. Właśnie dlatego nie aprobowałam jego postępowania, dlatego całe hrabstwo nie aprobowało jego postępowania i stale pojedynkował się z ojcami i mężami różnych kobiet z towarzystwa. Był zbyt swobodny w swoich afektach.

Polly zachichotała.

– Lacey loswiązły!

Pani Teague mówiła:

– Ileż historii o złamanym przez Joshuę sercach mogłabym opowiedzieć! Skandal gonił skandal. Ale nawet Joshua nie sprowadzał do swojego domu dziwek i flej. Nawet on nie porwał zagłodzonej żebraczki, jeszcze dziecka, i nie uwiódł jej w swoim domu! Najgorsze, że trzyma ją u siebie zupełnie otwarcie! Gdyby mieszkała z rodzicami, wszystko wyglądałoby inaczej. Nie jest dobrze, kiedy gmin widzi, że prosta dziewczka żyje jak równy z równym z mężczyzną z klasy Rossa. Przychodzą im do głowy niebezpieczne myśli. Szczerze mówiąc, kiedy ostatni raz go odwiedziłam – wiele miesięcy temu, po prostu wpadłam do niego przejazdem – widziałam tę istotę. Dziwka. Zaczyna stroić fochy. Łatwo rozpoznać takie kreatury.

– Pławie codziennie psyjeżdza z nią do Sawle – wysepleniła Polly Choake. – Siedzi za nim na koniu, ublana w celwoną sukienkę!

– To niedopuszczalne. Kompromituje rodzinę. Ciekawe, czy każą mu ją odprawić.

– Może się boją? – zachichotała Polly. – Mówią, że to cholelyk. Może udeżyć, jak mu się coś nie podoba. Bałabym się z nim rozmawiać!

– Charles był zbyt wyrozumiały – rozległ się nowy głos. Pojawiła się pani Chynoweth. Wydawała się zirytowana. – Po śmierci Charlesa Francis uderzy pięścią w stół. Jeśli Ross nie posłucha, będzie musiał się pogodzić z konsekwencjami. – Rozległ się odgłos otwieranych i zamykanych drzwi.

Polly Choake znów zachichotała.

– Na pewno baldzo by chciała zostać panią w Tlenwith zamiast Elizabeth! Może Flancis tes by się wtedy poplawił? Mój małzonek, doktol Choake, mówił mi, że wczolaj wieczolem Flancis psegłał sto gwinei w kalty!

– Hazard to rozrywka dżentelmenów, Polly – zauważyła pani Teague. – Może...

Polly zachichotała jeszcze głośniej.

– A lospusta?!

– Tss, dziecko! Musisz się nauczyć panować nad głosem. Nie wolno...

– Doktol zawse tes to powtasa...

– I ma rację. Szczególnie nieprzystojnie jest śmiać się w domu chorego. Powiedz mi, dziecko, jakie jeszcze plotki o Rossie słyszałaś?

Charles nie odzyskał przytomności na tyle, by pożegnać gości zaproszonych na chrzciny. Kiedy Ross opuszczał niezwykle cichy dwór w Trenwith, ciotka Agatha w dalszym ciągu kołysała niemowlę i mruzczała: „Zły znak, zły znak. Ciekawe, co z tego wyniknie?”. Po jej pomarszczonej brodzie ciekła ślina.

Jadąc do domu, Ross nie myślał o chorobie Charlesa ani przyszłości Geoffreya Charlesa.

W Namparze przygotowywano się do zimy: ścinano na opał część gałęzi wiązów. Jedno drzewo należało usunąć, ponieważ rosnęło w rozmokłej ziemi nad strumieniem i jesienne wichury naruszyły korzenie. Jud Paynter i Jack Cobbledick przywiązali linę do jednej z wyższych gałęzi i usiłowali ciąć pień długą piłą. Pracowali przez kilka minut, po czym ciągnęli linę, by sprawdzić, czy zdołają złamać wiąz. Późnym popołudniem reszta domowników wyszła z domu, by popatrzeć. Demelza biegała jak opętana wokół drzewa, próbując pomagać, a Prudie, skrzyżowawszy na piersiach muskularne ramiona przypominające sękatę korzenie drzewa, stała przy moście i udzielała niepotrzebnych rad.

Odwróciła się i spojrzała na Rossa, marszcząc brwi.

– Po mojemu potrzebna jest klacz. Jak chrzciny, jaśnie panie? Zadne piwo dawali? Dzieciak podobny do pana Francisa?

– Dość podobny. Co ugryzło Demelzę?

– Ma jeden ze swoich humorów. Ciągłe gadam Judowi, że ta dziewczyna jeszcze narobi ambarasu. Lata tak od odejścia ojca.

– Ojca? Czego tu chciał?

– Przylazł tu pół godziny po pana odjeździe. Był sam, w niedzielnym ubraniu. „Chce się widzieć z córką”, mruknął jak stary niedźwiedź, a Demelza w podskokach wyleciała do niego z domu.

– No i?

– Szarpnijta mocno to stare drzewo z drugiej strony! – krzyknęła tubalnie. – Nie cackajta się z nim! To nie tańce przy słupie majowym!

Odpowiedź jej męża na szczęście porwał wiatr. Ross ruszył powoli w stronę Juda i Cobbledicka, a Demelza wybiegła mu na spotkanie, od czasu do czasu podskakując, jak zwykle gdy była rozemocjonowana.

A zatem ojciec i córka jednak zatęsknili za sobą i wreszcie się pogodzili. Demelza na pewno pragnie wrócić do domu i głupie, złośliwe plotki wreszcie ustaną.

– Nie chce runąć! – odezwała się, kiedy podbiegła do Rossa. Odrzuciła włosy z oczu i spojrzała na drzewo. – Jest mocniejsze, niż myśleliśmy.

Głupie, złośliwe plotki. Złe, puste, brudne plotki. Miał ochotę ukręcić chudą szyję Polly Choake. Nie zdołał zdobyć Elizabeth, lecz jeszcze nie upadł tak nisko, by uwodzić własną podkuchenną. Zwłaszcza Demelzę, której brudne, chude ciało sam oblewał zimną wodą, gdy nie tak dawno temu pojawiła się w Namparze. Od tamtej pory urosła. Przypuszczał, że okoliczne plotkarki nie mogą sobie wyobrazić syna Joshui żyjącego w celibacie. Umysły niektórych kobiet przypominają ścieki: musi się w nich pojawić smród.

Demelza poruszyła się niespokojnie i spojrzała niepewnie na Rossa, czując na sobie jego wzrok. Przypominała nerwowego żrebaka o długich nogach i rozbieganych ślepiach. Kiedy miała jeden ze

swoich humorów, jak to nazywała Prudie, nie dawało się przewidzieć, co zrobi.

– Był tu twój ojciec – powiedział.

Rozpromieniła się.

– Taaaak! Pogodziłam się z nim i jestem zadowolona! – Spoważniała, usiłując coś wyczytać z twarzy Rossa. – Źle uczyniłam?

– Oczywiście, że nie. Kiedy chce, żebyś wróciła?

– Jakby tego nie chciał, tobym nie mogła się z nim pogodzić, prawda? – Roześmiała się radosnym, pełnym życia, zaraźliwym śmiechem. – Nie chce, cobym wracała, bo znowu się ożenił. W zeszyły poniedziałek! Dlatego teraz jest miły, a ja nie muszę myśleć co noc, jak się miewa brat Luke i czy brat Jack za mną tęskni. Wdowa Chegwidden zajmie się ojcem lepiej niż ja. To metodystka i będzie o niego dbała.

– Ach... – westchnął Ross. Tak więc mimo wszystko nie pozbędzie się Demelzy.

– Coś mi się zdaje, że ona chce go zmienić. Wierzy, że oduczy go pić. Ale po mojemu jej się nie uda.

Dwaj mężczyźni piłowali przez kilka minut, po czym podeszli z poważnymi minami do końca liny i zaczęli ciągnąć. Ross dołączył do nich i wyteżył wszystkie siły. Jakiś złośliwy chochlik w głębi jego umysłu cieszył się, że oszczercze plotki nie ustaną. Niech gadają, aż im odpadną języki.

Elizabeth z pewnością nie uwierzy w te historie.

Mocno szarpnął za linę, która nagle pękła w miejscu, gdzie była przywiązana do konara. Ross, Jud i Cobbledick upadli na ziemię. Garrick, który wybrał się na polowanie na króliki i dotychczas nie uczestniczył w zabawie, kiedy zauważył, że koło drzewa dzieje się coś ciekawego, przybiegł i zaczął skakać wokół mężczyzn. Jud wstał na kolana, a pies polizał go po twarzy.

– Przekłęty kundel! – parsknął Jud i splunął.

– Nędzna ta lina – zauważył Ross. – Gdzie ją znaleźliście?

– W bibliotece...

– Jeden koniec sparcił – wyjaśniła Demelza. – Reszta jest dobra.

Wzięła linę i zaczęła się wspinać na drzewo ze zręcznością kotki.

– Wracaj! – zawołał Ross.

– Za pierwszym razem też ona przywiązała – powiedział Jud, próbując jednocześnie kopnąć Garricka.

– To nie dla niej zajęcie. A teraz... – Ross zbliżył się do drzewa. – Demelza, zejdz!

Teraz go usłyszała, znieruchomiała i wyrzała spomiędzy gałęzi.

– Dlaczego? Jestem prawie na górze.

– Więc przywiąż linę i złaż!

– Przywiążę ją do następnej gałęzi. – Wspięła się metr wyżej.

– Złaż!

Rozległ się groźny trzask.

– Uważaj! – wrzasnął Jud.

Demelza zatrzymała się i popatrzyła w dół. Wyglądała jak kotka, która nagle spostrzegła, że znalazła się w niebezpieczeństwie. Pisnęła, a drzewo się gwałtownie przechyliło. Ross odskoczył na bok.

Drzewo upadło z przeciągłym chrzęstem przypominającym odgłos wydawany przez ładunek łupku wysypujący się z wozu. Później zapadła kompletna cisza.

Ross popędził do przodu, ale nie mógł podejść blisko z powodu rozłożystych gałęzi. Nagle w samym środku pojawiła się Demelza; przedzierała się wśród konarów. Od strony stajni nadbiegła, kolebiąc się, Prudie.

– Mój Boże! Mój Boże! – krzyczała.

Jack Cobbledick dotarł do Demelzy pierwszy, ale musieli odrąbać część mniejszych gałęzi, które

zaczepiły jej ubranie. Wyczołgała się spomiędzy liści, śmiejąc się głośno. Miała podrapane ręce, zakrwawione kolana, otarcia na jednej łydce, lecz poza tym nie odniosła żadnych obrażeń.

Ross popatrzył na nią z wściekłością.

– W przyszłości masz słuchać moich poleceń! Nie chcę, żebyś się połamała.

Spojrzenie Rossa sprawiło, że natychmiast przestała się śmiać.

– Tak. – Zlizała krew z dłoni, a następnie spojrzała na siebie. – Wielki Boże, podarłam sukienkę! –

Usiłowała obrócić głowę pod niemożliwym kątem, próbując obejrzeć swoje plecy.

– Zabierz ją i zrób coś z tymi zadrapaniami – rzekł Ross do Prudie. – Nie będę się tym zajmował.

2

Przyjęcie w Trenwith House dobiegało końca.

Po odjeździe gości, którzy nie zamierzali pozostać na noc, we dworze zapadła nudna, drętwa cisza. Bezwietrzna pogoda i węgle żarzące się w wielkim kominku sprawiły, że salon zrobił się dziwnie przytulny. Przed paleniskiem stało półkolem pięć foteli z wysokimi oparciami. Siedzieli w nich członkowie rodziny i popijali porto.

Na piętrze, w wielkim, zasłoniętym kotarami łóżu leżał Charles Poldark u kresu swojego ziemskiego żywota. Dyszał ciężko, wciągając do płuc stęchłe powietrze, którym zgodnie z zasadami wiedzy medycznej kazał mu oddychać doktor Choake. W innej komnacie w zachodnim skrzydle dworu Geoffrey Charles, na początku ziemskiego żywota, zaspokajał głód, ssąc pierś matki, gdyż medycyna jeszcze nie znalazła sposobu, by karmić niemowlęta inaczej.

W ciągu ostatniego miesiąca Elizabeth doświadczyła wielu nowych uczuć. Narodziny dziecka były apogeum jej dotychczasowego życia i kiedy patrzyła na pokrytą drobnym meszkiem główkę Geoffreya Charlesa, ogarniało ją zatrważające poczucie dumy, siły i spełnienia. W chwili jego urodzenia jej świat się zmienił: z radością zaakceptowała niekończące się obowiązki związane z macierzyństwem, które wypełniły cały jej czas i przy których inne sprawy wydały się nieistotne.

Przez dłuższy czas była bardzo słaba, lecz niespodziewanie zaczęła odzyskiwać siły i w ciągu ostatniego tygodnia czuła się tak dobrze jak nigdy w swoim życiu. Ale wolała w dalszym ciągu leżeć w łóżku i śnić na jawie. Myślała o swoim synu i spoglądała na niego, gdy spał z główką opartą na jej ramieniu. Jej choroba sprawiła, że na Verity spadło znacznie więcej obowiązków, lecz Elizabeth, chociaż miała z tego powodu wyrzuty sumienia, nie potrafiła jeszcze wstać i zająć się tym, co wcześniej. Nie potrafiła znieść myśli o rozstaniu z synem.

Tego wieczoru leżała w łóżku i słuchała odgłosów ludzi krążących po domu. W czasie choroby, mając doskonały słuch, nauczyła się rozpoznawać wszystkie dźwięki panujące w domu. Każde drzwi skrzypiały inaczej, gdy je otwierano. Pisk nienaoliwionych zawiasów, szcęk wielu różnych rygli, skrzypienie obluzowanych desek podłogi, twardy odgłos stąpień w miejscach, gdzie nie leżały dywany, pozwalały jej śledzić ruchy wszystkich w zachodnim skrzydle dworu.

Pani Tabb przyniosła jej kolację, plaster piersi kapłona, jajko na miękko i szklankę ciepłego mleka. Około dziewiątej przyszła Verity i posiedziała z nią przez chwilę. Elizabeth pomyślała, że Verity bardzo spokojnie zniosła zawód miłosny. Stała się cichsza, poświęcała więcej uwagi prowadzeniu gospodarstwa. Okazała się silna i doskonale sobie radziła. Elizabeth była jej natomiast wdzięczna za odwagę. Błędnie sądziła, że sama jej nie ma, i podziwiała ją u szwagierki.

Verity powiedziała, że ojciec kilka razy otworzył oczy, i podano mu łyk brandy. Wydawało się, że nikogo nie poznaje, ale zasnął i ciągle była nadzieja na poprawę. Zamierzała czuwać przy nim w nocy na

wypadek, gdyby czegoś potrzebował. Zdrzemnie się w fotelu.

O dziesiątej na górę przysłała pani Chynoweth, która koniecznie chciała życzyć córce dobrej nocy. Tak głośno lamentowała nad losem biednego Charlesa, że obudziła wnuka; później paplała w czasie jego karmienia, czego Elizabeth nie znosiła. Wreszcie jednak sobie poszła i dziecko zapadło w sen, a Elizabeth przeciągnęła się w łóżku i z zadowoleniem słuchała kroków Francisa w sąsiednim pokoju. Wkrótce przyjdzie powiedzieć jej dobranoc, a potem aż do wczesnego ranka będzie tylko mrok i spokój.

Francis wszedł do sypialni, stąpając z przesadną ostrożnością. Zatrzymał się na chwilę, by spojrzeć na dziecko, po czym przysiadł na skraju łóżka i wziął Elizabeth za rękę.

– Moja biedna żona, jak zwykle zaniedbywana – powiedział. – Twój ojciec godzinami opowiadał o swoich pretensjach do Focha i Sheridana, a tymczasem ty siedziałaś tu samotnie, pozbawiona przyjemności konwersacji.

Ironia Francisa miała w sobie szczyptę szczerości. Był trochę zły, że Elizabeth położyła się tak wcześnie, ale na jej widok zapomniał o pretensjach i ogarnęła go czułość.

Rozmawiali cicho przez kilka minut. Następnie Francis pochylił się, by pocałować żonę. Odruchowo podała mu usta, lecz gdy ją objął, zdała sobie sprawę, że tego wieczoru nie chodzi mu tylko o przyjacielski pocałunek.

Po chwili wyprostował się i uśmiechnął do Elizabeth z lekkim zdziwieniem.

– Coś się stało?

Wskazała kołyskę.

– Obudzisz go, Francis.

– Och, przed chwilą go karmiłaś. Po jedzeniu zawsze śpi jak suseł.

– Jak się czuje twój ojciec? – spytała. – Lepiej? W tym momencie jakoś nie bardzo...

Wzruszył ramionami, czując, że znalazł się na przegranej pozycji. Zmartwił się zasłabnięciem ojca i nie przyjmował jego choroby obojętnie, ale były to dwie różne sprawy. Nie miały na siebie wpływu. Dziś zniósł Elizabeth na parter, czując jej ciężar. Żałował, że nie jest tęższa, lecz z radością wyczuł, że ostatnio trochę przybrała na wadze. Przez cały dzień pamiętał jej zapach. Udawał, że zajmuje się gośćmi, chociaż tak naprawdę myślał tylko o żonie.

– Jestem dziś niedysponowana – powiedziała. – Bardzo wytrąciła mnie z równowagi choroba twojego ojca.

Zmagał się ze swoimi uczuciami, usiłując zachować rozsądek. Jak wszyscy dumni mężczyźni, nie znosił myśli, że spotyka go odmowa ze strony żony. Czuł się niemal jak wygłodniały sztubak.

– Kiedyś znowu będziesz zdrowa? – spytał.

– Nie możesz oczekiwać ode mnie odpowiedzi na to pytanie, Francisie. Stan mojego zdrowia nie zależy ode mnie.

– Ani ode mnie. – Przypomniawszy sobie ze złością o swojej wstrzemięźliwości w ciągu minionych miesięcy. A także inne rzeczy. – Zauważyłem, że dziś po południu, gdy rozmawiałaś z Rossem, nie wyglądałaś na słabą ani niezadowoloną.

W jej oczach błysnęła irytacja. Zawsze znajdowała usprawiedliwienia dla słów Rossa. Rzadko go widywała i współczuła mu. W miesiącach oczekiwania na dziecko dużo myślała o Rossie, jego samotności, bladych oczach i dzikiej twarzy z blizną. Podobnie jak każdy człowiek, nie mogła się powstrzymać od porównywania tego, co miała, z tym, co mogłaby mieć.

– Proszę, nie mieszaj do tego Rossa – powiedziała.

– Jak mogę o nim nie wspominać, skoro ostentacyjnie okazujesz mu sympatię? – spytał.

– Co masz na myśli? Ross nic dla mnie nie znaczy.

– Może zaczynasz żałować?

– Chyba się upiłeś, Francisie, skoro mówisz do mnie w taki sposób.

– Dziś po południu mizdrzyłaś się do niego jak panna z pensji. „Ross, usiądź obok mnie”, „Ross, prawda, że mam ładnego chłopca?”, „Ross, poczęstuj się ciastem”. Mój Boże, mój Boże, co za popisy...

– Zachowujesz się dziecinnie – odpowiedziała. Gniew sprawił, że ledwo zdołała wydobyć z siebie głos.

Francis wstał.

– Jestem pewien, że Ross nie zachowywałby się dziecinnie.

– Tak, jestem o tym przekonana – rzuciła, celowo starając się zranić męża.

Popatrzyli na siebie.

– Jasno powiedziane, prawda? – odparł i wyszedł.

Wpadł do swojego pokoju i trzasnął drzwiami, nie zważając na chorego ojca i śpiące dziecko. Pośpiesznie się rozebrał, rzucając odzież na podłogę, i wszedł do łóżka.

Leżał przez godzinę z rękami pod głową i wpatrywał się w sufit. Dręczyły go rozczarowanie i zazdrość. Miłość zmieniła się w gorycz, pustkę, poczucie samotności.

Nie było nikogo, kto mógłby mu powiedzieć, że niepotrzebnie jest zazdrosny o Rossa, że niedawno pojawił się znacznie groźniejszy rywal. Nikt nie ostrzegł Francisza przed Geoffreyem Charlesem.

W rozwoju inteligencji Demelzy ważną rolę odegrało pewne pomieszczenie we dworze. Była to biblioteka.

Upłynęło dużo czasu, nim przezwyciężyła niechęć do surowej, pokrytej kurzem rupieciarni, częściowo wywołaną przez wspomnienie pierwszej nocy spędzonej w wielkim łożu skrzyniowym w sąsiednim pokoju. Później odkryła, że drugie drzwi z sypialni prowadzą do biblioteki, i początkowy lęk skojarzył się również ze znajdującym się za nimi pomieszczeniem.

Strach i fascynacja to odwieczni towarzysze, woły kroczące w nierównym tempie, lecz w tym samym kierunku. Jak tylko Demelza po raz pierwszy obejrzała bibliotekę, zaczęła tam chętnie przychodzić. Po powrocie z Ameryki Ross nie lubił tego miejsca, ponieważ przypominało mu dzieciństwo, ojca, matkę, ich głosy i zawiedzione nadzieje. Demelza nie miała wspomnień i wszystko było dla niej odkryciem.

Nigdy wcześniej nie widziała połowy rzeczy znajdujących się w bibliotece. Chociaż z natury inteligentna, nie potrafiła się domyślić ich przeznaczenia. Dopóki nie nauczyła się czytać, stopy pożółkłych papierzyk oraz niewielkie etykiety przyklejone do niektórych przedmiotów nie były dla niej żadną pomocą.

W bibliotece znajdował się galion z dziobu żaglowca „Mary Buckingham”, a Jud wyjaśnił Demelzie, że statek osiadł na brzegu w 1760 roku, trzy dni po narodzinach Rossa. Lubiła przesuwać palcem po powierzchni rzeźby. Odkryła też ozdobną marynarską skrzynkę z niewielkiego dwumasztowego szkunera, który rozbił się na skałach Damsel Point. Morze wyrzuciło szczątki na plażę Hendrawna i przez wiele tygodni piasek na wybrzeżu był czarny od miazgi węglowej. W bibliotece przechowywano próbki rud cyny i miedzi, lecz często nie miały one etykietek i stały się przez to bezużyteczne. Zauważyła kawałki płótna do łatania żagli i cztery okute żelazem skrzynie, których zawartości mogła się jedynie domyślać. W rogu stał duży zegar ze zdekompletowanym mechanizmem – spędziła długie godziny, bawiąc się ciężarkami i kołami zębatymi, usiłując odkryć zasadę jego działania.

Były tu również bardzo stara zardzewiała zbroja, dwie szmaciane lalki, domowej roboty koń na biegunach, sześć lub siedem bezużytecznych muszkietów, szpinet należący niegdyś do Grace, dwie francuskie tabakierki, pozytywka, nadjedzony przez mole i zwinięty w rulon gobelin z jakiegoś żaglowca, górniczy oskard i łopata, latarnia sztormowa, pół baryłki prochu strzelniczego i przypięty do ściany szkic wyrobisk kopalni Grambler z 1765 roku.

Demelzę najbardziej ekscytowały dwa odnalezione przedmioty: pozytywka i szpinet. Pewnego dnia, po godzinie majstrowania przy pozytywce, zdołała ją uruchomić i mechanizm słabo odegrał dwa menuety. Rozemocjonowana wykonała triumfalny taniec wokół instrumentu na jednej nodze, a Garrick, myśląc, że to nowa zabawa, zaczął skakać i odgryzł jej kawałek sukienki. Kiedy dźwięki ucichły, czym prędzej ukryła pozytywkę w kącie biblioteki, by nikt jej nie znalazł, nawet jeśli słyszał muzykę. Jeszcze większym odkryciem okazał się szpinet, lecz miał pewną wadę: Demelza nie potrafiła zagrać żadnej melodii. Kilka razy, gdy była pewna, że nikogo nie ma w pobliżu, próbowała naciskać klawisze. Dźwięki wydobywające się z instrumentu fascynowały ją, chociaż tworzyły kakofonię. Przewrotnie się jej podobały i stale pragnęła ich słuchać. Pewnego dnia odkryła, że im dalej w lewo przesuwa palce, tym tony stają się cieńsze. Uznała to za rozwiązanie zagadki. Przyszło jej do głowy, że gra na szpinecie może się okazać znacznie prostsza od nauki koszmarnych zawijasów, które ludzie nazywają pismem.

Charles Poldark stopniowo dochodził do siebie po ataku serca, lecz nie opuszczał dworu przez resztę zimy. Stale przybierał na wadze. Wkrótce mógł tylko z wysiłkiem zejść po schodach do salonu, gdzie spędzał popołudnia przy kominku, siny, sapiący i łatwo wpadający w zły humor. Całymi godzinami prawie się nie odzywał, a tymczasem ciotka Agatha przędła na kołowrotku lub czytała półgłosem Biblię. Wiezorami niekiedy rozmawiał z Francisem, pytając o kopalnię, albo bębnił palcami w poręcz fotela, gdy Elizabeth grała na harfie. Rzadko odzywał się do Verity, chyba że chciał jej wytknąć coś, co nie przypadło mu do gustu, i zwykle drzemał w fotelu, pochrapując, a w końcu wracał do łóżka, podpierany przez służących.

W marcu urodziło się dziecko Jinny Carter. Podobnie jak w przypadku dziecka Elizabeth był to chłopiec. Ross wyraził zgodę, by na chrzcie nadano mu imiona Benjamin Ross.

Dwa tygodnie po chrzcinach Rossa odwiedził niespodziewany gość. Eli Clemmow mimo ulewy przyszedł na piechotę z Truro. Ross nie widział go od dziesięciu lat, ale natychmiast poznał go po charakterystycznych długich krokach.

W odróżnieniu od starszego brata Eli był dość szczupły i miał coś mongolskiego w twarzy. Kiedy mówił, mamrotał i połykał głoski, mlaskając.

Na początku zachowywał się przymilnie, pytał o zniknięcie brata i o to, czy nie natrafiono na jakiś ślad. Później pochwalił się, że znalazł bardzo dobre zajęcie. Został kamerdynerem u prawnika: funt miesięcznie i pełny wikt, przytulny pokój, lekka praca, kapka trunku w sobotę wieczorem. W końcu zaczął mówić na temat rzeczy należących do brata, a Ross szczerze odpowiedział, że może wziąć wszystko, co znajdzie w chacie Reubena, choć prawdopodobnie nie ma tam nic wartościowego. W tym momencie w oczach Eliego pojawiła się złość, którą wcześniej maskował służalczym zachowaniem.

- Pewnikiem sąsiedzi zabrali wszystko, co warte zabrania – mruknął, cmokając.
- Nie lubimy złodziei – odpowiedział Ross. – Jeśli chcesz robić takie uwagi, kieruj je do ludzi, których oskarżasz.
- No, powiem nie bez racji, że mój brat został wygnany z domu przez oszczercze plotki – odparł Eli i zamrugnął.
- Twój brat opuścił swój dom, bo nie potrafił się nauczyć panować nad swoimi żądzami.
- Ale zrobił co?
- Zrobił?
- Co złego.
- Zdołaliśmy temu zapobiec.
- Tak, ale został wygnany z domu, choć nic nie zrobił, i może umarł z głodu. Wedle prawa nie wolno nikogo karać, póki nie zrobi co złego.
- Nikt go nie wygnał z domu, człowieku.

Eli miał w rękach czapkę.

– Wiadomo, że dziedzice Nampary nigdy nas nie lubili. Pan i pana ojciec. Pana ojciec kazał zakuć Reubena w dyby za tyle co nic. Ciężko o tym zapomnieć.

– Masz szczęście, że nie dostaniesz ode mnie batów, które mógłbyś wspominać! – warknął Ross. – Daję ci pięć minut na opuszczenie mojego majątku.

Eli przełknął ślinę i znowu cmoknął.

– Jaśnie panie, ale dopiero co pan powiedział, że mogę iść do chaty brata i zabrać wszystko, co warte zabrania. Sam pan dopiero co to mówił. Tak nakazuje sprawiedliwość.

– Nie wtrącam się do spraw swoich dzierżawców, jeśli oni nie wtrącają się do moich. Idź do chaty

Reubena i weź, co chcesz. Potem wracaj do Truro i zostań tam, bo nie jesteś mile widzianym gościem w tej okolicy.

Oczy Eliego Clemmowa rozblęły i wydawało się, że coś odpowie, ale zmienił zdanie i bez słowa opuścił dwór.

Jakiś czas potem Jinny Carter, siedząc przy oknie na piętrze i karmiąc niemowlę, zauważyła mężczyznę, który wspiął się na wzgórze w potokach deszczu i wszedł do sąsiedniej chaty. Spędził w niej pół godziny, po czym wyszedł z kilkoma przedmiotami pod pachą.

Jednak Jinny nie spostrzegła zamyślanej miny na chytrej twarzy o mongolskich rysach. Eli zorientował się, że niespełna tydzień wcześniej w chacie ktoś nocował.

3

Tej nocy zerwał się gwałtowny wiatr, który wiał przez cały dzień. Nazajutrz około dziewiątej wieczorem przyszła wiadomość, że w zatoce znajduje się żaglowiec, który sztorm znosi na skały między Namparą a Sawle.

Demelza spędziła większość popołudnia jak w wiele innych ulewnych dni, kiedy na zewnątrz wykonywano jedynie najpilniejsze prace. Gdyby Prudie była bardziej przedsiębiorcza, nauczyłaby dziewczynę czegoś więcej niż staranne, lecz prymitywne szycie, które nie sprawiało jej już trudności. Demelza mogłaby tkąć, prząść albo suszyć sitowie i moczyć je w stearynie, robiąc cienkie świece. Ale takie zajęcia domowe nie mieściły się Prudie w głowie. Kiedy nie dawało się uniknąć pracy, wykonywała ją, lecz każdy pretekst był dobry, by usiąść, zdjąć papucie i zaparzyć sobie herbatę. Tak więc tuż po obiedzie Demelza wymknęła się do biblioteki.

I tego popołudnia przez czysty przypadek dokonała największego ze swoich odkryć. Właśnie zapadał przedwczesny zmrok, gdy zauważyła, że jeden z wielkich kufrów nie jest zamknięty na klucz, lecz jedynie na zatrzask. Uniosła wieko i ujrzała mnóstwo strojów. Suknie, mantyle, trójgraniaste kapelusze i rękawiczki obszyte futrem, perukę, czerwone i niebieskie pończochy, eleganckie domowe pantofle z zielonej koronki z niebieskimi obcasami, muślinowy szal i strusie pióro, a także butelkę płynu pachnącego jak gin, jedyny trunek znany Demelzie, i drugą, do połowy wypełnioną perfumami.

Chociaż siedziała już w bibliotece dłużej niż zwykle, nie mogła wyjść. Przeglądała aksamitne, koronkowe i jedwabne stroje, gładziła je i usuwała suche, pokruszone liście lawendy. Nie potrafiła odłożyć pantofli z niebieskimi obcasami; wydawały się zbyt delikatne, by istniały naprawdę. Powąchała strusie pióro i przycisnęła do policzka. Potem owinęła je sobie wokół szyi, włożyła futrzaną czapkę i zrobiła piruet na czubkach palców, udając wielką damę. Obok jej stóp czołgał się Garrick.

W zapadającej ciemności Demelza miała wrażenie, że śni na jawie, dopóki się nie ocknęła i nie zorientowała, że jest sama w tym posępnym pomieszczeniu, do którego przez nieszczelne okna sączył się deszcz i wpadały chłodne podmuchy wiatru.

Przestraszona, podbiegła do kufra, schowała wszystkie stroje, które znalazła, zamknęła wieko, przeszła przez wielką sypialnię i podążyła do kuchni.

Prudie musiała sama zapalić świece i z tego powodu strofowała Demelzę. Dziewczyna nie miała jeszcze ochoty iść spać i zręcznie sprowadziła rozmowę na inny temat, aż Prudie zaczęła opowiadać o swoim życiu. Demelza poszła na górę i wciąż nie spała, gdy przybyli Nick Vigus i Jim Carter, którzy powiedzieli o żaglowcu znajdującym się w niebezpieczeństwie. Ross, którego oderwano od książki, postanowił pójść z nimi nad morze. Przed domem spotkał Demelzę w chustce na głowie i dwoma starymi workami na plecach. Spytała, czy może im towarzyszyć.

– Powinnaś raczej leżeć w łóżku – odparł. – Ale jeśli masz ochotę przemoknąć, to proszę.

Wyruszyli w drogę. Jud niósł mocną linę na wypadek, gdyby można było pomóc załodze statku.

Noc była ciemna choć oko wykol. Kiedy wyszli na otwartą przestrzeń, wichura o mało ich nie przewróciła. Szli powoli, zmagając się z podmuchami. Jedna z latarni sztormowych zgasła, druga kołysała się i migotała, rzucając chybotliwe światło na ciężkie buty zapadające się w grząskiej murawie. Kilkakrotnie zatrzymały ich potężne podmuchy wiatru, a Demelza, krocząca w milczeniu obok mężczyzn, musiała chwycić ramię Jima Cartera, by się nie przewrócić.

Kiedy szli w stronę szczytu klifu, od strony morza nadszedł deszczowy szkwał i natychmiast ich przemoczył, zalewając usta i oczy. Musieli się odwrócić i przycupnąć za żywopłotem, czekając, aż minie.

Na szczycie klifu byli ludzie. Tu i tam błyskały latarnie przywodzące na myśl świetliki. W dole, około trzydziestu metrów poniżej, płonęły następne światła. Zeszli wąską ścieżką i dotarli do grupy stojącej na skalnej półce. Wszyscy wpatrywali się w morze.

Nim zdołali się czegoś dowiedzieć, na ścieżce pojawiła się jakaś postać, która wynurzyła się z mroku niczym demon z otchłani. Był to Pally Rogers z Sawle, nagi i ociekający wodą. Zobaczyli owłosione ciało i wielką brodę.

– Niedobrze! – krzyknął. – Rozbili się kwadrans temu... – Resztę zdania porwał wiatr. – Jakby statek był bliżej, moglibyśmy rzucić im linę. – Wciągał spodnie.

– Próbowaliście się do nich dostać? – zawołał Ross.

– Trzech naszych próbowało wplaw, ale Bóg nie pozwolił. Statek długo nie wytrzyma. Osiadł na skałach i przelewa się nad nim woda. Do rana rozleci się na kawałki.

– Ktoś z załogi dotarł na brzeg?

– Dwóch, ale Bóg wziął do siebie ich dusze. Przed wschodem słońca zginie jeszcze pięciu.

Stanął między nimi Nick Vigus. Światło latarni padło na różową, dziobatą twarz i bezzębne usta.

– Jaki wiezie ładunek? – spytał.

Pally Rogers wycisnął wodę z brody.

– Mówią, że papier i wełnę z Padstow.

Ross zostawił ich i zszedł z Judem niżej. Dopiero na dole zorientował się, że podążyła za nimi Demelza.

Byli tu osłonięci od wiatru, ale co kilka sekund w skały uderzała fala, zalewając ich pianą. Zaczął się przypływ. W dole, na ostatnim wolnym od wody skrawku piasku, siedziało kilku mężczyzn z latarniami. Czekali, aż sztorm się uspokoi, by popłynąć do wraku, ryzykując życie. Ross widział ze swojego miejsca ciemną bryłę, która z pozoru wydawała się skałą, choć wiedział, że nią nie jest. Nie dostrzegł żadnych świateł ani oznak, że na pokładzie żaglowca ktoś ciągle żyje.

Poślizgnął się na błotnistej ścieżce i Jim Carter chwycił go za ramię. Ross podziękował.

– Nie mamy tu nic do roboty – mruknął.

– Co pan powiedział?

– Nie mamy tu nic do roboty.

– Tak, panie. Chyba powinienem wracać. Jinny może się denerwować.

– Jeszcze jedna! – wrzasnęła w pobliżu stara kobieta. – Widzę, podskakuje jak korek! Płynie w stronę skał! Poranny przypływ przyniesie prawdziwe skarby! Będzie dużo drewna!

Obłok pyłu wodnego otoczył ich niczym rój owadów.

– Weź ze sobą dziewczynę – rozkazał Ross.

Demelza otworzyła usta, by zaprotestować, ale podmuch niosący krople wody nie pozwolił jej nic powiedzieć.

Ross patrzył, jak Jim Carter i Demelza wspinają się na urwisko. Kiedy zniknęli z pola widzenia,

zszedł na dół do grupy mężczyzn z latarniami.

Rozdział osiemnasty

1

Jinny Carter poruszyła się w łóżku. Śniło jej się, że przygotowuje ryby w cieście, a te nagle otwierają oczy, zmieniają się w dzieci i zaczynają płakać. Już się obudziła, lecz ciągle słyszała ich płacz. Usiadła, bo wydało jej się, że obok rozległo się ciche kwilenie niemowlęcia leżącego w drewnianej skrzyni wykonanej przez Jima, lecz dziecko spokojnie spało. Musiało jej się coś przywidzieć. Prawdopodobnie zmylił ją deszcz uderzający w zamknięte okiennice albo wycie wichury wiejącej w głąb łądu.

Dlaczego Jim opuścił wygodne łóżko i wyszedł w czasie sztormu w nadziei znalezienia jakichś szczątków wyrzuconych na brzeg? Prosiła go, by nie wychodził, ale nie posłuchał. Zawsze tak się zachowywał: prosiła go, by został w domu, a on znajdował wymówkę i wychodził. Był nieobecny dwie lub trzy noce w tygodniu – wracał nad ranem, niosąc pod pachą bażanta lub tłustą kuropatwę.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy bardzo się zmienił. Tak naprawdę wszystko zaczęło się w styczniu. Przez cały tydzień chorował i nie chodził do kopalni – kasłał, kasłał, kasłał. Później dwa razy wychodził w nocy z Nickiem Vigusem i wracał z mięsem, na którego zakup nie byłoby go stać, bo jego zarobki się zmniejszyły. Jinny powtarzała, że obejdzie się bez jedzenia, byle nie narażał się na karę za łamanie prawa, lecz nic to nie pomogło. Miał inne zdanie; wydawał się urażony i rozczarowany, że nie jest zachwycona.

Wyślizgnęła się z łóżka, zadygotała i podeszła do okiennic. Nie próbowała ich otworzyć, bo do izby wpadałby deszcz, tylko wyjrzała przez szczelinę, przez którą sączyły się krople wody, i zobaczyła, że noc jest wyjątkowo ciemna.

Miała wrażenie, że usłyszała jakiś hałas na dole. W chacie, jakby pod czyims ciężarem, skrzypiało drewno. Jinny nie mogła się doczekać powrotu Jima.

Byłaby zadowolona, gdyby Benjy się rozpląkał, ponieważ wtedy miałyby pretekst, by przenieść go do swojego łóżka, nakarmić, uspokoić, poczuć dotyk jego maleńkich, chwytnych rączek. Ale niemowlę spało.

Weszła z powrotem do łóżka i przykryła się kocem po sam nos. Do kłusownictwa namówił Jima Nick Vigus, człowiek o twarzy chytrego dziecka. Ma na niego zły wpływ, podsuwa mu pomysły, na które Jim sam nigdy by nie wpadł – że można kraść cudzą własność, by zdobyć jedzenie. Nick usprawiedliwiał swoje występki różnymi argumentami. Były to tylko wymówki, lecz Jim traktował je poważnie, właśnie na tym polegał kłopot. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że można kraść, by się najęść, lecz uwierzył, że ma prawo uprawiać kłusownictwo, by nakarmić rodzinę.

Okiennica załomotała od silnych podmuchów wiatru. Jinny wydawało się, że o chatę oparł się olbrzym i próbuje ją przewrócić. Zdrzemnęła się na chwilę i przyśniła jej się szczęśliwa kraina, gdzie nikomu nie brakowało jedzenia, a dzieci były radosne i nie musiały pracować od chwili, gdy nauczyły się chodzić. Ocknęła się nagle, czując, że gdzieś w domu zapaliło się światło. Zauważyła błyski przez szpary w podłodze i poczuła radość, że wrócił Jim. Zastanawiała się, czy nie zejść na dół i nie spytać, dlaczego przyszedł tak wcześniej, ale nie chciało jej się wstawać z ciepłej pościeli w zimnym pomieszczeniu. Znów zapadła w drzemkę, lecz obudził ją odgłos przedmiotu upadającego na podłogę w izbie na parterze.

Może Jim znalazł coś na brzegu i chował zdobycz w rogu izby? Pewnie dlatego wrócił tak szybko. Dziwne, że przyszedł sam – nie słyszała głosu Nicka ani swojego ojca. Może zostali nad morzem? Największe szanse na znalezienie czegoś na plaży są o świcie. Miała nadzieję, że byli ostrożni.

Niespełna dwa lata wcześniej Bob Tregoe utonął, próbując dopłynąć z liną do żaglowca – osierocił żonę i małe dzieci.

Jim nie zawołał jej po imieniu po wejściu do chaty. Na pewno myśli, że Jinny śpi. Otworzyła usta, by krzyknąć do męża, i nagle poczuła w sercu niepokój, zastanawiając się, czy mężczyzna na dole to rzeczywiście Jim.

Wątpliwości ogarnęły ją, gdy usłyszała ciężkie kroki. Jim poruszał się bardzo lekko. Usiadła na łóżku i nasłuchiwała.

Jeśli to Jim, chyba czegoś szuka, niezgrabnie, jak pijany. Ale od ślubu Jim prawie nie pił, z wyjątkiem kufła jasnego piwa od czasu do czasu. Czekala i stopniowo w jej mózgu kiełkowała pewna myśl...

Wydawało się, że istnieje tylko jeden człowiek, który mógłby się zakraść do niej pod nieobecność Jima, poruszałby się tak niezgrabnie i lada chwila mógłby wspiąć się po drabinie. Zniknął wiele miesięcy wcześniej i był uważany za zmarłego. Nikt nie widział go od tak dawna, że Jimmy przestała się niepokoić.

Leżała w łóżku, słuchając wycia wiatru i kroków intruza. Zastygła w kompletnym bezruchu, bojąc się, że wyda jakiś dźwięk. Miała wrażenie, że jej żołądek i płuca zmieniły się w kamień. Czekala. Może odejdzie, jeśli niczego nie usłyszy? Może nie wejdzie na górę i nie zastanie jej samej w sypialni? Może Jim zaraz wróci?

...A może ciągle stoi na skałach, obserwując próby ratowania marynarzy, których nigdy wcześniej nie widział, gdy tymczasem w domu leży jak kamień jego żona, a w pokoju na parterze krąży wygłodzony, chory z żądz szaleniec.

Rozległ się płacz dziecka.

Kroki na dole ucichły. Jinny próbowała wstać z łóżka, ale wydawało jej się, że została pozbawiona kości. Nie mogła się poruszyć, nie mogła przełknąć śliny. Dziecko ucichło, znów się rozplakało, tym razem głośniej, wydając cichy szloch słyszalny wśród wycia wiatru.

W końcu się podniosła i wzięła syna na ręce, o mało nie upuszczając go na podłogę ze zdenerwowania i pośpiechu.

Światło na dole zatrzepotało i przygasło. Rozległ się skrzyp drabiny.

Długo nie potrafiła znaleźć słów modlitwy, nie wiedziała, gdzie mogłaby się ukryć. Stała obok łóżka, oparta plecami o ścianę, a dziecko poruszało się lekko w jej ramionach. Powoli uniosła się kłapa w podłodze.

Kiedy tylko zobaczyła rękę zaciśniętą na sękatych deskach podłogi, zrozumiała, że przecucie jej nie zawiodło, że teraz musi stawić czoło czemuś, z czym nigdy nie miała do czynienia.

2

W świetle świecy, którą trzymał Reuben, widać było, jak się zmienił w czasie wielomiesięcznego, samotnego życia w pieczarach. Opadły mu ramiona, zeszczipłał na twarzy. Nosił łachmany i nie miał butów. Splątane włosy i broda ociekały wodą, jakby wyszedł z podmorskiej grotty. Jednak był to ten sam Reuben Clemmow, którego Jinny знаła, z jasnymi, szalonymi oczyma, bladymi ustami i białymi bruzdami na opalonej twarzy.

Spoglądała na niego, walcząc z falą mdłości.

– Gdzie moja patelnia? – spytał. – Ukradli mi patelnię.

Dziecko trzymane przez Jinny wygięło się, chwyciło ustami powietrze i znowu zapłakało.

Reuben wszedł po szczeblach i zatrzasnął kłapę. Po raz pierwszy zobaczył zawiniątko trzymane przez

Jinny. Powoli docierało do niego, że to ona. Kiedy to zrozumiał, przypomniał sobie całą resztę: wyrządzoną mu krzywdę, to, że musiał uciekać przed ludźmi i mógł przychodzić do swojej chaty jedynie w nocy, ropiejącą ranę w boku, zadaną dziesięć miesięcy temu, żądzą wzbudzaną wcześniej przez Jinny i nienawiść do człowieka, który spłodził tego piszczącego bachora, do Rossa Poldarka.

– Lilia... – wymamrotał. – Biała lilia... grzech...

Tak długo nie miał do czynienia z ludźmi, że stracił zdolność przekazywania im swoich myśli. Rozmawiał tylko ze sobą.

Wyprostował się niezgrabnie, bo tkanka wokół rany się ściągnęła. Jinny ponownie zaczęła się modlić.

Reuben zrobił krok do przodu.

– Czysta lilia... – powiedział i coś w zachowaniu Jinny sprawiło, że przypomniały mu się dawno zapomniane słowa z dzieciństwa. – „Czemuś, Panie, odstąpił daleko: przeglądasz w potrzebach, w ucisku? Gdy się pyszni niebożnik, zapala się ubogi: bywają usidleni w radach, które wymyślają. Albowiem pochwalon bywa grzesznik w żądzach duszy swej: a niesprawiedliwy bywa błogosławion”¹.

Reuben wyjął stary nóż myśliwski z krótkim, około dziesięciocentymetrowym ostrzem, zniszczonym po latach używania. W miesiącach samotności pożądanie, jakie budziła w nim Jinny, zrosło się nierozdzielnie z pragnieniem zemsty. Żądza zawsze ma w sobie coś z podboju i zniszczenia.

Zadrżała mu ręka i postawił świecę na podłodze. Podmuchy wiatru wpadające przez okno kołysały płomieniem, strząsając na deski krople wosku.

– „Siedzi w zdradzie z bogatymi w skrytościach, aby zabił niewinnego”².

Jinny straciła głowę i zaczęła krzyczeć. Jej głos stawał się coraz bardziej piskliwy.

Kiedy Reuben zrobił następny krok do przodu, zmusiła się do wykonania ruchu. Była w połowie łóżka, gdy napastnik chwycił ją i dźgnął nożem dziecko. Częściowo odparowała cios, lecz ostrze stało się czerwone.

Krzyk Jinny zmienił tonację, zabrzmiało w nim coś zwierzęcego. Reuben patrzył na ostrze zapalczywie. Ocknął się, gdy Jinny dotarła do klapy w podłodze. Zobaczyła, że pędzi w jej stronę, i się odwróciła. Tym razem dźgnął Jinny i poczuł, że ostrze wnika w ciało. Nagle opuściło go całe napięcie i wściekłość, upuścił nóż na podłogę i patrzył, jak Jinny pada.

Krzyknął i po omacku wyciągnął rękę w stronę klapy. Poślizgnął się na czymś lepkiem i dotknął kobiecych włosów. Odskoczył, wrzasnął i uderzył głową w drewnianą ścianę izby. Był na zawsze zamknięty w jaskini grozy, którą sam stworzył.

Ruszył na oślep wzdłuż łóżka i dotarł do okiennic. Szarpał się z nimi, krzycząc, ale nie mógł odnaleźć skobla. Napał na nie z całej siły i nagle zamknięcie puściło. Wypadł z okna, czując, że odzyskuje wolność, wyrywa się z więzienia. Upadł na kamienne schodki przed drzwiami chaty i zginął na miejscu.

KSIĘGA DRUGA

Kwiecień – maj 1787

Rozdział pierwszy

Pewnego wietrznego popołudnia 1787 roku wokół stołu jadalnego w salonie dworu w Namparze siedziało sześciu dżentelmenów. Zjedli suty obiad zakrapiany zacnym winem: podano dużego dorsza, polędwicę baranią, kurczaka w cieście, kilka gołębi, filet cielęcy z podrobami, tort morelowy, kremówki z migdałami i rodzynkami.

Pan Horace Treneglos z Mongoose, pan Renfrew z St Ann's, doktor Choake z Sawle, nadsztygar Henshawe z kopalni Grambler, pan Nathaniel Pearce, notariusz z Truro, oraz gospodarz, kapitan Poldark, zebrali się, by zatwierdzić plan wstępnych robót rozpoczętych w Wheal Leisure i zdecydować, czy warto zaryzykować złoto w nadziei na odkrycie złoża miedzi. Ten ważny problem sprawił, że pan Treneglos oderwał się od studiów nad literaturą starożytnej Grecji, doktor Choake zrezygnował z polowania, a pan Pearce, cierpiący na podagrę, opuścił ulubiony fotel przy kominku.

– Ach, nie zamierzam podważać fachowych opinii – odezwał się pan Treneglos, który z racji wieku i stanowiska zajmował miejsce u szczytu stołu. – Od dwóch lat jeno siedzimy i gadamy. Skoro nadsztygar Henshawe twierdzi, że powinniśmy zaczynać, cóż, do licha, ryzykuje pieniądze tak samo jak my, więc na pewno wie, co gada!

Wokół stołu rozległy się pomruki aprobaty i kilka sceptycznych chrząknięć. Pan Treneglos przyłożył dłoń do ucha, by wysłuchać komentarzy.

Doktor Choake zakasłał.

– Naturalnie wszyscy pokładamy ogromną nadzieję w doświadczenie nadsztygara Henshawe'a w materii robót górniczych. Gdyby sukces tego przedsięwzięcia zależał jedynie od odkrycia żyły rudnej, powinniśmy zacząć rok temu. Musimy uzależnić naszą decyzję od warunków rynkowych. W zeszłym tygodniu wezwano mnie do pacjenta w Redruth cierpiącego z powodu karbunkułu. Nie był to mój pacjent. Na konsylium zaprosił mnie doktor Pryce. Chory bardzo cierpiał, gdy przybyłem do jego wspaniałego dworu, z pięknym podjazdem, marmurowymi schodami i innymi oznakami dobrego smaku oraz środkami, by go zaspokajać. Między nami mówiąc, zdołaliśmy ulżyć jego cierpieniom. Dżentelmen ten jest udziałowcem kopalni Dolly Koath i zdradził nam informację, że podjęto decyzję o zamknięciu wszystkich niższych poziomów.

Zapadło milczenie.

– Cóż, słyszałem to samo zaledwie w zeszłym tygodniu – zauważył pan Pearce, a na jego sinym obliczu pojawił się uśmiech. Umilkł na chwilę, by podrapać się pod peruką.

– Jeśli największa kopalnia miedzi na świecie ogranicza wydobycie, jakie perspektywy ma nasze niewielkie przedsięwzięcie? – podjął doktor Choake.

– Wcale nie muszą być złe, jeśli będziemy mieć niższe koszty – odezwał się Ross, który siedział na drugim końcu stołu. Jego koścista twarz o szlachetnych rysach lekko zaczerwieniła się po posiłku i wypitym winie. Zapuścił bokobrody, które częściowo przysłoniły bliznę. Jej koniec wciąż był widoczny w postaci jasnobrązowej linii.

– Cena miedzi może jeszcze spaść – zauważył doktor Choake.

– Co pan powiedział, doktorze? O co chodzi? – spytał pan Treneglos. – Nic nie słyszałem – mruknął do siebie. – Szkoda, że nie mówił głośniej.

Choake powtórzył.

– I równie dobrze wzrosnąć – padła odpowiedź.

– Patrzę na to w ten sposób, panowie – zaczął Ross i zaciągnął się dymem z długiej fajki. – Z pozoru

wydaje się, że to niesprzyjający moment na rozpoczęcie przedsięwzięć górniczych, zarówno dużych, jak i małych. Ale powinniśmy pamiętać, że istnieją czynniki działające na naszą korzyść. Ceny rudy zależą od podaży i popytu. W tym roku zamknięto dwie duże kopalnie i wiele małych. Po Wheal Reath i Wheal Fortune może wkrótce przyjść kolej na Dol Koath. Wydobycie w Kornwalii spadnie o połowę, zatem podaż się zmniejszy i cena miedzi powinna wzrosnąć.

– Słusznie! Słusznie! – wtrącił nadsztygar Henshawe.

– Zgadzam się z kapitanem Poldarkiem – rzekł pan Renfrew, który zabrał głos po raz pierwszy. Był dostawcą narzędzi górniczych z St Ann's, toteż powodzenie przedsięwzięcia szczególnie go interesowało, jednak jak dotąd wydawał się onieśmielony obecnością tylu dżentelmenów.

Błękitnooki Henshawe nie okazywał nieśmiałości.

– Nasze koszty byłyby przeszło połowę niższe od kosztów Wheal Reath.

– W imieniu stron, które reprezentuję, to znaczy pani Jacqueline Trenwith i pana Auketta, a także własnym, chciałbym spytać, jaką cenę powinniśmy uzyskać za tonę rudy, by osiągnąć minimalny zysk – powiedział z dezaprobatą pan Pearce. – Co panowie na to?

– Ceny rudy to loteria – odparł nadsztygar Henshawe, dłubiąc w zębach. – Wszyscy wiemy, że wielkie przedsiębiorstwa chcą kupować miedź za bezcen.

– Jeśli dostaniemy dziewięć funtów za tonę, wszystko będzie w porządku – stwierdził Ross.

– Cóż, obejrzyjmy plan naszej kopalni – rzekł pan Treneglos. – Gdzie mapa starych chodników? Będziemy mieli jaśniejszy obraz.

Henshawe wstał i przyniósł wielki rulon pergaminu, ale Ross go zatrzymał.

– Każę uprzątnąć stół. – Zadzwonił dzwoneczkiem i do jadalni weszły Prudie, a za nią Demelza.

Demelza pojawiła się po raz pierwszy i goście obrzucili ją zaciekawionymi spojrzeniami. Wszyscy z wyjątkiem pana Treneglosa, który żył w swoim własnym świecie. Zнали jej historię i słyszeli plotki związane z jej obecnością w Namparze. Była to historia sprzed kilku lat, ale skandale mają długi żywot, gdy ich przyczyna nie znika.

Zobaczyli wysoką siedemnastoletnią dziewczynę o ciemnych, nieco potarganych włosach i wielkich ciemnych oczach, w których był niepokojący błysk. Sugerował niezwykłą witalność i buntowniczego ducha. Poza tym Demelza nie miała żadnych uderzających cech.

Pan Renfrew spojrział na nią zmrużonymi z powodu astygmatyzmu oczyma, a pan Pearce, ostentacyjnie podkurczając wykręcone przez artretyzm stopy, by nikt na nie nie nastąpił, spojrział z ciekawością na dziewczynę przez lorgnon, gdy myślał, że Ross nie patrzy. Później pan Treneglos rozpiął górny guzik spodni i zgromadzeni pochyłili się nad mapą rozwiniętą na stole przez nadsztygara Henshawe'a.

– Tu zaznaczono stare chodniki Wheal Leisure i przebieg pokładu rudy cyny – wyjaśnił Ross. Opisał plan nowych robót, kąt sztolni, pod jakim należało je wykuć, i projektowane kanały odpływowe odprowadzające z kopalni wodę do ściany klifu.

– Co to takiego? – Pan Treneglos wskazał grubym, poplamionym tabaką palcem róg mapy.

– Prawdopodobnie koniec dawnych wyrobisk kopalni Trevorgie – wyjaśnił Ross. – Wszystkie dokładne mapy zaginęły. Kiedy mój prapradziadek przyjechał do Trenwith, ta kopalnia była już bardzo stara.

– Hm... – mruknął pan Treneglos. – Starożytni naprawdę wiedzieli, co robią. – Tak, wiedzieli, co robią... – powtórzył półgłosem.

– Co pan ma na myśli? – spytał pan Renfrew.

– Co mam na myśli? Cóż, do kata, jeśli dawno temu wydobywano w tym miejscu cynę, to eksploatowano od tyłu pokład Leisure, nim go odkryto na mojej ziemi. Właśnie to mam na myśli!

– Moim zdaniem pan Treneglos ma rację – odezwał się nagle zainteresowany Henshawe.

– Czy to może nam w jakiś sposób pomóc? – spytał pan Pearce, drapiąc się pod peruką.

– Dawni górnicy nie kopali bez potrzeby w tak trudnym terenie – wyjaśnił Ross. – W tamtych czasach drążono tylko płytkie małe szyby, a i to w ostateczności. W tym przypadku zeszli bardzo głęboko. Skoro tak, musieli znaleźć naprawdę bogate pokłady rudy.

– Myśli pan, że to jedno wielkie złożo? – spytał pan Treneglos. – Może biec tak daleko, Henshawe? Czy ktoś słyszał o takich długich złożach?

– Nie wiemy i nigdy się nie dowiemy, panie. Wygląda na to, że szukali cyny i znaleźli miedź. Takie jest moje zdanie. To możliwe.

– Mam bardzo wielki szacunek dla starożytnych – rzekł pan Treneglos, otwierając tabakierkę. – Ksenofanes, Plotyn, Demokryt, popatrzcie jeno na nich. Byli mądrzejsi od nas. Podążanie ich śladem to nie dyshonor. Ile to nas będzie kosztować, drogi chłopcze?

Ross wymienił spojrzenie z Henshawe’em.

– Na początku mogę pełnić za darmo funkcję zarządcy i skarbnika. Nadsztygar Henshawe będzie nadzorował pierwszy etap robót, pobierając zwyczajowe wynagrodzenie. Pan Renfrew dostarczy większość wyposażenia i maszyn, stosując minimalną marżę zysku. Na moją prośbę bank Pascoe’a zgodził się honorować nasze weksle do kwoty trzystu gwinei. Przeznaczmy te pieniądze na zakup kołowrotów i innego ciężkiego sprzętu. W ciągu pierwszych trzech miesięcy każdy z udziałowców powinien zainwestować pięćdziesiąt gwinei.

Przez chwilę panowała cisza. Ross obserwował twarze zebranych, cynicznie uniósłszy brew. Podał najniższą możliwą kwotę, gdyż zdawał sobie sprawę, że większe wymagania finansowe doprowadzą do kolejnego pata.

– Osiem razy pięćdziesiąt gwinei – policzył pan Treneglos. – Do tego trzysta z banku Pascoe’a, czyli razem siedemset. Wydaje mi się to dość rozsądną inwestycją jak na osiem osób, prawda? Spodziewałem się przynajmniej stu gwinei na głowę... – mruknął do siebie. – O tak, co najmniej stu...

– To dopiero początkowe nakłady – wtrącił doktor Choake. – Wystarczą na trzy miesiące.

– Tak czy inaczej, wydaje się, że projekt ma ręce i nogi, panowie – zauważył pan Renfrew. – Wszystko jest dziś bardzo drogie. Trudno liczyć na udział w zyskowym przedsięwzięciu za mniejszą kwotę.

– Święta racja, święta racja! – przytaknął pan Treneglos. – Cóż, jestem za tym, by rozpocząć prace natychmiast. Zdecydujemy przez głosowanie?

– A kredyt z banku Pascoe’a? – spytał twardym tonem doktor Choake. – Czy to znaczy, że będą prowadzić nasze sprawy finansowe? Dlaczego nie Warlegganowie? Nie daliby korzystniejszych warunków? George Warleggan to nasz przyjaciel.

– Ja również chciałem poruszyć tę kwestię – wtrącił pan Pearce. – Jeśli...

– George Warleggan to także mój przyjaciel – odpowiedział Ross. – Jednak nie uważam, że przyjaźń powinna wpływać na interesy.

– Naturalnie, gdyby miała być szkodliwa... – rzekł doktor. – Ale Warleggan to właściciel największego banku w hrabstwie. Najnowocześniejszego. Pascoe ma staroświeckie poglądy. Nie zmienił się od czterdziestu lat. Znałem Harrisa Pascoe’a, gdy był chłopcem. Piekielny nudziarz. I taki pozostał.

– Moi klienci, jak sądzę, są przekonani, że wybierzemy bank Warleggana – oświadczył pan Pearce.

Ross nabił fajkę, a pan Treneglos rozpiął drugi guzik spodni.

– Cóż, dla mnie każdy bank jest dobry – rzekł. – Pod warunkiem że stoi na solidnych fundamentach, prawda? O to właśnie chodzi. Przypuszczam, że zwróciłeś się do banku Pascoe’a z konkretnych powodów, Ross?

– Nie ma żadnych uraz między mną a Warlegganami, ojcem i synem. Ale należy do nich za dużo

kopalni. Nie chcę, by stali się właścicielami Wheal Leisure.

Choake zmarszczył krzaczaste brwi.

– Warlegganowie nie byliby zachwyceni, gdyby to usłyszeli.

– Bzdury. Mówię to, o czym wszyscy wiedzą. Ich bank i zależne od niego spółki są właścicielami kilkunastu kopalni i mają udziały w kilkunastu innych, w tym w Grambler i Wheal Plenty. Gdyby chcieli, mogliby jutro zamknąć Grambler, podobnie jak zamknęli Wheal Reath. Oczywiście mają do tego prawo, nie byłoby w tym nic nieuczciwego. Ale jeśli otworzymy Wheal Leisure, wolałbym, by takie decyzje pozostały w rękach współników. Wielkie banki to niebezpieczni przyjaciele dla drobnych inwestorów.

– Całkowicie się zgadzam, panowie – nerwowo przytaknął pan Renfrew. – Zamknięcie Wheal Reath wywołało niezadowolenie w St Ann’s. Wiemy, że kopalnia nie przynosiła zysków, ale czy ta decyzja pomogła udziałowcom, którzy stracili pieniądze, albo dwustu górnikom pozbawionym pracy? Jednak dzięki temu Wheal Plenty może płacić głodowe stawki, a młody pan Warleggan osiąga piękny zysk!

Pan Renfrew miał wyraźny uraz na punkcie tej kwestii. Doszło do sprzeczki i wszyscy zaczęli mówić jednocześnie.

Pan Treneglos uderzył kielichem w stół.

– Poddajmy sprawę pod głosowanie! – zawołał. – To jedyny sensowny sposób. Ale najpierw kopalnia. Zanim zajmiemy się bankiem, niechaj lękliwi zadeklarują swój sprzeciw!

W głosowaniu wszyscy opowiedzieli się za rozpoczęciem prac.

– Dobrze! Znakomicie! – zawołał pan Treneglos. – Nareszcie zaczynamy! A teraz sprawa banku, dobrze? Zwolennicy banku Pascoe’a...

Renfrew, Henshawe, Treneglos i Ross głosowali za bankiem Pascoe’a, Choake i Pearce za bankiem Warleggana. Ponieważ Pearce dysponował głosami swoich klientów, doszło do remisu.

– Niech mnie licho! – mruknął pan Treneglos. – Wiedziałem, że ten kauzyperda znowu zacznie bruździć! – Pan Pearce nie mógł tego nie usłyszeć i ostentacyjnie okazał, że czuje się dotknięty.

Jednak w sekrecie marzył o przejęciu części spraw majątkowych pana Treneglosa. Ponieważ ten ostatni obstawał przy swoim, pan Pearce w ciągu dziesięciu minut dał się przekonać do jego zdania.

Pozostawszy samotnie na placu boju, Choake skapitulował i nieobecni Warlegganowie przegrali. Ross wiedział, że projektowane przedsięwzięcie górnicze jest na tyle niewielkie, że nie zasługuje na uwagę dużego domu bankowego, jednak nie wątpił, iż Warlegganom na nim zależało. George będzie wściekły...

Kiedy rozstrzygnięto główne punkty sporne, reszta poszła jak po maśle. W końcu nadsztygar Henshawe wstał, prostując grube nogi, i sięgnął po karafkę. Ross skinął głową i goście napełnili kielichy.

– Panowie, nie wątpię, że wybaczycie mi śmiałość – zaczął Henshawe. – Siedzimy przy jednym stole jak równi i mamy równe udziały w spółce. Mój majątek jest najskromniejszy, jednak ryzykuję najwięcej, bo nie tylko pięćdziesiąt gwinei, lecz również całą swoją reputację. Dlatego wznoszę toast. Za Wheal Leisure!

Goście wstali i tręcili się kieliszkami.

– Za Wheal Leisure!

– Za Wheal Leisure!

– Za Wheal Leisure!

Wypili.

W kuchni Jud strugał kawałek drewna i nucił ulubioną melodię. Usłyszawszy gwar, uniósł głowę i celnie splunął nad stołem prosto w ogień.

– Ale hałasuj... Niech mnie diabli, jak to hałasowanie nie znaczy, że pewnikiem otworzo te przekłeto kopalnie!

– Wstrętny czarny smoku! – prychnęła Prudie. – O mało nie nacharkałeś do garnka z polewką...!

Rozdział drugi

1

Kiedy nowi wspólnicy odjechali, Ross wyszedł z domu i ruszył w stronę kopalni. Nie zdecydował się iść brzegiem morza, przez wydmy, lecz wybrał nieco dłuższą drogę biegnącą półkoleście na szczycie klifu. Wheal Leisure znajdowała się na cyplu w połowie plaży Hendrawna, gdzie piasek ustępował miejsca skałom.

Nie było jeszcze wiele do oglądania. Dwa niskie chodniki zapadające się pod ziemię i kilka rowów, pozostałości dawnych robót górniczych, oraz nowa sztolnia z drabiną. W miejscu, gdzie należało rozpocząć prace, usunięto warstwę gleby. Kiedy Ross krążył po starych wyrobiskach, spod nóg wyskakiwały mu króliki. Zakwilił kulik, szumiała trawa, targana silnym wiatrem. Na razie było niewiele do oglądania, lecz pod koniec lata wszystko się zmieni.

Plan otwarcia Wheal Leisure kiełkował w głowie Rossa przez wiele lat pełnych frustracji, aż wreszcie stał się jego głównym celem. Prace można by rozpocząć półtora roku wcześniej, gdyby nie pan Pearce, który czuł zrozumiały niepokój o bezpieczeństwo wkładów swoich klientów, a także doktor Choake, z natury niezdecydowany i skłonny do pesymizmu. W tej chwili Ross żałował, że w ogóle go zaprosił. Pozostali wspólnicy byli hazardzistami chętnymi do podjęcia ryzyka. Mimo przekonujących argumentów przedstawionych tego dnia szanse na sukces były takie same jak przed rokiem, ale tym razem staremu panu Treneglosowi dopisywał świetny humor i przekonał pozostałych. Zwyciężyli hazardziści. Resztę miała rozstrzygnąć przyszłość.

Ross spojrzął na kominy przysiółka Mellin widoczne w dolinie.

Będzie teraz mógł pomóc Jimowi Carterowi, pomóc, nie stwarzając wrażenia, że to jałmużna, której chłopiec nigdy by nie przyjął. Jako pomocnik skarbnika kopalni weźmie na siebie część obowiązków Rossa, a później, kiedy nauczy się czytać i pisać, nie ma powodów, by nie zarabiał czterdzieści lub więcej szylingów miesięcznie. Pomoże to jemu i Jinny zapomnieć o tragedii sprzed dwóch lat.

Ross znów zaczął spacerować w miejscu, gdzie zamierzał wydrążyć pierwszą sztolnię. Jak na ironię, tragedia w przysiółku Mellin w rzeczywistości zakończyła się dobrze. Zginęła jedna osoba – Reuben Clemmow. Mały Benjamin, zraniony w głowę i policzek, w przyszłości będzie miał tylko niewielkie blizny, a Jinny przeżyła cios nożem, który o mało nie przebił serca. Leżała wiele tygodni w łóżku z krwotokiem wewnętrznym, aż wreszcie jej matka, gorliwa metodystka, zapomniała o skrupułach religijnych i wyleczyła ją za pomocą pukla włosów babki – tak przynajmniej przysięgała. Ale było to dawno temu. Teraz Jinny świetnie się czuła i urodziła drugie dziecko, córeczkę Mary.

Wszystko mogło się skończyć znacznie gorzej. Mały Benjamin będzie mieć do końca życia bliznę na twarzy, lecz wydawało się, że Jinny ma blizny w sercu. Stała się apatyczna, milcząca, nieprzewidywalna. Nawet Jim często nie wiedział, o czym myśli. Kiedy przebywał w kopalni, matka Jinny przychodziła do córki i plotkowała o wydarzeniach dnia. Później całowała Jinny i wracała do swojej chaty, odległej o kilka kroków, z nieprzyjemnym wrażeniem, że córka w ogóle nie słuchała.

Jim również wpadł w przygnębienie, ponieważ nie mógł się pozbyć poczucia winy. Nigdy nie zapomni chwili, kiedy wrócił do domu i znalazł na schodkach konającego Reubena Clemmowa, a później wszedł do sypialni i usłyszał w ciemności płacz dziecka. Jinny leżała bezwładnie na klapie podłogowej, którą z trudem uniósł. Dręczył się myślą, że gdyby został w domu, do tragedii by nie doszło. Przestał się zadawać z Nickiem Vigusem i w jego kuchni nie pojawiały się już bażanty.

W rzeczywistości nie były potrzebne, bo cała okolica współczuła Carterom. Zorganizowano zbiórke pieniędzy, otrzymywali mnóstwo prezentów, toteż w czasie choroby Jinny i przez pewien czas później żyli w dobrobycie, jakiego wcześniej nie znali. Ale był to dobrobyt, którego Jim w duchu nie lubił, i poczuł ulgę, gdy wszystko się skończyło. Dobrze zarabiał w Grambler i nie potrzebował jałmużny. Tego, czego pragnął najbardziej, to móc wymazać wspomnienia tamtej nocy.

Ross zakończył inspekcję miejsca, gdzie zamierzał wydrążyć sztolnię, i usiadł na piaszczystej ziemi. Stał wobec wiecznej zagadki górnika: czy pod ziemią znajdują się skarby, czy płonna skała, źródło frustracji. Czas, praca i cierpliwość...

Chrząknął i spojrzał w niebo. Zanosilo się na deszcz. Cóż, w najgorszym przypadku pozwolą kilku górnikom utrzymać rodziny. Wszyscy przyznawali, że sytuacja w hrabstwie i Anglii jest wyjątkowo zła.

2

Istotnie kurs trzyprocentowych obligacji państwowych spadł do pięćdziesięciu sześciu procent, osiągając historyczne minimum.

Nierówne zmagania z Francją, Holandią i Hiszpanią, wyczerpująca, bratobójcza wojna z Ameryką i zagrożenie z północy sprawiły, że cały kraj ogarnęło przygnębienie. Był to kryzys zarówno duchowy, jak i materialny. Ćwierć wieku wcześniej Anglia przewodziła światu, toteż upadek okazał się tym bardziej bolesny. W końcu zapanował pokój, lecz kraj nie mógł się otrząsnąć ze skutków wojny.

Nieustępliwy premier, dwudziestosiedmiolatek, z trudem utrzymywał się na stanowisku z powodu prób podważenia jego pozycji przez różnego rodzaju koterie. Jednak miały one nadzieję na sukces. Należało zdobyć pieniądze na pokojowe reformy. W ciągu pięciu lat podatki wzrosły o dwadzieścia procent i wprowadzano nowe, alarmująco niepopularne. Podatek gruntowy, podatek podymny, taksa od służących, opłata od okien. Opodatkowano wszystko: konie, kapelusze, cegły, kafle, płótno lniane, płótno bawełniane. Kolejny podatek, od świec, uderzył bezpośrednio w biedotę. Zeszłej zimy rybacy z Fowey karmili swoje głodujące rodziny ślimakami.

Niektórzy ludzie utrzymywali, że sytuacja poprawi się dopiero za pięćdziesiąt lat.

Ross słyszał, że w Ameryce, także przeżywającej trudny okres, panuje równie wielkie rozczarowanie. Siłą spajającą Stany Zjednoczone była niechęć do zwierzchnictwa Wielkiej Brytanii: kiedy Ameryka zerwała więzy z metropolią, groził jej rozpad na kilkanaście samodzielnych republik toczących ze sobą wieczne spory jak miasta średniowiecznych Włoch. Król pruski Fryderyk, grający artretycznymi palcami na klawesynie w pałacu Sanssouci w Poczdamie, powiedział podobno, że Anglia stała się krajem niemożliwym do rządzenia; po ustąpieniu Jerzego III jedynym rozwiązaniem jest nadanie jej własnego króla. Uwaga ta dotarła nawet do bastionów kornwalijskich ziemian.

Kornwalijszczyki wiedzieli ponadto, a przynajmniej wyczuwali, że trwa nieustanny nielegalny handel między miejscowymi portami a Francją. W Anglii panował kryzys, lecz na kontynencie sytuacja wyglądała jeszcze gorzej. Zza kanału La Manche dochodziły czasem dziwne wieści o ogromnym niezadowoleniu ludu. Niechęć do odwiecznego wroga, idealizm i sympatia do nowego sojusznika skłoniły Francję do wspomagania Ameryki złotem i wojskiem w czasie wojny o niepodległość. Teraz Francja miała długi wojenne w wysokości tysiąca czterystu milionów liwrow, a jej myśliciele i żołnierze poznali teorię i praktykę rewolucji. Najślabsze ogniwo europejskiego absolutyzmu mogło w każdej chwili pęknąć.

Przez dwa lata Ross rzadko widywał członków swojej rodziny i zrezygnował z życia towarzyskiego. To, co podsłuchał w bibliotece w czasie chrzcin Geoffreya Charlesa, wypełniło go pogardą dla swojej

klasy. Nigdy nie przyznałby się do tego, że mogły na nią wpłynąć plotki Polly Choake, jednak świadomość, że jest tematem pikantnych opowieści, odebrała mu ochotę na obracanie się w towarzystwie. Raz na miesiąc, z czystej uprzejmości, odwiedzał chorego Charlesa, by spytać go o zdrowie, lecz stryj ani nie mógł umrzeć, ani wydobrzeć. Kiedy Ross przebywał w Trenwith, nie rozmawiał na popularne tematy. Nie obchodził go powrót Marii Fitzherbert z kontynentu ani skandal związany z naszymi Antoniny. W okolicy żyły rodziny, które cierpiały głód, nie mając chleba i kartofli. Ross przekonywał słuchaczy, że powinni je wspierać darami w naturze, by epidemie ospy wybuchające w grudniu i styczniu nie zbierały tak wielkiego żniwa.

Goście słuchali go z konsternacją, a gdy kończył, wygłaszali nieprzychylnie komentarze. Wielu z nich poniosło wielkie straty wskutek kryzysu w górnictwie i wzrostu podatków. Wielu pomagało ubogim, z którymi mieli styczność, i nie rozumieli, że Rossowi chodzi w gruncie rzeczy o to samo. Ich działania nie mogły złagodzić problemów biedaków i pod żadnym pozorem nie chcieli przyznać, że ponoszą jakąkolwiek odpowiedzialność za wszechobecne ubóstwo. Nie przyjmowali do wiadomości, że można by stworzyć prawa, które zapewniałyby biedakom mniej bezduszną pomoc niż przytułki dla ubogich albo bezpłatny pogrzeb. Nie pojmował tego nawet Francis. Ross czuł się jak nowy Jack Tripp, stojący na pustej beczce i głoszący potrzebę reform.

W drodze do domu, wszedłszy na grzbiet wzgórza, zauważył, że w jego stronę idzie Demelza. Podążył za nią Garrick, przypominający miniaturowego kucyka szetlandzkiego.

Demelza od czasu do czasu podskakiwała, wspinając się po stoku.

– Jud mówi, że kopalnia wreszcie ruszy!

– Jak tylko znajdę ludzi i kupię wyposażenie.

– Hura! Garrick, leżeć! Strasznie się cieszę! W zeszłym roku byliśmy bardzo rozczarowani, myśleliśmy, że wszystko jest już gotowe. Uspokój się, Garrick! Będzie tak samo duża jak Grambler?

– Jeszcze nie. – Rossa rozbawiła ekscytacja Demelzy. – Na początku ma być bardzo mała.

– Jestem pewna, że stanie się duża, z wielkimi kominami, maszynami.

Zeszli razem ze wzgórza. Zwykle Ross nie zwracał większej uwagi na Demelzę, ale tym razem, wiedząc, że wszyscy się nią interesują, popatrzył na nią z ukosa. Wysoka, dojrzewająca dziewczyna, zupełnie inna niż koścista, zabiedzona znajda, którą polewał wodą pod pompą.

W ciągu ostatniego roku zaszły też inne zmiany. Demelza stała się kimś w rodzaju ochmistrzyni zajmującej się prowadzeniem gospodarstwa. Prudie była zbyt leniwa, by czymkolwiek zarządzać, jeśli mogła tego uniknąć. Coraz częściej doskwierała jej noga, a gdy już schodziła do kuchni, wołała parzyć sobie herbatę i wykonywać lżejsze prace, niż układać jadłospisy i gotować posiłki, co wydawało się sprawiać wielką przyjemność Demelzie. Prudie pozbyła się wielu obowiązków, a Demelza nigdy nie narzucała swojego zdania i w dalszym ciągu chętnie wykonywała przewidziane dla niej prace domowe, więc czyż można się było sprzeciwiać?

Nie licząc jednej bójki, atmosfera w kuchni była spokojniejsza niż wtedy, gdy urzędowali w niej jedynie Jud i Prudie. Cała trójka żyła się ze sobą i wydawało się, że Paynterowie nie mają nic przeciwko przyjaźni Rossa i Demelzy. Bardzo często czuł się samotny i szukał jej towarzystwa. Verity nie miała już ochoty przyjeżdżać i Demelza zajęła jej miejsce.

Czasami nawet spędzała z Rossem wieczory. Zaczęło się w dniu, gdy przyszła spytać, jakie ma polecenia dotyczące gospodarstwa. Nawiazali rozmowę. Później siadywała z Rossem w salonie dwa lub trzy razy w tygodniu.

Naturalnie okazała się bardzo dobrym kompanem. Rozmawiała, jeśli miał ochotę rozmawiać; pograżała się w lekturze, gdy chciał czytać; natychmiast wychodziła, jeżeli okazywał, że jej obecność jest niepożądana. W dalszym ciągu dużo pił.

Nie była idealną gospodynią. Zwykle dobrze wywiązywała się ze swoich obowiązków, lecz niekiedy ujawniał się jej temperament. Ciągłe miewała humory, o których wspominała Prudie. Potrafiła nakrzyczeć na Juda, a raz niemal go pobiła. Gdy wykonywała prace domowe, czasami niepotrzebne, zupełnie nie dbała o swoje bezpieczeństwo.

Pewnego ciemnego, deszczowego ranka w październiku postanowiła oczyścić część obory i zaczęła odpychać woły, które wchodziły jej w drogę. Jedno ze zwierząt wpadło w złość i zraniło Demelzę w taki sposób, że przez tydzień nie mogła siadać. Innym razem postanowiła przestawić meble w kuchni pod nieobecność Juda i Prudie. Ale jeden z kredensów okazał się zbyt wielki nawet jak na możliwości Demelzy, przewrócił się na nią i przygniół ją. Kiedy Prudie weszła do kuchni, zobaczyła Demelzę leżącą pod kredensem, spod którego nie mogła się wydostać. Stojący przy drzwiach Garrick czekał zapalczywie.

Kłótnia z Judem miała poważniejsze konsekwencje, o których wszyscy dyskretnie nie wspominali. W starym żelaznym kufrze w bibliotece Demelza znalazła butelkę ginu i wypijała go, ponieważ smak trunku przypadł jej do gustu. Potem pobiegła radośnie do Juda, który, jak się okazało, również w tajemnicy raczył się alkoholem. Zaczęła go przedrzeźniać, on zaś rzucił się na nią, jakby chciał ją zabić. Ale Demelza walczyła jak żbik i kiedy Prudie weszła do kuchni, zastała ich mocujących się na podłodze. Natychmiast doszła do niewłaściwych wniosków i zaatakowała Juda łopatką do węgla. Na szczęście na polu walki w samą porę pojawił się Ross, ratując służących przed zadaniem sobie ciężkich obrażeń.

Przez kilka tygodni w kuchni panował lodowaty chłód. Demelza po raz pierwszy usłyszała od Rossa wiele cierpkich słów. Zamknęła się w sobie i miała ochotę umrzeć.

Działo się to przed dwunastoma miesiącami. Wspomnienie tych wydarzeń przypominało koszmar zakopany w przeszłości...

Milcząc, przeszli między jabłoniemi i ruszyli w stronę dworu. Dotarli do ogrodu, w którym Demelza pracowała przez wiele godzin w lecie poprzedniego roku. Usunęła chwasty, aż pozostała tylko naga ziemia i nieliczne rośliny posadzone przez matkę Rossa.

Były tam trzy krzaki lawendy, wysokie i nieforemne, poprzednio ściśnięte przez masę chwastów. Rozmaryn, uwolniony od otaczającej go plątaniny zielska, wypuścił pąki. Demelza odnalazła także krzewy róży damasceńskiej z jaskraworóżowymi i białymi kwiatami, centyfolii i dwie róże chińskie. Później zaczęła przynosić do domu nasiona i cebulki znalezione w czasie wędrówek po okolicy. Niełatwo było je hodować; dzikie rośliny zachowywały się kapryśnie – chętnie rozrastały się na pustkowiach, które same wybrały, lecz więdły i umierały w pięknym więzieniu ogrodu. Ale w zeszłym roku Demelzie udało się posadzić ładne żmijowce zwyczajne, rabatę zawciągów pospolitych i rząd purpurowych naparstnic.

Zatrzymali się i Demelza wyjaśniła, co zamierza jeszcze zrobić. Stwierdziła, że chciałaby wziąć szczepki krzaka lawendy i posadzić żywopłot. Ross rozglądał się wyrozumiale po ogrodzie. Nie interesował się szczególnie kwiatami, ale podziwiał ich kształty i kolory, a niektóre zioła można było wykorzystać w kuchni lub do sporządzania leczniczych naparów.

Niedawno dał Demelzie trochę pieniędzy na jej własne potrzeby. Kupiła sobie barwną chustkę na głowę, pióro, by ćwiczyć się w pisaniu, dwa zeszyty, parę trzewików z klamerkami, duży gliniany wazon na kwiaty, a ponadto czepek dla Prudie i tabakierkę dla Juda. Dwa razy pozwolił jej wsiąść na Ramotha i zabrał ze sobą do Truro. Obiecał pokazać Demelzie arenę walk kogutów i pewnego dnia oglądali Księcia Krwi walczącego o pięćdziesiąt gwinei. Ku zdziwieniu i rozbawieniu Rossa walki kogutów wzbudziły w dziewczynie niesmak.

– Tak samo wyglądają bójki ojca – zauważyła. Najwyraźniej spodziewała się, że rozrywki arystokratów i ziemian okażą się bardziej wyrafinowane.

W drodze powrotnej była milcząca, co zdarzało się rzadko.

– Nie myśli pan, że zwierzęta czują ból tak jak ludzie? – spytała w końcu.

– Nie wiem – odparł krótko.

– To czemu prosiaki kwiczą, jak się im zakłada kółko w nosie?

– Koguty to nie świnie. Bóg dał im naturę wojowników.

Demelza milczała przez chwilę.

– Tak, ale nie dał szponów ze stali.

– Powinnaś zostać adwokatem, Demelzo – odpowiedział Ross i dziewczyna ponownie umilkła.

Kiedy oglądali razem rośliny w ogrodzie, przypomniała mu się tamta rozmowa. Zastanawiał się, czy Demelza wie, co myślą o niej Nat Pearce i inni ludzie, którzy kilka godzin wcześniej gapili się na nią w czasie walki, i czy zgadza się z nim, że to śmiechu warte. Gdyby potrzebował tego rodzaju przyjemności, odwiedziłby w Truro Margaret lub jedną z jej koleżanek po fachu.

Wydawało mu się niekiedy, że nie jest normalnym mężczyzną, skoro gardzi niewyszukanymi przyjemnościami, których może dostarczyć ladacznica. Cóż, wstrzemięźliwość dawała dziwne zadowolenie, sprawiała, że lepiej rozumiał samego siebie i stawał się niezależny.

Obecnie rzadko myślał o tych sprawach. Miał inne zainteresowania i troski.

Rozdział trzeci

1

Przed wyjściem Demelza powiedziała, że widziała się wcześniej z Jinny Carter i że Jim dostał zapalenia oskrzeli. Ale chorowity Jim często zapadał na zdrowiu na kilka dni i Ross się tym nie przejął. Przez następne dwa tygodnie był zajęty sprawami związanymi z uruchomieniem kopalni i odkładał spotkanie z Jimem do czasu, aż będzie mógł mu zaproponować konkretne obowiązki. Nie chciał, by wydawało się, że daje mu byle jaką pracę.

Za biuro kopalni miała służyć biblioteka w Namparze, co zakłóciło życie całego dworu. Kiedy uprzątnięto z niej rupiecie i odmalowano ściany, a wieść, że tym razem jakaś kopalnia ma zostać otwarta, a nie zamknięta, prędko się rozeszła, Rossa zaczęli oblegać bezrobotni górnicy, niekiedy mieszkający nawet w odległości trzydziestu kilometrów, pragnący zdobyć pracę za każdą cenę. Ross i Henshawe starali się zawierać uczciwe umowy. Zatrudnili czterdziestu ludzi, w tym dwóch sztygarów, jednego odpowiedzialnego za roboty na powierzchni i drugiego nadzorującego górników pracujących na dole, który miał podlegać Henshawowi.

Po kilkunastu dniach Ross spotkał się z Zackym Martinem i spytał o Jima. Zacky oświadczył, że Jim czuje się lepiej, choć nie wrócił jeszcze do kopalni z powodu kaszlu.

Ross dokładnie zaplanował początek robót. W następny poniedziałek ośmiu ludzi miało zacząć drążyć kanał odpływowy od strony klifu, a dwudziestu kopać pierwszą sztolnię. Potrzebny był pomocnik skarbnika.

– Każ mu przyjść do mnie jutro rano, dobrze? – poprosił Ross.

– Tak – odparł Zacky. – Zobaczę się dziś wieczorem z Jinny. Powiem jej, by mu to przekazała. Na pewno nie zapomni.

2

Jim Carter nie spał i prawie natychmiast usłyszał ciche pukanie do drzwi.

Bardzo ostrożnie wyslizgnął się z łóżka, by nie obudzić Jinny ani dzieci, i poszukał ubrania. Nastąpił na obluzowaną deskę podłogi i stał przez chwilę nieruchomo, powstrzymując kaszel, aż usłyszał miarowy oddech żony. Włożył spodnie i koszulę, a następnie podniósł buty i opończę.

Zawiasy klapy w podłodze zwykle skrzypiały, ale wcześniej je naoliwił i teraz otworzyły się bezszelestnie. Był w połowie schodów, gdy usłyszał głos:

– Jim...

Przygryzł z irytacją wargi, lecz milczał. Jinny mogła mówić przez sen. Zapadła cisza.

– Znowu wychodzisz z Nickiem Vigusem, Jim – ciągnęła. – Dlaczego mi nie powiedziałeś?

– Tylko byś się złościła.

– Nie powinieneś iść.

– Muszę. Obiecałem wczoraj Nickowi.

– Powiedz, że się rozmyśliłeś.

– Nie rozmyśliłem się.

– Rano kazał ci przyjść kapitan Poldark. Zapomniałeś?

– Wróć przed świtem.

– Może chce ci dać pracę w nowej kopalni?

– Nie mógłbym jej przyjąć, Jinny. Nie wiadomo, czy kapitan Poldark znajdzie miedź. Nie mogę porzucić Grambler. To dobra kopalnia.

– Żadna kopalnia nie jest dobra, jak musisz do niej chodzić po szyć w wodzie. Nie dziwota, że kaszlesz.

– Jak tylko próbuję zdobyć dodatkowe jedzenie, zawsze zaczynasz narzekać.

– Damy sobie radę, Jim. Łatwo. Nie potrzebuję więcej jedzenia. Nie z kłusownictwa. Te ptaki stają mi kością w gardle, gdy myślę, jak je zdobyłeś.

– Nie jestem święty.

– Ja też nie. Chodzi o niebezpieczeństwo, jakie ci grozi.

– Nie ma żadnego niebezpieczeństwa, Jinny – odpowiedział łagodniejszym tonem. – Nie ma się co umartwiać. Przecie wiesz. Nic mi nie będzie.

Znów rozległo się ciche pukanie do drzwi.

– Robię to tylko wtedy, gdy nie zarabiam. Wiesz o tym. Nie będę wychodził w nocy, jak wróć do kopalni. Do widzenia!

– Jim, nie chcę, byś dziś w nocy wychodził. Nie dzisiaj.

– Cicho, obudzisz dzieci. Pamiętaj o nich, a przecież niedługo będzie następne. Musisz dobrze jeść, Jinny.

– Wolę głodować...

Słowa wypowiedziane przez Jinny popłynęły w dół, w głąb ciemnej kuchni, gdy Jim schodził po schodach. Podszedł do drzwi, odsunął rygiel i do domu bezszelestnie wślizgnął się Nick Vigus.

– Długo żem czekał. Masz sieci?

– Wszystko gotowe. Brrr... ale zimno.

Jim włożył opończę i buty, po czym wyszli z domu. Nick coś szeptał do swojego psa. Czekala ich długa droga, jakieś osiem kilometrów w każdą stronę, i przez pewien czas maszerowali w milczeniu.

W górze rozciągało się czyste, gwiazdziste niebo, lecz było zimno. Od morza wiał lekki północno-zachodni wiatr. Jim dygotał i kasłał.

Podążyli na południowy wschód, okrążyli wioskę Marasanvose, wspięli się do głównego gościńca, którym jeździły dylizanse, po czym zeszli do żyznej doliny leżącej za pasem wzgórz. Znaleźli się na terenie posiadłości Bodruganów, obfitującej w zwierzynę, lecz niebezpiecznej, i zachowywali jak największą ostrożność. Przodem szedł Nick Vigus, a za nim chudy pies gończy, lurcher. Pochód zamykał Jim, niosąc drag o długości trzech metrów i sieć domowej roboty.

Ominęli drogę i weszli do niewielkiego zagajnika. Nick zatrzymał się w cieniu.

– Te przekłete gwiazdy świecą prawie jak księżyc. Nie wiem, czy co upolujemy.

– Cóż, nie możemy wracać, jak nie spróbujemy. Widzi mi się...

– Tss... Cicho!

Przycupnęli wśród krzaków i nasłuchiwali. Później ruszyli naprzód. Zagajnik zaczął się przerzedzać, sto metrów dalej znajdowała się wielka polana o powierzchni czterystu metrów kwadratowych. Wzdłuż jednego z boków płynął strumień o brzegach porośniętych gęstymi krzakami i młodymi drzewami. Właśnie tam gnieździły się bażanty. Ptaki siedzące na niższych gałęziach łatwo było schwytać za pomocą siatki. Niebezpieczeństwo polegało na tym, że po drugiej stronie polany stał Werry House, dwór Bodruganów.

Nick znowu się zatrzymał.

– Słyszałeś co? – spytał Jim.

– Tak – szepnął Vigus. Jego łysa, różowa czaszka lśniła w świetle gwiazd; dzioby po ospie przypominały ciemne plamki. Wyglądał jak zdegenerowany cherubin. – Gajowi. Myszkują po okolicy.

Przez kilka minut stali w milczeniu. Jim stłumił kaszel i położył rękę na łbie psa. Zwierzę poruszyło się i znieruchomiało.

– Niczego nie czuje – powiedział Nick. – Po mojemu to fałszywy alarm.

Zaczęli się przedzierać przez krzaki. Kiedy zbliżyli się do skraju polany, stało się jasne, że największym problemem nie są gajowi, których może w ogóle nie ma w pobliżu, tylko podejście do bażantów w taki sposób, by nie zdążyły się wzbić w powietrze. Jasna noc bardzo to utrudniała.

Nick i Jim naradzili się szeptem. Postanowili się rozdzielić i zbliżyć do bażantów z przeciwnych stron. Vigus, dysponujący większym doświadczeniem, miał iść dłuższą drogą.

Jim potrafił poruszać się bezszelestnie. Skradał się bardzo powoli, aż ujrzał ciemne sylwetki ptaków siedzących na gałęziach i w rozwidleniach konarów drzewa rosnącego z przodu. Rozwinął sieć okręconą wokół ramienia, lecz postanowił dać Nickowi jeszcze dwie minuty, by nie spłoszyć ptaków zbyt wcześnie.

Stał, słuchając szumu wiatru w koronie drzewa nad sobą. W dali widać było ciemne zarysy Werry House na tle szarości nocy. W jednym z okien ciągle paliło się światło. Było już po pierwszej i Jim zastanawiał się, dlaczego mieszkańcy dworu nie poszli jeszcze spać.

Ciekawe, co zamierza mu powiedzieć kapitan Poldark. Jim dużo zawdzięczał Rossowi, ale miał poczucie, że nie może przyjąć kolejnych dobrodziejstw. Oczywiście pod warunkiem, że będzie zdrowy. Wyrządziłby krzywdę Jinny, gdyby umarł w wieku dwudziestu sześciu lat jak jego ojciec. Jinny bardzo się martwiła, że Jim musi codziennie brodzić w wodzie, idąc do Gambler, ale nie zdawała sobie sprawy, że wszyscy górnicy stale mokną, a potem schną. Jak ktoś nie potrafi tego wytrzymać, nie nadaje się do pracy w kopalni. W tej chwili nie miał do czynienia z wysadzaniem skał i było to coś, z czego powinien się cieszyć.

W pobliskich zaroślach coś zaszeleściło – chyba zwierzę. Obrócił głowę i wyteżył wzrok, ale nic nie widział. Dalej rośło sękate, zdeformowane drzewo. Chyba młody dąb, sądząc po martwych liściach na konarach. Wisiały na nim całą zimę, szeleszcząc na wietrze. Dziwny, wybrzuszony pień.

I nagle pień lekko się poruszył.

Jim zmrużył oczy i popatrzył na dąb. Stał pod nim mężczyzna.

A jednak ktoś spostrzegł ślady ich sobotniej wyprawy. Od tamtej nocy gajowi mogli cierpliwie czekać w zasadzce, aż Jim i Nick znowu się pojawią. Może już go zauważyli? Nie. Ale jeśli ruszy do przodu, na pewno wpadnie w ich ręce. Co z Nickiem, który miał nadejść od północy?

Jim znieruchomiał, rozumiejąc, że musi podjąć natychmiastową decyzję. Zaczął się powoli cofać.

Zrobił zaledwie dwa kroki, gdy za jego plecami rozległ się trzask gałązki. Odskoczył, strząsając z ramienia rękę człowieka, który chciał go chwycić, rzucił sieć i popędził w stronę bażantów. W tej samej chwili po drugiej stronie kępy drzew coś zaszeleściło i rozległ się strzał z muszkietu. Nagle w zagajniku zapanowało ogromne zamieszanie: w powietrze wzbiło się z trzepotem skrzydeł stadko przerażonych bażantów, wokół rozległy się krzyki gajowych, którzy udzielali sobie wskazówek, które uciekają Nick i Jim.

Jim wybiegł na otwartą przestrzeń i popędził prosto przed siebie wzdłuż strumienia, starając się pozostawać w głębokim cieniu. Słyszał za plecami kroki ścigających go ludzi i zdawał sobie sprawę, że nie zyskuje nad nimi przewagi. Serce waliło mu jak młotem, dyszał ciężko.

Kiedy dotarł do przesieki, skręcił i pobiegł między drzewa. Był teraz niedaleko dworu; zauważył, że znalazł się na jednej ze ścieżek na terenie posiadłości. Panował tu mrok, a poszycie było tak gęste, że nie przedostałby się przez nie, nie zdradzając swojej obecności.

Dotarł do niewielkiej polany. Na środku znajdował się kolisty marmurowy pawilon i zegar słoneczny. Ścieżka kończyła się w tym miejscu. Pobiegł w stronę pawilonu, potem zmienił zdanie i skierował się ku krawędzi polany, gdzie rósł wielki pochyły wiąz. Wspiął się po pniu, raniąc sobie dłonie i łamiąc paznokcie na korze. Dotarł do drugiego konara, gdy na polanę wpadło z tupotem dwóch gajowych. Znieruchomiał, starając się oddychać jak najciszej.

Dwaj mężczyźni się zawahali. Rozglądali się po polanie; jeden pochylił głowę i nasłuchiwał.

– ...nie uciekł daleko... gdzieś się schował... – usłyszał Jim, siedząc na drzewie.

Niepewnie wkroczyli na polanę. Jeden wszedł po schodkach i próbował otworzyć drzwi pawilonu. Były zamknięte na klucz. Drugi cofnął się i popatrzył na kopulasty dach. Rozdzielili się i powoli obchodzili polanę.

Kiedy jeden z gajowych zbliżył się do drzewa, na którym siedział Jim, młody mężczyzna poczuł znajome drapanie w płucach zwiastujące atak kaszlu. Na jego czole znów pojawiły się krople potu.

Gajowy z wolna przeszedł obok wiązu. Jim zauważył, że trzyma w rękach strzelbę. Minąwszy pochyłone drzewo, mężczyzna zatrzymał się koło pnia, na który łatwo można było się wspiąć, i spojrzał na konary w górze.

Jim chwycił haust powietrza, zakrztusił się i wstrzymał oddech. Drugi mężczyzna zakończył obchód i wrócił do swojego towarzysza.

– Widziałeś go?

– Nie. Sukinsyn musiał uciec.

– Tak.

Płuca Jima samoistnie kurczyły się i rozszerzały. Czuł coraz silniejsze drapanie w gardle i leciutko kaszlnął.

– Co to było? – spytał jeden z gajowych.

– Nie wiem. To tam.

Ruszyli szybko w stronę wiązu, lecz źle ocenili odległość i stanęli naprzeciwko splątanych krzaków.

– Zostań tutaj – rzekł pierwszy. – Zobaczę, czy ktoś tam jest. – Wszedł w krzaki i zniknął. Drugi stał oparty o pień drzewa, trzymając w pogotowiu strzelbę.

Jim chwycił gałąź znajdującą się nad jego głową, rozpaczliwie usiłując powstrzymać kaszel. Był zlany potem; koszmarny wysiłek stawał się niemożliwy do wytrzymania i nawet schwytnie wydawało się lepsze. Pękała mu głowa. Oddałby życie za możliwość zakasłania.

– Chyba uciekł. Zobaczmy, jak sobie poradził Johnson.

– Przyprować psy?

– Nic nie wycują. Może złapiemy ich w przyszłym tygodniu.

Dwaj gajowi odchodzili. Ale po niespełna dziesięciu krokach stanęli jak wryci, słysząc gwałtowny kaszel w górze za swoimi plecami.

Przez chwilę wsłuchiwali się w cichnące echo rozbrzmiewające wśród drzew. Później jeden z nich oprzytomniał i pobiegł w stronę wiązu.

– Złaź! – krzyknął. – Natychmiast złaź albo cię zastrzelę!

Rozdział czwarty

1

Ross dowiedział się o aresztowaniu Jima dopiero o dziesiątej, gdy jedno z dzieci Martinów przybiegło z wiadomością do kopalni. Natychmiast wrócił do Nampary, osiodłał Czarnulkę i pojechał do Werry House.

Bodruganowie byli jednym z wymierających rodów Kornwalii. Główna linia, która od blisko dwustu lat odgrywała ważną rolę w historii regionu, wygasła w połowie wieku. To samo groziło Bodruganom z Werry. Sir Hugh, obecny baronet, pięćdziesięcioletni kawaler, był niskim, energicznym mężczyzną o wydatnym brzuchu. Utrzymywał, że żaden inny człowiek nie ma tylu włosów na ciele; w czasie wieczornych biesiad z porto chętnie zakładał się o to o pięćdziesiąt gwinei. Mieszkał z wdową po własnym ojcu, dwudziestodwuletnią lady Bodrugan, która klęła jak szewc, uwielbiała jeździć konno i trzymała w domu tyle psów, że przesiąkła ich wonią.

Ross znał oboje z widzenia, ale wolałby, by Jim kłusował w innym majątku.

Uczucie to nasiliło się, gdy przybył do Werry House i ujrzał tłum myśliwych wybierających się na polowanie w lesie Carnbarrow. Widząc spojrzenia i szepty ludzi w czerwonych strojach i lśniących butach, zsiadł z konia i ruszył między rumakami i ujadającymi psami w stronę drzwi dworu.

Na szczycie schodów zastąpił mu drogę służący.

– Czego chcesz?! – spytał ostro, spoglądając na robocze ubranie Rossa.

Ross obrzucił go gniewnym wzrokiem.

– Porozmawiać z sir Hugh Bodruganem. Nie zachowuj się bezczelnie!

Służący próbował naprawić swój błąd.

– Bardzo przepraszam, jaśnie panie. Sir Hugh jest w bibliotece. Kogo mam zaanonsować?

Rossa wprowadzono do sali pełnej ludzi pijących porto i białe wino z Wysp Kanaryjskich. Trudno było wyobrazić sobie gorsze warunki, by przedstawić prośbę, z którą przyszedł. Znał wielu obecnych. Był tu młody Whitworth, George Warleggan, doktor Choake, Patience Teague i Joan Pascoe. A także Ruth Teague i John Treneglos, najstarszy syn starego Horace'a Treneglusa. Ross popatrzył nad głowami zgromadzonych i zauważył koło kominka przysadzistą postać sir Hugh, który siedział z rozkraczonymi nogami i z uniesionym kieliszkiem w rękę. Zbliżył się do niego służący i szepnął mu coś do ucha. Ross usłyszał zniecierpliwione pytania Bodrugana: „Kto? Co takiego? Co takiego?”. To wszystko, co Ross zdołał usłyszeć. Rozmowy na pewien czas ucichły. W przyszłości nauczył się uznawać to za naturalne zjawisko po swoim wejściu do sali pełnej ludzi.

Przepychając się w stronę sir Hugh, uśmiechał się lekko do niektórych gości i pozdrawiał ich skinieniem głowy. Nagle rozległo się szczekanie i zauważył, że lady Constance Bodrugan klęczy na dywanie przed kominkiem i bandażuje łapę psu, a wokół niej biega sześć czarnych spanieli, które liżą ją po rękach.

– Niech mnie kule biją, myślałem, że to Francis! – zawołał sir Hugh. – Do pańskich usług, drogi panie. Łowy zaczynają się za dziesięć minut.

– Potrzebuję jedynie pięciu – odparł uprzejmie Ross. – Ale chciałbym porozmawiać z panem na osobności.

– Dziś rano nie ma w tym domu spokojnych miejsc, chyba że gadalibyśmy w wychodku. Proszę mówić, nikt pana nie usłyszy w tym gwarze.

– Dalibóg, obiłabym szpicrutą człowieka, który zostawił na podłodze to przekłete szkło! – fuknęła jego macocha.

Ross wziął podane wino i wyjaśnił baronetowi powód swojej wizyty. Zeszłej nocy w posiadłości Bodruganów schwytano kłusownika. Zna tego chłopca osobiście. Sir Hugh, pełniący urząd sędziego, niewątpliwie weźmie udział w procesie. To pierwsze przestępstwo chłopca i istnieją poważne dowody, że sprowadził go na złą drogę starszy mężczyzna, zatwardziały łotr. Gdyby chłopca zwolniono, udzielając mu surowego ostrzeżenia, Ross pokryłby wszelkie szkody. Ponadto osobiście by się zobowiązał, że...

W tym momencie sir Hugh ryknął śmiechem. Ross urwał.

– Niech mnie kule biją! Przybywa pan za późno! Doprawdy, za późno! Przyprawiono go tutaj o ósmej rano. Teraz idzie w kajdanach do Truro. Jego proces odbędzie się w czasie następnego kwartalnego posiedzenia sądu.

Ross wypił łyk wina.

– Bardzo się pan pośpieszył, sir.

– Cóż, mamy dziś polowanie, więc chciałem szybko się rozprawić z tym szubrawcem. Wiedziałem, że o dziewiątej rano w domu zapanuje pandemonium.

– Podejrzewam, że to ten kłusownik zostawił tu szkło! – warknęła lady Bodrugan, puszczając łapę psa.

– Dalibóg, kazałabym go wychłostać! Prawo traktuje tych łajdaków zbyt łagodnie!

– Cóż, na kilka tygodni da spokój moim bażantom – stwierdził sir Hugh i wybuchnął serdecznym śmiechem. – A może dłużej? Musi pan przyznać, kapitanie Poldark, że w ciągu roku tracimy mnóstwo zwierzyny. To hańba.

– Przepraszam, że zajmuję panu czas w dniu polowania.

– Przykro mi, że nie przybył pan w weselszej misji. Mógłbym pożyczyć panu konia, gdyby chciał się pan przyłączyć do łowów.

Ross podziękował za zaproszenie, lecz odmówił. Po chwili się pożegnał, usprawiedliwiając się pilnymi obowiązkami, i ruszył w stronę drzwi. Nie miał tu nic więcej do roboty. Kiedy przeciskał się przez tłum gości, usłyszał głos lady Bodrugan, która spytała:

– Naprawdę puściłbyś tego łotra wolno, Hughie?!

Nie dosłyszał odpowiedzi baroneta, lecz ludzie stojący w pobliżu wybuchnęli śmiechem.

Wiedział, że Bodruganowie, podobnie jak wszyscy członkowie angielskiej arystokracji, są zwolennikami surowego karania kłusowników, choć wyrażają swoje poglądy za pomocą łagodniejszych sformułowań. Taka atmosfera panowała nawet w Kornwalii, gdzie powszechnie tolerowano szmugiel. Przemysłownik był sprytnym człowiekiem, który wiedział, jak oszukać rząd i uniknąć płacenia cła; poza tym dostarczał brandy za pół ceny. Kłusownicy wkraczali na cudzą ziemię wbrew zakazom i naruszali uświęcone prawo własności prywatnej. Byli ludźmi wyjętymi spod prawa, przestępcami. Należałoby ich wieszać.

Ross zetknął się z takimi samymi poglądami kilka dni później, gdy rozmawiał z doktorem Choakiem. Jim miał stanąć przed sądem w ostatnim tygodniu maja. Ross wiedział, że w lutym Choake badał Jima jako lekarz górniczy, i poprosił doktora o opinię na temat stanu zdrowia chłopca.

– Czegóż można się spodziewać po rodzinie, w której panuje gruźlica? – odparł Choake. Osłuchując pacjenta, wykrył zmiany chorobowe w jednym płucu, lecz trudno było powiedzieć, jak bardzo są zaawansowane. Oczywiście gruźlica miewa różne formy, pęcherzyki płucne mogą obumrzeć szybko lub powoli. Carter może nawet dożyć czterdziestu lat, czyli zaawansowanego wieku jak na górnika. Trudno cokolwiek przewidzieć.

Ross zasugerował, że te informacje przydałyby się w czasie rozprawy. Dowód, że oskarżony jest ciężko chory, a także jego osobista prośba mogłyby skłonić sędziów do umorzenia postępowania. Gdyby

Choake mógł wystąpić na rozprawie jako świadek...

Doktor zmarszczył brwi i w jego oczach pojawiła się konsternacja. Czy Ross mówi poważnie...?

Ross mówił poważnie. Choake pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Mój drogi panie, zrobiłbym wiele dla przyjaciela, ale proszę nie wymagać ode mnie zeznawania w obronie młodego włóczęgi, którego przyłapano na kłusownictwie. Nie mógłbym tego zrobić. To coś przeciwnego naturze, jak zaprzyjaźnienie się z Francuzem.

Ross nalegał, lecz Choake okazał się nieustępliwy.

– Prawdę mówiąc, nie podzielam pańskich poglądów – rzekł w końcu. – Nie należy się patyczkować z takimi ludźmi: sentymentalizm nie prowadzi do niczego dobrego. Ale przygotuję notatkę na temat stanu zdrowia chłopaka. Podpiszę ją i zapieczętuję jak oficjalny dokument. W ten sposób nie będę musiał zeznawać w sądzie. Nie mógłbym tego zrobić.

Ross z ociąganiem zaakceptował propozycję doktora.

Następnego dnia pan Treneglos po raz pierwszy odwiedził Wheal Leisure. Przyjechał z Mingoose z dziełem Liwiusza pod pachą, ubrany w zakurzony trójrożny kapelusz wciśnięty na perukę. Niektórzy z jego przodków zajmowali się górnictwem.

Obejrzał wszystko, co należało obejrzeć. Drażono trzy sztolnie, ale praca posuwała się powoli. Górnicy prawie natychmiast natrafili na twarde żelaziak. W niektórych miejscach musieli wysadzać skałę prochem strzelniczym, wywierciwszy otwory stalowymi świdrami. Pokład rudy żelaza biegł ze wschodu na zachód i wydawał się duży, toteż w ciągu najbliższych kilku tygodni wszystkich czekało mnóstwo pracy.

Pan Treneglos zauważył, że doprowadzi to do wzrostu kosztów, jednak okoliczności wydawały się obiecujące. W sąsiedztwie żelaziaka często znajdowano bogate pokłady miedzi.

– Natura jest jak ogromny skarbiec – powiedział. – Trzyma swoje bogactwa pod kluczem.

Poszli do krawędzi klifu i popatrzyli na cienką drewnianą platformę w połowie wysokości urwiska, gdzie ośmiu górników drążyło kanał odpływowy. Pracowali w grupach po czterech, zmieniając się co dwanaście godzin. Już dawno zniknęli z pola widzenia; ze szczytu klifu od czasu do czasu widać było dwunastoletniego chłopca, który wyjeżdżał z tunelu z taczka wyładowaną skałą wykutą przez górników i wysypywał jej zawartość na plażę w dole. Ross powiedział, że oni również natrafili na pokład żelaziaka i próbują go obejść.

Pan Treneglos odchrząknął i wyraził nadzieję, że dwie stare baby, Choake i Pearce, nie zaczną jęczeć na temat kosztów w czasie następnego zgromadzenia wspólników. Ile powinno zająć doprowadzenie kanału odpływowego do kopalni?

– Trzy miesiące – odparł Ross.

– Raczej sześć... – mruknął pod nosem pan Treneglos. – Raczej sześć – powtórzył. – Ale, ale, czy słyszał pan ostatnie nowiny?

– Jakie?

– O moim synu Johnie i Ruth Teague. Zaręczyli się. Wkrótce się pobiorą.

Ross nie wiedział o tym. Pani Teague musiała być w siódmym niebie.

– Ruth podjęła mądrą decyzję – ciągnął starszy mężczyzna, jakby po raz pierwszy postanowił wyrazić myśli Rossa, a nie swoje. – Miała szczęście, że złapała Johna, choć, szczerze mówiąc, trochę za bardzo lubi wypić. Wolałbym narzeczoną z pieniędzmi, bo poprawiłoby to naszą sytuację. Jednak to dobra dziewczyna i nadaje się na żonę dla Johna. Pewnego dnia słyszałem plotki o człowieku, który miał romans z kuchenną. Nie pamiętam, o kogo chodziło. Naprawdę, nie żartuję. Wszystko zależy od tego, jak na to patrzeć. Dobrze pamiętam, jak John poszedł do stodoły z jedną z naszych służących, nim skończyła siedemnaście lat.

– Mam nadzieję, że będą szczęśliwi.

– Słucham? O tak. Bardzo się cieszę, że John wreszcie się ustakuje. Nie jestem nieśmiertelny, a od osiemdziesięciu lat żaden dziedzic Mingoosie nie był kawalerem.

– Sprawuje pan urząd sędziego – odezwał się Ross. – Jaka jest kara za kłusownictwo?

– Słucham? Słucham? – Pan Treneglos w ostatniej chwili przytrzymał swój stary kapelusz, by nie porwał go wiatr. – Kłusownictwo? Wszystko zależy, drogi chłopcze, wszystko zależy. Jeśli ktoś ma wnyki lub psy gończe, za pierwszym razem może otrzymać wyrok trzech do sześciu miesięcy więzienia. Jeśli był już wcześniej karany albo, jak to się mówi, przyłapano go na gorącym uczynku, niewątpliwie zostanie skazany na deportację. Trzeba surowo traktować tych łotrów, bo inaczej nie będziemy mieli zwierzyny. Jak się czuje twój stryj?

– Nie widziałem go w tym miesiącu.

– Wątpię, czy znowu zostanie sędzią. Chyba zbyt lekko traktuje swoje obowiązki, prawda? Może za bardzo ufa medykom? Zupełnie im nie wierzę. Moim panaceum jest rabarbar. A jeśli chodzi o medyków: *timeo Danaos et dona ferentes*. To moja zasada i podobnie powinien postępować Charles – mruknął.

2

Rozprawa odbyła się trzydziestego maja.

Wiosna była zimna i brzydka; wiał silny wiatr i przez całe dni padały chłodne deszcze. Jednak w połowie miesiąca pogoda zaczęła się poprawiać i w ostatnim tygodniu zrobiło się nagle bardzo ciepło. W ciągu zaledwie kilku dni wiosna przeszła w początek lata. Wystarczył tydzień słonecznej pogody, by lasy i pola pokryły się bujną zielenią. Przez jedną noc rozkwitły spóźnione wiosenne kwiaty i długi czas nie opadały, jakby rosły w szklarni.

Dzień rozprawy był bardzo ciepły. Ross wyruszył do Truro wczesnym rankiem i przez całą drogę słyszał śpiew ptaków. Ponurą, odstręczającą salę sądową oświetlały promienie słońca wpadające przez brudne szyby; wydobywały z mroku stare, sękaty ławki oraz wielkie pajęczyny wiszące w rogach pomieszczenia i na belkach sufitu. W jego blasku widać było pochylonego nad papierami wychudzonego urzędnika sądowego ze zwisającą z nosa kroplą oraz tłumek widzów zgromadzonych na sali, którzy pokaskiwali i szeptali między sobą.

W rozprawie uczestniczyło pięciu sędziów i Ross z zadowoleniem spostrzegł, że zna dwóch z nich. Pierwszym był przewodniczący, pan Nicholas Warleggan, ojciec George'a, drugim zaś wielebny doktor Edmund Halse, którego spotkał w dyliżansie. Trzeciego, grubego, starszego mężczyznę znał z widzenia. Nazywał się Hick, należał do miejskiego patrycjatu i zapijał się na śmierć. Przez większość poranka doktor Halse osłaniał nos cienką batystową chusteczką, niewątpliwie nasączoną olejkami z bergamotki i rozmarynu, co było rozsądnym środkiem ostrożności z powodu febry panującej w okolicy.

W dusznej, pachnącej stęchlizną sali odbyły się szybko dwie lub trzy sprawy, po czym na ławie oskarżonych zasiadł James Carter. Na jednej z ławek dla publiczności przycupnęła Jinny Carter, która przeszła tego ranka niemal piętnaście kilometrów wraz ze swoim ojcem. Próbowwała się uśmiechnąć do męża, gdy zerknął w jej stronę. Pobyt w więzieniu sprawił, że jego skóra stała się blada i miał podkrążone oczy.

W chwili rozpoczęcia rozprawy woźny sądowy spojrzął na duży zegar wiszący na ścianie i – jak domyślił się Ross – uznał, że postępowanie zapewne zakończy się przed południową przerwą.

Sędziowie również mieli taką nadzieję. Gajowy sir Hugh Bodrigan miał skłonność do zbaczania z tematu i pan Warleggan dwukrotnie ostro go upomniał. Przestraszyło to świadka, który zaczął mamrotać

i pośpiesznie zakończył swoją opowieść. Drugi gajowy potwierdził historię i w ten sposób postępowanie dowodowe zostało zakończone. Pan Warleggan uniósł wzrok.

– Czy są jacyś świadkowie obrony?

Jim Carter milczał. Po chwili wstał urzędnik sądowy.

– Nie ma świadków obrony, Wysoki Sądzie. Oskarżony nie był wcześniej karany. Mam tu list od sir Hugh Bodrugana, w którym skarży się on, że stracił w tym roku dużo zwierzyny i że to pierwszy kłusownik schwytyany od stycznia.

Sędziowie się naradzali. Ross przeklinał w duchu sir Hugh. Pan Warleggan spojrzał na Cartera.

– Czy oskarżony ma coś na swoją obronę?

Jim oblizał wargi.

– Nie, Wysoki Sądzie.

– Bardzo dobrze, a zatem...

Ross wstał.

– Gdybym mógł prosić Wysoki Sąd o chwilę łaskawej uwagi...

Publiczność zaczęła szeptać i wszyscy obrócili głowy, by zobaczyć, kto burzy spokój stęchłej sali sądowej.

Pan Warleggan spojrzał na Rossa, mrużąc oczy w blasku słońca. Ross skinął lekko głową, czyniąc gest podobny do powitania.

– Ma pan jakieś dowody na obronę tego człowieka?

– Chciałbym złożyć zeznanie na temat jego charakteru – odpowiedział Ross. – Był moim parobkiem.

Warleggan odwrócił się i zaczął rozmawiać szeptem z doktorem Halse'em. Obaj go poznali. Ross dalej stał, a widzowie obracali się na ławkach, by mu się lepiej przyjrzeć. Po lewej stronie dostrzegł znajomą twarz, której nie mógłby z nikim pomylić: grube, wilgotne wargi i skośne oczy Eliego Clemmowa. Może przyszedł na rozprawę, by napawać się upadkiem Cartera?

– Proszę stanąć na miejscu dla świadków – odezwał się Warleggan basowym, spokojnym głosem. – Złóż pan zeznanie.

Ross wyszedł spomiędzy ławek i ruszył w stronę miejsca dla świadków. Złożył przysięgę i udał, że całuje starą, wyświechtaną Biblię. Później chwycił dłońmi krawędź pulpitu i spojrzał na pięciu sędziów. Hick pochrapywał, jakby spał. Doktor Halse poruszał lekko chusteczką i patrzył na Rossa, jakby go nie znał. Warleggan przeglądał jakieś papiery.

– Niewątpliwie, panowie, na podstawie tego, co usłyszeliście, nie macie powodu dostrzegać w tej sprawie niczego wyjątkowego. Macie duże doświadczenie i z pewnością uczestniczyliście w wielu procesach, w których na korzyść oskarżonych przemawiały okoliczności łagodzące, jak głód, bieda lub choroby, zwłaszcza w czasach tak trudnych jak obecne. Lecz naturalnie prawo jest prawem i jestem ostatnią osobą, która mogłaby prosić Wysoki Sąd, by uwolnić od kary kłusownika przyłapanego na gorącym uczynku. Mam jednak dokładną wiedzę o okolicznościach tej sprawy, którą chciałbym przekazać Wysokiemu Sądowi. – Ross streścił koleje losu Jima, kładąc szczególny nacisk na zły stan jego zdrowia oraz brutalny atak na jego żonę i dziecko dokonany przez Reubena Clemmowa. – Oskarżony żyje w biedzie i mam podstawy do przypuszczeń, że wpadł w złe towarzystwo, po czym namówiono go do złamania obietnic złożonych bezpośrednio mnie. Jestem pewien uczciwości tego chłopca. To nie on powinien stać przed sądem, ale człowiek, który sprowadził go na manowce.

Ross umilkł. Czuł, że wzbudził zainteresowanie słuchaczy. Miał mówić dalej, gdy wśród publiczności ktoś zachichotał. Kilku sędziów spojrzało w tamtą stronę, a doktor Halse surowo zmarszczył brwi. Ross nie miał wątpliwości, kto się śmiał.

– Człowiek, który sprowadził Cartera na manowce – powtórzył, usiłując znów skupić na sobie

zainteresowanie słuchaczy – jest od niego znacznie starszy i jak dotąd uniknął kary. To on ponosi całą winę. Wystarczy spojrzeć na oskarżonego, by zobaczyć, jaki jest stan jego zdrowia. Na potwierdzenie tych słów przedstawiam świadectwo doktora Thomasa Choake’a z Sawle, wybitnego lekarza górniczego, który zbadał Jamesa Cartera i stwierdził, że cierpi na chroniczne ropne zapalenie płuc. Choroba ta prawdopodobnie zakończy się śmiercią oskarżonego. W tej chwili jestem gotów ponownie go zatrudnić i poręczyć za jego zachowanie w przyszłości. Proszę, by Wysoki Sąd starannie rozważył wszystkie wymienione fakty przed wydaniem wyroku.

Wręczył urzędnikowi sądowemu arkusz papieru, na którym doktor Choake nabazgrał diagnozę wodnistym atramentem. Urzędnik stał przez chwilę z papierem w ręku, wahając się, aż pan Warleggan niecierpliwie skinął dłonią, by przekazał dokument sędziom. Przeczytali go i zaczęli się naradzać.

– Twierdzi pan, że podsądny nie może zostać wysłany do więzienia z powodu złego stanu zdrowia? – spytał Warleggan.

– Jest bardzo poważnie chory.

– Kiedy przeprowadzono badanie? – spytał chłodno doktor Halse.

– Około trzech miesięcy temu.

– I w tym stanie zaczął kłusować?

Ross zawahał się, zdając sobie sprawę z nieprzyjaznych implikacji pytania.

– Choruje od dłuższego czasu.

Doktor Halse powąchał swoją chusteczkę.

– Cóż, moim zdaniem, jeśli ktoś jest na tyle zdrowy, by... hm... kłusować, jest również na tyle zdrowy, aby... hm... ponieść za to karę.

– No, prawdę gada! – rozległ się czyjś głos.

Pan Warleggan uderzył młotkiem w sędziowską ławę.

– Jeśli ktoś jeszcze raz ośmieli się zakłócić przebieg rozprawy... – Odwrócił się. – Wie pan co, panie Poldark? Jestem skłonny podzielić pogląd doktora Halse’a. Niewątpliwie należy ubolewać, iż więzień cierpi na poważną chorobę, ale prawo nie pozwala nam dokonywać subtelnych rozróżnień. Stopień biedy nie może określać stopnia uczciwości, bo inaczej wszyscy żebracy mogliby zostać złodziejami. Skoro ktoś jest na tyle zdrowy, by popełnić przestępstwo, z pewnością może również ponieść karę.

– Pamiętajmy jednak o tym, że spędził blisko miesiąc w więzieniu – odparł Ross. – Biorąc pod uwagę jego poprzednie dobre sprawowanie i ubóstwo, uważam, że w tym przypadku sprawiedliwość nakazuje darowanie mu reszty kary.

Warleggan wysunął do przodu dolną wargę.

– Może pan tak uważać, panie Poldark, lecz decyzja należy do sędziów. W ciągu ostatnich dwóch lat znacząco wzrosła przestępczość. Kłusownictwo to niebezpieczny występki. Wykrycie sprawców jest trudne i wiąże się z dużymi kosztami, a schwytani złoczyńcy muszą być przygotowani na surową karę. Nie możemy rozważać stopnia winy, musimy brać pod uwagę fakty. – Umilkł. – Ze względu na świadectwo medyczne oraz pańskie zeznania na temat charakteru oskarżonego jesteśmy jednak skłonni potraktować go łagodnie i wymierzyć mu niższą karę. Skazujemy podsądnego na dwa lata więzienia.

Na sali rozległy się pomruki; ktoś prychnął z niesmakiem.

– Mam nadzieję, że nigdy nie będę miał takiego pecha, by zostać łagodnie potraktowanym przez Wysoki Sąd – powiedział Ross.

Doktor Halse opuścił chusteczkę.

– Proszę uważać, panie Poldark. Takie komentarze również mogą się stać przedmiotem deliberacji sądu.

– Na ten przywilej zasługuje jedynie miłosierdzie.

Pan Warleggan machnął ręką.

– Następna sprawa.

– Chwileczkę – odezwał się doktor Halse. Pochylił się, złączył czubki palców i zacisnął wąskie wargi. Nie znosił aroganckich paniczów z ziemiańskich rodzin, gdziekolwiek miał z nimi do czynienia: w szkole, w dyliżansie, na sali sądowej. Był bardzo zadowolony, że zadał pytanie o datę przeprowadzenia badania lekarskiego, co sprawiło, że pozostali sędziowie poszli jego tokiem myślenia. Ten bezczelny młody człowiek mimo wszystko chce mieć ostatnie słowo. Nie wolno na to pozwolić.

– Chwileczkę, panie. Przybywamy do sądu i wymierzamy sprawiedliwość, zdając sobie sprawę ze swoich przywilejów i obowiązków. Jako człowiek Kościoła czuję, że spoczywa na mnie szczególna odpowiedzialność. Duchowni sprawujący jednocześnie funkcję sędziów powinni wymierzać sprawiedliwość i okazywać miłosierdzie; to zadanie wyznaczone przez Boga. Staram się je wykonywać w miarę swoich skromnych możliwości i uważam, że w tej sprawie spełniłem swoją powinność. Pańskie insynuacje, że jest inaczej, są dla mnie obraźliwe. Uważam, że nie ma pan pojęcia, o czym pan mówi.

– Barbarzyńskie prawa – odparł Ross, z najwyższym trudem usiłując nad sobą zapanować – barbarzyńskie prawa, które interpretujecie bez krzty miłosierdzia, każą wysłać człowieka do więzienia za to, że chciał nakarmić własne głodne dzieci, że próbował zdobyć jedzenie, gdy nie mógł na nie zarobić. Księga, z której czerpie pan swoje nauki, doktorze Halse, głosi, że nie samym chlebem człowiek żyje. Każecie ludziom żyć nawet bez chleba.

W tylnej części sali rozległy się głośnie pomruki aprobaty.

Pan Warleggan zaczął gniewnie walić młotkiem.

– Sprawa jest zakończona, panie Poldark. Proszę łaskawie opuścić miejsce dla świadków.

– Inaczej spotka pana kara za obrazę sądu – dodał doktor Halse.

Ross skłonił się lekko.

– Mogę pana zapewnić, doktorze, że taka kara świadczyłaby o tym, że Wysoki Sąd odczytuje moje najskrytsze myśli.

Opuścił miejsce dla świadków i wyszedł z sali sądowej, słysząc krzyki woźnego, który próbował przywołać do porządku hałasującą publiczność. Znalazłszy się na wąskiej ulicy przed budynkiem, odetchnął głęboko ciepłym letnim powietrzem. W rynsztoku leżała gruba warstwa odpadków, ale ich smród wydawał się miły po stęchłym powietrzu sali sądowej. Wyjął chusteczkę i wytarł czoło. Dłoń ciągle drżała mu z gniewu, nad którym próbował zapanować. Był pełen niesmaku i rozczarowania.

Ulicą kroczyła długa karawana mułów z ciężkimi jukami z cyną, prowadzona przez kilku brudnych górników. Szli od świtu z odległej kopalni, by dostarczyć cynę do gmachu urzędu stemplowego. Zamierzali wrócić do domu, jadąc na grzbietach zmęczonych mułów.

Ross czekał na przejście karawany, by przekroczyć wąską ulicę. Nagle poczuł, że ktoś dotyka jego ramienia.

Była to Jinny ze swoim ojcem Zackym Martinem, stojącym za jej plecami. Miała na policzkach rumieńce, które kontrastowały z resztą jasnej, piegowatej twarzy.

– Chcę panu podziękować za to, co pan rzekł. To takie zacne, że próbował pan pomóc Jimowi. To, co pan rzekł...

– Nic nie osiągnąłem – odparł Ross. – Zabierz córkę do domu, Zacky. Powinna być z tobą.

– Tak, panie.

Odszedł szybkim krokiem i ruszył Coinagehall Street. To, że mu podziękowano za to fiasko, przelało czarę goryczy. Czuł złość i niesmak, że stracił panowanie nad sobą. Możesz być zuchwały, gdy w grę wchodzi twoja własna wolność, ale staraj się kontrolować swoje emocje, kiedy wtrącasz się w sprawy innych. Doszedł do wniosku, że źle do tego wszystkiego podszedł. Dobry początek, a potem klęska. Był

ostatnim człowiekiem, który mógłby pomóc Jimowi. Powinien być służalczy, płaszczyć się przed sędziami. Powinien podkreślać, że szanuje ich autorytet, jak to robił na początku, a jednocześnie sugerować, że mogą wydać łagodny wyrok z dobroci serca.

W głębi duszy powątpiewał, czy nawet złotousty Sheridan zdołałby ich przekonać, by darowali życie swojej ofierze. Teraz uważał, że powinien był się spotkać z sędziami przed rozprawą i powiedzieć, że utrata parobka byłaby dla niego wielką niedogodnością. Właśnie w ten sposób można załatwić uniewinnienie, a nie zeznaniami medyków lub sentymentalnymi prośbami o łaskę.

Dotarł do Prince's Street i skręcił do oberży Pod Walecznym Kogutem. Zamówił butelkę brandy i zaczął pić.

Rozdział piąty

1

W gorącym słońcu wczesnego letniego popołudnia Demelza i Prudie pielili rzepy posadzone niedawno w dolnej części długiego pola.

Prudie bez przerwy narzekała, ale Demelza nie zwracała na nią uwagi, nawet jeśli jej słuchała. Rytmicznie uderzała w ziemię motyką, wyrrywając młode chwasty, by rzepy mogły swobodnie się rozrastać. Od czasu do czasu przerywała pracę, brała się pod boki i spoglądała w stronę plaży Hendrawna. Morze oświetlone upalnym słońcem było bardzo spokojne. Chwilami wiał lekki wiatr, marszcząc powierzchnię wody, która falowała niczym puch na ptasim skrzydle. Na płyciznach nieustannie zmieniała kolor z fioletoworóżowego na butelkowozielony.

Niekiedy Demelza nuciła jakąś melodię, bo lubiła ciepło, zwłaszcza ciepło słońca. Ku niezadowoleniu Prudie zdjęła niebieski czepek. Pracowała w błękitnej kwiecistej sukience, z zakasаныmi rękawami i gołymi nogami. Nosiła drewniane chodaki.

Prudie wyprostowała się, jęknęła i złożyła dłonie, jakby rzadko wykonywała podobny ruch. Poprawiła brudnym palcem czepek i wsunęła pod niego kosmyk włosów.

– Całkiem zeszywniały mi plecy. Nic już dzisiaj nie porobię. Moje biodra! Nie dadzą mi spokoju przez całą noc. – Wyciągnęła z ziemi obcas jednego z trzewików. – Ty też lepiej kończ. Trza nakarmić cielaki, a ja nie podołam wszystkimu... A to kto?

Demelza odwróciła się i spojrzała zmrużonymi oczyma pod słońce.

– Przecie... Czego on tu chce?

Rzuciła na ziemię motykę i popędziła przez pole w stronę dworu.

– Ojczy! – zawołała.

Tom Carne zauważył Demelzę i stanął. Podbiegła do niego. Po jego ostatniej wizycie, gdy oznajmił, że niebawem zamierza się ożenić, jej uczucia do niego się zmieniły. Wspomnienia złego traktowania przybladły, a teraz, kiedy nie istniał już między nimi konflikt, Demelza była gotowa zapomnieć o przeszłości i okazywać ojcu czułość.

Stał w rozkroku, zsunawszy na tył głowy okrągły kapelusz, i pozwolił Demelzie pocałować się w czarną, kłującą brodę. Natychmiast zauważyła, że ma mniej przekrwione oczy i że jest przyzwoicie ubrany. Miał na sobie surdut z szorstkiego szarego płótna, szarą kamizelkę, grube spodnie z podwiniętymi nogawkami, brązowe pończochy z wełny czesankowej i ciężkie trzewiki z wypolerowanymi mosiężnymi kłami. Demelza przypomniała sobie, że wdowa Chegwidden jest bogata.

– A ty ciągle tu, córko – odezwał się Tom Carne.

Demelza skinęła głową.

– I szczęśliwa. Mam nadzieję, że ty też.

Zacisnął wargi.

– Jak Bóg da. Jest tu jakie miejsce, gdzie można pomówić, dziewczyno?

– Nikt nas tu nie usłyszy – odpowiedziała. – Oprócz wron, a ich to nie interesuje.

Carne zmarszczył brwi i popatrzył na pobliski dwór oświetlony ciepłymi promieniami słońca.

– Nie wiem, czy to aby dobre miejsce dla mojej córki – rzekł surowo. – Po prawdzie nie wiem. Kłopotam się o ciebie.

Demelza wybuchnęła śmiechem.

– A czegoż to cię frapuje córka? – Odparła wiejskim językiem, którego zaczęła się już pozbywać. – Jak tam Luke, Samuel, William, John, Bobbie i Drake?

– Dość dobrze. To nie o nich myślę. – Tom Carne zmienił pozycję i stanął w jeszcze bardziej zdecydowanej pozycji. Lekki wiatr poruszał jego bokobrodami. – Posłuchaj, Demelzo, przebyłem kawał drogi, by cię zobaczyć i prosić, żebyś wróciła do domu. Chcę się zobaczyć z kapitanem Poldarkiem i wytłumaczyć mu dlaczego.

Kiedy Tom Carne wypowiadał te słowa, Demelza poczuła lodowaty chłód. Gdyby zaczęli się kłócić, natychmiast zapomniałyby o nowych uczuciach względem ojca. Nie zniosłaby brutalności. Jednak Tom Carne wydawał się innym, lepszym ojcem niż dawniej. Nie wrzeszczał, nie był gwałtowny, ani nawet jak zwykle pijany. Demelza nieco się przesunęła, by wiatr wiał w jej stronę, bo chciała się przekonać, czy wyczuje zapach alkoholu. Jeśli ojciec jest trzeźwy, może się okazać bardziej niebezpieczny.

– Kapitan Poldark jest w Truro. Już ci mówiłam. Chcę tu zostać. A co z... wdową...? Jak się miewa?

– Bardzo dobrze. Uważa, że lepiej, byś opuściła dom, gdzie czyhają na cię światowe pokusy, gdzie możesz wpaść w sidła diabła. Masz już szesnaście lat...

– Siedemnaście.

– Nieważne. Jesteś młoda i ktoś musi ci dawać rady. – Carne wysunął do przodu dolną wargę. – Chodzisz kiedy do kościoła albo na modlitwy?

– Rzadko.

– Może jak do nas wrócisz, będziesz zbawiona. Ochrzczona w Duchu Świętym.

Demelza spojrzała ze zdumieniem na ojca.

– Co się stało? Dlaczego tak się zmieniłeś?

Tom Carne spojrzał wyzywająco w oczy córki.

– Kiedy mnie opuściłaś, żyłem w ciemności i mroku śmierci. Byłem sługą diabła, łotrem, pijakiem. W zeszłym roku zrozumiałem swoje grzechy. Teraz jestem całkiem nowym człowiekiem.

– Och... – westchnęła Demelza. A zatem wdowie Chegwiddden mimo wszystko się udało. Nie doceniła wdowy Chegwiddden. Ojca musiało spotkać coś naprawdę okropnego...

– Nasz Pan Jezus Chrystus wydobył mnie z otchłani błota, postawił moją stopę na skale i sprawił, że mówię nowym głosem. Nie piję i nie tonę w grzechu, córko. Żyjemy w cnocie i chcemy, byś do nas wróciła. To twoje przeznaczenie, córko.

Demelza spoglądała przez chwilę na zaczerwienioną twarz ojca, po czym ponuro wbiła wzrok w swoje trzewiki.

Tom Carne czekał.

– Zatem, córko?

– To ładnie z twojej strony, ojczu. Cieszę się, że się zmieniłeś. Ale jestem tu od dawna i to mój dom. Gdybym stąd odeszła, czułabym się tak, jakbym opuściła dom. Nauczyłam się gospodarować na roli i wielu innych rzeczy. Jestem teraz częścią Nampary. Nie poradzą sobie beze mnie. To oni mnie potrzebują, nie ty. Któregoś dnia przyjdę, porozmawiam z tobą... tobą i braćmi. Ale ty mnie nie potrzebujesz. Dbaj o siebie wdowa Chegwiddden. Nie mam tam nic do roboty; mogłabym tylko jeść twój chleb.

– O tak, masz. – Carne spojrzał w niebo nad linią widnokregu. – Pan Bóg pobłogosławił nasz związek. Nellie jest brzemienna i w sierpniu będzie rodzić. Musisz wrócić i zająć się domem. To twój obowiązek.

Demelza czuła, że znalazła się w potrzasku. Dopiero teraz zrozumiała, co jej grozi.

Zapadło milczenie. Na polu wylądował kulik, pobiegł do przodu, opuścił łebek z długim dziobem i wydał z siebie przeciągły pisk. Popatrzyła na Prudie, która wlokła się w stronę dworu z motyką w ręce. Popatrzyła na pole rzepy, w połowie wypielone, w połowie zarośnięte chwastami. Jej spojrzenie

pobiegło nad wydmiami w stronę klifu, gdzie budowano dwie szopy i na tle letniego nieba poruszały się ludzkie sylwetki przypominające mrówki. Wheal Leisure.

Nie mogła odejść. Za nic w świecie. Traktowała Namparę jako część samej siebie, zrosła się z tym miejscem. I oczywiście przywiązała się do Rossa. Gdyby kazano jej coś dla niego zrobić, wszystko wyglądałoby inaczej, lecz zamiast tego miała go opuścić. Przed przybyciem do Nampary w ogóle nie żyła. Chociaż nie formułowała takich myśli świadomie, całe dzieciństwo wydawało jej się koszmarnym snem, mrocznym tworem wyobraźni, który budzi strach, ale nie ma nic wspólnego z rzeczywistością.

– Gdzie kapitan Poldark? – spytał Tom Carne. Milczenie Demelzy sprawiło, że jego głos stwardniał. – Przybyłem z nim pomówić. Wszystko mu wytłumaczę, a on zrozumie. Tym razem nie będzie walki.

Miał rację. Ross pozwoli jej odejść. Może nawet tego po niej oczekiwać.

– Nie ma go w domu – odrzekła prędko Demelza. – Wróci po zmroku.

Carne obrócił się w stronę córki i popatrzył jej w oczy, jak kiedyś, gdy zamierzał uderzyć.

– Nie ma co. Musisz wrócić.

Demelza spojrzała na ojca. Dopiero teraz zobaczyła, jaki jest naprawdę. Prymitywny i pospolity. Miał obwisłe policzki i nos pokryty siateczką czerwonych żyłek. Jednak nie wszyscy dżentelmeni byli tacy jak jej pan.

– Nie możesz oczekiwać, że natychmiast się zgodzę i nagle odejdę po tylu latach. Muszę porozmawiać z kapitanem Rossem. Zatrudnił mnie na rok. Zobaczę, co powie, i dam ci znać. – Właśnie tak trzeba postąpić. Pozbyć się ojca z majątku przed powrotem Rossa, pozbyć się i spokojnie pomyśleć.

Tom Carne wpatrywał się w córkę bacznie, z odrobiną podejrzliwości. Dopiero teraz zauważył, jak się zmieniła: wyrosła, dojrzała, stała się kobietą. Nie lubił owijać niczego w bawełnę.

– Jest jakiś grzech między tobą a Poldarkiem? – spytał ostro cichym głosem, głosem dawnego Toma Carne’a.

– Grzech? – spytała Demelza.

– No. Nie rób takiej niewinnej miny.

Zacisnęła usta. Instynktowny lęk z dzieciństwa sprawił, że nie wypowiedziała słów, których Carne nie spodziewał się usłyszeć od córki, chociaż sam ją ich nauczył.

– Nie ma między nami niczego nieprzystojnego. Powinieneś wiedzieć, że jestem zatrudniona na rok. Nie mogę rzucić wszystkiego i odejść.

– Ludzie gadają – odezwał się Carne. – Plotki doszły nawet do Illuggan. Czy to kłamstwa, czy prawda, nie wypada, by tak gadano o młodej dziewczynie.

– To, co gadają ludzie, nie ma ze mną nic wspólnego.

– Może i tak. Ale nie chcę, co by ludzie gadali takie rzeczy o mojej córce. Kiedy on wróci do domu?

– Dopiero po zmroku, mówię. Pojechał do Truro.

– Ciężko mi tu znowu przychodzić, bo to daleka droga. Powiedz mu, com ci powiedział, a potem wracaj do Illuggan. Jak kapitan Poldark będzie robił wstręty, pomówię z nim.

Tom Carne podciągnął spodnie i dotknął kłamry pasa. Demelza odwróciła się i poszła powoli w stronę dworu. Ruszył za nią.

– Przecie proszę jeno, byś spełniła obowiązek córki – rzekł bardziej pojednawczym tonem.

– Tak – odpowiedziała Demelza. (Bicie kłamrą, gdy miał na to ochotę, rany na plecach, wystające żebra, brud i wszy: obowiązek córki!)

Kiedy dotarli do dworu, wyszedł z niego Jud Paynter z wiadrem wody. Spojrzał na Carne’a, unosząc bezwłose brwi.

– Gdzie twój pan? – spytał górnik.

Jud zatrzymał się, postawił wiadro, spojrzał na Carne’a i splunął.

– Pojechał do Truro.

– Kiedy wróci?

Demelza wstrzymała oddech. Jud pokręcił głową.

– Może wieczorem. Może jutro.

Carne prychnął, podszedł do domu, usiadł na ławce przed wejściem i zdjął jeden z butów. Skarżąc się na odciski, próbował mu nadać bardziej wygodny kształt. Demelza miała ochotę krzyknąć. Jud powiedział prawdę, ale nie zdawał sobie sprawy, że Ross obiecał wrócić na kolację o szóstej. Było już po piątej.

Tom Carne zaczął opowiadać Demelzie o braciach. Pięciu najstarszych pracowało w kopalniach, choć dwóch zwolniono po zamknięciu Wheal Virgin. Najmłodszy, Drake, w przyszłym tygodniu rozpocznie pracę u kołodzieja jako czeladnik. John i Bobbie otrzymali dar łaski i wstąpili do bractwa; nawet Drake prawie zawsze chodzi na modlitwy, choć jest zbyt młody, by go przyjęto. Tylko Samuel błądzi. Stracił wiarę i Bóg Wszchemogący nie okazał mu błogosławieństwa. Trzeba mieć nadzieję, że po powrocie Demelzy na nią również wkrótce spłynie łaska.

Innym razem opowieści ojca rozbawiłyby Demelzę, bo ich patetyczny, religijny ton zupełnie do niego nie pasował. Wysłuchiwała nowin o braciach, których lubiła w takim stopniu, na jaki zasługiwali. Ale przede wszystkim marzyła, by ojciec wreszcie sobie poszedł. Chętnie kopnęłaby go w tyłek, żeby ruszył swoje wielkie, powolne ciało, albo podrapała paznokciami prymitywną, zadowoloną gębę. Nawet gdyby odszedł, nie wiedziałaby, co robić, lecz przynajmniej mogłaby się zastanowić. Miałaby trochę czasu. Jeśli Carne będzie siedział i gadał aż do powrotu Rossa, Ross dowie się o wszystkim i wtedy koniec. Zaproponuje ojcu, by przenocował w Namparze, a rano ich odprawi.

Stała, drżąc, i patrzyła, jak ojciec się pochyla i wciąga but. Zaproponowała ze złością, że zapnie sprzączkę, a później wyprostowała się gwałtownie i obserwowała w milczeniu, jak bierze łaskę i zbiera się do odejścia.

Odprowadziła go do mostku na Mellingay, idąc dwa kroki przed nim. Nagle znów się zatrzymał.

– Mało mówisz – zauważył, baczenie się jej przyglądając. – Nigdy nie byłaś taka cicha. Ciągle masz w sercu niezyczliwość i złość?

– Nie, ojcze – odpowiedziała szybko. – Nie, ojcze, nie.

Przełknął ślinę i pociągnął nosem. Może on również czuł się dziwnie, przemawiając kwiecistym językiem do dziecka, którym kiedyś pomiatał i które katował. W dawnych czasach wystarczyło warknięcie i przekleństwo.

– Przebaczam ci, że mnie opuściłaś, i proszę Boga o przebaczenie za krzywdę, jaką ci wyrządziłem, jakem cię bił po pijanemu. Tak już nie będzie, córko. Powitamy cię między nami jak zagubioną owieczkę, co powróciła do stada. Nellie także. Nellie będzie ci matką, której nie masz od wielu lat. Jest matką dla mojej trzódki, a teraz Pan Bóg da jej własne dziecko.

Odwrócił się i przeszedł przez mostek. Przeszepując z nogi na nogę, Demelza patrzyła, jak powoli idzie pod górę zieloną doliną, i modliła się gniewnie – czy do tego samego Boga? – by nie spotkał po drodze Rossa.

2

– Trza nakarmić cielaki – stęknęła Prudie. – Moje biedne stopy bolą. Czasami bym chciała upiłować sobie wszystkie palce. Ta stara ogrodowa piła się nada.

– Weź to – powiedziała Demelza.

– Co to takiego?

– Nóż do mięsa. Utnij sobie palce i będziesz miała spokój. Gdzie owsianka?

– Łatwo żartować – stwierdziła Prudie, wycierając ręką nos. – Ci, co ich nie boli, zawsze żartują. Nie żartowałabyś, jakby szło o twoje palce. Upiłowałabym je, ale żal mi Juda, bo co by bez nich zrobił? Gada, że w łóżku moje stopy ciepłutkie jak węgle na kominku, a nawet lepsze, bo w nocy nigdy nie stygną.

Wcale nie muszę jechać natychmiast do Illuggan, pomyślała Demelza. Powiedział, że wdowa Chegwidden ma rodzić w sierpniu. Jutro ostatni dzień maja. Mogę tam mieszkać miesiąc, a potem wrócę do Nampary i zajmę się starymi obowiązkami.

Pokręciła głową. Wykluczone. Jeśli pojedzie do Illuggan, zostanie tam na zawsze. Nieważne, czy sprawi to skórzany pas czy religijna gorliwość: stanie się członkiem rodziny Toma Carne'a. Usiłowała sobie przypomnieć, jak wyglądała wdowa Chegwidden za ladą swojego sklepiku. Była śniada, mała i gruba, z puszystymi włosami pod koronkowym czepkiem. Kojarzyła się z jedną z małych czarnych kur z czerwonymi grzebieniami, które nigdy nie składają jaj w kurniku, tylko zawsze gdzieś je ukrywają, po czym nagle okazuje się, że wysiadują cały tuzin. Była dobrą żoną dla Toma Carne'a, ale czy okazałaby się dobrą macochą? Wątpliwe.

Demelza nie potrzebowała macochy, ojca ani nawet gromady braci. Nie bała się pracy, ale pracowałaby w domu, gdzie nigdy nie okazano jej odrobiny serca. W Namparze, mimo wszelkich ograniczeń, czuła się wolna: pracowała z ludźmi, których polubiła, dla człowieka, którego uwielbiała. Spoglądała na świat nowymi oczyma. Chwilami ze zdumieniem zdawała sobie sprawę, że jest szczęśliwa, choć wcześniej nie przychodziło jej to nawet do głowy. Jej dusza rozkwitła. Nauczyła się analizować, myśleć, mówić – wszystko miało urok nowości. Na początku była kimś w rodzaju małego zwierzątka, którego zainteresowania skupiają się na zdobywaniu pożywienia, zapewnieniu sobie bezpieczeństwa i zaspokojeniu podstawowych potrzeb. Teraz nowe życie miałoby się skończyć – płonące świece zgasłyby i zapadłaby ciemność.

Nie zwracając uwagi na Prudie, napełniła wiadro owsianką i poszła nakarmić sześcioro cieląt. Powitały ją głośnym rykiem, trącając jej nogi miękkimi, wilgotnymi pyskami. Stała i patrzyła, jak jedzą.

Kiedy ojciec spytał, czy między nią a Rossem jest jakiś grzech, oczywiście miał na myśli dokładnie to samo co kobiety z wioski Grambler albo Sawle, które czasem odwracały się i patrzyły na nią łapczywymi, ciekawymi oczyma. Wszystkie myślały, że Ross...

Zarumieniona, lekko zachichotała w półmroku, czując pogardę dla samej siebie. Ludzie zawsze wymyślają różne rzeczy. Szkoda, że nie potrafią wymyślić czegoś bardziej prawdopodobnego. Czy uważają, że gdyby ona... gdyby Ross... czy wtedy żyłaby i pracowała jak zwykła służąca? Nie. Byłaby taka dumna, że każdy znałby prawdę. Ludzie nie musieliby szeptać, zastanawiać się, węszyć.

Ross Poldark śpiący ze znajdą, którą przygarnął, oblewał wodą pod pompą, łajał i uczył. Z którą żartował, kupując sardynki w Sawle! Był mężczyzną i mógł mieć potrzeby, jak każdy mężczyzna; może zaspokajał je w czasie wypraw do Truro. Demelza była ostatnią osobą, która mogłaby wzbudzić jego zainteresowanie: znał ją zbyt dobrze, nie miała uroku nowości, nie miała ładnych strojów, różu ani pudru, wstydliwych sekretów. Ludzie to przekłęci głupcy i plotą bzdury, wyobrażają sobie różne głupoty.

Demelza stała pośród sześciorga cieląt, które trącały ją łbami, dotykały wilgotnymi, miękkimi pyskami jej rąk i sukienki. Odpychała je, lecz po chwili wracały. Były jak myśli, cudze i własne, czasem natrętne i nieprzyjemne, czasem zwariowane i kuszące, czasem przyjazne i pełne nadziei.

Jakim głupcem jest ojciec! Nagle doznała olśnienia, zrozumiała wszystko z przenikliwością dorosłej kobiety. Gdyby, jak sugerował, coś ją łączyło z Rossem, czy choćby przez chwilę zastanawiałaby się nad jego prośbą, by wrócić do Illuggan? Powiedziałyby: „Wrócić? Nigdzie nie wrócę! Moje miejsce jest

w Namparze!”.

Może rzeczywiście zostanie w Namparze? Może Ross nie pozwoli jej odejść? Ale Ross nic do niej nie czuje, z wyjątkiem uprzejmego zainteresowania. Szybko przyzwyczaiłby się do jej nieobecności w salonie, podobnie jak zaakceptował jej obecność. To za mało, stanowczo za mało...

Jedno z cieląt przewróciło wiadro, które potoczyło się pod ścianę obory. Poszła po nie, schyliła się, by je podnieść, i w ciemności, w ciemnym kącie odległym od jasnych wrót przysza jej do głowy najstraszliwsza myśl w życiu. Przeraziła się do tego stopnia, że znów upuściła wiadro. Upadło na ziemię, poturlało się z grzechotem i znieruchomiało. Stała przez chwilę, ściskając dłońmi drewnianą ścianę, jej umysł był chłodny, pełen lęku.

Szaleństwo. Pomyśli, że się upiła, i wyrzuci ją z domu, jak zagroził po bójce z Judem.

Wtedy wróci do ojca, nie będzie innego wyjścia... Nic nie ryzykuje. Tylko to, że zabierze ze sobą pogardę Rossa. To wysoka cena. Nawet gdyby się udało, Ross i tak może nią gardzić. Nie chcę wracać do Illuggan! Podniosła wiadro i chwyciła je tak mocno, że zbieleły jej kostki rąk.

Cielęta znowu się zbliżyły, trącąc pyskami jej biodra i ręce... Nagle ogarnął ją smutek. Nie chodzi o to, czy to dobre, czy złe – nie ma to żadnego znaczenia. Bała się pogardy Rossa. To zły pomysł. Zapomnij. Wyrzuc go z głowy. Nie myśl.

Niecierpliwie odepchnęła cielęta, wyszła z obory i wróciła po brukowanym dziedzińcu do kuchni, gdzie siedziała Prudie, wycierając brudnym ręcznikiem koślawe stopy.

W kuchni roznosił się smród spoconych nóg. Stara kobieta ciągle gderała. Może w ogóle nie spostrzegła, że Demelza wyszła?

– Pewnego razu zgasnę, ot tak, jak zdmuchnięta świeca. Ludzie będą po mnie płakać. Ale co mi z tego przyjdzie, no co? Co zimnemu trupowi z tego, że się leje nad nim gorzkie łzy? Potrzebuję dobroci, jak jeszcze dycham. – Uniosła oczy. – Masz gorączkę?! Ino nie gadaj, żeś dostała febry!

– Nic mi nie jest.

– Na pewno. Jesteś okropnie spocona.

– Jest gorąco – odrzekła Demelza.

– Po coś przytargała wiadro?

– Och – powiedziała Demelza. – Zapomniałam. Wystawię je za drzwi.

Rozdział szósty

1

Nie wrócił. Nie mogła się zdecydować, czy się modlić, by wrócił. Zegar wskazywał ósmą. Wkrótce Jud i Prudie położą się do łóżka i zasną. Powinna dopilnować, by dostał kolację. Ale jeśli wkrótce nie wróci, oznacza to, że przenocował w Truro. Zacky i Jinny wrócili. Widział ich Jack Cobbledick. Wszyscy już słyszeli o wyroku, współczuli Jimowi i byli wściekli na Nicka Vigusa. Żałowano Jinny i dwojga dzieci. Nikt nie jest taki sam po wyjściu z więzienia.

Popatrzyła na suknię, przygryzła wargę i znowu spojrzała. Czym prędzej przykryła ją prześcieradłem, bo usłyszała, że Prudie kuśtyka z trudem po schodach.

– Idę spać, kochaneczko – rzekła Prudie, trzymając w ręku butelkę ginu. – W przeciwnym razie padnę. Jakem była młoda, często żem mdlała bez powodu. Jakby moja matka wiedziała, co mnie tera spotyka, toby się przewróciła w grobie. Może nawet by wstała z grobu? Wiele razy myślałam, że wstanie. Dopilnujesz wieczerzy dla jaśnie pana?

– Dopilnuję wszystkiego.

– Ale i tak nie wróci do domu dzisiaj wieczorem. Gadałam Judowi, a ten stary cap powiada: „Nie, poczekam z pół godziny, poczekam”.

– Dobrej nocy – powiedziała Demelza.

– Dobrej nocy?! To będzie cud, jak zmrużę oko!

Demelza patrzyła, jak Prudie odchodzi do swojego pokoju, po czym uniosła prześcieradło, by znów przyjrzeć się sukni. Po chwili ponownie ją przykryła i zeszła na dół.

Kuchnię wypełniał apetyczny zapach mięsa zapiekanego w cieście. Jud siedział przed kominkiem i strugał kawałek twardego drewna wyrzuconego na brzeg przez fale. Robił nowy pogrzebacz do wygarniania popiołu ze spalonego perzu z glinianego paleniska na dziedzińcu. W czasie pracy cicho nucił:

Baba stara i dziad stary,

Razem biedę klepali.

O, ho, ho, o, ho, ho...

– Ładny dziś dzień, Jud – odezwała się Demelza.

Spojrzał na nią podejrzliwie.

– Za wielki gorąc. Nie jak zawsze o tej porze. Idzie na deszcz. Jaskółki nisko latają.

– Nie powinieneś siedzieć tak blisko paleniska.

– Czego chciał twój ojciec.

– Żebym pomieszkała u nich przez kilka tygodni.

– A robota w Namparze? – prychnął Jud.

– Powiedziałam, że nie mogę odejść.

– No pewnie. Idzie lato. – Jud uniósł kozik. – To koń? Pewnikiem wrócił pan Ross, a już żem myślał, co się nie pojawi.

Demelzie zabiło mocno serce. Jud odłożył pogrzebacz i poszedł odprowadzić Czarnulkę do stajni. Po chwili Demelza wyszła za nim do sieni.

Ross przed chwilą zsiadł z konia, a w tej chwili odwiązywał przytroczone do siodła rzeczy, które kupił w Truro. Jego ubranie pokrywała gruba warstwa kurzu. Wyglądał na bardzo zmęczonego i miał zaczerwienioną twarz. Zerknął na Demelzę, gdy podeszła do drzwi, i uśmiechnął się przelotnie, lecz bez zainteresowania. Słońce zaszło niedawno za zachodnim grzbieciem doliny i na niebie płonęła jaskrawa pomarańczowa łuna. Wokół dworu śpiewały ptaki.

– ...trochę owsa – mówił Ross. – Dali jej mało obroku. Ach, duszno dzisiaj. – Zdjął kapelusz.

– Będzie mnie pan jeszcze potrzebował? – spytał Jud.

– Nie, możesz iść spać. – Ross ruszył powoli w stronę drzwi i Demelza odsunęła się, by go przepuścić. – Podaj mi kolację, a później ty też możesz iść spać.

Tak, pił; czuła zapach trunku. Ale nie mogła się zorientować, jak dużo wypił.

Wszedł do salonu, gdzie nakryto stół do wieczery. Demelza usłyszała, że mocuje się z butami do jazdy konnej. Cicho weszła z domowymi pantoflami i pomogła Rossowi zdjąć buty. Uniósł wzrok i podziękował skinieniem głowy.

– Jeszcze nie jestem taki stary.

Wyszła, by wyjąć z pieca zapiekankę. Kiedy wróciła, napełniał sobie kieliszek. Postawiła zapiekankę na stole, odkroiła kawałek, położyła na talerzu i ukroiła trochę chleba. Stała w milczeniu, a tymczasem Ross usiadł i zaczął jeść. Wszystkie okna były otwarte. Pomarańczowa łuna nad wzgórzami przybladła. Pierzaste obłoki płynące wysoko na niebie miały szafranową i różową barwę. Wszędzie pyszniły się kolory, zarówno w domu, jak i w dolinie.

– Mam zapalić świece?

Spojrzał na nią, jakby zapomniał o jej obecności.

– Nie, jeszcze jest jasno. Zajmę się tym później.

– Wrócę i zapalę – odpowiedziała. – Jeszcze nie idę spać.

Wyślizgnęła się z salonu, przeszła przez niską kwadratową sień i skręciła do kuchni. Zatem mogła wrócić. Nie wiedziała, co robić. Miała ochotę modlić się o coś, czego nie aprobował Bóg wdowy Chegwidden. Uklękła i pogłaskała Tabithę Bethię; podeszła do okna i popatrzyła na stajnię. Porąbała trochę kości dla Garricka, wywabiła psa do przybudówki, po czym go w niej zamknęła. Wróciła do kuchni i przegrzebała popiół w palenisku. Wzięła drewniany pogrzebacz Juda i zaczęła go strugać jego kozikiem. Czuła, że drżą jej kolana, miała lodowato zimne dłonie. Poszła z wiadrem do pompy i przyniosła świeżej wody. Jedno z cieląt muczało. W stronę morza leciało powoli stadko mew.

Tym razem do kuchni wszedł Jud, pogwizdując przez dwa wielkie zęby. Nakarmił i napoił Czarnulkę. Odebrał Demelzie kozik i pogrzebacz.

– Zaśpisz rano.

Dobrze wiedziała, kto zaśpi, ale przynajmniej raz nie odpowiedziała. Wszedł i słyszała, jak wdrapuje się po schodach. Podążyła za Judem. W swoim pokoju znowu popatrzyła na suknię. Oddałaby wszystko za kieliszek brandy, ale nie mogła pić. Gdyby Ross poczuł od niej alkohol, to byłby koniec. Musiała udawać stoicki spokój albo ukryć się w swojej sypialni jak borsuk w norze. Łóżko wyglądało zachęcająco. Wystarczyłoby zrezygnować z planu, zrzucić ubranie i iść spać. Potem nadejdzie jutro. Jutro nie niosło żadnej nadziei.

Wyjęła połamany grzebień, podeszła do kwadratowego lustra znalezionej w bibliotece i zaczęła się czesać.

Znalazła suknię na dnie drugiego żelaznego kufra i od początku kusiła ją ona jak jabłko Ewę. Została uszyta z jasnoblękitnego jedwabiu, miała nisko wcięty, kwadratowy gorset. Poniżej wąskiej talii suknia falowała jak liście niebieskiej kapusty. Demelza uznała, że jest to kreacja wieczorowa, lecz w rzeczywistości Grace Poldark kupiła ją na uroczyste popołudniowe przyjęcie. Miała dobrą długość, a pewnego deszczowego popołudnia Demelza dopasowała ją do swojej figury. Kiedy ją mierzyła, czuła dreszczyk emocji, choć nikt nigdy jej nie zobaczy w tej sukni...

Spojrzała na siebie w półmroku, próbując coś dostrzec. Zaczesała włosy do góry z przedziałkiem z boku i upięła na czubku głowy. W innym momencie byłaby zadowolona ze swojego wyglądu i zaczęłaby chodzić tam i z powrotem, puszczając się jak paw i słuchając szelestu jedwabiu. Ale teraz patrzyła, zastanawiała się i znowu patrzyła. Nie miała pudru jak prawdziwa dama, różu, perfum. Przygryzła wargi, by stały się bardziej czerwone. I ten gorset... Matka Rossa musiała mieć inną figurę, a może nosiła mantylkę z muślinu. Demelza wiedziała, że gdyby zobaczyła ją teraz wdowa Chegwidde, otworzyłaby wąskie usta i wykrzyknęłaby: „Sodoma i Gomora!”.

Zesztywniała. Musiała iść. Nie mogła nic więcej zrobić, nie mogła się cofnąć.

Z trudem skrzesła ogień i zapaliła świecę. W końcu płomień zamigotał i błękit sukni stał się wyraźniejszy. Demelza ruszyła z szelestem w stronę drzwi, po czym powoli zeszła po schodach, trzymając w ręku lichtarz.

Zatrzymała się przy drzwiach do salonu, przełknęła nerwowo ślinę, oblizwała wargi i weszła.

Ross skończył wieczerzę i siedział w półmroku przed kominkiem, na którym nie płonął ogień. Trzymał ręce w kieszeniach i opuścił głowę. Poruszył się lekko po wejściu Demelzy, ale nie uniósł wzroku.

– Przyniosłam światło – odezwała się dziwnym tonem, lecz nie zwrócił na to uwagi.

Podeszła powoli, zdając sobie sprawę z szelestu sukni, i zapaliła dwa świeczniki. Każdy kolejny skwierczący płomień sprawiał, że salon stawał się coraz jaśniejszy, a kwadraty okien nieco ciemniejsze. Niebo nad wzgórzem miało barwę błękitnego lodu: było jasne, czyste i puste jak zamrażony staw.

Ross znów się poruszył i usiadł prosto w fotelu. Jego głos wstrząsnął Demelzą.

– Słyszałaś, że Jima Cartera skazano na dwa lata więzienia?

Zapaliła ostatnią świecę.

– Tak.

– Wątpię, czy wyjdzie żywy.

– Zrobił pan wszystko, co możliwe.

– Sam się zastanawiam. – Wydawało się, że raczej mówi do siebie niż do Demelzy.

Zaciągała zasłony w otwartym oknie.

– Co jeszcze mógłby pan zrobić?

– Nie umiem prosić – ciągnął. – Krępuje mnie to przekłete poczucie własnej godności. Dumny głupiec, Demelzo, nie ma żadnych szans w starciu z gładkim, przypochlebnym szubrawcem. Powiniennem prawić im komplementy, a zamiast tego próbowałem ich pouczać. Dostałem lekcję, ale Jim Carter może przyplącić to życiem.

Zaciągnęła ostatnią zasłonę. Do pokoju wleciała ćma, trącając skrzydłami zielony adamaszek.

– Nikt inny nie zrobiłby tego co pan – odpowiedziała. – Żaden dziedzic. To nie pańska wina, że Jim poszedł kłusować i dał się złapać.

– Szczerze mówiąc, sądzę, że moja interwencja mogła nawet pogorszyć sytuację – prychnął Ross. – Ale nie ma się nad czym... – Urwał. Wytrzeszczył oczy. Nadeszła ta chwila.

– Nie przyniosłam reszty świec – wykrztusiła. – Już się kończą i obiecał pan dziś dokupić.

– Znowu piłaś?

– Nigdy nie brałam do ust trunku, odkąd mi pan zabronił! – odpowiedziała z desperacją. – Mówię

prawdę, przysięgam na Boga!

– Skąd masz tę suknię?

– Z biblioteki. – Zapomniała o kłamstwach, które przygotowała.

– Więc nosisz stroje mojej matki?!

– Nigdy mi pan nie mówił... – wyjąkała. – Powiedział pan, że nie mogę pić, i nie tykam trunków.

Nigdy nie zabraniał mi pan nosić ubrań.

– Teraz ci zabraniam. Idź i zdejmij tę suknię.

Nie mogło być gorzej. Ale w chwili najgłębszej trwogi i rozpaczony w człowieku budzi się nowa determinacja. Nie mogła upaść niżej. Zrobiła kilka kroków, zbliżając się do żółtego światła świec.

– Nie podoba się panu?

Znowu na nią popatrzył.

– Już ci powiedziałem, co o tym myślę.

Doszła do końca stołu. Koło świec przeleciała ćma, musnęła błękitną suknię i uderzyła w szafę pod ścianą.

– Czy mogłabym... usiąść i porozmawiać przez chwilę?

Przeszła zdumiewającą metamorfozę. Upięte włosy sprawiały, że jej twarz stała się bardziej owalna. Miała młodzieńcze, urodziwe rysy; wyglądała jak dorosła kobieta. Ross czuł się jak człowiek, który wziął do domu tygrysiątko, nie zdając sobie sprawy, co z niego wyrośnie. Przez chwilę miał ochotę wybuchnąć śmiechem, kuszony przez złośliwego chochlika, który całkowicie lekceważył jego status społeczny.

Jednak to, co się stało, nie wydawało się zabawne. Gdyby tak było, roześmiałby się z czystym sumieniem. Nie wiedział, dlaczego go to nie bawi.

– Przyjęto cię do tego domu jako służącą i dobrze wypełniałaś swoje obowiązki – powiedział martwym głosem. – Dlatego pozwolono ci na pewną swobodę. Ale nie obejmuje ona prawa noszenia tych strojów.

Krzesło obok stołu, przy którym Ross siedział w czasie kolacji, było ciągle w połowie wysunięte i Demelza przycupnęła na jego skraju. Uśmiechnęła się nerwowo, lecz bardziej promiennie, niż przypuszczała.

– Proszę, Ross, czy nie mogłabym zostać? Nikt się nigdy nie dowie. Proszę... – Słowa cisnące jej się na wargi zmieniły się w szept. – Nie robię nic złego. Wkładałam tę suknię wiele razy. Nie chciałam zrobić nic złego. Leżała na dnie starego żelaznego kufra. Szkoda, by te wszystkie ładne rzeczy po prostu pleśniały. Chciałam ci tylko sprawić przyjemność. Myślałam, że może ci się spodoba. Jeśli tu zostanę, aż przyjdzie pora...

– Kładź się natychmiast spać i zapomnijmy o całej sprawie.

– Mam siedemnaście lat – odpowiedziała buntowniczo. – Skończyłam siedemnaście lat wiele tygodni temu. Zawsze będziesz mnie traktować jak dziecko?! Nie pozwolę się traktować jak dziecko! Jestem teraz kobietą. Nie mogę czuć przyjemności w łóżku?

– Przyjemność powinno ci sprawiać dobre zachowanie.

– Myślałam, że mnie lubisz.

– Lubię. Ale nie pozwolę ci rządzić tym domem.

– Nie chcę rządzić, Ross. Chcę z tobą porozmawiać. Mam tylko stare ubrania, w których pracuję. To takie... mieć coś takiego...

– Rób, co mówię, albo rano wrócisz do ojca.

Demelzie, na początku rozpaczliwie nieśmiałej, udało się przekonać samą siebie, że ma pretensje do Rossa. Przez chwilę naprawdę wierzyła, że chodzi o to, czy powinna cieszyć się większymi

przywilejami.

– Bardzo dobrze, a więc mnie wyrzuć! – zawołała. – Wyrzuć mnie jeszcze dziś wieczorem! Nic mnie to nie obchodzi! Uderz mnie, jeśli chcesz! Jak dawniej ojciec. Upiję się i zacznę krzyczeć, a wtedy będziesz miał powód!

Odwróciła się i wzięła kieliszek stojący na stole. Nalała brandy i wypła łyk. Potem patrzyła, co robi Ross.

Szybko pochylił się do przodu, chwycił drewniany pogrzebacz i mocno uderzył ją w rękę, rozbijając kieliszek, którego zawartość wylała się na suknię.

Przez chwilę Demelza miała zdziwiony wyraz twarzy i nie okazywała, że czuje ból, po czym przyłożyła dłoń do ust. Dojrzała, buntownicza siedemnastolatka zmieniła się w samotne, niesprawiedliwie skarcone dziecko. Popatrzyła na suknię, w którą wsiąkała brandy. W jej oczach pojawiły się łzy, zbierały się na grubych, ciemnych rzęsach. Mrugała, próbując je strząsnąć, jednak nie chciały spaść i wisiały na nich, drżąc lekko. Próba kokietowania Rossa zakończyła się niepowodzeniem, lecz przysła jej na pomoc natura.

– Nie powinienem był tego robić – odezwał się.

Nie miał pojęcia, dlaczego to powiedział i dlaczego przeprasza za słuszną, konieczną naganę. Stał po ruchomych piaskach.

– Suknia – szepnęła Demelza. – Nie powinieneś niszczyć sukni. Była bardzo piękna. Odejdę o świcie.

Wstała z fotela, chciała powiedzieć coś jeszcze, po czym nagle uklękła obok Rossa i rozpłakała się z głową na jego kolanach.

Spojrzał na nią, na bujne, ciemne włosy, które rozsypały się na białą szyję. Pogładził ją lekko po głowie.

– Ty, mała... – zaczął. – Zostań, jeśli chcesz.

Usiłowała otrzeć oczy, lecz znowu wypełniły się łzami. Po raz pierwszy jej dotknął, pomógł jej wstać. Wczoraj kontakt fizyczny nic by nie znaczył. Odruchowo usiadła mu na kolanach.

– Weź to. – Wyjął chusteczkę i otarł jej oczy. Później pocałował ją w policzek i poklepał po ramieniu, starając się zrobić to po ojcowsku. Jego autorytet zniknął. Nie miało to znaczenia.

– To miłe – powiedziała.

– Może. Teraz idź i zapomnij, że się kiedykolwiek wydarzyło.

Westchnęła i przełknęła ślinę.

– Mam mokre nogi. – Podciągnęła skraj różowej halki i zaczęła wycierać sobie kolana.

– Wiesz, co ludzie o tobie mówią, Demelzo? – spytał gniewnie.

Pokręciła głową.

– Co?

– Jeśli będziesz się tak zachowywać, to, co mówią, stanie się prawdą.

Popatrzyła na niego, tym razem szczerze, bez kokieterii i bez lęku.

– Żyję tylko dla ciebie, Ross.

Wiatr uniósł zasłonę w jednym z otwartych okien. Ptaki na dworze wreszcie się uciszyły i zapadła ciemność. Ross znowu pocałował Demelzę, tym razem w usta. Uśmiechnęła się niepewnie przez resztki łez; światło świec nadało jej skórze kremowozłotą barwę.

Odruchowo uniosła rękę, by odgarnąć włosy z czoła, i jej gest przypomniał Rossowi matkę.

Wstał tak gwałtownie, że o mało nie upadła na podłogę, podszedł do okna i stanął odwrócony plecami.

Nie chodziło o gest, lecz o suknię. Może zapach; coś przypomniało mu smak, barwy przeszłości. W tej sukni chodziła i oddychała jego matka, w tym pokoju, w tym fotelu. Jej duch pojawił się między nimi

i ożył.

Duchy, widma innego życia.

– Co się stało? – spytała.

Odwrócił się. Stała przy stole, ściskając dłońmi blat, z rozbitym szkłem pod stopami. Usiłował ją sobie wyobrazić jako chudą, małą dziewczynkę chodzącą po polach z Garrickiem. Ale nie miało to sensu. Dziewczynka zniknęła. Z dnia na dzień nie stała się nagle piękna, lecz zyskała urok młodości, który sam w sobie był piękny.

– Demelzo, nie zabrałem cię ojcu, żeby... żeby... – zaczął. Nawet jej imię zabrzmiało dziwnie.

– Czy to ważne, dlaczego mnie wzięłeś?

– Nic nie rozumiesz – powiedział. – Wyjdź. Wyjdź.

Czuł potrzebę złagodzenia swoich słów, potrzebę wyjaśnienia. Ale gdyby wykonał najlżejszy ruch, straciłby panowanie nad sobą.

Spoglądał na nią w milczeniu. Może przyznała się w duchu do porażki, ale nie wiedział tego, nie potrafił jej przejrzeć. Miała oczy nieznajomej kobiety, która zakradła się do cudzego świata. Patrzyła na niego wyzywającym wzrokiem, zawiedziona i zraniona.

– Idę do łóżka – odezwał się. – Ty też idź spać i postaraj się zrozumieć.

Wziął jedną ze świec i zdmuchnął pozostałe tkwiące w lichtarzu. Zerknął na Demelzę i uśmiechnął się z przymusem.

– Dobranoc, moja droga.

W dalszym ciągu nie odezwała się ani nie poruszyła. Kiedy zamknęły się za nim drzwi i została w cichym salonie tylko z niespokojną ćmą, odwróciła się w końcu, chwyciła świecę i zaczęła po kolei gasić te, które Ross pozostawił zapalone.

3

Znalazłszy się w swojej sypialni, Ross poczuł zdumiewająco silny przypływ cynizmu. Czyżby stawał się mnichem, pustelnikiem? Miał wrażenie, że słyszy szept ducha swojego ojca: „Młody świętoszek!”.

O niebios! – rzekł do siebie w duchu. Czy naprawdę muszę przestrzegać tak ścisłych zasad moralnych?! Można zmarnować całą młodość, roztrząsając subtelne różnice między prawidłami moralności. Smukła, wyrafinowana Elizabeth, chuda, lubieżna Margaret, rozkwitająca Demelza... Pełne energii dziecko tarzające się na ziemi z psem; dziewczyna poganiająca woły; kobieta... Co jest ważniejsze? Nie miał wobec nikogo żadnych zobowiązań, z pewnością nie wobec Elizabeth. W tej chwili nic dla niego nie znaczyła. Nie było to ślepe poszukiwanie doznań, by zagłuszyć ból, jak w nocy po balu. Boże, nigdy się nie upił tak niewielką ilością brandy. Ta stara, sztywna, jedwabna suknia, część dawnej miłości...

Usiadł niepewnie na łóżku i próbował myśleć. Zastanawiał się nad wydarzeniami dnia. Zaczęło się od frustracji i skończyło na frustracji. „Wie pan co, panie Poldark? Jestem skłonny podzielić pogląd doktora Halse’a. Niewątpliwie należy ubolewać, iż więzień cierpi na poważną chorobę...”. Tylko kompletny dureń mógł się spodziewać, że wśród sędziów pojawi się rozbieżność poglądów. „Powinniśmy się wspierać, *esprit de corps*, to dobre dla społeczeństwa, dobre dla klasy”. Nie wziął tego pod uwagę. Nie można stanąć na miejscu dla świadków i sprzeczać się publicznie z członkami swojej klasy, a zwłaszcza krytykować ich w obecności widzów. Tak się nie robi. Cóż, Ross miał własne zasady, choć nikt w to nie wierzył. Młodszy ziemianie z sąsiedztwa często uwodzili kuchenne; nie było w tym nic nadzwyczajnego. Nie bałamucili małych, to wszystko. Co się z nim dzieje? Całkowicie stracił poczucie humoru? Czy

wszystko musi być śmiertelnie poważne, stanowić nieznośne brzemię? Miłość to rozrywka, poeci piszą o lekkości, wesołości, jedynie nudziarze przejmują się wiarą lub sumieniem.

Co za duszna noc... Temperatura rzadko nie spada po zmroku.

Przynajmniej w jakiś sposób zasłużył na wdzięczność Jinny. Te dwa lata będą jej się dłużyć bardziej niż Jimowi. Czy chłopak wytrzyma? „Sentymentalny głupiec i renegat. Przyjaźni się z Indianami i walczy przeciwko białym. Zdrajca swojej rasy...”. „Chodź i całuj, póki igra młodość jak pył zwiewna”³. „Piękność to wiosny kwiecie, zaćmią ją zmarszczek sieci”⁴. „Przejmuję się parobkiem cierpiącym na brzydki kaszel. Chyba niezrównoważony. Cóż, zdarzają się różni dziwacy. W zeszłym roku, gdy moja najlepsza klacz dostała zakażenia krwi...”. „Jakakolwiek pójdiesz dróżką, miłość czeka na cię”⁵.

Wstał i podszedł do północnego okna, by sprawdzić, czy jest otwarte. Sofistyka poetów. Dziś nie jest w stanie niczego ocenić. Czy poeci to najlepsi doradcy? Tak, okno było szeroko otwarte. Rozsunął zasłony i wyjrzał. W ciągu dwudziestu siedmiu lat życia wypracował własną filozofię zachowania. Czy należy się jej wyprzeć w chwili pierwszego sprawdzianu? Rozległo się pukanie do drzwi.

– Proszę – powiedział.

Odwrócił się. Na progu stała Demelza ze świecą w ręku. Nie odezwała się. Drzwi zamknęły się za nią. Nie przebrała się. Oczy miała pełne światła.

– O co chodzi? – spytał.

– Ta suknia...

– Co takiego?

– Gorset rozpina się z tyłu.

– I co z tego?

– Nie mogę dosięgnąć haftek.

Spoglądał na nią przez chwilę ze zmarszczonymi brwiami.

Podeszła powoli, obróciła się i niezgrabnie postawiła świecę na stole.

– Przepraszam...

Zaczął rozpinać gorset. Czuła na szyi jego oddech. Na plecach miała ciągle jedną z pręg, które widział w drodze do domu z jarmarku w Redruth.

Dotknął chłodnej skóry pleców dziewczyny. Nagle wsunął dłonie pod gorset i objął ją w talii. Oparła głowę na jego ramieniu, a on pocałował ją, aż zrobiło jej się ciemno przed oczyma.

Ale teraz, w chwili ostatecznego zwycięstwa, musiała się przyznać do oszustwa. Nie mogła umrzeć bez rozgrzeszenia.

– Skłamałam – szepnęła i znowu się rozpłakała. – Skłamałam o haftkach. Och, Ross, nie bierz mnie, jeśli mnie nienawidzisz. Skłamałam... Skłamałam...

Nie odpowiedział, bo teraz nic się nie liczyło: kłamstwa, poezja, moralność, opory pojawiające się w duszy lub sercu.

Puścił Demelzę i zapalił drugą świecę.

Rozdział siódmy

Obudziła się o świcie. Ziewnęła, początkowo nie zdając sobie sprawy, że nie jest w swojej sypialni. Później zauważyła, że belki na suficie biegną w innym kierunku.

Fajka i srebrna tabakierka na gzymsie kominka, owalne poszarzałe lustro wiszące powyżej. Sypialnia Rossa. Obróciła się i popatrzyła na spoczywającą na poduszce głowę mężczyzny o ciemnorudych włosach.

Leżała zupełnie nieruchomo z zamkniętymi oczyma, przypominając sobie wszystko, co się wydarzyło w tym pokoju, i tylko szybkie, bolesne oddechy zdradzały, że nie śpi.

Ptaki się budziły. Kolejny upalny dzień. Pod daszkami zięby wydawały dźwięki przypominające kapanie wody.

Wyszła cicho z łóżka i wymknęła się na korytarz, bojąc się go obudzić. Wyrzała przez okno i popatrzyła nad dachami zabudowań w stronę morza. Był prawie szczyt przyływu. Nad klifami unosiła się szara mgła. Srebrzystoszare morze pokrywały ciemne bruzdy fal.

Na podłodze leżała suknia – ta suknia. Chwyciła ją i okręciła się materiałem, jakby chciała się osłonić przed samą sobą. Poszła na palcach do swojej sypialni. Ubrała się, a tymczasem kwadratowe okno powoli wypełniło się światłem.

W domu panowała cisza. Demelza zawsze wstawiała pierwsza, często szła na kraniec doliny po kwiaty, nim Jud i Prudie wreszcie się obudzili. Dziś musi wymknąć się z domu jeszcze wcześniej.

Zeszła boso po schodach o niskich stopniach. Minęła sień i otworzyła frontowe drzwi. Za dworem rozciągało się stare, sine morze, ale dolina była ciepła i pachnąca po krótkiej letniej nocy. Wyszła na dziedziniec i owiało ją ciepłe powietrze. Odetchnęła głęboko. Tu i tam na niebie widać było cienkie smugi obłoków, jakby niestaránie pozamiatanych miotłą.

Wilgotna trawa nie wydawała się zimna. Przeszła boso przez ogród do strumienia, usiadła na drewnianym mostku oparta plecami o poręcz i zanurzyła w wodzie palce nóg. Głogi rosnące wzdłuż potoku kwitły, lecz kwiaty nie były już białe – przybrały różowy odcień i opadały, a w strumieniu płynęły maleńkie płatki niczym wspomnienie wesela.

Demelza czuła ból w podbrzuszu, ale zatrważające wspomnienia nocy bladły przy wspomnieniach jej triumfów. Nie miała wyrzutów sumienia, że uwiodła Rossa podstępem, bo życie i wypełnienie jego celu wydawało się rozgrzeszeniem. Wczoraj to nie mogło się zdarzyć. Dziś się zdarzyło. Nic nie mogło tego zmienić – nic.

Za kilka minut wstanie słońce i oświetli wzgórze wznoszące się nad doliną, za którymi zaszło kilka godzin wcześniej. Demelza podciągnęła nogi, siedziała przez chwilę na kładce, po czym uklękła, nabrała dłońmi wody i obmyła twarz oraz szyję. Wstała i w nagłym przyływie radości pobiegła w podskokach do jabłoni. Na sąsiadujących gałęziach siedziały drozd i kos, współzawodnicząc w śpiewie. Dziewczyna dotknęła włosami liści, a na jej ucho i szyję kapnęło kilka kropel rosy. Uklękła i zaczęła zrywać dzwonki rosnące pod drzewami; przypominały niebieski dywan. Ale zebrała zaledwie kilkanaście i usiadła oparta plecami o omszały pień drzewa z głową odchyłoną do tyłu, przyciskając kwiaty do piersi.

Siedziała tak nieruchomo, z leniwie wygiętą szyją, że zbliżyła się do niej, skacząc, zięba i zaćwierkała obok jej dłoni. Demelza miała ochotę dołączyć, lecz wiedziała, że z jej gardła wydobyłyby się tylko ochryple dźwięki.

Nadleciał duży giez i usiadł na liściu w pobliżu jej twarzy. Miał duże brązowe oczy i z tej odległości wydawał się ogromny jak przedpotopowe zwierzę wędrujące po dżunglach zapomnianego świata.

Najpierw stał na czterech przednich odnóżach i zręcznie czyścił skrzydła dwiema tylnymi, a następnie zaczął pocierać przednie łapki niczym uniżony sklepikarz. „Bzzz, bzzz!” – powiedziała Demelza. Giez odleciał z głośnym brzęczeniem, po czym prawie natychmiast wrócił w to samo miejsce. Tym razem czyścił sobie łebek, jakby mył go nad balią.

Nad Demelzą lśniły kropelki rosy osiadłe na pajęczynie. Kos przestał ćwierkać, poruszał przez chwilę wachlarzowatym ogonem i odleciał. Na ziemię powoli spłynęły dwa ostatnie płatki różowobrazowego kwiatu jabłoni, musnięte skrzydłami ptaka. Jeden z nich zaczęła dziobać zięba.

Dziewczyna wyciągnęła rękę i wydała zachęcający dźwięk, lecz ptak nie dał się oszukać i odleciał na bezpieczną odległość. Na polach rozległo się muczenie krowy. O tej wczesnej porze, mimo świergotu ptaków, świat wydawał się spokojny i bezludny, jakby jeszcze się nie obudził.

W górze przeleciał gawron. Jego brzydkie pióra lśniły złociście, a skrzydła wydawały skrzypiący dźwięk. Weszło słońce, którego promienie padły na pokrytą rosą dolinę. Między drzewami pojawiły się milczące cienie i długie, ukośne snopy bladego światła.

Rozdział ósmy

Ross obudził się późno. Ocknął się dopiero o siódmej. Kiedy wstał, czuł brzydki smak w ustach. Jedzenie w oberży Pod Walecznym Kogutem było paskudne.

Demelza... Stara, sztywna suknia z jedwabiu... Haftki... Co w nią wstąpiło? Ross był pijany, ale czy tylko od brandy? „Rozrzutność ducha, w trwonieniu bezwstydną, jest żądzą w akcji... znieawidzona”⁶ – jak to brzmiało dalej? Wczoraj nie myślał o tym sonecie. Poeci go oszukali. Dziwna historia.

Raczej rozrzutność brandy...

Plotkarskie wiedźmy z trzech wsi wszystko przewidziały. Zresztą nie miało to znaczenia. Liczyli się tylko on i Demelza. Jaka się okaże tego ranka? Czy zobaczy pracownicą dziewczynę, przyjaciółkę, jaką była w świetle dnia, czy nieznaną o jedwabistym głosie, wymarzoną towarzyszkę letniej nocy?

Postawiła na swoim i w końcu poczuła lęk.

Byłoby szczytem bezsensu, gdyby żałował przeżytej przyjemności. Nie miał zamiaru tego robić. To się już stało. Musiało zmienić ich wzajemne relacje, skazać zawiązującą się przyjaźń, zniekształcić każdy czyn i obraz, wprowadzając fałszywe wartości.

Kiedy w salonie odrzucił jej zaloty, podjął rozsądną decyzję. Można to nazwać pruderią, owszem, ale czy cynik może pomylić wstrzemięźliwość z pruderią?

Tego ranka do głowy przychodziły mu tylko pytania, nie odpowiedzi.

Jakkolwiek by na to patrzeć, wspomnienie wczorajszej nocy miało w sobie coś niesmacznego. Nie była to wina Demelzy ani Rossa, lecz skutek historii ich znajomości. Czy to bzdury? Co powiedziałby ojciec? „Górnolotne brednie, majaki chorego umysłu”.

Włożył ubranie. Przez pewien czas zastanawiał się leniwie, co z tego wyniknie. Zszedł na dół i umył się pod pompą, od czasu do czasu zerkając na kontury dalekiego klifu, gdzie widać było Wheal Leisure.

Znowu się ubrał i zjadł śniadanie, które podała mu przygarbiona, mamrocząca Prudie. Szukała współczucia, łowiła je jak rybak sardynki. Tego ranka nie była zjadliwa. Skończywszy posiłek, Ross posłał po Juda.

– Gdzie Demelza?

– A bo ja wiem? Musi gdzie być. Widziałem, jak szła przez dom, będzie godzinę temu.

– Są tu dzieci Martinów?

– Na polu rzepy.

– Prudie i Demelza mogą im pomóc, kiedy Demelza wróci. Nie idę dziś rano do kopalni. Pomogę tobie i Jackowi kosić trawę. Pora się do tego zabrać.

Jud chrząknął i wyszedł. Ross przez kilka minut siedział beczynn timer, po czym udał się do biblioteki i przez pół godziny zajmował się papierami kopalni. Potem wziął z szopy kosę i zaczął ją ostrzyć na kole. Praca jako antidotum na szaleństwa zeszłej nocy. „Rozrzutność ducha, w trwonieniu bezwstydną...”. Poprzedniego dnia przed ostatnim aktem dramatu przyszło mu do głowy, że dzień zaczął się od frustracji i zakończył frustracją. Tego ranka znów pojawiły się dawne skrupuły i usiłował się przekonać, że jego osąd był prawidłowy. Życie uczyło Rossa, że zaspokajanie większości zachcianek niesie załazek frustracji i że ludzie ulegają złudzeniu, że jest inaczej.

Po raz pierwszy poznał tę prawdę przed dziesięciu laty. Nie był wtedy libertynem, może więc nie potrafił tego ocenić. Jego ojciec był libertynem i cynikiem; traktował miłość jako coś naturalnego i korzystał z życia. Różnica z pewnością nie polegała na tym, że Ross jest z natury zimny (wręcz przeciwnie!), lecz na zbyt wygórowanych oczekiwaniach.

Tego ranka czuł wyjątkowy dystans wobec ludzi, doskwierała mu samotność. Zastanawiał się, czy można osiągnąć rzeczywiste zadowolenie z życia, czy wszystkich dręczy świadomość utraty złudzeń. Nie zawsze tak było. Miał dość szczęśliwe dzieciństwo, bezrefleksyjne, jak zazwyczaj bywa w przypadku dzieciństwa. Twarda, niebezpieczna służba wojskowa sprawiała mu pewną przyjemność. Przestał być zadowolony z życia dopiero po powrocie do domu; jego próby stworzenia własnej filozofii zakończyły się fiaskiem, a wszystko, czego się dotknął, zmieniało się w proch.

Zarzucił kosę na ramię i ruszył w stronę łąki porośniętej trawą, która leżała w północno-wschodniej części doliny za sadem z jabłoniąmi i ciągnęła się aż do Wheal Grace. Duża łąka otoczona żywopłotami. W tym roku trawa była wyższa niż w zeszłym, a ostatni słoneczny tydzień sprawił, że podeschła i nabrała złocistej barwy. Zdjął surdut i powiesił go na kamieniu w narożniku łąki. Nie miał nakrycia głowy; czuł na włosach i szyi ciepłe promienie słońca, które stopniowo wspinało się coraz wyżej. To zrozumiałe, że w dawnych czasach ludzie czcili słońce, zwłaszcza w Anglii, kraju mgieł i deszczów, gdzie kapryśnie słońce pojawia się rzadko i jest zawsze mile widziane.

Zaczął kosić, lekko pochylony do przodu, wykonując zamaszyste półkoliste ruchy. Wysokie kępy trawy pochyły się powoli i padały na ziemię. Wraz z trawą Ross ścinał też kępy purpurowej driakwi, jastrunu właściwego, trybuli ogrodowej i żółtych jaskrów, które kwitły w niedozwolonym miejscu i dlatego spotkał je ten sam los co trawę.

Na pole wspiał się, wysoko podnosząc nogi, Jack Cobbledick, a potem Jud. Pracowali razem przez cały ranek, aż słońce znalazło się wysoko na niebie i oblali się potem. Od czasu do czasu któryś się zatrzymywał, by naostrzyć kosę. Prawie nie rozmawiali, woleli zachować swoje myśli dla siebie i nie dzielić się nimi. Przez większość poranka towarzyszyły im dwa skowronki, roztrzepotane kropki wysoko na niebie. Śpiewały, nurkowały i znów śpiewały.

W południe przerwali pracę. Usiedli wśród skoszonej trawy, pili maślanek, jedli paszteciki z króliczym mięsem i ciastka jęczmieńne. Jack Cobbledick powiedział głosem równie powolnym jak jego chód, że od upału straszliwie chce się pić; słyszał, że za miesiąc w Mingoose ma się odbyć największe wesele od lat, mnóstwo ważnych gości. Wczoraj rano rozmawiał ze starym Joem Triggsem, który mówił, że to wstyd, że Jim Carter gnije w więzieniu, a Nick Vigus chodzi wolny; wielu ludzi uważa tak samo. Podobno Cartera mają wysłać do więzienia w Bodmin, jednego z najlepszych w Kornwalii; nie ma tam takiej febry jak w Launceston albo na hulkach w Plymouth. Czy to prawda? Może kapitan Poldark coś wie? Ross odpowiedział, że to prawda.

Jack Cobbledick oznajmił, że gdyby kapitan Poldark nie stanął w obronie Cartera w czasie rozprawy, zostałby on skazany na siedmioletnią deportację; wszyscy tak uważają; podobno sędziowie koniecznie chcieli go wysłać do Australii.

Jud zauważył, że znał człowieka, który trafił do więzienia w Bodmin za drobne przestępstwo. Pierwszego dnia nabawił się febry, a drugiego umarł.

Cobbledick stwierdził, że gdyby więcej ziemian było podobnych do kapitana Poldarka, nie byłoby tylu nieszczęść, zamykania kopalń i głodu. Tak gadają ludzie.

Jud oświadczył, że w osiemdziesiątym trzecim roku w Launceston panowała okropna febra. Jeden ze strażników i jego żona zachorowali na nią tego samego dnia i rankiem już nie żyli.

Cobbledick powiedział, że Greetowie i Nanfanowie chcieli zebrać grupę mężczyzn, by wypędzić Nicka Vigusa z okolicy, ale zabronił im Zacky Martin, bo jeśli ktoś odpłaca złem za zło, nie wynika z tego nic dobrego.

Jud wyraził przekonanie, że trzecie dziecko Jima Cartera urodzi się po śmierci ojca.

W końcu wstali i znów zabrali się do pracy. Wkrótce Ross się wysforował, myśląc o własnych problemach. Kiedy słońce zaczęło się zniżać, zatrzymał się na kilka minut i zobaczył, że prawie

skończyli. Bolały go ramiona i plecy, ale pozbył się złego humoru. Regularne ruchy kosy, obroty ciała, stopniowe posuwanie się po polu, od zewnętrznej krawędzi łąki do środka, pomogło zapomnieć o dręczących widmach przygnębienia. Wiał lekki północny wiatr i upał zmienił się w przyjemne ciepło. Ross kilka razy odetchnął głęboko, otarł czoło i spojrzał na idących za nim Cobbledicka i Juda. Później zerknął na drobną figurkę jednego z dzieci Martinów, które szło ku niemu od strony domu.

Była to Maggie Martin, sześćioletnia wesoła dziewczynka o rudych jak u ojca włosach.

– Pseplasam pana – wysepleniła śpiewnie. – Chce się z panem zobaczyć dama.

Ross uniósł palcem wskazującym podbródek Maggie.

– Jaka dama, kochanie?

– Pani Poldark, panie. Z Tlenwith.

Verity nie odwiedzała Rossa od wielu miesięcy. Mógł to być początek odnowienia ich dawnej przyjaźni. Nigdy bardziej jej nie potrzebował.

– Dziękuję, Mag. Zaraz przyjdę.

Zabrał surdut i z kosą na ramieniu schodził ze wzgórza w stronę dworu. Wydawało się, że tym razem Verity przyjechała konno.

Zostawił kosę przy drzwiach, włożył surdut i wszedł do salonu. W fotelu siedziała młoda kobieta. Serce zabiło mu mocno.

Elizabeth miała na sobie długą brązową opończę do jazdy konnej z pięknymi gandawskimi koronkami na mankietach i pod szyją. Trójrożny filcowy kapelusz obszyty koronką podkreślał owal jej twarzy i połyskliwe jasne włosy.

Wyciągnęła z uśmiechem rękę, a Ross poczuł ból, przypominając sobie przeszłość. Była damą, bardzo piękną damą.

– Ross, pomyślałam, że nie widziałam cię od miesiąca, i postanowiłam zajrzeć po drodze...

– Nie tłumacz się z przyjazdu, tylko z tego, że wcześniej mnie nie odwiedzałeś – odpowiedział.

Zarumieniła się i w jej oczach pojawił się cień zadowolenia. Macierzyństwo nie zmieniło kruchej figury Elizabeth; zachowała dawny urok. Każde kolejne spotkanie było dla Rossa niespodzianką.

– Bardzo gorący dzień jak na jazdę wierzchem – odezwał się. – Pozwól, że przyniosę ci coś do picia.

– Nie, dziękuję. Jest mi całkiem chłodno. – Rzeczywiście tak wyglądała. – Przede wszystkim powiedz, jak się miewasz, czym się zajmujesz. Tak rzadko cię widzujemy.

Zdając sobie sprawę ze swojej przepoconej koszuli i rozczochranych włosów, Ross opowiedział, czym się zajmuje. Elizabeth wydawała się trochę skępowana. Zauważył, że kilkakrotnie rozejrzała się po salonie, jakby wyczuła obecność obcej kobiety lub była zdziwiona wygodnym, choć zniszczonym umeblowaniem. Popatrzyła na drewnianą misę z leśnymi zawilcami i jęczycznikami zwyczajnymi stojącą na parapecie okna.

– Verity mówiła mi, że nie udało ci się złagodzić wyroku, jaki otrzymał twój parobek – powiedziała. – Bardzo mi przykro.

Ross skinął głową.

– Tak, szkoda. Przewodniczącym sądu był ojciec George’a Warleggana. Rozstaliśmy się, czując do siebie animozję.

Zerknęła na Rossa spod rzęs.

– George’owi będzie przykro. Może gdybyś się do niego zwrócił, dałoby się coś załatwić. To prawda, że chłopca przyłapano na gorącym uczynku?

– Jak się czuje stryj? – Ross zmienił temat, obawiając się, że jego poglądy na sprawę Cartera mogą urazić Elizabeth.

– Jego stan się nie poprawia. Tom Choake regularnie puszcza mu krew, ale przynosi to jedynie

chwilową ulgę. Wszyscy mieliśmy nadzieję, że piękna pogoda znów postawi go na nogi.

– A Geoffrey Charles?

– Świetnie, dziękuję. W zeszłym miesiącu bałam się, że złapał ospę już po wygaśnięciu epidemii, ale była to tylko wysypka związana z zębowaniem. – Mówiła opanowanym tonem, a jednak coś w nim go zaskoczyło. Nie słyszał jeszcze w głosie Elizabeth takiej zaborczości.

Gawędzili przez kilka minut, przyjaźnie, lecz z pewną dozą niepokoju. Elizabeth spytała o postępy robót w kopalni, a Ross powiedział jej o szczegółach technicznych, choć wątpił, czy Elizabeth je rozumie, i był pewien, że nie może się nimi interesować tak bardzo, jak to okazuje. Wspomniała o zbliżającym się weselu, zakładając, że otrzymał zaproszenie, a on nie miał serca wyprowadzać jej z błędu. Francis chciał, by jesienią pojechała do Londynu, ale uważała, że Geoffrey Charles jest jeszcze za mały. Wydawało się, że Francis nie pojmuje, iż Geoffreya Charlesa nie można zostawić w Trenwith. Francis myślał... Francis uważał...

Jej drobna, spokojna twarz spochmurniała.

– Chciałabym, żebyś się częściej widywał z Francisem, Ross – rzekła, mnąc rękawiczki.

Ross uprzejmie wyraził ubolewanie, że brak czasu uniemożliwia mu częstsze składanie wizyt stryjeczemu bratu.

– Nie, nie chodzi mi o zwykłe wizyty towarzyskie, Ross. Pragnęłabym, żebyście zaczęli razem pracować. Twój wpływ na Francisca...

– Mój wpływ? – spytał ze zdumieniem.

– Sprawiłby, że Francis stałby się bardziej przewidywalny. Moim zdaniem byłby bardziej zrównoważony. – Zerknęła na niego zbolalym wzrokiem, po czym odwróciła oczy. – Na pewno się dziwisz, że to mówię. Martwię się. Bardzo się zaprzyjaźniliśmy z George'em Warlegganem, odwiedzaliśmy go w Truro i Cardew. George jest wyjątkowo miły, lecz to krezus i hazard jest dla niego po prostu przyjemną rozrywką. Ale nie dla nas, nie dla Francisca. Kiedy ktoś gra o stawki, na które go nie stać... To opętało Francisca. Żyje tym. Wygrywa niewielką sumę, a potem przegrywa krocie. Charles jest zbyt chory, by go powstrzymać. W tej chwili Francis zarządza majątkiem. Tak naprawdę nie możemy dalej żyć w ten sposób. Jak wiesz, Gambler przynosi straty.

– Nie zapominaj, że ja też traciłem pieniądze w karty przed wyjazdem do Ameryki – odpowiedział Ross. – Mój wpływ na Francisca może nie być tak dobry, jak się spodziewasz.

– Nie powinnam o tym mówić. Nie zamierzałam. Nie mam prawa cię obarczać swoimi kłopotami.

– Uważam to za wielki komplement.

– Ale kiedy wspominamy o Francisie... I nasza stara przyjaźń... Zawsze potrafiłeś wszystko zrozumieć.

Ross widział, że Elizabeth jest naprawdę wytrącona z równowagi, i podszedł do okna, by pozwolić jej przyjść do siebie. Chciał udowodnić, że nie zawiedzie jej zaufania; wiele dałby za to, by znaleźć słowa, które sprawią, że z oblicza Elizabeth zniknie niepokój. Przestał odczuwać złość, że wyszła za męża. Poprosiła go o przysługę.

– Zastanawiałam się, czy powinnam powiedzieć o tym Charlesowi – ciągnęła. – Boję się, że jego stan się pogorszy, a to wcale by nam nie pomogło.

Ross pokręcił głową.

– Nie rób tego. Najpierw porozmawiam z Francisem. Bóg mi świadkiem, skoro innym się nie udało, pewnie nic nie zdziałam... Ale zupełnie nie rozumiem jednej rzeczy...

– Czego? – Po chwili Elizabeth wyczuła, co powinna wytłumaczyć. – Jest bardzo rozsądny w wielu sprawach, lecz nie potrafię wpłynąć na niego w kwestii hazardu. Uważa moje rady za wtrącanie się.

– Z pewnością mnie potraktuje tak samo. Mimo to spróbuję.

Elizabeth popatrzyła na niego.

– Jesteś człowiekiem o silnej woli, Ross. Kiedyś się o tym przekonałam. To, czego nie chce się usłyszeć... usłyszeć od żony, może brzmieć rozsądnie, gdy mówi to brat stryjeczny. Potrafisz przekonywać. Moim zdaniem potrafiłbyś wpłynąć na Francisa, gdybyś chciał.

– W takim razie spróbuję.

Wstała.

– Wybacz mi. Nie zamierzałam tego wszystkiego mówić. Nie potrafię wyrazić, jaka jestem ci wdzięczna za to, jak mnie przyjąłeś.

Ross się uśmiechnął.

– Może obiecasz pojawiać się częściej?

– Z wielką chęcią. Miałam ochotę przyjechać wcześniej, ale czułam, że nie mam prawa.

– Nie myśl tak.

W sieni rozległy się kroki i do salonu weszła Demelza, niosąc naręcze świeżo zerwanych dzwonek.

Stanęła jak wryta, gdy zobaczyła, że przerywa rozmowę Rossa z damą. Miała na sobie prostą sukienkę domowej roboty z błękitnego płótna, z niewielkim dekoltem i haftem w okolicach kibici. Wyglądała jak dzikuska, bo przez całe popołudnie, bezwstydnie ignorując Prudie i rzepy, leżała na łące na wzgórzu na zachód od dworu, skąd patrzyła na Rossa, Juda i Cobbledicka pracujących na przeciwległym stoku, i wylegiwała się, wdychając zapach ziemi i spoglądając przez trawę niczym młody pies. W końcu przewróciła się na plecy i zasnęła w ciepłych promieniach zachodzącego słońca. Miała rozczochrane włosy i sukienkę pokrytą trawą i rzepami.

Pochwyciła spojrzenie Rossa i popatrzyła rozszerzonymi oczami na Elizabeth. Później wymamrotała przeprosiny i odwróciła się, by wyjść.

– To Demelza, o której wspominałem – wyjaśnił Ross. – A to pani Elizabeth Poldark. – Dwie kobiety, pomyślał. Wykonane z tego samego tworzywa? Kamionka i porcelana.

O Boże, więc jednak coś ich łączy, pomyślała Elizabeth.

– Ross często o tobie mówił, moja droga – rzekła.

Demelza pomyślała: spóźniła się o jeden dzień, tylko o jeden dzień. Jaka jest piękna. Jak ja jej nienawidzę. Ponownie zerknęła na Rossa i po raz pierwszy przysła jej do głowy myśl, która przeszywała niczym zdradziecki cios nożem. Że wczorajsze pożądanie Rossa to tylko cień niespełnionej miłości. Przez cały dzień była zbyt zajęta własnymi uczuciami, by zastanowić się nad uczuciami Rossa. Teraz widziała tak wiele w jego oczach.

– Bardzo pani dziękuję – odpowiedziała, czując trwogę i nienawiść. – Czy mam coś podać, panie?

Ross spojrział na Elizabeth.

– Przyjmij zaproszenie i napij się herbaty. Będzie gotowa za kilka minut.

– Dziękuję, ale muszę jechać. Nazbierałaś bardzo ładnych dzwonek.

– Czy chciałaby je pani dla siebie? – spytała Demelza. – Może je pani wziąć.

– To bardzo miło z twojej strony! – Elizabeth jeszcze raz rozejrzała się po salonie szarymi oczyma. Te zasłony to jej dzieło, pomyślała. Prudie nigdy by ich nie powiesiła w taki sposób. Ross nawet nie pomyślałby o przykryciu ławy aksamitną kapą. – Przyjechałam wierzchem i niestety nie mogę ich zabrać. Zatrzymaj je, moja droga, ale dzięki za miłą propozycję.

– Zwiążę je i przytroczę do siodła – zaproponowała Demelza.

– Obawiam się, że zwiędną. Widzisz? Już opadają. Takie właśnie są dzwonki. – Elizabeth wzięła rękawiczki i szpicrutę. Nie mogę tu więcej przyjeżdżać, pomyślała. Minęło tyle czasu, jest już za późno. Za późno, bym tu przyjeżdżała. – Musisz nas odwiedzić i zobaczyć stryja, Ross. Często pyta o ciebie. Prawie codziennie.

– Przyjadę w przyszłym tygodniu – odparł.

Poszli do drzwi i Ross pomógł Elizabeth wsiąść na konia, co zrobiła z właściwą sobie gracją. Demelza została w salonie, lecz ukradkiem wyglądała przez okno.

Jest szczuplejsza ode mnie, chociaż urodziła dziecko, pomyślała. Skóra jak kość słoniowa; nigdy nie pracowała nawet przez jeden dzień. To dama, Ross jest dżentelmenem, a ja jestem dziwką. Ale nie zeszłej nocy, nie zeszłej nocy. (Nagle wszystko sobie przypomniała). Nie mogę być dziwką: jestem kobietą Rossa. Mam nadzieję, że utyje. Niech będzie gruba, niech dostanie ospy, niech cieknie jej z nosa, niech wypadną jej zęby. Modlę się o to z całych sił.

– Naprawdę zamierzasz porozmawiać z Francisem? – spytała Rossa Elizabeth.

– Naturalnie. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, choć prawdopodobnie niewiele osiągnę.

– Odwiedź Charlesa. Przyjedź na kolację, tak będzie dobrze. W dowolny dzień. Do zobaczenia.

– Do zobaczenia – odpowiedział.

Było to ich pierwsze naprawdę przyjacielskie spotkanie po powrocie Rossa z Ameryki. Oboje rozumieli, nie zdając sobie sprawy, że wie o tym również druga strona, iż to spotkanie nastąpiło zbyt późno, by mieć jakieś znaczenie.

Ross patrzył, jak Elizabeth odjeżdża powoli doliną. W pewnej chwili dostrzegł jej połyskujące, oświetlone zachodzącym słońcem włosy. W pogrążonej w cieniu części doliny ptaki rozpoczęły wieczorny koncert.

Był zmęczony, bardzo zmęczony i chciał odpocząć. Jednak wizyta Elizabeth zburzyła spokój z trudem odzyskany w ciągu dnia.

Odwrócił się na pięcie i wszedł do domu. Zajrzał do kuchni, gdzie Prudie przygotowywała kolację. Poskarżyła się na coś, a Ross coś odburknął w odpowiedzi i ruszył do stajni.

Przez kilka minut zajmował się codziennymi gospodarskimi sprawami. Kiedy skończył, wrócił do domu i wszedł do salonu.

Demelza ciągle stała przy oknie, trzymając naręczce dzwonek. Nie zwrócił na nią uwagi; powoli podszedł do swojego ulubionego fotela, zdjął surdut, usiadł i ze zmarszczonym czołem spoglądał przez chwilę na przeciwległą ścianę. Wreszcie odchylił się do tyłu.

– Jestem zmęczony – powiedział.

Odwróciła się od okna i cicho podeszła do fotela, jakby Ross spał. Usiadła na dywanie u jego stóp. Zaczęła układać na podłodze naręczce dzwonek, od niechcenia, lecz z zadowoleniem.

KSIĘGA TRZECIA

Czerwiec – grudzień 1787

Rozdział pierwszy

1

Ross i Demelza zawarli małżeństwo dwudziestego czwartego czerwca 1787 roku. Uroczystość poprowadził wielebny Odgers, a odbyła się ona jedynie w obecności niezbędnych świadków. Z księgi zaślubin wynika, że panna młoda ukończyła osiemnaście lat (taki wiek podała), choć w rzeczywistości brakowało jej dziewięciu miesięcy. Ross miał dwadzieścia siedem lat.

Podjął decyzję o poślubieniu Demelzy dwa dni po spędzeniu z nią pierwszej nocy. Nie kochał jej, lecz był to oczywisty sposób rozwiązania problemu. Gdyby nie brać pod uwagę pochodzenia Demelzy, nie była złą kandydatką na żonę dla zubożałego ziemianina. Dowiodła, że potrafi dobrze pracować w domu i na farmie; w naturalny sposób stała się częścią jego życia.

Ze swoim rodowym nazwiskiem Ross mógłby oczywiście zacząć się obracać w towarzystwie, zawrócić w głowie córce jakiegoś nowobogackiego i prowadzić wygodne, nudne życie dzięki jej posagowi. Ale nie brał poważnie pod uwagę takiej możliwości. Z gorzkim rozbawieniem zdawał sobie sprawę, że małżeństwo z Demelzą pogрузy go w oczach własnej klasy. Mężczyzna sypiający z dziewczyną z kuchni wywoływał tylko złośliwe plotki, lecz jeśli się z nią żenił, przestawał być akceptowany towarzysko.

Nie pojechał na kolację do Trenwith, jak obiecał. Odwiedził Francisca w Grambler na tydzień przed swoim ślubem i przekazał mu nowiny. Kuzyn nie wydawał się wstrząśnięty i przyjął wiadomość wręcz z ulgą: może zawsze odczuwał skryty lęk, że pewnego dnia kuzyn przestanie się zachowywać jak człowiek cywilizowany i postanowi zdobyć Elizabeth siłą? Ross, zadowolony, że Francis spokojnie przyjął wiadomość o małżeństwie, dopiero tuż przed odjazdem przypomniał sobie o obietnicy danej Elizabeth. Spełnił ją jednak i rozstał się z Francisem w mniej przyjaznej atmosferze, niż panowała wcześniej.

Ze względu na starą przyjaźń z Verity Ross bardzo chciał, by uczestniczyła w ślubie, ale jak poinformował go Francis, lekarz nakazał jej pozostawać w łóżku przez dwa tygodnie. Z tego powodu Ross nie wysłał Verity zaproszenia, lecz napisał dłuższy list, w którym wytłumaczył okoliczności małżeństwa i zaprosił ją do Nampary, gdy wyzdrowieje. Verity kilkakrotnie spotkała Demelzę, lecz nie widziała jej od blisko dwóch lat. Ross przypuszczał, że kuzynka uzna jego decyzję za efekt demencji starczej, która przedwcześnie zaatakowała jego umysł z niewyjaśnionych powodów.

Jeśli tak było, nie wspominała o tym w bileciku przesłanym w odpowiedzi:

Najdroższy Rossie!

Dziękuję, że tak dokładnie opisałeś i wyjaśniłeś przyczyny swojego małżeństwa. Jestem ostatnią osobą, która mogłaby krytykować Twoją decyzję. Przede wszystkim życzę Wam szczęścia i modłę się o nie z całej duszy. Kiedy wyzdrowieję, a Tata poczuje się lepiej, przyjadę i spotkam się z Wami obojgiem.

*Z wyrazami miłości
Verity*

Wizyta w kościele w Sawle zmieniła nie tylko nazwisko dawnej podkuchennej. Jud i Prudie na początku wydawali się niezadowoleni, na ile ośmielali się to okazać, bo nie podobało im się, że

wyglądzona znajda, która niegdyś pojawiła się w Namparze jako osoba o nieskończeniu niższym statusie, może się teraz nazywać ich panią. Mogliby się dąsać przez długi czas, gdyby nie Demelza. W końcu zdołała ich przekonać – może posługiwała się magnetyzmem? – że jest ich protegowaną, toteż jej awans społeczny w jakiś sposób polepsza ich pozycję. A ponadto, jak Prudie zwierzyła się Judowi, było to lepsze od słuchania rozkazów jakiejś tłustej, wyfiokowanej flądry.

W tym roku Demelza nie widziała więcej swego ojca. Kilka dni po zapowiedziach przekonała Rossa, by wysłał Juda do Illuggan z wiadomością, że mają się pobrać za dwa tygodnie. W chwili przybycia Juda Carne był w kopalni, dlatego przekazał posłanie niskiej, grubej kobiecie w czerni. Nie było żadnej odpowiedzi. Demelza denerwowała się, że ojciec może się pojawić na ślubie i zrobić scenę, ale wszystko przebiegło spokojnie. Tom Carne pogodził się z porażką.

Dziesiątego lipca człowiek o nazwisku Jope Ishbel, jeden z najstarszych i najbardziej doświadczonych górników w okręgu, odkrył w Wheal Leisure żyłę czerwonej rudy miedzi. Znaleźniku towarzyszył wytrysk wielkiej ilości wody, więc trzeba było wstrzymać pracę i poczekać na przywiezienie pomp. Kanał odpływowy biegnący do ściany klifu nie został jeszcze ukończony i musiało upłynąć trochę czasu, nim kopalnię można będzie odwadniać tą drogą. Ludzie znajdujący się na rzeczy traktowali obecność wody jako dobry znak.

Kiedy Ross otrzymał wiadomość o odkryciu, otworzył baryłkę brandy i kazał zanieść do kopalni kilka wielkich dzbanów. Zapanowało wielkie podniecenie. Z Wheal Leisure widać było ludzi wdrapujących się na wzgórze za przysiółkiem Mellin, by zobaczyć, co jest przyczyną hałasu.

Odkrycia dokonano w wyjątkowo sprzyjającym momencie, ponieważ za tydzień miało się odbyć drugie spotkanie udziałowców i Ross wiedział, że musi poprosić każdego z nich o kolejne pięćdziesiąt funtów. Znaleźisko Jope'a Ishbela dało Rossowi do ręki konkretny argument, bo nawet niskiej jakości ruda, którą Ishbel przyniósł na powierzchnię, pozwalała uzyskać o kilkanaście funtów więcej za tonę niż zwykła ruda miedzi. Pojawiła się perspektywa zysków. Jeśli żyła okaże się duża, kopalnia stanie się rentowna.

Ross zwrócił na to uwagę w czasie spotkania udziałowców, które odbyło się w przegrzanej biurze pana Pearce'a w Truro, i zrobiło to na obecnych takie wrażenie, że kapitał podniesiono bez sprzeciwów.

Ross nie spotkał pana Treneglosa po wielkim weselu w Mingoose syna starszego pana z Ruth Teague. W tej chwili pan Treneglos starał się być dla Rossa szczególnie miły i prawił mu komplementy. Siedzieli obok siebie przy obiedzie i Ross obawiał się, że za chwilę usłyszy przeprosiny, iż nie zaproszono go na wesele. Wiedział, że wina nie leży po stronie pana Treneglosa, i starał się unikać tego tematu.

W pewnej chwili pan Renfrew wywołał konsternację. Wypił nieco za dużo i stwierdził, że nie wolno zapominać, iż jeden z uczestników spotkania wstąpił niedawno w związek małżeński. Zaproponował wzniesienie toastu za zdrowie młodej pary.

Zapadła niezręczna cisza, po czym pan Pearce powiedział:

– Istotnie, tak. Z pewnością nie powinniśmy o tym zapomnieć.

– Byłoby to pożałowania godne zaniedbanie – dodał doktor Choake.

Pan Treneglos, który szczęśliwie dosłyszał, o co chodzi, natychmiast powstał i rzekł:

– Niechaj to będzie mój przywilej, panowie. Przywilej i przyjemność. Nasz dobry przyjaciel, do kaduka, niedawno wstąpił w związek małżeński. Wznoszę toast za zdrowie kapitana Poldarka i jego młodej żony! Niechaj będą bardzo szczęśliwi!

Wszyscy wstali i wypili.

– Źle by to wyglądało, gdyby nikt o tym nie wspomniał – rzekł pan Treneglos, gdy zebrani usiedli. Tym razem nie mówił tylko do siebie.

Ross wydawał się najmniej zażenowanym z gości.

2

Demelza już wcześniej stała się częścią życia Rossa. Tak uważał. Była jednym z domowników – dbała o jego potrzeby, starannie, lecz bez ostentacji, pełniąc funkcję dobrej służącej i miłej towarzyszki.

W nowej sytuacji niewiele się zmieniło. W teorii Demelza i Ross mieli równe prawa, lecz w praktyce jej status był niższy. Zawsze chętnie wypełniała polecenia Rossa, nigdy niczego nie kwestionując, promienna, pełna dobrej woli, miła. Gdyby Ross nie postanowił jej poślubić, jakoś by to przeżyła, ale kiedy podjął decyzję, by zalegalizować ich związek i uczynić go trwałym, dać jej swoje nazwisko, była tak szczęśliwa, jakby na jej głowę włożono złotą koronę. Kilka złych chwil, gdy Namparę odwiedziła Elizabeth, poszło w niepamięć, zupełnie się nie liczyły.

Teraz stała się częścią jego życia w inny sposób. Nie mógł się wycofać, nawet gdyby chciał, choć nie chciał. Nie miał wątpliwości, że jest godna pożądaną: rozwój ich związku udowodnił, że nie było to tylko szaleństwo letniej nocy. Nie był jednak zupełnie pewien, w jakim stopniu jest godna pożądaną dla niego osobiście, a w jakim stopniu zaspokaja jego naturalne męskie potrzeby.

Wydawało się, że Demelzę nie niepokoją żadne problemy. Wcześniej szybko rozwinęła się jako kobieta; teraz błyskawicznie rozkwitła jej osobowość.

Jeśli ktoś jest tak szczęśliwy jak Demelza tego lata, trudno, by nie wpływało to na otoczenie. Po pewnym czasie atmosfera, jaką wytwarzała, zaczęła oddziaływać na wszystkich domowników.

Powoli nauczyła się korzystać z przywilejów związanych z małżeństwem. Pierwszą próbą działań tego rodzaju była delikatna sugestia, by Ross przestał używać biblioteki jako biura kopalni, ponieważ górnicy depczą kwiaty ciężkimi buciorami. Nikt nie był bardziej zdziwiony od Demelzy, gdy po tygodniu zauważyła, że grupa mężczyzn z papierami kopalni podąża gęsiego do jednej z szop na szczycie klifu.

Minęły całe tygodnie, nim zdołała wślizgnąć się do biblioteki bez dawnego poczucia winy. I musiała mobilizować całą swoją odwagę, by podejmować próby gry na szpinecie, gdy ktokolwiek znajdował się w pobliżu.

Odznaczała się tak wielką żywotnością, że stopniowo przewyciężyła wszelkie bariery wynikające z konwenansów lub różnic społecznych. Zaczęła grać bardziej otwarcie i śpiewać niskim głosem ułożone przez siebie piosenki. Pewnego dnia pojechała z Rossem do Truro i kupiła kilka broszur z wierszami. Nauczyła się ich na pamięć i śpiewała, grając na szpinecie własne melodie, usiłując dopasować słowa do muzyki.

Lato okazało się wyjątkowo ciepłe, jakby sprzyjało szczęściu Demelzy. Przez długie tygodnie trwała piękna, słoneczna pogoda i całodzienny deszcz był rzadkim zjawiskiem. Po zimowych epidemiach ospy wszyscy cieszyli się z ładnej pogody i wiele rodzin spędzało mnóstwo czasu na świeżym powietrzu.

Praca w Wheal Leisure posuwała się do przodu powoli, lecz prawidłowo. Kanał odpływowy znajdował się coraz bliżej wyrobisk. Za wszelką cenę starano się ograniczyć wysokie koszty wypompowywania wody za pomocą maszyny. Zbudowano dwa kołowroty obracane przez konie, a wypompowaną przez nie wodę sprytnie gromadzono w basenie, skąd spływała rynną, poruszając koło wodne, co pozwalało wypompować jeszcze więcej wody. W tej chwili eksploatowano pokład rudy miedzi. Wkrótce zbierze się jej dosyć, by wysłać ładunek na aukcję w Truro.

3

Demelza stała się częścią mojego życia, myślał Ross.

Często żałował, że nie potrafi oddzielić dwóch Demelz, które stały się jego częścią. Pierwsza, istniejąca w ciągu dnia, była trzeźwa, rozsądna. Pracował razem z nią i jej towarzystwo sprawiało mu przyjemność. Polubił ją i nabrał do niej zaufania – ona również go lubiła i miała do niego zaufanie. W połowie służąca, w połowie siostra, sympatyczna i posłuszna, bezpośrednia spadkobierczyni Demelzy z zeszłego roku lub sprzed dwóch lat. Demelza ucząca się czytać, Demelza przynosząca drewno na rozpałkę, Demelza robiąca z nim sprawunki, kopiąca w ogrodzie i zawsze czymś zajęta.

Ale druga była ciągle tajemnicą. Chociaż był mężem i panem obu, ta wydawała się zagadką, z ładną, oświetloną płomieniem świecy twarzą i świeżym, młodym ciałem, które dawało mu coraz większe zadowolenie zmysłowe. W pierwszych dniach odnosił się do tej Demelzy z pewną dozą pogardy, później jednak to się zmieniło. Pogarda znikła, lecz zagadka pozostała.

Dwie niedokładnie zdefiniowane osoby, nieznajoma i przyjaciółka. W ciągu dnia zdarzały się niepokojące chwile, gdy w trakcie rutynowych zajęć Ross nagle dostrzegał młodą kobietę potrafiącą stać się tym, kim tylko chciała, którą pieścił, lecz której nigdy naprawdę nie posiadał. Jeszcze dziwniej czuł się nocą, kiedy w ciemnych, pijanych z rozkoszy oczach tajemniczej nieznajomej pojawiał się błysk przypominający o sympatycznej, rozczochranej dziewczynie, która pomagała mu czyścić konie lub szykowała wieczerzę. W takich momentach był wytrącony z równowagi i niezadowolony, jakby natrafił na coś, co istnieje poza jego światem.

Chciałby umieć oddzielić te dwie Demelzy. Czuł, że byłby szczęśliwszy, gdyby potrafił oddzielić je całkowicie. Ale w miarę upływu tygodni wydawało się, że dzieje się coś zupełnie odwrotnego. Dwie Demelzy zaczęły stopniowo zlewać się w jedno.

Ich połączenie nastąpiło dopiero w pierwszym tygodniu sierpnia.

Rozdział drugi

W tym roku sardynki przyplęły później niż zwykle. Opóźnienie wywołało niepokój, ponieważ od ryb zależały nie tylko zarobki wielu ludzi, lecz wręcz życie. Na wyspach Scilly i na południowym krańcu Kornwalii trwały ożywione dyskusje; pojawili się mądrze i pesymiści, którzy przewidywali, że w tym roku sardynki w ogóle nie pojawią się u północnych wybrzeży hrabstwa i popłyną prosto do Irlandii.

Z westchnieniem ulgi przyjęto wieść, że w St Ives udał się połów, lecz w Sawle pierwszą ławicę zauważono dopiero szóstego sierpnia po południu.

Obserwator od tygodni lustrujący morze ze szczytu urwiska spostrzegł w dali znajomą ciemnoczerwoną plamę i okrzyk wydany przez starą blaszaną tubę sprawił, że w wiosce natychmiast zapanowało gorączkowe podniecenie. Od brzegu odbiły łodzie z niewodami; w przednich znajdowało się po siedmiu rybaków, w pozostałych po czterech.

Pod wieczór stało się jasne, że połów udał się lepiej niż zwykle, i wieść o tym rozeszła się lotem błyskawicy. Żniwiarze natychmiast odłożyli kosy i pośpieszyli do wioski. Za nimi podążyli wszyscy wolni robotnicy z kopalni Grambler i wielu górników, którzy skończyli szychtę.

Jud wybrał się tego popołudnia do wioski Grambler i potem przekazał nowiny Demelzie, która poinformowała Rossa przy kolacji.

– Bardzo się cieszę – powiedziała. – Całe Sawle chodziło z nosami na kwintę. Wszyscy poczują ogromną ulgę, podobno połów się udał.

Ross obserwował żonę, która wstała od stołu, by przyciąć i zapalić świece. Spędził cały dzień w Wheal Leisure i zjadł kolację w salonie, w którym powoli zapadał zmrok. Nie było żadnej rzeczywistej różnicy między tym dniem a wieczorem przed dwoma miesiącami, gdy przybył do domu pokonany i wszystko się zaczęło. Jim Carter w dalszym ciągu przebywał w więzieniu. Bezsens życia i wysiłków Rossa się nie zmienił.

– Demelzo – zaczął.

– Tak?

– O jedenastej zaczyna się odpływ – powiedział. – Świeci księżyc. Może popłyniemy do Sawle i popatrzymy, jak zarzucają sieci?

– Ross, to byłoby cudowne!

– Weźmiemy Juda, by pomógł wiosłować? – Chciał się z nią podrażnić.

– Nie, nie, płynmy tylko we dwoje! Sami, tylko ty i ja, Ross! – Podskakiwała przed jego fotelem, prawie tańczyła. – Będę wiosłować! Jestem tak samo silna jak Jud! Popłynemy sami!

Roześmiał się.

– Ktoś mógłby pomyśleć, że zaprosiłem cię na bal. Myślisz, że nie dopłynę tak daleko?

– Kiedy ruszamy?

– Za godzinę.

– Dobrze, dobrze, dobrze! Przygotuję coś do jedzenia i wezmę butelkę brandy, bo może być zimno. Koc dla mnie i kosz na ryby. – Prawie wybiegła z salonu.

Poszli do zatoki Nampara tuż po dziewiątej. Był ciepły, bezwietrzny wieczór; księżyc znajdował się w trzeciej kwadrze i świecił wysoko na niebie. W zatoce wyciągnęli z pieczary niewielką łódź, po czym przesunęli ją po jasnym, twardym piasku na skraj morza. Demelza weszła do środka, a Ross popchnął łódź do przodu i wskoczył, gdy odbiła od brzegu.

Tej nocy morze było bardzo spokojne i mała łódź płynęła równo w stronę otwartego oceanu. Demelza

siedziała na rufie, patrzyła na wiosłującego Rossa, rozglądała się i zanurzała dłoń w wodzie, by poczuć, jak przepływa między palcami. Włożyła czerwoną chustkę i ciepły kożuszek, który Ross nosił w dzieciństwie i który teraz idealnie na nią pasował.

Opłynęli wysokie, posępne urwiska między zatoką Nampara a zatoką Sawle. Kontury poszarpanych skał rysowały się wyraźnie na tle nieba zalanego światłem księżyca. U podnóża klifów chlupotała i pieniała się woda. Minęli dwie zatoczki, które nawet w czasie odpływu były dostępne jedynie od strony morza, bo ze wszystkich stron otaczały je strome ściany skalne. Ross znał tę okolicę doskonale, lecz Demelza nigdy tu nie była. Wcześniej płynęła łodzią tylko raz w życiu. Opłynęli przylądek zwany Skałą Królowej, gdzie rozbiło się wiele pięknych żaglowców, skręcili do zatoki Sawle i zobaczyli pierwszych rybaków.

Rybacy zarzucili niewód – ogromną sieć z korkowymi pływakami na górze i ołowianymi ciężarkami na dole – w odległości mniej więcej kilometra od brzegu, nieco za przylądkiem. Kolisty niewód obejmował dwa akry wody i rybacy mieli nadzieję, że znajduje się w nim mnóstwo ryb. Oczywiście zawsze istniała możliwość, że obserwator na szczycie klifu, jedyna osoba śledząca ruchy ławicy sardynek, wskazał niewłaściwe miejsce. Czasami nagłe wybrzuszenie dna sprawiało, że sieć nie opadała równo i ryby mogły się wymknąć. Jednak w normalnych warunkach istniały duże szanse na dobry połów. Jeśli morze było spokojne, rybacy mogli zakotwiczyć sieci w jednym miejscu na dziesięć dni lub nawet dwa tygodnie, ale nie zamierzali uzależniać wyników połowu od pogody. Ryby należało wyciągnąć jak najprędzej.

Tej nocy świecił księżyc.

Kiedy zbliżył się odpływ, do niewodu, oznaczonego korkowymi bojami, ostrożnie wpłynęła specjalna łódź z sieciami o nazwie tuka; zarzucono je i umocowano w kilku miejscach. Po zakończeniu pracy rybacy zaczęli wyciągać tuki.

Nadszedł krytyczny moment. Ross i Demelza podpłynęli do niewodu. Nie byli jedynymi widzami. Z Sawle wypłynęły wszystkie łodzie nadające się do użytku, w których siedziała duża część mieszkańców wioski. Ludzie niedysponujący łodziami lub zbyt zniedołężniali, by popłynąć, stali na plaży i wykrzykiwali słowa zachęty. W chatach Sawle i na brzegu płonęły pochodnie i latarnie, migotały i odbijały się w srebrzystych wodach zatoki. Wszystko tonęło w widmowym świetle księżyca.

Nad głowami ludzi latały mewy, wydając piskliwe krzyki. Nikt nie zwrócił większej uwagi na Rossa i Demelzę. Kilku wieśniaków pozdrowiło ich przyjaznymi okrzykami. Pojawienie się Rossa nie skonfundowało rybaków w taki sposób jak przybycie innego dziedzica z okolicy.

Podpłynął do miejsca, gdzie przywódca maszoperii stał w łodzi i wydawał krótkie polecenia ludziom znajdującym się w obrębie niewodu i wyciągającym tuki. Kiedy stało się jasne, że są ciężkie, zapadło krótkie milczenie. Za chwilę rybacy mieli się przekonać, czy połów okaże się udany, czy nie – czy złowili większą część ławicy, czy też ryby są za małe do zasolenia lub nienadające się na eksport, co wydarzyło się dwa lata wcześniej, kiedy w sieci wpadła ławica szprotek. Od rezultatów połowu, które miały być znane za kilka minut, zależały dochody połowy wioski.

W tej chwili jedynymi dźwiękami był plusk wody wokół pięćdziesięciu łodzi oraz chór niskich okrzyków: „Heja-ho! Heja-ho!”, wydawanych przez rybaków ciągnących sieci.

Zbliżał się najważniejszy moment. Przywódca maszoperii zapomniał o własnych radach i wpatrywał się w wodę, gryząc palce i czekając na pojawienie się pierwszych oznak życia.

Oczekiwanie nie trwało długo. Najpierw jeden z widzów coś powiedział, później drugi wykrzyknął. Wkrótce w łodziach rozległy się pomruki. Stopniowo stawały się coraz głośniejsze i brzmiała w nich bardziej ulga niż radość.

Woda zaczęła kipieć jak w gigantycznym garnku: gotowała się, pieniała, wirowała, aż wreszcie znikła

i zmieniała się w ryby. Było to powtórzenie cudu w Kanie Galilejskiej w świetle kornwalijskiego księżyca. Woda przestała istnieć, zostały tylko ryby, wielkie jak śledzie, tysiące stłoczonych ryb, które skakały, wiły się, walczyły i próbowały uciec.

Siec unosiła się i poruszała, duże łodzie kołysały się, gdy rybacy starali się utrzymać sieci. Wokół rozlegały się rozmowy i wołania, pluskały wiosła, krzyczeli podnieceni rybacy; panował coraz większy hałas.

Tuki zamocowano i rybacy zaczęli wybierać ryby koszami i wrzucać do łodzi. Wszyscy rozumieli, że trzeba jak najszybciej wykorzystać uśmiech losu. Zachowywali się tak, jakby za chwilę miał nadejść sztorm. Do niewodu podpłynęły dwa duże płaskodenne galary podobne do barek i rybacy szybko napełniali je rybami. Niebawem niewód otoczyły mniejsze łodzie uczestniczące w połowie.

Wkrótce rybacy brodzili po kostki w sardynkach, później sięgały im one po kolana. W stronę brzegu popłynęły łodzie wypełnione rybami, woda sięgała im prawie do szczytów burt. Na brzegu również trwała gorączkowa aktywność. Wszędzie paliły się lampy – ryby ładowano szuflami na taczki i transportowano do podziemnych magazynów, gdzie miały zostać przejrane i zasolone. Rybacy nadal wyciągali z morza tony lśniących, wijących się ryb.

Po drugiej stronie zatoki siedzieli w łodzi Ross i Demelza. Zjedli ciastka, wypili z butelki po łyku brandy i rozmawiali ściszonymi głosami o tym, co widzą.

– Płyniemy do domu? – spytał Ross.

– Zostańmy jeszcze chwilę – zaproponowała Demelza. – Noc jest taka ciepła. Jest wspaniale.

Ross powoli zanurzył w wodzie pióra wiosel i ustawił dziób łodzi w kierunku, z którego nadpływały niskie fale. Prąd zniósł ich w bok i obserwowali pracujących rybaków z większej odległości. Sprawilo to Rossowi osobliwą przyjemność.

Ku swojemu zdziwieniu odkrył, że jest szczęśliwy. Nie tylko z powodu szczęścia Demelzy, ale sam z siebie. Nie miał pojęcia dlaczego. Był to po prostu stan jego umysłu.

Czekali i czekali, aż wreszcie tuki były prawie puste i rybacy szykowali się do ponownego wrzucenia ich do wody. Potem czekali, by się przekonać, czy drugi połów okaże się równie obfity jak pierwszy. Kilka razy zamierzali odpłynąć, lecz znów coś ich zatrzymywało. Niepostrzeżenie mijały minuty, a tymczasem księżyc stał coraz niżej nad horyzontem, zalewając morze srebrzystym światłem.

W końcu Ross powoli napał na wiosła i łódź zaczęła się poruszać. Kiedy mijali rybaków, Pally Rogers poznał ich i zawołał: „Dobrej nocy!”. Część spoconych rybaków przerwała pracę i również ich pozdrowiła.

– Niezły połów, co, Pally? – zawołał Ross.

– Ładny. Przeszło ćwierć miliona ryb, na moje oko.

– Bardzo się cieszę. Przydadzą się w zimie.

– Dobranoc, panie.

– Dobranoc.

Odpłynęli. Ludzkie głosy, trzeszczenie lin i plusk zarzucanych sieci stopniowo ucichły, roztapiając się w dźwiękach nocy. Ross wiosłował w stronę otwartego morza, poszarpanych urwisk i czarnych skał ociekających wodą.

– Wszyscy są dziś szczęśliwi – odezwał się na poły do siebie.

Twarz siedzącej na rufie Demelzy się rozpromieniła.

– Lubią cię – powiedziała cicho. – Wszyscy cię lubią.

– Głupoty! – prychnął Ross.

– Nie, to prawda. Wiem, bo jestem jedną z nich. Ty i twój ojciec różnicie się od innych panów. Ale ty

bardziej. Jesteś... jesteś... – Zacięła się. – Jesteś w połowie dżentelmenem, a w połowie jednym z nich. Próbujesz pomóc Jimowi Carterowi i rozdajesz ludziom jedzenie.

– I poślubiłem ciebie.

Wpłynęli w cień klifu.

– Nie, nie o to chodzi – odparła trzeźwo. – To się może nie podobać, ale i tak cię lubią.

– Jesteś śpiąca i gadasz bez sensu – odezwał się Ross. – Przykryj się i prześpij w drodze do domu.

Demelza nie posłuchała. Siedziała i obserwowała granice między ciemnym łądem a lśniącą wodą. Wolałyby znajdować się na otwartym morzu. Cienie znacznie się wydłużyły, odkąd wypłynęli, i wolałyby okrążyć łąd szerszym łukiem, by pozostać w przyjaznym świetle księżyca. Patrzyła na głęboki mrok panujący w jednej z pustych zatoczek, które mijali. W takich miejscach nigdy nie pojawiał się człowiek. Były opuszczone i zimne. Wyobrażała sobie mieszkające tam dziwne stwory, duchy zmarłych, istoty, które wyszły z morza. Zadrżała i odwróciła wzrok.

– Wypij jeszcze łyk brandy – powiedział Ross.

– Nie. – Pokręciła głową. – Nie jest mi zimno, Ross.

Po kilku minutach skręcili do zatoki Nampara. Łódź popłynęła w stronę brzegu i osiadła na mieliźnie. Ross wyskoczył do wody, ale gdy Demelza chciała ruszyć za nim, wziął ją na ręce i przeniósł na brzeg. Pocałował ją przed postawieniem na piasku.

Wciągnął łódź do pieczary i ukrył wiosła w miejscu, gdzie nie mógł ich znaleźć przypadkowy włóczęga, po czym podszedł do Demelzy, która czekała przy znaku wskazującym najwyższy punkt przyływu. Stali przez chwilę bez ruchu i patrzyli na zachodzący księżyc. Kiedy zbliżył się do powierzchni morza, zmienił kształt i kolor: przypominał zdeformowaną pomarańczę wiszącą między wodą a niebem. Srebrzysty sierp pokrył się patyną, skurczył i zniknął, aż wreszcie pozostał tylko niewyraźny odblask tonący we mgle.

Odwrócili się w milczeniu, poszli plażą usypaną z piasku i drobnych kamyków, przeszli po głazach przez strumień i trzymając się za ręce, pokonali kilometr dzielący ich od dworu.

Demelza prawie cały czas milczała. Ross nigdy nie zachowywał się tak jak tego wieczoru. Wcześniej całował ją jedynie w chwilach namiętności. Czują, że jeszcze nigdy nie byli sobie tak bliscy. Po raz pierwszy stali się równi. Ross przestał być dziedzicem Nampary, który poślubił służącą, bo wolał to od samotności. Byli mężczyzną i kobietą, nic ich nie dzieliło. Demelza była dojrzała jak na swój wiek, a Ross mniej dojrzały. Trzymając się za ręce, szli w stronę domu przez mroczną dolinę pokrytą ukośnymi cieniami.

Jestem szczęśliwy, pomyślał ponownie Ross. Coś się ze mną dzieje, coś zmienia nasz nędzny, mały romans. Zachowaj ten stan umysłu, nie pozwól, by zniknął. Nie cofaj się.

Wracali do domu w ciszy. Jedynym dźwiękiem był plusk strumienia obok ścieżki. Wreszcie ujrzeli biały zarys dworu. W świetle gwiazd latały ćmy, a drzewa były nieme i czarne.

Drzwi frontowe zaskrzypiały, gdy je zamykali. Weszli po schodach z minami spiskowców. Kiedy dotarli do sypialni, roześmieli się bezgłośnie na myśl, że mogliby obudzić Juda i Prudie.

Demelza zapaliła świece i zamknęła okna, by do pokoju nie wleciały ćmy, zdjęła ciężką opończę i rozpuściła włosy. O tak, dziś wieczorem wyglądała pięknie. Objął ją, jego roześmiana twarz ciągle wyglądała chłopięco. Ona również się roześmiała, jej białe zęby zaśniły w świetle świec.

Przestał się uśmiechać i pocałował ją.

– Ross... – szepnęła. – Najdroższy...

– Kocham cię i jestem twoim sługą – powiedział. – Popatrz na mnie, Demelzo. Jeśli w przeszłości zrobiłem coś złego, pozwól mi to naprawić.

Zrozumiał, że zaspokojenie apetytu, którym gardził, nie jest wcale godne pogardy. Przyjemna, lecz

banalna przygoda miłosna przywiodła go do tajemniczych głębin, których wcześniej nie znał, do rozumienia piękna.

We wrześniu zmarł Charles, co wszystkich przygnębiło. Przez całe lato uskarżał się na bóle w piersi i doktor kilkakrotnie tracił nadzieję. Aż któregoś dnia, gdy Choake oznajmił, że stan chorego wreszcie się poprawia, starzec nagle zmarł, nim lekarz przybył po raz drugi.

Ross pojechał na pogrzeb, ale Elizabeth i Verity nie pojawiły się z powodu choroby. W uroczystości wzięło udział wielu dzierżawców, górników i miejscowych ziemian, ponieważ Charles był jedną z najbardziej szanowanych, powszechnie lubianych osobistości okręgu, zwłaszcza jeśli ktoś go nie znał.

Nabożeństwo prowadził kuzyn William-Alfred. Pograżony w żałobie jako krewny rodu Poldarków wygłosił kazanie, które powszechnie uznano za znakomite. Temat brzmiał: „Człowiek Boży”. Co oznacza ten zwrot? – spytał William-Alfred. Należy pielęgnować w sobie cnoty, które głosił Jezus Chrystus: prawdę, uczciwość, czyste serce, pokorę, łaskę i miłość. Ilu z nas ma takie cechy? Czy potrafimy wejrzeć w głąb swoich serc i zrozumieć, co czyni nas ludem Bożym? W takiej chwili, pograżeni w żałobie z powodu śmierci wielkiego, wspaniałego człowieka, powinniśmy na nowo podjąć postanowienie, by dążyć do doskonałości. Śmierć naszego drogiego przyjaciela Charlesa Poldarka to odejście człowieka Bożego. Zmarły był człowiekiem prawym; nigdy nie powiedział o nikim złego słowa. Zawsze postępował szlachetnie i uczciwie, jak prawdziwy dżentelmen. Nie znał zła i nie szukał go w innych. Stał się mądrym przywódcą potrafiącym dawać przykład innym.

William-Alfred przemawiał w tym duchu przez pięć minut, gdy wtem Ross usłyszał pociągnięcie nosem w ławce obok i zauważył, że pani Henshawe wyjmuje chusteczkę. Nadsztygar Henshawe mrugał błękitnymi oczyma, a kilka innych osób cicho płakało. Tak, było to piękne, wzruszające kazanie, które wywoływało wyobrażenie wielkości i spokoju. Ale czy dotyczyło przyzwoitego, porywczego starca znanego Rossowi? A może William-Alfred opowiadał o jakimś dawnym świętym? Czy obu tych ludzi chowano pod tym samym nazwiskiem? A może jeden ukazał się ludziom takim jak Ross, drugiego zaś znały jedynie osoby obdarzone nadnaturalną przenikliwością, jak William-Alfred? Ross usiłował sobie przypomnieć Charlesa z okresu przed zawałem – uwielbiał walki kogutów, cenił zacny gin, lubił dobrze zjeść, nieustannie puszczał wiatry, czasem bywał wspaniałomyślny, czasem podły, miał swoje wady i zalety, jak większość ludzi. Gdzieś musiał istnieć jakiś błąd. Cóż, to wyjątkowy dzień... Ale sam Charles na pewno byłby rozbawiony. Może wraz z resztą żałobników uroniłby łzę z powodu śmierci wspaniałego człowieka?

William-Alfred zmierzał do końca.

– Drodzy przyjaciele, będzie nam brakowało szlachetności zmarłego. Ale w domu Naszego Pana jest wiele pałaców i wszyscy wierni znajdą tam mieszkanie. Równość istot ludzkich, równość szans to nie rzeczy tego świata. Błogosławieni pokorni i cisi, albowiem ich oczy ujrzą Pana. Zważy On nasze uczynki w Swojej niezmierzonej mądrości. Błogosławieni ubodzy, albowiem wejdą do Królestwa Niebieskiego dzięki swojemu ubóstwu. Błogosławieni bogaci, albowiem wejdą do Królestwa Niebieskiego dzięki dobrym uczynom. W życiu przyszłym zbiorą się ludzie różnych stanów, otrzymując to, czego łakną ich dusze, nagrodzeni według swoich cnót, zjednoczeni najwyższym przywilejem głoszenia chwały Boga. Amen.

Rozległy się dźwięki strojenia wioł, gdy trzech muzyków usadowieni koło schodków prowadzących do prezbiterium zaczęli się przygotowywać do występu. Syn pana Treneglosa obudził ojca wśród

pokaślywania chórzystów.

Ross przyjął zaproszenie do Trenwith w nadziei, że zobaczy Verity, ale ani kuzynka, ani Elizabeth nie zeszły do gości. Został niedługo, wypił dwa kieliszki wina z Wysp Kanaryjskich, następnie pożegnał się z Francisem, usprawiedliwiając się pilnymi obowiązkami, i wrócił pieszo do domu.

Żałował, że nie wrócił od razu do Nampary. Niektórzy uczestnicy pogrzebu odnosili się do niego z wyraźną rezerwą. Chociaż przewidywał to w chwili zawierania małżeństwa, mimo wszystko był nieprzygotowany. Mógłby śmiać się z siebie i żałobników.

Ruth Treneglos z domu Teague, pani Teague, pani Chynoweth, Polly Choake. Gęgające gęsi dzielące ludzi według prymitywnych kryteriów społecznych, wyznające głupkowaty kodeks etyczny! Nawet William-Alfred i jego żona wydawali się trochę zażenowani. Niewątpliwie uznali, że jego małżeństwo to przyznanie się do winy, potwierdzenie dawnych plotek o skandalu. William-Alfred, człowiek o dobrych intencjach, bardzo poważnie traktował swoje obowiązki rodzinne. Joshua trafnie nazwał go sumieniem rodu Poldarków. Na pewno chciały, by Ross poprosił go o radę.

Stary pan Warleggan odnosił się do Rossa z ostentacyjną rezerwą, lecz było to bardziej zrozumiałe. Ciągłe pamiętał o epizodzie na sali sądowej. A także o decyzji Rossa, by nie powierzać bankowi Warlegganów interesów kopalni. George Warleggan zanadto się pilnował, by okazywać swoje uczucia.

Cóż, ich dezaprobata nie miała najmniejszego znaczenia. Niechaj się kiszą we własnym sosie. Kiedy Ross dotarł do Nampary, opuściła go irytacja, bo przypomniał sobie, że znowu zobaczy Demelzę...

2

W rzeczywistości spotkało go rozczarowanie, bo gdy dotarł do domu, okazało się, że Demelza poszła do Mellin. Zabrała trochę jedzenia dla Jinny i koszulkę uszytą dla jej tygodniowego dziecka. Benjaminowi Rossowi boleśnie wyrzynały się ząbki i w zeszłym miesiącu miał drgawki. Ross niedawno widział swojego dwuipółletniego imiennika i uderzył go niezwykły zbieg okoliczności: nóż Reubena pozostawił na twarzy dziecka bliznę dość podobną do szramy na policzku Rossa. Zastanawiał się, czy będzie to przedmiotem komentarzy, gdy chłopiec dorośnie.

Postanowił iść do Mellin w nadziei, że spotka Demelzę w drodze powrotnej.

Natknął się na żonę około dwustu metrów od przysiółka. Jak zwykle odczuł szczególną przyjemność, gdy zobaczył, że rozpromienia się na jego widok. Popędziła w podskokach w jego stronę.

– Ross, jak to miło! Nie spodziewałam się, że tak szybko wrócisz!

– Stypa nie była zbyt ciekawa – rzekł, biorąc ją pod rękę. – Jestem pewien, że Charles by się nudził.

– Tss! – Pokręciła z dezaprobata głową. – Żarty z pogrzebów przynoszą nieszczęście. Kto przyszedł? Powiedz mi, kto tam był.

Opowiedział o ceremonii, udając zniecierpliwienie, choć ciekawość Demelzy sprawiała mu przyjemność.

– To wszystko. Panował posępny nastrój. Brakowało mojej żony, by go ożywić.

– Elizabeth nie przyszła? – spytała Demelza.

– Nie. Ani Verity. Obie źle się czują. Chyba z powodu żałoby. Rodzinę reprezentował Francis. A twoi podopieczni?

– Moi podopieczni?

– Jinny i niemowlę.

– Och, nic im nie jest. Ładna mała dziewczynka. Jinny jest zdrowa, ale przygnębiona. Chodzi smutna i tęskni za Jimem.

– A mały Benjy Ross i jego ząbki? Co mu dolega? Wyrastają mu z uszu?

– Czuje się znacznie lepiej, najdroższy. Wzięłam trochę olejku walerianowego i kazałam Jinny...

kazałam Jinny... jak to się mówi?

– Rozpuścić?

– Nie...

– Zaaplikować?

– Tak. Zaaplikować w odpowiednich dawkach. Tyle a tyle kropel, tyle a tyle razy dziennie. Jinny patrzyła na mnie swoimi błękitnymi oczami i mówiła: „Tak, proszę pani” i „Nie, proszę pani”, jakbym była prawdziwą damą.

– Jesteś damą – odparł Ross.

Ścisnęła jego rękę.

– Ale stale o tym zapominam. Twoja miłość uczyniłaby damą każdą kobietę.

– Nonsens – odparł Ross. – Zawdzięczasz to sobie. Były w tym miesiącu jakieś wiadomości o Jimie?

– Nie, nie w tym miesiącu. Podobno w zeszłym.

– Że jest zdrowy, tak. Szczerze mówiąc, nie bardzo w to wierzę, ale przynajmniej daje im to jakąś pociechę.

– Myślisz, że mógłbyś kogoś poprosić, by go odwiedził?

– Już to zrobiłem. Ale nie ma jeszcze wiadomości. Więzienie Bodmin jest najlepsze, to prawda, choć to marna pociecha.

– Ross, zastanawiam się...

– Nad czym?

– Mówiłeś, że powinnam mieć kogoś do pomocy w domu, żeby tak się nie męczyć. Zastanawiam się, czy nie poprosić Jinny Carter.

– Co takiego? Z trojgiem małych dzieci, które kręciłyby się po domu?

– Nie, nie. Benjym i Mary zajmie się żona Zacky’ego; mogą się bawić z jej własnymi dziećmi. Jinny przynosiłaby do nas najmniejszą dziewczynkę, która leżałaby cały dzień w skrzyni. Nie sprawiałaby kłopotów.

– Co na to Jinny?

– Jeszcze jej nie pytałam. Najpierw chciałam wiedzieć, co o tym myślisz.

– Załatwcie to między sobą, kochanie. Nie mam nic przeciwko temu.

Dotarli na szczyt wzgórza koło Wheal Grace i Demelza odeszła na bok, by zerwać trochę jeżyn. Zjadła dwie i poczęstowała Rossa, trzymając w rękach garść owoców. Wziął z roztargnieniem jeden.

– Ja też o czymś myślę. Mają w tym roku dobry smak. Ja też o czymś myślę. Teraz, po śmierci Charlesa, Verity bardzo potrzebuje odpoczynku. Byłoby mi bardzo miło, gdyby spędziła tu tydzień lub dwa i nabrała sił po chorobie.

Zeszli ze wzgórza. Ross czekał na odpowiedź Demelzy, ale milczała. Zerknął na nią. Z jej twarzy zniknęła wesołość; pobladła lekko.

– Co ty na to?

– Nie zechce przyjechać...

– Dlaczego tak mówisz?

– Cała twoja rodzina mnie nienawidzi.

– To nieprawda. Po prostu cię nie znają. Mogą cię nie aprobować, ale Verity jest inna.

– Jak to możliwe, skoro jest jednym z członków rodziny?

– Taką ma naturę. Nie znasz jej.

Przez resztę drogi do domu milczeli. Rozstali się przy drzwiach, ale Ross zdawał sobie sprawę, że

dyskusja nie została zakończona. Znał już Demelzę na tyle dobrze, by wiedzieć, że lubi jasne rozwiązania. I rzeczywiście, kiedy wyruszał do kopalni, pobiegła za nim.

– Ross...

Zatrzymał się.

– Tak?

– Twoja rodzina uważa, że postąpiłeś jak szaleniec, biorąc ze mną ślub. Nie psuj tego pierwszego lata, zapraszając tu jedną ze swoich krewnych. Powiedziałeś mi niedawno, że jestem damą. To nieprawda. Jeszcze nie jestem. Nie potrafię ładnie mówić, nie potrafię ładnie jeść, jestem zawsze umazana ziemią i klnę, jak się zdenerwuję. Może nabiorę ogłady, jeśli będziesz mnie uczył. Bardzo się staram. Może za rok...

– Verity jest inna – powtórzył Ross. – Nie zwraca uwagi na pozory. Jesteśmy do siebie bardzo podobni.

– O tak, ale to kobieta – odparła Demelza, prawie płacząc. – Uważasz, że jestem miła, bo jesteś mężczyzną. O nic jej nie podejrzewam. Ale zauważy wszystkie moje wady, opowie ci o nich i już nigdy nie będziesz mnie traktował tak samo.

– Przejdź się ze mną – rzekł cicho Ross.

Popatrzyła mu w oczy, próbując odczytać ich wyraz. Po chwili ruszyła obok niego. Poszli przez pole. Ross zatrzymał się przy furtce i oparł się o nią.

– Nim cię znalazłem, przeżywałem trudny okres po powrocie z Ameryki – odezwał się. – Wiesz dlaczego: chciałem poślubić Elizabeth, a gdy przyjechałem, okazało się, że ma inne plany. Tamtej zimy Verity uratowała mnie przed... Cóż, byłem głupcem, że brałem to sobie tak do serca. Nie warto robić takich rzeczy, ale wtedy nie potrafiłem z tym walczyć i Verity bardzo mi pomogła. Tamtej zimy przychodziła trzy albo cztery razy w tygodniu. Nigdy tego nie zapomnę. Dała mi coś, co pozwoliło mi przetrwać; trudno się za to odwdziżyć. Przez ostatnie trzy lata bardzo ją zaniedbywałem, może gdy najbardziej mnie potrzebowała, i czuję z tego powodu wstyd. Wolą siedzieć w Trenwith, nie pokazywała się publicznie. Nie potrzebowałem jej już tak bardzo, Charles chorował i uważała opiekę nad nim za swój podstawowy obowiązek. Ale to nie może tak trwać, gdy Charles nie żyje. Francis mówi, że Verity jest naprawdę chora. Musi na jakiś czas opuścić dom. Wszystko, co mogę zrobić, to zaprosić ją do Nampary.

Demelza z ponurą miną poruszyła stopą, aż zaszeleściły suche kłosa ściętego jęczmienia.

– Dlaczego potrzebuje właśnie ciebie? Skoro jest chora, przydałby jej się medyk, to wszystko. Będzie miała lepszą opiekę w Trenwith.

– Pamiętasz, że kiedy się pojawiłaś w Namparze, czasem przyjeżdżał do nas pewien mężczyzna, kapitan Blamey.

Popatrzyła na niego pociemniałymi oczami.

– Nie, nie pamiętam.

– Verity i Blamey byli zakochani, ale Charles i Francis odkryli, że kapitan był wcześniej żonaty. Istniały bardzo poważne powody, by Verity nie wychodziła za niego za męża. Zabroniono jej się widywać z Blameyem, więc spotykali się w tajemnicy w Namparze. Pewnego dnia zastali ich tutaj Charles i Francis. Doszło do gwałtownej kłótni, po czym kapitan Blamey wrócił do domu w Falmouth i Verity nigdy więcej go nie widziała.

– Och... – westchnęła smutno Demelza.

– Źródłem jej choroby jest dusza. Ciało również niedomaga, ale czy mogę nie odwzajemnić pomocy, której Verity mi udzieliła? W nowym otoczeniu może zapomnieć o czarnych myślach i zacząć dochodzić do siebie. Mogłabyś jej bardzo pomóc, gdybyś spróbowała.

– Ja?!

– Tak, ty. Prawie nic jej nie interesuje, a ty jesteś pełna życia. Kipisz energią, ona jest apatyczna.

Musimy jej pomóc, moja droga. Chciałbym, żebyś się postarała i nie kręciła nosem.

Położyła rękę na dłoni Rossa opartej o furtkę.

– Czasami bywam zła, mała i podła – odrzekła. – Ale oczywiście to zrobię, Ross. Zrobię wszystko, co każesz.

Rozdział czwarty

1

Demelza co noc się modliła, by Verity nie przyjechała.

Kiedy nadeszła odpowiedź i okazało się, że kuzynka Rossa przyjęła zaproszenie i że przybędzie do Nampary w następną sobotę, bo spodziewa się wkrótce odzyskać siły, Demelza poczuła, że serce podchodzi jej do gardła ze strachu. Usiłowała ukryć panikę przed Rossem i udawała, że przyjmuje jego rozbawione zapewnienia. Przez resztę tygodnia zagłuszała lęk, z pasją zajmując się letnimi porządkami, i codziennie rano Prudie załamywała ręce na jej widok.

Żadna ilość pracy nie mogła powstrzymać nadejścia soboty i przyjazdu Verity. Demelza miała tylko nadzieję, że ciotka Agatha dostanie jakiegoś ataku albo ona sama w porę zachoruje na odrę.

Verity przybyła tuż po południu w towarzystwie Bartle'a, który dźwigał na plecach dwie związane paskiem walizy.

Ross, który nie widział kuzynki od kilku miesięcy, był wstrząśnięty jej wyglądem. Miała zapadnięte policzki i z jej twarzy zniknęła zdrowa opalenizna. Wyglądała na czterdzieści lat, a nie na dwadzieścia dziewięć. Z oczu zniknął błysk energii i żywej inteligencji. Tylko głos i niesforne włosy były takie same.

Rankiem pod Demelzą ugięły się kolana. Teraz miała zeszytywniałe nogi i nie mogła wykrzusić słowa. Stała przy drzwiach w prostej różowej sukience, starając się nie wyglądać sztywno, a tymczasem Ross pomógł kuzynce zsiść z konia i cmoknął ją w policzek.

– Jakże się cieszę, że cię znowu widzę, Ross! To bardzo miło, że mnie zaprosiłeś. Świetnie wyglądasz! Małżeństwo ci służy. – Verity odwróciła się i uśmiechnęła do Demelzy. – Bardzo żałuję, że nie mogłam przyjechać na wasz ślub, moja droga. Było to dla mnie ogromne rozczarowanie.

Demelza pozwoliła się pocałować w chłodny policzek i odstąpiła na bok, a Verity i Ross weszli do domu. Po chwili podążyła za nimi do salonu. To pomieszczenie nie należy już do mnie, pomyślała. Ani do mnie, ani do Rossa: ktoś nam je zabrał. W samym środku jasnego lata.

Verity zdjęła opończę. Demelza z zainteresowaniem spostrzegła, że kuzynka Rossa nosi bardzo skromny strój. Nie była piękna jak Elizabeth; była starsza i bezbarwna. Usta miała podobne do Rossa. Czasem mówiła podobnym tonem.

– ...pod koniec ojciec nie miał nic przeciwko temu – dokończyła Verity. – Był bardzo zmęczony. – Westchnęła. – Gdyby nie odszedł tak nagle, posłalibyśmy po ciebie. Ach, cóż, to już za nami, teraz myślę tylko o odpoczynku. – Uśmiechnęła się lekko. – Obawiam się, że nie będę wesołym gościem, ale przede wszystkim nie chcę sprawiać wam kłopotów. Zachowujcie się jak co dzień, a ja się dostosuję. Bardzo mi na tym zależy.

Demelza szukała w myślach zdań, które przygotowała sobie dziś rano. Wykręciła palce i spytała:

– Masz ochotę czegoś się napić po przejażdżce na koniu?

– Doktor kazał mi rano pić mleko, a wieczorem porter, choć nie znoszę ani mleka, ani piwa! Piłam mleko przed odjazdem, więc teraz nie będę nic piła, dziękuję.

– Choroba nie pasuje do ciebie – powiedział Ross. – Czy dolega ci coś oprócz zmęczenia? Co mówi Choake?

– Najpierw przez miesiąc stale puszcza mi krew, a potem oznajmia, że cierpię na anemię. Daje mi mikstury, które sprawiają, że mam mdłości i wymiotuję. Moim zdaniem stare baby na jarmarku znają się lepiej na leczeniu.

– Znałam kiedyś jedną starą babę... – zaczęła nagle Demelza, po czym urwała. Oboje czekali, by dokończyła. – Nieważne – rzekła w końcu. – Pójdę zobaczyć, czy twój pokój jest gotowy.

Zastanawiała się, czy oni również czują, jak nieprzekonująco brzmi ta wymówka. Ale nie mieli nic przeciwko temu, toteż z ulgą wyszła i udała się do dawnej sypialni Joshui, którą miała zająć Verity. Odsunęła zasłonę, odwróciła się i popatrzyła na dwie walizy, jakby chciała odgadnąć, co się w nich znajduje. Zastanawiała się, jak przeżyje następny tydzień.

2

Przez cały wieczór i następny dzień wszyscy odczuwali skrępowanie, które przywodziło na myśl jesienną mgłę przysłaniającą znajome punkty krajobrazu. Winowajcą była Demelza, lecz nie potrafiła nic na to poradzić. Czuła się jak piąte koło u wozu, bo miała wrażenie, że jej obecność psuje swobodną atmosferę towarzyszącą spotkaniu kuzynostwa. Ross spędzał z Verity mnóstwo czasu, bo mieli sobie wiele do powiedzenia. Kiedy Demelza wchodziła do salonu, zawsze przerywali rozmowę. Nie mieli przed nią sekretów, ale temat jej nie dotyczył i gdyby chcieli dalej mówić, musieliby ją ignorować.

W czasie posiłków trudno było znaleźć temat konwersacji, który interesowałby Demelzę. Bardzo wiele spraw w ogóle jej nie ciekawiło: życie Elizabeth i Francisa, wychowanie Geoffreya Charlesa, wieści o wspólnych przyjaciółach, o których nigdy nie słyszała. Ruth Treneglos rozkwitła jako pani dworu w Mongoose. Pani Chynoweth, matka Elizabeth, miała kłopoty z oczami i medycy doradzali operację. Przedostatni syn kuzyna Williama-Alfreda zmarł na odrę. Ludzie szaleli na punkcie najnowszej powieści Henry’ego Fieldinga. O wszystkich tych rzeczach można było miło gawędzić z Rossem, lecz Demelza nie miała o nich pojęcia.

Verity, wrażliwa na reakcje otoczenia, już na trzeci dzień pod jakimś pretekstem opuściłaby Namparę, gdyby nabrała przekonania, że sztywność Demelzy bierze się z niechęci lub zazdrości. Ale uważała, że przyczyna tkwi w czymś innym, i nie mogła znieść myśli, że wyjedzie i nigdy nie wróci. Było jej przykro, że staje między Rossem i jego młodą żoną, a jednocześnie zdawała sobie sprawę, że gdyby w tej chwili odjechała, na zawsze będzie się kojarzyć z tą wizytą i już nigdy o niej nie wspomną. Żałowała, że przyjęła zaproszenie.

Dlatego została i miała nadzieję, że atmosfera się poprawi, choć nie wiedziała, jak do tego doprowadzić.

Na początku wylegiwała się rano w łóżku i wstawała dopiero, gdy miała pewność, że Ross wyszedł z domu, po czym niby przypadkiem przychodziła do Demelzy i nawiązywała z nią rozmowę lub pomagała jej w pracy. Jeśli mają znaleźć wspólny język, powinny to zrobić same pod nieobecność Rossa. Verity liczyła, że zaprzyjaźnią się bez słów. Ale po dwóch dniach zauważyła, że jej swoboda jest zbyt wymuszona.

Demelza usiłowała być miłą, lecz poczucie niższości sprawiło, że zachowywała się, jakby otaczał ją mur obronny. Próba jego zburzenia mogła się wydać protekcyjnością.

W czwartek rano Demelza wyszła z domu o świcie. Verity zjadła śniadanie w łóżku i wstała o jedenastej. Dzień był ładny, ale pochmurny. W kominku w salonie płonął niewielki ogień, obok którego jak zwykle wylegiwała się Tabitha Bethia. Verity usiadła na ławie, zadrzała i poruszyła polana, by płomienie strzeliły wyżej. Czuła się stara i zmęczona, a w lustrze w swoim pokoju widziała, że jej skóra nabrała lekkiego żółtawego odcienia. Tak naprawdę w tej chwili zupełnie jej nie obchodziło, czy wygląda staro... ale była taka apatyczna, wszystko ją bolało, wykonywała połowę mniej pracy niż przed rokiem. Wsunęła się głębiej w kąt ławy. Najbardziej lubiła po prostu siedzieć beczynnym z głową opartą

o aksamitną kapę, czuć stopami ciepło ognia, nie mieć nic do roboty i nie musieć o nikim myśleć...

Spała przez całą noc i obudziła się za ledwie przed trzema godzinami, lecz znów zapadła w drzemkę. Wyciągnęła jedną z nóg w stronę kominka, oparła rękę na drewnianej poręczu ławy, a Tabitha Bethia zwinęła się w kłębek u jej stóp i mruzczała cichutko.

Do salonu weszła Demelza z naręczem gałązek buczyny i dzikich róż z owocami.

Verity się wyprostowała.

– Ach, przepraszam – rzekła Demelza, gotowa się wycofać.

– Wejdz – odpowiedziała oszołomiona Verity. – Nie powinnam spać o tej porze. Porozmawiaj ze mną i pomóż mi się obudzić.

Demelza uśmiechnęła się z rezerwą i położyła naręcze kwiatów na fotelu.

– Czujesz przeciąg? Powinnaś była zamknąć okno.

– Nie, nie, proszę. Morskie powietrze nie jest szkodliwe. Niech tak zostanie.

Demelza zamknęła okno i przeciągnęła ręką po zmierzwionych włosach.

– Ross nigdy by mi nie wybaczył, gdybyś się zaziębiła. Te malwy są martwe, już przekwitły. Pochowam je. – Wzięła dzbanek i wyniosła kwiaty z pokoju, po czym wróciła z dzbankiem pełnym świeżej wody. Zaczęła wkładać do niego bukowe gałązki. Verity patrzyła na nią.

– Zawsze lubiłaś kwiaty, prawda? Pamiętam, że Ross kiedyś mi o tym mówił.

Demelza uniosła wzrok.

– Kiedy ci o tym mówił?

Verity się uśmiechnęła.

– Kilka lat temu. Wkrótce po twoim przybyciu do Nampary. Podziwiałam kwiaty w jego salonie i powiedział, że codziennie przynosisz świeże.

Demelza lekko się zarumieniła.

– Jednak trzeba być ostrożnym z kwiatami – rzekła spokojnym tonem. – Nie wszystkie nadają się do domu. Niektóre ładnie wyglądają, ale strasznie śmierdzą, gdy się je zerwie. – Włożyła do dzbanka kilka gałązek dzikiej róży. Liście buka leciutko pożółkły i pasowały do żółto-pomarańczowo-czerwonych kwiatów. – Zebrałam je dziś na cudzej ziemi. W majątku Bodruganów. – Cofnęła się, by obejrzeć efekty swojej pracy. – Czasami kwiaty się nie lubią i nie mogą stać w tym samym dzbanku, choćby ktoś próbował je do tego zmusić.

Verity poruszyła się na ławie. Musiała podjąć ryzyko frontalnego ataku.

– Chciałabym ci podziękować, moja droga, za to, co zrobiłaś dla Rossa.

Demelza zeszywniała. Przywodziła na myśl napięty drut.

– On zrobił dla mnie dużo więcej.

– Tak, może masz rację – przyznała Verity, w której głosie pojawił się ślad dawnej siły. – Wiem, że... Przywiózł cię... Słyszałam o tym wszystkim. Ale... ale sprawiłaś, że się w tobie zakochał, co zmieniło całe jego życie.

Popatrzyły na siebie. W oczach Demelzy malowały się niepokój i wrogość, lecz również zdziwienie. Przyszło jej do głowy, że w słowach Verity kryje się niechęć, lecz nie wiedziała, o co chodzi.

– Nie wiem, co masz na myśli.

Verity i Demelza musiały rozstrzygnąć najważniejszy punkt sporny.

– Powinnaś wiedzieć, że kiedy Ross wrócił do kraju, kochał się w Elizabeth, mojej szwagierce.

– Wiem o tym. Nie musisz mi tego mówić. Wiem to tak dobrze jak ty. – Demelza odwróciła się, zamierzając opuścić pokój.

Verity wstała. Musiała stać, by to powiedzieć.

– Może źle się wyraziłam... Chcę, żebyś rozumiała... Kiedy wrócił... kiedy wrócił i dowiedział się,

że Elizabeth jest zaręczona z moim bratem, obawiałam się, że... że nie stawi czoła tej sytuacji jak zwyczajny człowiek. Wielu członków naszej rodziny zachowuje się dziwnie. Nie potrafimy iść na kompromis. Jeśli komuś odebrano kawałek serca, reszta nic nie znaczy. Reszta nic nie znaczy... – Odzyskała głos i po chwili mówiła dalej: – Bałam się, że zmarnuje życie, nigdy nie znajdzie prawdziwego szczęścia... Zawsze byliśmy dla siebie kimś więcej niż kuzynostwem. Bardzo go lubię...

Demelza wpatrywała się w Verity.

– Kiedy się dowiedziałam, że cię poślubił, pomyślałam, że próbuje zastąpić kimś Elizabeth. Ale nawet to byłoby lepsze od zmarnowanego życia. Cieszyłam się, że ktoś go pocieszy, urodzi mu dzieci i zestarzeje się razem z nim. Reszta nie miała tak naprawdę większego znaczenia.

Znowu umilkła. Demelza zamierzała coś powiedzieć, lecz się rozmyśliła. Między dwiema kobietami leżała na podłodze zwiędła malwa.

– Ale kiedy tu przyjechałam, przekonałam się, że wasz związek jest prawdziwy – ciągnęła Verity. – Właśnie za to chcę ci podziękować. Szczęściara z ciebie. Nie wiem, jak tego dokonałaś. Ross też jest szczęściarzem. Stracił najważniejszą rzecz w życiu i odnalazł ją w innej osobie. Tylko to się liczy. Najważniejsze to mieć kogoś, kto nas kocha, i samemu kochać. Ludzie, którzy tego nie przeżyli, nie mogą w to uwierzyć, ale to prawda. Jest się wtedy bezpiecznym przed światem...

Verity zawahała się i odchrząknęła.

– Nie chciałam sprawiać ci przykrości – dodała. – Ani traktować cię protekcyjnie. Kiedy przyjechałam, zobaczyłam, że Ross bardzo się zmienił; to twoje dzieło. Myślisz, że obchodzi mnie twoje pochodzenie, wychowanie albo umiejętność dygania? Ani trochę.

Demelza wpatrywała się w kwiaty.

– Po wielokroć chciałam się nauczyć dygać – odpowiedziała cicho. – Bardzo. Nauczyłabyś mnie... Verity?

Verity usiadła, rozpaczliwie zmęczona przemową. Spojrzała na swoje pantofle bliska płaczu.

– Moja droga, sama nie robię tego dobrze – odparła.

– Przyniosę więcej kwiatów – odezwała się Demelza i wybiegła z salonu.

3

Ross spędził prawie cały dzień w kopalni i kiedy wrócił o piątej do dworu, okazało się, że Demelza pojechała z Prudie do Sawle kupić świece i trochę ryb na jutrzejszy obiad. Wróciła późno, bo oglądała następny połów sardynek, więc Ross i Verity zjedli wieczerę sami. Nie wspominali o Demelzie. Verity powiedziała, że Francis w ciągu tygodnia spędza trzy lub cztery wieczory w Truro, grając w wista lub faraona. Stanowczo za często nawet jak na zimę, a cóż dopiero lato.

– Myślę, że Poldarkowie to szczególnie ludzie – zauważyła. – Francis ma wszystko, o czym mógłby marzyć, a jednak stale uprawia hazard i popada w coraz większe długi. Skąd to się bierze, Ross, że tak trudno z nami żyć?

– Obrażasz nas, moja droga. Po prostu nie jesteśmy wszyscy szczęśliwi w tym samym czasie. Tak jest w każdej rodzinie.

– Francis się martwi, łatwo się irytuje – poskarżyła się. – Znacznie łatwiej niż ja. Nie potrafi planować i błyskawicznie wpada w złość. Tydzień temu kłócił się z ciotką Agathą przy stole jadalnym, a pani Tabb słuchała ich przekleństw z otwartymi ustami.

– Ciotka Agatha go zakrzyczała?

– Och, bezdyskusyjnie. Ale to bardzo zły przykład dla służby.

– A Elizabeth?

– Czasem potrafi go przekonać, czasem nie. Źle się między nimi układa. Może nie powinnam tego mówić, ale takie jest moje wrażenie.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Elizabeth kocha dziecko i lubi Francisa. A jednak... Mówi się, że dzieci cementują małżeństwo. Wydaje się, że po narodzinach Geoffreya Charlesa ich stosunki się pogorszyły.

– Będą następne dzieci? – spytał Ross.

– Na razie nie. Elizabeth chorowała kilka miesięcy.

Przez jakiś czas panowała cisza.

– Ross, oglądałam bibliotekę. Są w niej rzeczy, które mogą ci się przydać. Dlaczego nie wstawisz do salonu szpinetu swojej matki? Świetnie by wyglądał w tamtym rogu.

– Jest zepsuty i nikt nie umie na nim grać.

– Można by go naprawić. Prudie mówi, że Demelza często na nim brzdąka. Poza tym kiedyś możesz mieć dzieci.

Ross szybko uniósł wzrok.

– Tak. Zastanowię się.

Demelza wróciła o siódmej i opowiedziała o nowym połowie sardynek.

– Ławica dotarła do brzegu z przyływem, a ludzie weszli po kolana w wodę i wyciągali ryby wiadrami. Później morze wyrzucało sardynki na piasek. Tym razem połów jest trochę mniejszy niż poprzednio. Szkoda, że nie ma księżycy, bo moglibyśmy popłynąć i popatrzeć.

Ross pomyślał, że Demelza wydaje się mniej spięta, i był zadowolony, że poprawił jej się humor. W ciągu ostatnich kilku dni wydawała się bardzo skępowana i już dwukrotnie miał coś powiedzieć w obecności Verity, ale teraz cieszył się, że tego nie zrobił. Może Demelza i Verity po prostu przyzwyczajają się do siebie, a potem wszystko się ułoży?

Zamierzał o coś zapytać żonę, lecz przypomniał sobie o tym dopiero w łóżku, gdy spała. Postanowił zapytać ją innym razem i właśnie zapadał w drzemkę, gdy nagle Demelza poruszyła się i usiadła. Natychmiast się zorientował, że w ogóle nie spała.

– Ross, opowiedz mi o Verity, dobrze? – poprosiła. – O Verity i kapitanie... jak on się nazywał? Co się właściwie stało? Pokłócili się? Dlaczego? Czy powodem zerwania był ktoś inny?

– Już ci mówiłem – odparł Ross. – Francis i ojciec Verity nie aprobowali ich związku. Idź spać, dziecko.

– Nie, nie. Proszę, Ross. Chcę wiedzieć. Zastanawiałam się. Nigdy mi nie powiedziałaś, co się naprawdę stało.

Ross wyciągnął rękę i przytulił Demelzę.

– To bez znaczenia. Myślałam, że nie interesuje cię moja rodzina.

– Interesuje mnie ta historia. To inna sprawa. Powiedz mi.

Ross westchnął i ziewnął.

– Zaspokajanie twoich kaprysów o tej porze nie sprawia mi przyjemności. Zachowujesz się bardziej nielogicznie od większości kobiet. Zdarzyło się to tak, kochanie: Francis poznał w Truro kapitana Blameya i zaprosił go na wesele Elizabeth. Tam Blamey poznał Verity i zaczął się do niej zalecać...

Opowiadanie tej koszmarnej historii sprawiało Rossowi przykrość. Były to stare dzieje, które nie przynosiły nikomu zaszczytu. Relacjonowanie perypetii miłosnych Verity i Blameya przypominało o nieszczęściu, złości i poczuciu winy. O tym epizodzie nigdy później nie mówiono. Ów idiotyczny pojedynek, który odbył się wbrew cywilizowanym zasadom i przypominał pospolitą bójkę... Zaproszenie na przyjęcie u Ruth Teague... Wszystko było ze sobą związane; cały ten nieszczęśliwy splot wydarzeń

wynikał z nieporozumień. Dopiero małżeństwo z Demelzą pozwoliło Rossowi się wyzwolić i zacząć wszystko od nowa.

– ...i tak to się skończyło – powiedział. – Kapitan Blamey odjechał i nigdy więcej o nim nie słyszeliśmy.

Przez długi czas panowała cisza i Ross pomyślał, że Demelza zasnęła w czasie opowieści. W końcu jednak się poruszyła.

– Och, Ross, jak ci nie wstyd... – rzekła zatroskanym tonem.

– Słucham? – spytał ze zdziwieniem. – Co masz na myśli?

Wyswobodziła się z jego objęć i gwałtownie usiadła na łóżku.

– Ross, jak mogłeś?!

– Nie mam ochoty na zagadki – odpowiedział. – Majaczysz przez sen czy mówisz do rzeczy?

– Pozwoliłeś im się rozstać. Verity wróciła do Trenwith. To musiało złamać jej serce.

Rossa ogarnęła złość.

– Myślisz, że sprawiało mi to przyjemność?! Że mnie to ekscytowało?! Wiesz, jak lubię Verity. Było mi przykro, że jej romans legł w gruzach podobnie jak mój.

– Tak, ale powinieneś to powstrzymać. Powinieneś stanąć po jej stronie, a nie Francisa i Charlesa!

– Nie stanąłem po niczyjej stronie! Nie wiesz, o czym mówisz. Idź spać.

– I właśnie to oznaczało, że popierasz Francisa i Charlesa! Nie rozumiesz?! Powinieneś nie dopuścić do pojedynku i stanąć po stronie Verity, zamiast pozwolić zniszczyć wszystko. Jakbyś pomógł Verity, nie rozstaliby się i... i...

– Nie wątpię, że wydaje ci się to bardzo proste – odparł Ross. – Ale ponieważ nie znasz tych ludzi i nie było cię tam wtedy, możesz się mylić.

Demelza jeszcze nie potrafiła sobie radzić z sarkazmem Rossa. Odszukała po omacku jego dłoń i przyłożyła ją do swojego policzka.

– Nie dokuczaj mi, Ross. Chciałam wiedzieć, co się stało. Ty patrzysz na to jak mężczyzna, a ja jak kobieta. Na tym polega różnica. Rozumiem, co może czuć Verity, wiem, co czuje. Kochać i być kochaną, a potem zostać zupełnie sama...

Ross początkowo trzymał rękę nieruchomo, lecz po chwili zaczął głaskać Demelzę po twarzy.

– Czy nie powiedziałem, że jesteś najbardziej nielogiczną kobietą na świecie? To delikatne sformułowanie. Gdy zaproponowałem, by Verity tu przyjechała, o mało się nie rozplakałaś. A później przez pół tygodnia byłaś sztywna jak stary gąsior. Teraz o dziwnej porze stajesz po stronie Verity i strofujesz mnie z powodu moich rzekomych błędów. Idź spać, bo dostaniesz po uszach!

Demelza pocałowała Rossa w rękę.

– Nigdy mnie nie biłeś, gdy na to zasługiwałam, więc teraz też się nie boję, bo nie mam nic na sumieniu.

– Na tym właśnie polega różnica między kobietą a mężczyzną...

– Nawet dobry mężczyzna może być czasem okrutny, nie zdając sobie z tego sprawy – westchnęła Demelza.

– A kobieta nigdy nie wie, kiedy trzeba przestać gadać – odparował Ross i przyciągnął ją do siebie.

Leżała w milczeniu. Miała świadomość, że ostatnie słowo mogłoby należeć do niej, lecz go nie wypowiedziała.

Rozdział piąty

1

Tego wieczoru Verity zauważyła w swojej sypialni misę ze świeżo zerwanymi liśćmi leszczyny i zrozumiała, że jej nieśmiałe poranne wyznanie w końcu pozwoliło rozbić mur, którym otaczała się Demelza. Ale wysuwając to przypuszczenie, nie doceniła żony Rossa. Demelzie mogło brakować wyrafinowania, lecz śmiało podejmowała decyzje. Miała również odwagę, by przyznać się do błędu.

Verity okazała się nagle bardzo pożądaną towarzyszką. Nie rozmawiały więcej na temat Rossa, lecz w ciągu jednego dnia skrupowanie zmieniło się w przyjaźń. Ross, nie znając przyczyn, spoglądał na to ze zdziwieniem. W czasie posiłków, które poprzednio były największą torturą dnia, teraz rozmawiano z ożywieniem. Znikła konieczność wymyślania tematów konwersacji. Kiedy Verity lub Ross wspominali o kimś, kogo Demelza nie znała, natychmiast zasypywała ich pytaniami, a oni wszystko wyjaśniali. Gdy mówiono o jednym z mieszkańców okolicy, Demelza z własnej inicjatywy tłumaczyła Verity, o kogo chodzi. W Namparze od lat tak często się nie śmiano; czasem wydawało się, że przyczyną nie są anegdota, tylko ulga odczuwana przez całą trójkę. Śmiali się z łysiny Juda i jego przekrwionych oczu buldoga, z czerwonego nosa i papuci Prudie, z parchów Tabithy Bethii i jej niezgrabnych zabaw z Garrickiem. Śmiali się z siebie i do siebie, a czasem bez powodu.

Kiedy Rossa nie było w domu, Verity i Demelza rozmawiały o ulepszeniach, które można by wprowadzić we dworze, lub przetrząsały bibliotekę i nieużywane pokoje, szukając kawałków adamaszku lub aksamitu na pokrycia mebli. Początkowo Verity obawiała się wystawiać na próbę swoją nową przyjaźń z Demelzą, wysuwając własne sugestie, ale gdy odkryła, że są mile widziane, bardzo się zaangażowała. W drugim tygodniu pobytu Verity po powrocie do domu Ross zastał szpinet w tym samym rogu salonu, gdzie stał za życia matki. Dwie kobiety pochylały się nad wnętrzem instrumentu, próbując go naprawić. Verity uniosła wzrok, odgarnęła kosmyk włosów, który opadł jej na oko, i wyjaśniła zdyszczym głosem, że znalazły pod strunami gniazdo nowo narodzonych myszy.

– Nie miałyśmy serca ich zabić, więc włożyłam je do wiadra, a potem Demelza zaniósła je na ugór na drugim brzegu strumienia.

– Były jak te, które się znajduje przy oraniu pola – dodała Demelza, nieco bardziej rozczochrana od Verity. – Łyse, różowe, z cieniutkimi łapkami. Jeszcze za małe, by biegać.

– Tylko przyciągały robactwo – odparł Ross. – Kto wstawił tu szpinet?

– My – odpowiedziała Verity. – Dźwigała go Demelza.

– Oślice z was – zauważył Ross. – Dlaczego nie zawołałyście Juda albo Cobbledicka?

– Jud nie jest taki silny jak my, prawda, Verity? – odezwała się Demelza.

– Nie tak silny jak ty, Demelzo – stwierdziła Verity. – Twoja żona, Ross, jest bardzo uparta.

– Marnujesz czas, mówiąc mi rzeczy oczywiste – odpowiedział, lecz odszedł zadowolony. Verity wyglądała znacznie lepiej niż przed tygodniem. Demelza robiła w tej chwili to, czego od niej oczekiwał. Właśnie na to liczył.

2

Tej nocy Ross obudził się tuż przed świtem i zobaczył, że Demelza siedzi na łóżku. Był to jeden

z nielicznych tego pogodnego lata i jesieni mokrych dni, kiedy w szyby uderzały krople deszczu.

– O co chodzi? – spytał sennym głosem. – Coś się stało?

– Nie mogę zasnąć, to wszystko – odpowiedziała.

– Nie zaśniesz, siedząc. Coś cię boli?

– Mnie? Nie. Myślę.

– Niedobry zwyczaj. Wypij łyk brandy i zaraz się uspokoisz.

– Zastanawiam się, Ross. Gdzie jest teraz kapitan Blamey, Ross? Ciągłe mieszka w Falmouth?

– Skąd mam wiedzieć? Nie widziałem go od trzech lat. Dlaczego dręczysz mnie takimi pytaniami w środku nocy?

– Ross... – Szybko odwróciła się w półmroku w jego stronę. – Chciałabym, żebyś coś dla mnie zrobił. Chciałabym, żebyś pojechał do Falmouth i sprawdził, czy Blamey jeszcze tam mieszka i czy kocha Verity.

Uniósł głowę zdumiony.

– Znowu to wszystko rozgrzebać?! Właśnie teraz, gdy cała sprawa odchodzi w przeszłość? Wolałbym obudzić samego diabła!

– Verity nie zapomniała. Nie otrząsnęła się. Ciągłe ma ranę, która nie może się zagoić.

– Nie wtrącaj się do tego – ostrzegł poważnie. – To nie twoja sprawa.

– Moja. Polubiłam Verity.

– Więc okaż swoją sympatię, trzymając się z dala. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak wiele niepotrzebnego bólu to by wywołało.

– Nie, jakbym ich pogodziła, Ross.

– A co z przyczynami, które doprowadziły do zerwania? Znikły jak kamfora?

– Jedna tak.

– Co masz na myśli?

– Ojca Verity.

– Och, na Boga! – Ross położył głowę na poduszce i próbował się nie roześmiać z bezczelności Demelzy. – Nie miałem na myśli ludzi, którzy sprzeciwiali się ich małżeństwu. Nie przyszło ci to do głowy?

– Chodzi ci o to, że Blamey pije? Wiem, że to źle. Ale mówiłeś, że przestał.

– Na jakiś czas. Na pewno znowu zaczął. Nie winiłbym go za to.

– Więc dlaczego nie pojedziesz się z nim zobaczyć? Proszę, Ross. Zrób to dla mnie.

– Nie zrobię tego ani dla ciebie, ani dla nikogo! – odpowiedział z irytacją. – Verity na pewno by sobie tego nie życzyła. Najlepiej zakończyć tę sprawę. Jak bym się czuł, gdyby wzięli ślub dzięki moim intrygom, a potem Blamey zaczął traktować Verity jak swoją pierwszą żonę?

– Nie zrobiliby tego, gdyby ją kochał. A Verity wciąż go kocha. Nie przestałabym cię kochać, gdybyś kogoś zabił.

– Hm? Tak się składa, że zabiłem kilku ludzi. Żołnierzy takich jak ja. Ale nie kobietę w pijackim szale.

– Jakbyś mnie kochał, nie przejmowałabym się tym. Verity podejmie ryzyko, podobnie jak trzy lata temu, gdy rodzina zniszczyła jej romans. Nie mogę znieść myśli, że w głębi serca jest nieszczęśliwa, choć moglibyśmy jej pomóc. Nie musimy jej mówić, że spotkałeś się z Blameyem. Później zadecydujemy.

– Powtarzam ci jeszcze raz: nie chcę mieć z tym nic wspólnego – powiedział ze znużeniem. – Nie można się bawić cudzym życiem. Zanadto lubię Verity, by znów sprawiać jej ból.

Demelza westchnęła przeciągle i przez chwilę panowała cisza.

– Nie możesz lubić Verity, skoro boisz się nawet pojechać do Falmouth i porozmawiać.

Ross wpadł we wściekłość.

– Niech cię diabli porwą, głupia smarkulo! Mamy się sprzeczać aż do rana?! Nie przestaniesz wreszcie gadać?! – Chwycił ją za ramiona i pociągnął na poduszkę. Westchnęła i znieruchomiała.

Zapadła cisza. W ciemności widać było szyby, po których ściekały strużki wody. Po chwili Ross zaniepokojony milczeniem Demelzy obrócił się i spojrzał na jej twarz. Była blada, żona przygryzała dolną wargę.

– Co się stało? – spytał. – O co chodzi tym razem?

– Zdaje się, że mimo wszystko trochę mnie boli – odrzekła.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś, zamiast mleć ozorem?! Co cię boli?

– Brzuch. Sama nie wiem. Trochę dziwnie się czuję. Nie przejmuj się tym.

Wyszedł z łóżka i po omacku poszukał butelki brandy. Po chwili wrócił z kubkiem.

– Wypij to. Wypij duszkiem. Przynajmniej się rozgrzejesz.

– Nie jest mi zimno, Ross – odpowiedziała nienaturalnym głosem. Zadrżała. – Ach, to dla mnie za mocne. Przydałoby się trochę wody.

– Za dużo gadasz – rzekł. – Każdego by od tego rozboleł brzuch. Do licha, to na pewno od przesuwania tego szpinetu! – Narastał w nim niepokój. – Gdzie twój rozum, dziewczyno?!

– Wtedy nic nie czułam.

– Jeśli jeszcze raz go dotkniesz, poczujesz moją rękę. Gdzie cię boli? Pokaż.

– Nie, Ross. To nic, mówię ci. Nie tu, nie tu, wyżej. Zostaw. Połóżmy się i spróbujmy jeszcze pospać.

– Niedługo i tak pora wstawać – odpowiedział, lecz powoli oparł głowę na poduszce. Leżeli przez chwilę w milczeniu, patrząc na sypialnię wypełniającą się światłem. Demelza objęła Rossa.

– Lepiej? – spytał.

– Tak, lepiej. Brandy mnie rozgrzała. Może niedługo będę pijana i zacznę cię dręczyć.

– Nie byłoby to nic nowego. A może zjadłaś coś nieświeżego? Sami wędziliśmy boczek, a...

– Myślę, że to jednak szpinet. Ale już czuję się lepiej. I jestem senna...

– Nie na tyle senna, by nie posłuchać tego, co chcę powiedzieć. Nie spodziewam się, że będziesz unikać pracy, lecz kiedy następnym razem przyjdzie ci do głowy jakiś głupi pomysł, pamiętaj, że masz samolubnego męża, którego szczęście zależy od twojego zdrowia.

– Tak – odpowiedziała. – Będę o tym pamiętać, Ross.

– Łatwo obiecywać. Zapomnisz o tym. Słuchasz mnie?

– Tak, Ross.

– W takim razie coś ci obiecuję. Którejś nocy rozmawialiśmy o karach za nieposłuszeństwo. Ponieważ cię kocham i jestem samolubny, daję ci słowo, że porządnie złoję ci skórę, jeśli jeszcze raz zrobisz coś tak głupiego.

– Więcej nie zrobię nic głupiego, przyrzekam.

– Cóż, mimo to obiecuję, że gdyby tak się stało, złoję ci skórę. Zapamiętaj to sobie. – Pocałował ją.

Otworzyła oczy.

– Chcesz, żebym zasnęła?

– Naturalnie. I to już.

– Bardzo dobrze.

W sypialni zapadła cisza. W chropowate szyby dalej uderzały krople deszczu.

Kiedy po dwóch tygodniach wizyta Verity dobiegała końca, Ross i Demelza przekonali ją, by została jeszcze tydzień. Wydawało się, że zapomniała o obowiązkach ciąży na niej w Trenwith i pobyt w Namparze sprawia jej wielką przyjemność. Było oczywiste, że jej stan zdrowia się poprawił. Pani Tabb musiała sobie radzić sama przez kolejny tydzień. Niech diabli porwą Trenwith.

W ciągu tego tygodnia Ross wyjechał na dwa dni do Truro na pierwszą aukcję miedzi z Wheal Leisure. Miedź, którą miał sprzedać, podzielono na dwie partie i obie kupił agent odlewni South Wales Copper Smelting Company, płacąc pięćset dziesięć gwinei.

Następnego dnia Verity powiedziała do Rossa:

– Kiedy dostaniesz te pieniądze... Zupełnie się na tym nie znam, ale czy część przypadnie tobie? Będziesz miał trochę gotówki? Może dziesięć albo dwadzieścia gwinei?

Popatrzył na nią.

– Chcesz zagrać na loterii?

– Tą loterią jest twój dom – odpowiedziała. – Po powrocie dokonałeś cudów, wykorzystując rzeczy z biblioteki i stare tkaniny, ale oprócz tych zasłon nie widzę prawie żadnych nowych zakupów.

Rozejrzał się po salonie. Wszystko było podniszczone, choć zręcznie to zamaskowano.

– Nie myśl, że cię krytykuję – ciągnęła Verity. – Wiem, że miałeś mało pieniędzy. Zastanawiam się po prostu, czy możesz teraz coś wydać na wyposażenie dworu. Nie byłaby to zła inwestycja.

Odlewnia miedzi wykupi weksel pod koniec miesiąca, później odbędzie się zebranie udziałowców, którzy z pewnością podzielą się zyskami. Tak to się zwykle odbywało.

– Owszem – odpowiedział. – Co prawda, nie lubię wyszukanych ozdób, ale może pojechalibyśmy razem do miasta, dopóki ciągle jesteś w Namparze, i doradziłabyś nam, co kupić? Naturalnie, jeśli czujesz się na siłach wybrać się do Truro.

Verity wyjrzała przez okno.

– Przyszło mi do głowy, że ja i Demelza mogłybyśmy pojechać same. Nie odrywałbyś się od zajęć.

– Co takiego?! Do Truro bez eskorty?! – zawołał Ross. – Cały czas bym się niepokoił!

– Och, do miasta mógłby pojechać z nami Jud, gdybyś mógł się bez niego obejść przez jeden dzień. Zaczekałby i wrócił z nami do Nampary.

Zapadło milczenie. Ross podszedł do okna i stanął obok Verity. Deszcz padający przez kilka ostatnich dni odświeżył dolinę. Liście niektórych drzew lekko żółkły, ale wiązy w dalszym ciągu miały intensywnie zielony kolor.

– Trzeba też kupić trochę roślin do ogrodu – rzekł Ross. – Mimo wysiłków Demelzy nie wygląda najlepiej.

– Jesienią ogrody zawsze są zarośnięte chwastami – odparła Verity. – Ale powinieneś zamówić trochę róż rdzawych i wrotyczu. A ja dam ci sadzonki ruty. Bardzo ładnie rośnie.

Ross położył jej dłoń na ramieniu.

– Ile pieniędzy potrzebujesz na tę eskapadę?

Rozdział szósty

1

W pierwszą środę października Demelza i Verity pojechały wierzchem do Truro na zakupy. Towarzyszył im zaciekawiony, lecz niezadowolony Jud, który podążał nieco z tyłu – nie ze względu na etykietę, lecz dlatego, że gościniec był zbyt wąski, by mogły nim jechać obok siebie trzy konie.

Był rad z wolnego dnia, lecz uraziły go groźby Rossa, który obiecał, że złoży mu skórę, jeśli damy wrócą z zakupów w umówione miejsce i zastaną go kompletnie pijanego. Jud nie zamierzał popełniać tej zbrodni i uważał, że pan niepotrzebnie go straszy.

Była to czwarta wyprawa Demelzy do Truro.

W głębi duszy czuła podniecenie, ale gdy wyruszyły w drogę, starała się zachować spokój. Ponieważ miała tylko ubrania do pracy, Verity pożyczyła jej szary strój do jazdy konnej, który leżał na niej dość dobrze. Przede wszystkim pomógł Demelzie poczuć się damą i zachowywać się jak dama. W czasie jazdy starała się naśladować postawę Verity i trzymać się prosto w siodle.

Tego dnia w mieście odbywał się targ bydła i wąską ulicę zablokowało stado młodych byków. Demelza nie mogła okiełznać Czarnulki, która miała szczególną awersję do wołów. Jud był zbyt daleko, by pomóc, ale Verity wprowadziła swojego konia przed Demelzę. Ludzie się zatrzymywali i gapili na nich. W końcu Czarnulka się uspokoiła i udało im się przejechać.

– Niemądre zwierzę! – rzekła bez tchu Demelza. – Któregoś dnia zrzuci mnie na ziemię. – Przejechały przez most. – Ach, jakie mrowie ludzi. Jak na jarmarku. Którędy mamy jechać?

Zbliżał się dzień stemplowania cyny i na końcu głównej ulicy leżały wielkie stosy sztab metalu, czekając na dzień, gdy zostaną opatrzone rządowymi pieczęciami. Niektóre ważyły nawet trzy cetnary i nikt ich nie pilnował; lśniły metalicznie w słońcu. Przechodzili obok nich ludzie, w rynsztokach siedzieli żebracy, na rynku Middle Row trwał ożywiony handel, na ulicy stały grupki mężczyzn i kobiet, rozmawiając o codziennych sprawach.

– Gdzie są stajnie? – spytała Demelza. – Nie możemy zostawić koni na środku miasta.

– Na tyłach rynku – odpowiedziała Verity. – Jud je zaprowadzi. Spotkamy się tu z tobą o czwartej, Jud.

Ulewny deszcz padający w ciągu ostatnich kilku dni zmył z ulic kurz, były więc względnie czyste; w rynsztokach wesoło chlupotały strumyczki wody, które się łączyły, tworząc szerokie potoki. Verity zatrzymała się i kupiła tuzin słodkich pomarańczy za szylinga i sześć pensów, po czym skręciły w Kenwyn Street, gdzie znajdowały się lepsze sklepy. Tu również roiło się od ulicznych handlarzy i kupujących, chociaż tłum nie był tak gęsty jak w okolicach rynku.

Verity zauważyła kilku znajomych, ale ku uldze Demelzy nie zatrzymała się, by z nimi porozmawiać. Weszła do małego ciemnego sklepu wypełnionego aż po sufit zabytkowymi meblami, dywanami, obrazami olejnymi i wyrobami z mosiądzu. Z półmroku wybiegł niewysoki ospowaty mężczyzna w peruce i nisko się skłonił. Jedno oko miał zniekształcone wskutek wypadku lub choroby, co nadawało mu wyraz nieszczerości, jakby stale coś ukrywał. Demelza spoglądała na niego zafascynowana.

Verity zapytała o mały stolik i sprzedawca zaprowadził obie klientki do pomieszczenia na tyłach, wypełnionego nowymi i używanymi stolikami. Verity poprosiła Demelzę, by wybrała taki, który się jej podoba, i po dłuższej dyskusji dobito targu. Zakupiły też inne przedmioty. Właściciel sklepiku zbiegł na parter po wyjątkowo piękny indyjski parawan, który miał do zaoferowania.

– Ile pozwolił nam wydać? – spytała cicho Demelza, gdy zostały same.

- Czterdzieści gwinei. – Verity potrząsnęła sakiewką.
- Czterdzieści! Ho, ho! Jesteśmy bogate! Możemy... Nie zapomnij o dywanie!
- Dywan kupimy gdzie indziej. Jeśli dostaniemy kornwalijski, będziemy pewne, że jest dobrej jakości.
- Verity popatrzyła w jeden z ciemnych kątów pomieszczenia. – Nie mogę zrozumieć, jak odmierzacie czas w Namparze. Potrzebujecie zegara!
- Ach, obserwujemy słońce. To niezawodny sposób. A Ross ma zegarek swojego ojca, choć czasem zapomina go nakręcić.
- Nadbiegł właściciel sklepu.
- Ma pan tu dwa ładne zegary – powiedziała Verity. – Proszę zapalić jeszcze jedną świecę, żebyśmy mogły je obejrzeć. Ile kosztują?

2

Na ulicy dwie młode kobiety zmrużyły oczy, oślepienie jaskrawym słońcem. Trudno było się zorientować, która się lepiej bawi.

- Potrzebujesz również pościeli, zasłon do dwóch pokoi oraz trochę nowej porcelany i szkła – powiedziała Verity.
- Wybrałam tamten zegar, bo jest bardzo zabawny – odparła Demelza. – Tyka poważnie, tak samo jak ten drugi, ale podoba mi się jego bicie. Bim-bom! Bim-bom! Bim-bom! Jakby stary przyjaciel mówił rano dzień dobry. Gdzie sprzedają pościel, Verity?
- Verity spoglądała na nią przez chwilę w zamyśleniu.
- Wydaje mi się, że najpierw powinniśmy kupić ci suknię. Mamy stąd kilka kroków do mojej krawcowej.
- Demelza uniosła brwi.
- To nie wyposażenie dworu.
- Ależ tak. Pani domu jest jedną z jego ozdób, prawda?
- Wolno nam wydawać pieniądze na suknię bez zgody Rossa?
- Moim zdaniem możemy założyć, że nie miałby nic przeciwko temu.

Demelza oblizwała wargi, lecz się nie odezwała. Dotarły do drzwi i dużego okna wykuszowego z koronkową firanką.

- To tu – wyjaśniła Verity.
- Młodsza z kobiet niepewnie spojrzała na tę starszą.
- Ty wybierzesz suknię?

W środku zastały niską, pulchną kobietę w stalowych okularach. Ależ to panna Poldark! Co za zaszczyt po tak długiej przerwie, jaśnie pani! To chyba pięć lat... Nie, nie, może nie aż tyle, ale minęło naprawdę dużo czasu. Verity się zaczerwieniła i wspomniła o chorobie ojca. Tak, odpowiedziała krawcowa, słyszała, że pan Poldark poważnie zaniemógł. Ma nadzieję, że... O Boże! – zawołała. Nie, nie słyszała, to bardzo smutne! Cóż, miło znowu widzieć dawną klientkę.

- Nie przybyłam po stroje dla siebie, ale dla kuzynki, pani Poldark z dworu w Namparze. Doradziłam jej, by zamówiła u pani jedną lub dwie suknie. Jestem pewna, że obsłuży ją pani równie dobrze jak mnie.
- Krawcowa zamrugła i uśmiechnęła się do Demelzy, po czym poprawiła okulary i dygnęła. Demelza również miała ochotę dygnąć, lecz się powstrzymała.
- Bardzo mi miło – rzekła.
- Chciałybyśmy obejrzeć nowe tkaniny, a potem zamówić prostą suknię poranną oraz strój do jazdy

konnej podobny do noszonego w tej chwili przez moją kuzynkę.

– Rzeczywiście, tak. Proszę łaskawie usiąść, jaśnie pani. Pani również, jaśnie pani. Fotele są czyste.

Zawołam córkę.

Mijał czas.

– Tak – powiedziała Verity. – Weźmiemy cztery jardy tej bawełnianej materii na strój do jazdy konnej.

– Po dwa szylingi i sześć pensów za metr, jaśnie pani?

– Nie, trzy szylingi i sześć pensów. Ponadto potrzebujemy pół metra prążkowanego muslinu na falbanki. I ciemnych rękawiczek. Który kapelusz weźmiemy, kuzynko? Ten z piórem?

– To za drogo! – sprzeciwiła się Demelza.

– Ten z piórem. Jest ładny i nie wygląda ostentacyjnie. Trzeba się jeszcze zastanowić nad pończochami...

Mijał czas.

– A na popołudnie dobra byłaby suknia w tym stylu – kontynuowała Verity. – Wygląda elegancko i nie jest przesadnie wyszukana. Obręcze nie powinny być zbyt szerokie. Moim zdaniem z fiołkoworóżowego jedwabiu z jabłkowitzelonym gorsetem w kwiaty, leciutko marszczonym. Halka w tym samym kolorze. Rękawy do łokci, nieco bufiaste, obszyte cienkimi pasami kremowej koronki. Hm... Oczywiście biała mantylka i bukietek na piersi.

– Tak, pani Poldark będzie wyglądać wspaniale. A kapelusz?

– Och, nie jest mi potrzebny – wtrąciła Demelza.

– Czasem się przyda. Moim zdaniem czarny, niewielki, słomkowy, z czerwonym akcentem. Może pani przygotować coś takiego?

– Och, bez trudu, jaśnie pani. Sama zaproponowałabym taki kapelusz. Moja córka jutro zacznie go robić. Bardzo dziękujemy, jaśnie pani. Czujemy się zaszczycone i mamy nadzieję, że możemy liczyć na dalsze zlecenia. Do widzenia, jaśnie paniom.

Verity i Demelza wyszły od krawcowej po prawie dwóch godzinach. Na ich zarumienionych twarzach malowało się poczucie winy, jakby oddawały się jakiejś zakazanej przyjemności.

Czerwone promienie słońca odbijały się w szybach na pierwszym piętrze po przeciwnej stronie ulicy. Wszędzie wciąż krążyły tłumy ludzi, a z pobliskiej gospody dobiegał pijacki śpiew.

Verity była trochę zamyślona. Minęły stos odpadków i zamierzały przejść przez ulicę.

– Możemy nie zdążyć kupić wszystkiego przed czwartą. Nie powinniśmy wracać po ciemku. Moim zdaniem trzeba zrezygnować ze szkła i pościeli i zająć się dywanami.

Demelza zerknęła na Verity.

– Wydałaś na mnie za dużo pieniędzy?

– W żadnym wypadku, moja droga... Poza tym Ross nigdy nie zauważy, że pościel nie jest nowa...

3

Jud był pijany jak bela.

Wziął sobie jednak do serca groźby Rossa i nie spił się do nieprzytomności. Tym razem nie przekroczył wyznaczonych granic.

Właściciel gospody Pod Czerwonym Lwem wyprowadził go za drzwi. W pobliżu czekały trzy uwiązane konie. Jud przekomarzał się z oberżystą.

Kiedy zauważył nadchodzące damy, nisko się skłonił, naśladowując maniery hiszpańskiego granda. Utrzymał równowagę, ściskając jedną ręką drążek markizy nad wejściem do szynku. Ukłon był tak

zamaszysty, że z głowy spadł mu kapelusz i popłynął rynsztokiem. Jud zaklął, aż spłoszyły się konie, i chciał biec za kapeluszem, ale poślizgnął się i ciężko usiadł na kocich łbach. Jakiś chłopiec przyniósł mu kapelusz i Jud wybełkotał podziękowanie. Oberżysta pomógł damom zająć miejsca w siodłach, po czym poszedł pomóc Judowi wstać.

Tymczasem wokół zebrali się gapie obserwujący całą scenę. Oberżysta zdołał postawić Juda na nogi i wcisnął mu kapelusz na łysą czaszkę.

– Pilnuj go, przyjacielu. Musisz się utrzymać w siodle. Przydadzą ci się do tego obie ręce.

Jud, dotknięty do żywego, natychmiast zerwał z głowy kapelusz.

– Poślizgłem się nieopacznie na krowim placu i uważasz, że jestem bezbronny jak niemowle?! Że można mnie odziewać i rozdziewać jak stracha na wróble, wciskać mi na łeb kapelusz, bo że jestem wleciał w krowi placzek?! Lepiej, żebyś posprzątał ulicę przed tym swoim lichym wyszynkiem! Nie przystoi, by przed drzwiami leżały krowie placaki! To paskudne, ohydne, plugawe!

– Spokojnie, spokojnie... – odezwał się oberżysta.

– To drzwi do jego oberży! – zwrócił się Jud do tłumu gapiów. – To drzwi do jego oberży! Jakby każdy sprzątał przed swoimi drzwiami, toby na ulicach nie było krowich placaków! W całym zasranym mieście! Pamiętajta, co mówi Biblia? „Nie weźmiesz ani nie przeniesiesz granice sąsiada twego”⁷. Pomyślta o tym! Biedne, durne zwierzaki nie znają... Nigdy...

– Pomóc ci wsiąść na konia? – spytał oberżysta.

– Jakem żyje, tak mnie nie pohańbiono! – wrzeszczał Jud. – Wsadził mi na łeb kapelusz jak dzieciakowi! I do tego mokry! Wszystkie brudy Powder Street oblały mi głowę! Wystarczy, żeby umrzeć! Wystarczy katar, a potem siup i trup! Wyczyśćta wejścia do swoich domów, bracia, słuchajta moich słów! Pilnujta swoich spraw, a nigdy nie bądźzta jak tak kreatura, co hańbi najlepszych klientów, bo się wywrócili na krowim placu! Przed własnymi drzwiami wsadzają ludziom na łby kapelusze unurzane w gównie! To nie może być, nie może być, kochani bracia, pamiętajta o tym...! – Jud objął oberżystę za szyję.

– Jedźmy same – zwróciła się Verity do Demelzy, która uniosła dłoń do ust i nie mogła powstrzymać chichotu.

Z oberży wyszedł służący i razem z oberżystą zaprowadzili Juda do konia.

– Biedna zagubiona duszyczka... – rzekł Jud, gładząc oberżystę po policzku. – Biedna, zagubiona duszyczka... Patrzta na niego, bracia! Jest potępiony. Czeka go ogień piekielny. Wieta, że będzie się smażył w piekle jak tłusta gęś? A dlaczego? Wieta dlaczego?! Bo zaprzedał duszę diabłu! Tak samo jak wy wszystkie! Bo gardzita słowami Biblii: „Poganie! Poganie! Nie przeniesiesz granice sąsiada twego! Nie weźmiesz...”⁸.

W tym momencie oberżysta i jego pomocnik wspólnymi siłami unieśli Juda i wsadzili na konia. Oberżysta natychmiast przebiegł na drugą stronę zwierzęcia, bo Jud zaczął się zsuwać. Podparł go, a potem pchnął i Jud znalazł się wreszcie w siodle, przytrzymywany z dwóch stron. Stary, ślepy Ramoth zniósł wszystko bez protestu i nawet się nie poruszył. Oberżysta i jego pomocnik wsadzili stopy Juda w strzemiona i klepnęli Ramotha w zad, by ruszał.

Podczas przejazdu przez most i wspinania się na wzgórze Jud trzymał się w siodle dość pewnie i wciąż upominał przechodniów, że powinni czynić pokutę, nim będzie za późno.

czasu do czasu słyszały strzępy piosenek i przekleństwa, co świadczyło, że Jud jeszcze nie spadł z konia.

Na początku prawie nie rozmawiały, zajęte własnymi myślami, zadowolone z ciekawego dnia. Wspólna wyprawa do Truro pozwoliła im się lepiej zrozumieć.

Kiedy słońce zachodziło nad St Ann's, niebo przybrało złocistopomarańczową i liliową barwę. Chmury zmieniały kształty i mieniły się różnymi kolorami. Jaskrawe światło wydawało się zapowiedzią końca świata, którego rychłe nadejście głośno przewidywał jadący z tyłu Jud.

– Te stroje, Verity... – zaczęła Demelza.

– Tak?

– Funt jedenaście szylingów i sześć pensów to strasznie dużo za kilka sukni.

– Są dobrej jakości. Będą ci długo służyć.

– Nigdy nie miałam dobrego gorsetu. Bałam się, że każą mi zdjąć suknię. Moja bielizna jest okropna.

– Pożyczę ci trochę swoich rzeczy na przymiarkę.

– Pojedziesz ze mną?

– Tak. Możemy się spotkać *en route*.

– Dlaczego nie zostaniesz do tego czasu w Namparze? To tylko dwa tygodnie.

– Moja droga, twoje zaproszenie to dla mnie wielki zaszczyt i bardzo ci dziękuję. Ale jestem potrzebna w Trenwith. Może odwiedzę cię na wiosnę?

Jechały w milczeniu.

– Dwadzieścia dziewięć szylingów za kapelusz do jazdy konnej. Ładny jedwab na zielono-fioletową suknię. Moim zdaniem nie powinnyśmy wydawać tyle pieniędzy.

– Masz straszne wyrzuty sumienia.

– Nie bez powodu. Powinnam ci była wcześniej powiedzieć.

– O czym?

Demelza się zawahała.

– Niedługo stanę się grubsza. Nie będę mogła nosić tych strojów.

Verity zrozumiała, o co chodzi, dopiero po chwili, bo Demelza mówiła bardzo szybko. Droga stała się wąska i nierówna; konie musiały iść jeden za drugim. Kiedy obie kobiety znów znalazły się obok siebie, Verity powiedziała:

– Moja droga, masz na myśli...

– Tak.

– Och, bardzo się cieszę... – Verity nie mogła znaleźć słów. – Na pewno jesteś bardzo szczęśliwa.

– To nie jest jeszcze pewne – odparła Demelza. – Ale nie ma tego, co pojawiał się regularnie jak w zegarku, a w zeszłą niedzielę przez całą noc nie spałam i dziwnie się czułam. A dziś rano wymiotowałam jak Garrick, gdy się nażre robaków.

Verity się roześmiała.

– I przejmujesz się kilkoma sukniami?! Ross... Ross będzie zachwycony!

– Nie, nie mogę mu jeszcze powiedzieć. Bardzo się o mnie martwi. Jakby myślał, że jestem chora, kazałyby mi siedzieć przez cały dzień i nic nie robić.

Zbliżał się wieczór i chmury przybrały głęboką, śliwkową barwę. Na pustych wrzosowiskach pały się stada kóz; na polach stały niskie snopy zboża; gdzieniegdzie widać było drewniane budynki kopalni i chaty kryte szarym łupkiem lub strzechami. Wszystko oświetlały ciepłe promienie zachodzącego słońca, padając na chrapy koni i twarze Verity i Demelzy pod rondami szerokich kapeluszy.

Wiatr ucichł i słychać było jedynie dźwięki wydawane przez konie: brzęk wędzideł, skrzyp skórzanych siodeł, stukot kopyt. Na niebie pojawił się sierp księżycy i Demelza złożyła mu ukłon. Verity obejrzała się za siebie. Jud był pół kilometra za nimi. Ramoth przystanął i skubał żywopłot. Jud śpiewał:

„Gdy w lecie, gdy w lecie, gdy w maju do domu...”.

Dotarły do Bargus. W narożniku jałowego, pustego wrzosowiska grzebano morderców i samobójców. Od wielu miesięcy na szubienicy wisiała tylko lina, ale było to miejsce przeklęte, toteż Verity i Demelza poczuły ulgę, że zdążyły je minąć przed zmrokiem.

Znalazły się w znajomej okolicy. Konie miały ochotę ruszyć kłusem, lecz Verity i Demelza ściągnęły wodze, by Jud nie został zbyt daleko z tyłu.

– Trochę się boję – odezwała się Demelza, jakby mówiła sama do siebie.

Verity spojrzała na nią i zrozumiała, że nie chodzi o duchy ani rozbójników.

– Doskonale cię rozumiem, moja droga. Ale to wkrótce się skończy, a potem...

– Nie, nie to – przerwała Demelza. – Nie o siebie się boję, tylko o Rossa. Widzisz, lubi mnie tak krótko. Teraz będę brzydka wiele, wiele miesięcy. Zobaczysz, jak chodzę po domu, kolebię się jak kaczką, i może przestać mnie lubić...

– Nie musisz się tego obawiać. Ross nigdy niczego nie zapomina. Myślę... – Verity popatrzyła w gęstniejący mrok. – Myślę, że to charakterystyczna cecha naszej rodziny.

Ostatnie pięć kilometrów przejechały w milczeniu. Na niebie zaświecił młody księżyc, a słońce skryło się za horyzontem. Kiedy znikło, pozostała po nim widmowa łuna. Demelza obserwowała małe nietoperze latające nad drogą.

Przejechały przez zagajnik koło Wheal Maiden i skręciły w dolinę, czując dziwne zadowolenie. Na polach stały dwa nowe stogi skoszonej pszenicy i jeden owsa; rankiem miały złocistą barwę.

Ross powitał je na progu. Pomógł im zsiąść z koni i zaprosił do domu.

– Gdzie Jud? – spytał. – Czy...

– Został z tyłu – odpowiedziała Demelza. – Myje twarz w strumieniu...

Rozdział siódmy

1

Jesień trwała długo, jakby syciła się własną doskonałością. Październikowe wichury się nie pojawiły, a liście wysokich wiązów, żółte, brązowe i brunatnoczerwone, płynęły strumieniem aż do Bożego Narodzenia. W Namparze życie toczyło się spokojnie. Ross i Demelza, całkowicie od siebie różni, lecz darzący się miłością, żyli w zgodzie i harmonii, pracowali, spali i jedli, śmiali się, stawali się sobie coraz bliżsi. Otoczyła ich delikatna skorupka codziennych obowiązków, której zewnętrzny świat nie próbował rozbić. Rutyna codziennego życia stała się jednym ze źródeł szczęścia.

Jinny Carter przychodziła do dworu z błękitnooką, rudowłosą dziewczynką, którą nosiła w chuście. Pracowała dobrze i prawie się nie odzywała, a dziecko nie sprawiało kłopotu. Pojawiały się codziennie o szóstej rano, a o siódmej wieczorem Jinny powoli wspinała się na wzgórze i wracała do Mellin. Nie było prawie żadnych wiadomości o Jimie. Pewnego dnia Jinny pokazała Rossowi pełen błędów ortograficznych list napisany przez towarzysza Jima z celi. Carter informował, że jest zdrowy, i przesyłał żonie i dzieciom wyrazy miłości. Ross wiedział, że Jinny utrzymuje matkę. Jinny wysyłała Jimowi zarobione przez siebie pieniądze, gdy tylko mogła. Nikt nie wiedział, ile zatrzymują strażnicy więzienni. Żona Zacky'ego Martina z największym trudem wyperswadowała córce pomysł pójścia pieszo do Bodmin, oddalonego o czterdzieści kilometrów, spędzenia nocy pod żywopłotem i powrotu następnego dnia.

Ross pomyślał, że po Bożym Narodzeniu sam tam pojedzie.

Demelza, uwolniona od wielu ciężkich obowiązków, lecz i tak wiecznie zajęta, znalazła więcej czasu na grę na szpincie. W tej chwili potrafiła wydobyć z instrumentu przyjemne dźwięki; umiała również zagrać kilka prostych melodii znanych sobie piosenek. Ross obiecał, że w przyszłym roku każe nastroić instrument i że Demelza będzie brała lekcje.

Dwudziestego pierwszego grudnia mieszkańców dworu w Namparze zaskoczyło pojawienie się młodego Bartle'a z listem od Francisa. Kuzyn zapraszał Rossa i Demelzę, by spędzili Boże Narodzenie w Trenwith.

Francis pisał:

Będziemy jedynie my, to znaczy domownicy. Kuzyn W.A. jest w Oksfordzie, a państwo Chynoweth spędzają święta ze swoim krewnym, wikariuszem Bodmin. Żałuję, że dwie linie naszego rodu w różny sposób rozumieją obowiązki rodzinne. Verity dużo nam opowiadała o Twojej Żonie (naszej nowej Kuzynce) i bardzo chcielibyśmy Ją poznać. Przyjedźcie po południu w Wigilię i zostańcie na kilka dni.

Ross długo się zastanawiał nad treścią listu, nim pokazał go Demelzie. Sformułowano go przyjaźnie i nie odniósł wrażenia, by ktoś namówił Francisa do jego napisania. Nie zrobiła tego ani Verity, ani Elizabeth. Nie chciał pogłębiać istniejących rozdzwiewków i czuł żal na myśl o odrzuceniu szczerego gestu przyjaźni, zwłaszcza ze strony przyjaciela z dzieciństwa.

Naturalnie Demelza interpretowała to inaczej. Stała za tym Elizabeth; chciała ich zaprosić, by obejrzeć żonę Rossa. Pragnęła udowodnić Rossowi, że popełnił błąd, poślubiając prostą dziewczynę, i upokorzyć Demelzę, popisując się arystokratycznymi manierami.

Jednak Ross uznał, że przyjęcie zaproszenia może mieć swoje zalety. Zupełnie nie wstydził się

Demelzy. Poldarkowie z Trenwith zawsze byli liberalni w kwestiach towarzyskich, a Demelza miała dziwny urok, którego nikt nie mógłby zdobyć za żadne pieniądze. Dobrze znając Elizabeth, uważał, że nie posunie się do prymitywnego aktu wrogości, i chciał jej pokazać, że nie zadowolili się byle kim.

Demelza nie była przekonana.

– Nie, Ross. – Pokręciła głową. – Jedź, jeśli musisz. Zostanę w domu. Nie pasuję do tych ludzi. Będzie mi tu dobrze.

– Albo oboje tam pojedziemy, albo oboje zostaniemy w Namparze. Bartle ciągle czeka i muszę mu dać trochę pieniędzy w prezencie ślubnym. Pójdę na górę po sakiewkę, a ty się zastanów, czy chcesz być miłą kuzynką.

Na obliczu Demelzy pojawił się wyraz buntu.

– Nie chcę być miłą kuzynką.

– A zatem posłuszną małżonką.

– Będę się czuła okropnie, Ross. Tutaj jestem panią Poldark. Mogę nakręcać zegar, kiedy chcę. Mogę się z tobą drażnić, ciągnąć cię za włosy, krzyczeć, śpiewać i grać na starym szpinecie, jeśli mam ochotę. Dzielę z tobą łożę i rankiem, kiedy się budzę, jestem dumna jak paw i robię wielkie plany. Ale Poldarkowie z Trenwith są inni niż Verity, sam to mówiłeś. Zaczną ze mną rozmawiać, powiedzą: „Ach, mój Boże...”, a potem każą mi jeść wieczerzę z Bartle’em i jego młodą żoną.

Ross zerknął na nią z ukosa.

– Uważasz ich za znacznie lepszych od siebie, prawda?

– Nie, tego nie powiedziałam.

– Uważasz, że powinienem się ciebie wstydzić?

W czasie sporów Demelza nigdy nie potrafiła odeprzeć argumentów Rossa. Wiedziała, czuła, że mąż nie ma racji, lecz nie umiała tego dowieść.

– Och, Ross, oni należą do twojej klasy, a ja nie... – westchnęła.

– Twoja matka urodziła cię tak samo jak ich matki – odparł Ross. – Wszyscy poruszamy się tak samo, mamy takie same apetyty, zachcianki. W tej chwili mam jedną zachciankę: zabrać cię na Boże Narodzenie do Trenwith. Minęło już przeszło pół roku, odkąd uroczyście przysięgłaś mi posłuszeństwo. Co ty na to?

– Nic, Ross. Tylko to, że nie chcę jechać do Trenwith.

Roześmiał się. W tej chwili ich sprzeczki zwykle kończyły się śmiechem. Była to oznaka, że ich związek staje się równoprawny.

Ross podszedł do stołu.

– Napiszę krótki bilecik z podziękowaniem i obiecuję wysłać odpowiedź jutro.

Następnego dnia Demelza z ociąganiem ustąpiła, jak zwykle w ważnych sprawach. Ross napisał, że przyjadą w Wigilię i spędzą Boże Narodzenie w Trenwith. Jednak sprawy kopalni mogą zmusić go do powrotu do Nampary tego samego wieczoru.

Przyjęli zaproszenie, więc nie obrazili krewnych, a gdyby atmosfera okazała się napięta, nie pozostaną długo w Trenwith. Demelza będzie miała okazję spotkać się z rodziną Rossa na gruncie towarzyskim, lecz wysiłek udawania damy nie potrwa długo.

Demelza wyraziła zgodę, bo choć nie przekonały jej argumenty Rossa, rzadko potrafiła mu się sprzeciwić. Ale wolałaby iść do cyrulika i kazać wyrwać sobie sześć zębów.

W gruncie rzeczy nie obawiała się Francisca ani starej ciotki Agathy; szybko się uczyła i przez całą jesień nabierała pewności siebie. Straszakiem była Elizabeth. Elizabeth, Elizabeth, Elizabeth... W Wigilię miała wrażenie, że ich stopy wybijają to imię, gdy szli przez pola za dworem i ruszyli ścieżką wzdłuż klifu.

Demelza zerknęła z ukosa na męża, który podążał obok niej długimi, swobodnymi krokami. Przestał

już kuleć. Nigdy tak naprawdę nie wiedziała, o czym myśli Ross; jego głębsze refleksje maskowała dziwna, niespokojna twarz z ledwo widoczną, bladą szramą na policzku, piętnem odniesionej przez niego rany duchowej. Rozumiała tylko, że w tej chwili jest szczęśliwy i że to ona jest przyczyną tego szczęścia. Zdawała sobie sprawę, że są razem szczęśliwi, lecz nie mogła przewidzieć, jak długo to potrwa. Czują w głębi serca, że towarzystwo kobiety, którą niegdyś Ross tak bardzo kochał, to kuszenie losu.

Najgorsza była myśl, że w ciągu najbliższych dwóch dni tak wiele może zależeć od niej samej.

Dzień był słoneczny, od strony lądu wiał chłodny wiatr, a spokojne morze miało zielonkawą barwę. W stronę brzegu powoli bieging długie rzędy fal. Ich pokryte pianą grzbiety marszczyły się w podmuchach południowo-wschodniego wiatru niczym pióra edredona, aż wreszcie załamywały się i zimowe słońce zapalało dziesiątki tęczy w otaczających je obłokach pyłu wodnego.

Przez całą drogę do zatoki Sawle Demelzie i Rossowi przeszkadzał Garrick, który uznał, że jego pani nie może iść bez niego. Najwyraźniej sądził, że jeśli okaże wystarczający upór, skłoni ją do zmiany zdania. Co kilka kroków wypowiedziana ostrym głosem komenda sprawiała, że kładł się posłusznie na ziemi, po czym patrzył z wyrzutem na Demelzę jednym przekrwionym okiem, jakby chciał dowieść, że ciągle tli się w nim życie. Kiedy robili kilkanaście kroków, okazywało się, że w dalszym ciągu skrada się za nimi niezgrabnie. Na szczęście spotkali Marka Daniela, który wracał tą samą ścieżką. Mark Daniel nie tolerował nieposłuszeństwa i po raz ostatni widziano go, gdy maszerował w stronę Nampary, trzymając Garricka za kłapciaste ucho.

Przeszli po piasku i kamieniach nad zatoką Sawle, gdzie kilku ludzi dobrodusznie życzyło im miłego dnia, i wspięli się na klif od drugiej strony. Nim ruszyli w głąb lądu, zatrzymali się, by odetchnąć, i patrzyli na stadko głuptaków polujących na ryby nieopodal brzegu. Ptaki latały pod wiatr tuż za falami przyboju, unosząc się w powietrzu na wielkich białych skrzydłach z czarnymi końcami, po czym nagle nurkowały i znikwały z pluskiem pod wodą. Po dziesięciu lub dwudziestu próbach wynurzały się wreszcie z niewielką węgorzycą wijącą się w długich, zakrzywionych dziobach.

– Jakbym była węgorzycą, nienawidziłabym głuptaków – zauważyła Demelza. – Widzisz, jak składają skrzydła, gdy wpadają do wody? Kiedy wynurzają się bez ryby w dziobie, wyglądają niewinnie, jakby nie chciały nikogo zabić.

– Przydałoby się trochę deszczu – powiedział Ross, patrząc na niebo. – Źródła wysychają.

– Kiedyś, przed śmiercią, bardzo chciałabym popłynąć statkiem, Ross. Do Francji, Cherbourga albo Madrytu, a może do Ameryki. Na morzu na pewno żyją różne dziwne ptaki, dużo większe od głuptaków. Dlaczego nigdy nie opowiadasz o Ameryce, Ross?

– Przeszłość to nic dobrego. Ważna jest terażniejszość i przyszłość.

– Ojciec znał człowieka, który był w Ameryce. Nigdy o niczym innym nie mówił. To było jak opowieść wróżki.

– Francis miał szczęście – stwierdził Ross. – Spędził całe lato, podróżując po Włoszech i kontynencie. Ja także chciałem podróżować. Później wybuchła wojna i popłynąłem do Ameryki. Kiedy wróciłem, myślałem tylko o własnym zakątku Anglii. To dziwne.

– Chciałabym kiedyś odwiedzić Francję.

– Moglibyśmy w każdej chwili popłynąć do Roscoff albo Cherbourga jednym z kutrów z St Ann's. Robiłem to jako chłopiec.

– Wolałabym większy statek – odpowiedziała Demelza. – I nie chcę się bać, że w każdej chwili mogą zacząć do nas strzelać celnicy.

Ruszyli.

Na schodach dworu w Trenwith powitała ich Verity. Zbiegła na dół i pocałowała Rossa i jego młodą żonę. Demelza ścisnęła ją przez chwilę, po czym zaczerpnęła głęboko tchu i weszła do dworu.

Pierwsze minuty były trudne dla wszystkich, lecz po chwili skrępowanie minęło. Na szczęście zarówno Demelza, jak i mieszkańcy Trenwith House zachowywali się nienagannie. Francis miał w sobie naturalny wdzięk, który potrafił okazywać, jeśli chciał, a ciotka Agatha, w swojej gorszej peruce, zachowywała się dobrodusznie i niewinnie po wypiciu kieliszka rumu z Jamajki. Elizabeth uśmiechała się, a delikatny rumieniec czynił jej twarz jeszcze piękniejszą. W salonie pojawił się trzyletni Geoffrey Charles; stał z palcem w buzi i gapił się na nieznanym.

Na samym początku ciotka Agatha wywołała lekką konsternację, kiedy oświadczyła, że nigdy jej nie powiedziano o małżeństwie Rossa, i zażądała wyjaśnień. Później spytała o panięskie nazwisko Demelzy.

– Co takiego? – powtórzyła. – Carkeek? Cardew? Carne? Carne, mówisz? Skąd ona pochodzi? Skąd pochodzisz, dziecko?

– Z Illuggan – odpowiedziała Demelza.

– Skąd? Ach, to blisko dworu Bassettów, prawda? Na pewno znasz sir Francisa. Roztropny młody człowiek, jak powiadają, ale poświęca zbyt dużo uwagi kwestiom socjalnym. – Ciotka Agatha pogładziła włoski na podbródku. – Podejdz tu, pączuszk. Nie gryzę. Ile masz lat?

Demelza pozwoliła się wziąć za rękę.

– Osiemnaście. – Zerknęła na Rossa.

– Hm. Miły wiek. Miły i słodki. – Ciotka Agatha również zerknęła na Rossa, a jej małe oczka lśniły złośliwie wśród zmarszczek. – Wiesz, ile mam lat?

Demelza pokręciła głową.

– Dziewięćdziesiąt jeden. Skończyłam w zeszły czwartek, siedem dni temu.

– Nie wiedziałem, że jesteś taka stara – wtrącił Francis.

– Nie jesteś wszystko wiedzący, mój chłopcze. W zeszły czwartek skończyłam dziewięćdziesiąt jeden lat. Co ty na to, Ross?

– Jesteś słodka w każdym wieku, ciociu – szepnął jej do ucha Ross.

Agatha uśmiechnęła się z zadowoleniem.

– Zawsze byłeś niegrzecznym chłopcem. Jak twój ojciec. Widziałam pięć pokoleń Poldarków. Nie, sześć. I starą babcie Trenwith. Dobrze ją pamiętam. Była z domu Rowe. Pobożni prezbiterianie. Jej ojciec, Owen, przyjaźnił się z Cromwellem. Był ponoć jednym z pięćdziesięciu dziewięciu sędziów, którzy podpisali wyrok na króla Karola. Stracili cały majątek w okresie restauracji. Umarła, gdy miałam dziesięć lat. Opowiadała mi historie o wielkiej epidemii dżumy w siedemnastym wieku, choć oczywiście nie żyła w tamtych czasach.

– Mieliśmy raz dżumę w Illuggan – wtrąciła Demelza.

– Anna-Maria, moja matka, poślubiła jednego z Poldarków. Była jedynaczką. Dożyła sędziwego wieku. Wyszła za Charlesa Viviana Poldarka, znanego fircyka. Zanim poznał mamę, zwolniono go z marynarki po bitwie pod La Hogue, w której odniósł rany. Miał wtedy zaledwie dwadzieścia pięć lat. To jego portret, pączuszk. Ten dżentelmen z bródką.

Demelza wytrzeszczyła oczy.

– Był również Claude Henry, mój brat, który poślubił Matildę Ellen Peter z Treviles. Zmarł dziesięć lat przed mamą. Rozpusta i mocne trunki, właśnie to go zabiło. To twój dziadek, Ross. Ty i Francis jesteście piątym pokoleniem, a mały Geoffrey szóstym. Sześć pokoleń, a przecież mam jeszcze przed sobą szmat życia.

Demelza wreszcie mogła cofnąć rękę i przywitała się z gapiącym się na nią chłopcem. Geoffrey

Charles był pulchnym malcem o tak gładkiej twarzy, że nie można było wyobrazić jej sobie zmarszczonej w uśmiechu. Ładne dziecko, zresztą nic dziwnego, po takich rodzicach.

Ross nie widział Elizabeth od pół roku, ale nie patrzył na nią tak obojętnie, jak się spodziewał. Miał nadzieję, że zachowa spokój, jakby małżeństwo i miłość do Demelzy uodporniły go na dawną namiętność; wizyta w Trenwith miała udowodnić, że się wyleczył. Jednak Demelza nie okazała się szczepionką, a raczej źródłem innej gorączki. W czasie powitania zastanawiał się, czy mimo wszystko nie miała racji, gdy pod wpływem pierwszego impulsu chciała odrzucić zaproszenie.

Spotkanie Elizabeth i Demelzy wzbudziło w Rossie poczucie lekkiego niezadowolenia: odnosiły się do siebie ostentacyjnie przyjaźnie, lecz było widać, że mają się na baczności. Nie wiedział, czy kogoś zwiodły, lecz z pewnością nie jego. Nie zachowywały się naturalnie.

Demelza i Verity zaprzyjaźniły się dopiero po wielu dniach. Właśnie tak zachowują się kobiety: osobno mogą być wyjątkowo czarujące, ale pierwsze spotkanie z przedstawicielką własnej płci zawsze sprowadza się do prób intuicyjnego odgadnięcia natury drugiej osoby.

Elizabeth dała Rossowi i Demelzie jedną z najlepszych sypialni z oknami wychodzącymi na południowy zachód, w stronę lasu.

– Piękny dwór – powiedziała Demelza, zdejmując mantylkę. Pierwsze męczarnie się skończyły i czuła się lepiej. – Nigdy nie widziałam takiego domu. Sień wielka jak kościół i ta sypialnia... Popatrz na ptaki na zasłonach; trochę jak paszkioty, choć cętki mają inny kolor. Ale, wiesz, Ross, bałabym się po ciemku tych portretów wiszących przy schodach. To wszystko twoja rodzina, Ross?

– Tak mi mówiono.

– Nie rozumiem, jak ktoś może się otaczać umarłymi. Po śmierci, Ross, nie chciałabym wisieć na ścianie jak ręcznik na sznurze. Ciągłe patrzeć na ludzi, których nigdy nie znałam, swoje prawnuki i prapraprawnuki. Wolę, by mnie zapomniano.

– Już drugi raz wspominasz dzisiaj o śmierci – odezwał się Ross. – Źle się czujesz?

– Nie, nie. Jestem dzielna.

– W takim razie bądź tak dobra i mów o przyjemniejszych sprawach. Co jest w tym pudle?

– Pudle? – powtórzyła Demelza. – Och, coś ciekawego. Poprosiłam Juda, by wieczorem przywiózł je z naszymi rzeczami.

– Co jest w środku?

– Suknia.

– Twoja?

– Tak, Ross.

– Do jazdy konnej, ta, którą kupiłaś w Truro?

– Nie, Ross, inna. Nie chcesz, żebym brzydko wyglądała przy tych wszystkich twoich prababkach, prawda?

Roześmiał się.

– Przerobiłaś jedną z sukni z biblioteki?

– Nie... Kupiłam ją w Truro z Verity.

– Zapłaciła za nią?

– Nie, Ross... Zapłaciłam z pieniędzy na wyposażenie domu.

– Oszukałaś mnie, pączuszkule... A wyglądasz tak czysto i niewinnie.

– Pączuszkulem nazywa mnie ciotka Agatha.

– Podoba mi się to określenie. Ale okazało się, że w paku jest robaczek. Oszustwa, intrygi... Mimo to cieszę się, że Verity nie zapłaciła za tę suknię. Pokaż mi ją.

– Nie, Ross! Nie, nie, nie! – zaprotestowała Demelza, usiłując nie dopuścić, by otworzył pudło. Jej

głos stawał się coraz głośniejszy. Dotknął pokrywy, ale zarzuciła mu ramiona na szyję, tak że nie mógł się poruszyć. Podniósł ją za łokcie i pocałował, a później postawił na ziemi i wymierzył jej dwa klapsy.

– Gdzie twoje dobre maniery, pączuszkę? Pomyślą, że cię biję.

– To prawda, to prawda! – Odsunęła się od Rossa, chwyciła pudło i schowała za plecami.

– Zejdź na dół, Ross, proszę! Chcę ci zrobić niespodziankę! Może nie włożę tej sukni, ale chcę ją przymierzyć, a obiad jest dopiero za godzinę. Idź na dół, porozmawiaj z ciotką Agathą i policz włoski na jej brodzie.

– Nie przyjechaliśmy na bal – powiedział. – To tylko spotkanie rodzinne; nie ma potrzeby się stroić.

– Jest Wigilia. Pytałam Verity. Powiedziała, że mogę zmienić ubranie.

– Och, rób, co chcesz. Ale pamiętaj, że musisz być gotowa na piątą. A poza tym nie wiąż gorsetu zbyt mocno, bo będzie ci niewygodnie – dodał po namyśle. – W Trenwith dobrze karmią, a ja znam twój apetyt.

Wypowiedziawszy te słowa, wyszedł z sypialni, pozostawiając Demelzę samą, by się przygotowała.

Uważała, że tego wieczoru może zlekceważyć ostatnią radę Rossa. Przez cały dzień dręczyły ją mdłości. Nie miała ochoty jeść w Trenwith i obawiała się tej odrobiny, którą zdoła w siebie wmusić. Nie chciała stać się pośmiewiskiem. Byłaby to tragedia. Zastanawiała się, czy będzie musiała wstać od stołu i pośpieszyć do najbliższego wychodka.

Zdjęła suknię przez głowę, zrzuciła halkę i chwilę stała w bieliźnie pożyczonej przez Verity, spoglądając na swoje odbicie w ślicznym, czystym zwierciadle na toalecie. Nigdy w całym swoim życiu nie widziała tak wyraźnie swojego ciała. Nie czuła się zawstydzona, ale zastanawiała się, jak mogła się pokazywać Rossowi w bieliźnie uszytej przez siebie i Prudie. Nigdy więcej jej nie włoży.

Słyszała plotki, że wiele dam z miasta nosi białe pończochy bez majtek, a do tego krynoliny. Budziło to jej niesmak. Zasługiwały na to, by złapać zapalenie płuc i umrzeć.

Zadrzała. Wkrótce stanie się gruba i brzydka niezależnie od tego, co włoży. Tak przynajmniej sądziła. Każdego ranka brała sznurek z węzełkiem i mierzyła się w talii. Niewiarygodne, ale wydawało się, że straciła dwa centymetry. Może węzeł się przesunął?

Życie na wsi sprawiło, że wcześniej zrozumiała, skąd się biorą dzieci, a jednak jej wiedza była pełna luk. Matka urodziła po niej sześcioro dzieci, lecz Demelza prawie nie pamiętała okresu przed ukończeniem ósmego roku życia.

Musi spytać Verity. Zwracała się do niej teraz ze wszystkimi problemami. Musi spytać Verity. Nie przyszło jej do głowy, że mogą istnieć sprawy, o których Verity wie jeszcze mniej.

Rozdział ósmy

W dużym salonie na parterze Ross zastał tylko Elizabeth i Geoffreya Charlesa. Siedzieli przy kominku. Matka trzymała syna na kolanach i czytała mu bajkę.

Ross słuchał chłodnego, wyuczonego głosu; sprawiało mu to przyjemność. Jednak Elizabeth zauważyła go i umilkła.

- Czytaj, mammo, czytaj!
- Za chwilę, najdroższy. Muszę odpocząć. A może dla odmiany stryj Ross coś ci opowie?
- Znam tylko prawdziwe historie – odrzekł Ross. – Wszystkie są smutne.
- Na pewno nie wszystkie! – zaoponowała Elizabeth. – Twoja własna na pewno jest szczęśliwa, bo masz wyjątkowo uroczą żonę.

Ross zawahał się, niepewny, czy chciałby rozmawiać o Demelzie nawet z Elizabeth.

- Cieszę się, że ją lubisz.
- Bardzo się zmieniła, odkąd ją ostatnio widziałam, a nie minęło nawet siedem miesięcy. Myślę, że zmieni się jeszcze bardziej. Musisz wprowadzić ją w towarzystwo, w świat.
- Narażając się na afronty takich kobiet jak pani Teague? Dziękuję, dobrze mi z tym, co mam.
- Jesteś przewrażliwiony. Poza tym twoja żona może chcieć poznać świat. Kobiety są odważne w takich sprawach, a Demelza jest jeszcze bardzo młoda.
- Przekonałem ją z najwyższym trudem, by tu przyjechała.

Elizabeth uśmiechnęła się, patrząc na kędzierzawą główkę swojego syna.

- To zrozumiałe.
- Dlaczego?
- Och... poznała całą naszą rodzinę, prawda? I jest jeszcze trochę *gauche*. Może się spodziewać afrontów.
- Mammo, jeszcze raz! Jeszcze raz!
- Nie teraz. Za chwilę.
- Pan ma znak na buzi, mammo!
- Pst, najdroższy! Nie wolno mówić takich rzeczy.
- Ale go ma. Naprawdę, mammo!
- Myłem się i myłem, ale nie chce zejść – zażartował Ross.

Po tych słowach Geoffrey Charles więcej się nie odezwał.

– Verity bardzo polubiła Demelzę – odezwała się Elizabeth. – Teraz, gdy pierwsze lody zostały przełamane, musimy częściej cię widywać.

– A twoje sprawy? – spytał Ross. – Mały Geoffrey wygląda kwitnąco.

Elizabeth wysunęła drobną stopę w eleganckim pantofelku i pozwoliła synowi zsunąć się z kolan na podłogę. Chłopiec stał przez chwilę, jakby zastanawiał się, czy uciec, ale zauważył, że Ross dalej na niego patrzy. Znowu ogarnęło go zawstydzenie i ukrył twarz w spódnicy matki.

– Przestań, najdroższy, nie bądź niemądry. To stryj Ross, nasz przyjaciel podobnie jak wujek Warleggan. To twój bliski krewny, prawdziwy stryj, i nie powinieneś się bać. Chodź, przywitaj się.

Ale Geoffrey Charles nie chciał poruszyć głową.

– Nie czuję się zbyt dobrze, ale wszyscy martwimy się o moją biedną matkę – powiedziała Elizabeth. – Ma wielkie kłopoty z oczami. W Nowy Rok przyjedzie z Exeter doktor Park, chirurg, by ją zbadać. Doktor Choake i doktor Pryce uważają, że choroba jest poważna.

– Bardzo mi przykro.

– Mówią, że do oczu mamy przedostają się szkodliwe humory. Leczenie jest bardzo bolesne.

Obwiązują jej szyję jedwabną chustką i zaciskają ją, aż mama prawie się dusi i czerwienieje na twarzy. Później puszcza ją za uszami. Teraz pojechała na odpoczynek do kuzynki w Bodmin. Bardzo się o nią martwię.

Ross się skrzywił.

– Mój ojciec nie ufał lekarzom. Mam nadzieję, że stan twojej matki się poprawi.

Zapadło milczenie. Elizabeth pochyliła się i szepnęła coś Geoffreyowi do ucha. Przez chwilę nie reagował, po czym nagle obrzucił Rossa szczególnie nieprzyjemnym spojrzeniem i wybiegł z salonu.

Elizabeth popatrzyła za nim.

– Geoffrey jest w trudnym wieku – powiedziała. – Trzeba go oduczyć kaprysów. – Jednak mówiła tonem świadczącym o miłości do syna.

– A Francis?

Na twarzy Elizabeth pojawił się wyraz, którego Ross nigdy wcześniej nie widział.

– Francis? Och, jesteśmy szczęśliwi, dziękuję, Ross.

– Lato minęło bardzo szybko. Miałem zamiar przyjechać i zobaczyć się z wami. Być może Francis ci wspominał, że raz z nim rozmawiałem.

– Musisz się teraz zajmować własnymi sprawami.

– Ale nie wyłącznie.

– W lecie jakoś sobie radziliśmy. – Ton i wyraz twarzy Elizabeth świadczyły, że może mieć na myśli finanse rodziny albo wychowanie syna.

– Nie rozumiem Francisca – rzekł Ross.

– Jesteśmy tacy, jakimi się urodziliśmy. Wydaje się, że Francis to urodzony hazardzista. Gdyby nie uważał, przegrałby cały majątek i zmarł jako biedak.

Ross pomyślał, że w każdej rodzinie znajdują się łajdacy i utracjusze; ich cechy dziedziczy potomstwo, czego skutkiem jest impulsywność i skłonność do perwersji. Było to jedyne wytłumaczenie. Jednak Joshua, nawet Joshua, ekscentryczny i uganiający się za kobietami, miał dość rozsądku, by się ustakować, gdy spotkał odpowiednią kobietę, i żył spokojnie aż do końca swoich dni.

– Gdzie spędza większość czasu?

– U Warlegganów. Bardzo dobrze się bawiliśmy, dopóki stawki nie zrobiły się za wysokie. Byłam tam jedynie dwa razy po urodzeniu Geoffreya. Teraz nie jestem zapraszana.

– Ale z pewnością...

– Och tak, mogłabym poprosić Francisca, by mnie zabrał. Ale twierdzi, że w tych spotkaniach biorą udział prawie wyłącznie mężczyźni. Mówi, że źle bym się czuła.

Spoglądała na fałdy swojej błękitnej sukni. Była to zupełnie nowa Elizabeth. Mówiła bez ogródek, w beznamiętny sposób, jakby bolesne doświadczenia nauczyły ją dystansu do życia.

– Ross...

– Tak?

– Myślę, że mógłbyś mi pomóc w jednej sprawie...

– Mów...

– Krążą pewne plotki na temat Francisca. Nie mam możliwości sprawdzić, czy jest w nich ziarno prawdy. Mogłabym poprosić George'a Warleggana, ale nie chcę tego robić z pewnych szczególnych powodów. Nie mogę tego od ciebie żądać, wiesz o tym, ale byłabym ci bardzo wdzięczna, gdybyś ustalił, czy to prawda.

Ross patrzył na Elizabeth. Postąpił niemądrze, przyjeżdżając do Trenwith. Nie mógł spokojnie

rozmawiać z tą kobietą o prywatnych sprawach, nie przeżywając dawnych uczuć.

– Zrobię wszystko, co będę mógł. Sprawi mi to przyjemność. Niestety nie obracam się w tych samych kręgach co Francis. Moje zainteresowania...

– Można to zaaranżować.

Ross spojrział szybko na Elizabeth.

– Jak?

– Mogłabym poprosić George'a Warleggana, by cię zaprosił na jedno ze swoich przyjęć. George cię lubi.

– Jakie to plotki?

– Mówią, że Francis pokazuje się publicznie w towarzystwie innej kobiety. Nie wiem, czy to prawda, ale nie ulega wątpliwości, że nie mogę nagle zacząć chodzić na te przyjęcia. Nie mogę go szpiegować.

Ross się zawahał. Czy Elizabeth w pełni rozumie, o co prosi? Nie chce szpiegować męża i w efekcie zleca to zadanie jemu. W jakim celu? Czy jego interwencja może uratować małżeństwo, którego fundamenty się zawaliły?

– Nie podejmuj decyzji natychmiast, Ross – odezwała się cicho. – Zostaw to na później. Przemyśl tę sprawę. Wiem, że proszę cię o bardzo dużo.

Ton jej głosu sprawił, że się rozejrzał, i nagle do salonu wszedł Francis. Siedząc w tym wielkim, przytulnym salonie, Ross pomyślał, że można łatwo nauczyć się rozpoznawać kroki każdego domownika, który zbliża się do drzwi.

– Tête-à-tête? – spytał Francis, unosząc brwi. – Nie masz nic do picia, Ross? Powinniśmy być bardziej gościnni. Pozwól, że naleję ci grzanego piwa z jajami, cukrem i gałką muszkatołową. To cię rozgrzeje.

– Ross opowiadał o sukcesach swojej kopalni, Francisie – powiedziała Elizabeth.

– Niech Bóg broni, byśmy mówili o takich rzeczach w Wigilię! – nastroszył się Francis. – Ross może do nas przyjechać w styczniu albo w lutym; wtedy porozmawiamy o górnictwie. Ale nie teraz, proszę. Spędzilibyśmy nudny wieczór, porównując notatki na temat aukcji miedzi.

Ross zauważył, że Francis jest podпиты, choć nie rzucało się to szczególnie w oczy. Elizabeth wstała.

– Kiedy kuzyni nie widzą się od tak dawna, trudno znaleźć temat rozmowy – oświadczyła miłym tonem. – Nie zaszkodziłoby nam, Francisie, gdybyśmy poświęcili trochę więcej uwagi Grambler. Muszę położyć Geoffreya spać. – Wyszła.

Francis podszedł do Rossa z kuflem w ręku. Miał na sobie ciemnozielony surdut, koronki na mankietach były brudne. Dziwne, bo zwykle ubierał się nieskazitelnie. Żadnych innych oznak hulaszczego trybu życia. Starannie uczesane włosy, schludnie związany halsztuk, eleganckie maniery. Jego twarz wyraźnie się zaokrągliła, co sprawiało, że wyglądał starzej, a spojrzenie wydawało się nieco roztargnione.

– Elizabeth sprawia, że życie staje się śmiertelnie poważne – zauważył. – Prrrt!, jak skomentowałyby to mój nieodżałowany ojciec.

– Zawsze podziwiałem w tobie umiejętność eleganckiego wyrażania myśli – odparł Ross.

Francis spojrział na niego i uśmiechnął się szeroko.

– Nie miałem zamiaru cię urazić. Zbyt długo się nie widzieliśmy. Czy warto się złościć? Zła krew to tylko radość dla pijawek. Wypij ze mną.

Ross wypił.

– Nie mam do ciebie urazy. Przeszłość to przeszłość, a ja jestem zadowolony.

– Powinieneś być zadowolony – rzekł Francis znad krawędzi kufla. – Podoba mi się twoja żona. Spodziewałem się tego, sądząc po opowieściach Verity. Porusza się jak nerwowy żrebak. Czy to ważne,

czy pochodzi z zamku Windsor, czy ze Stippy-Stappy Lane, skoro jest w niej prawdziwy duch?

– Obaj mamy ze sobą wiele wspólnego – zauważył Ross.

– Kiedyś też tak uważałem. – Francis umilkł. – O co ci chodzi? O poglądy czy sytuację życiową?

– Poglądy. Twoja sytuacja życiowa jest lepsza od mojej, to jasne. Dwór i bogactwo naszych wspólnych przodków, piękna żona (wybrana przez nas obu, jeśli wolno mi tak powiedzieć), pieniądze, które możesz trwonić przy karcianym stole i na walki kogutów, syn i dziedzic...

– Przestań, bo się rozpłaczę z powodu swojego szczęścia – przerwał Francis.

– Nigdy nie uważałem cię za wyjątkowo szczęśliwego człowieka.

Francis zmarszczył czoło. Odstawił kufel.

– Nie, nie jestem wyjątkowo szczęśliwy, zresztą podobnie jak wielu innych ludzi. Mamy zwyczaj oceniać bliźnich, choć nic o nich nie wiemy. Uważamy...

– Więc spraw, bym przestał być ignorantem.

Francis spoglądał mu przez chwilę prosto w oczy.

– Miałbym wylewać żale w Wigilię? Niech Bóg broni! Uznałbyś to za nudne, zapewniam cię. Jak opowieści ciotki Agathy o jej nerkach. Dopij piwo, człowieku, i nalej sobie drugi kufel.

– Dziękuję – odpowiedział Ross. – W gruncie rzeczy, Francisie...

– W gruncie rzeczy, Rossie – przerwał szyderczo Francis, ukryty w cieniu kredensu – jest tak, jak mówisz, prawda? Śliczna żona, piękna jak anioł, dwór naszych przodków obwieszony ich dziwacznymi portretami... O tak, widziałem, jak Demelza patrzyła na nie z otwartymi ustami. Ładny syn wychowany w odpowiedni sposób: czcij ojca swego i matkę swoją, abyś długo żył w majątku danym od Boga. I w końcu pieniądze, które można trwonić na karty i walki kogutów. Trwonić! Pyszne określenie. Brzmi tak, jakby chodziło o duże sumy. Przypomina mi się ksiązę Walii, który przegrał kilka tysięcy gwinei w klubie White'a.

– Wszystko jest względne – odparł spokojnie Ross. – Jeśli ktoś jest prowincjonalnym dziedzicem z Kornwalii, strata pięćdziesięciu gwinei może być dla niego równie bolesna jak przegranie dwóch tysięcy dla następcy tronu.

Francis wybuchnął śmiechem.

– Zapomniałem, że mówisz na podstawie własnych doświadczeń. Ale teraz prowadzisz życie spokojnego rolnika.

– Skoro już mówimy o hazardzie – stwierdził Ross – nasza rodzina ryzykuje znacznie więcej niż Jerzy. Żaden parlament nie spłaci naszych długów w wysokości stu sześćdziesięciu tysięcy funtów ani nie przyzna dziesięciu tysięcy funtów rocznie na utrzymanie obecnej metresy.

– Masz dokładne informacje o działalności parlamentu.

– Wiadomości prędko się rozchodzą, czy dotyczą księcia, czy prowincjonalnego ziemianina.

Francis oblał się rumieńcem.

– Co masz na myśli?

– Że to piwo jest bardzo rozgrzewające.

– Może cię rozczaruję, ale nie jestem zainteresowany opowieściami starych, ospowatych bab szeptanymi nad kominkami opalanymi torfem – odparł Francis. – Robię, co chcę, a one mogą pluć jadem, ile chcą. Plotkują o nas wszystkich. Pomyśl o sobie, Ross.

– Źle mnie zrozumiałeś – odparł Ross. – Nie interesują mnie plotki ani opowieści głupich bab. Ale więzienia dla dłużników są wilgotne i śmierdzące. Powinieneś o tym pamiętać, dopóki nie jest za późno.

Francis zapalił długą fajkę i milczał przez chwilę, nim się odezwał. Poprawił żelaznymi szczypcami szczapę drewna płonąca na kominku.

– Elizabeth musiała ci opowiedzieć wiele ciekawych historii.

– Nie potrzebuję zwierzeń Elizabeth. Te ciekawe historie są znane w całym hrabstwie.

– Ludzie wiedzą więcej o moich sprawach niż ja sam. Może chciałbyś mi coś doradzić? Powinienem zostać metodystą i szukać zbawienia?

– Drogi kuzynie, lubię cię, a twoje dobro leży mi na sercu – odpowiedział Ross. – Ale twój los, nawet najgorszy, nie wpłynie na moje życie. Urodzenie może dać ziemię i rodzinę, lecz nie zdrowy rozsądek. Jeśli chcesz roztrwonić majątek, roztrwoni go i niech cię diabli wezmą!

Francis przez chwilę spoglądał na Rossa cynicznym wzrokiem, po czym odłożył fajkę i poklepał go po ramieniu.

– Mówisz jak prawdziwy Poldark. Nigdy nie byliśmy zgodną rodziną. Klnijmy i kłóćmy się jak przyjaciele, a potem wypijmy. Ty i ja, razem, i niech piekło pochłonie wierzycieli!

Ross uniósł pusty kufel i spojrzał posepnie na dno. Dobroduszna reakcja Francisa poruszyła znajomą strunę. Rozczarowania sprawiły, że kuzyn stał się twardy, i nie zmieniły natury człowieka, którego Ross znał i lubił.

W tym momencie do salonu wszedł Bartle z dwoma dużymi lichtarzami. Żółte płomienie świec kołysały się w podmuchach powietrza; wydawało się, że w pomieszczeniu nagle zapłonął ogień. W rogu lśniła szpulka kołowrotka Elizabeth. Obok kanapy leżała płócienna lalka z watą wystającą z brzucha. Na krześle stał wiklinowy kosz z robótkami i tamborek z niedokończonym haftem. Światło świec było ciepłe i przyjazne, a zaciągnięte zasłony tworzyły przytulny nastrój spokojnej zamożności.

W salonie widać było kobiecą rękę, lecz w ciągu kilku minut rozmowy pojawił się pierwiastek męski. Rossa i Francisa łączyła więź oparta na ogólniejszym, szerszym, bardziej tolerancyjnym rozumieniu świata. Łączyło ich braterstwo, wspólnota krwi i wspomnienia dawnej przyjaźni.

Nagle Rossowi przyszło do głowy, że przyczyną części trosk Elizabeth może być typowo kobiecy brak poczucia bezpieczeństwa. Francis pił. Francis oddawał się hazardowi i trwonił pieniądze. Francisa widziano z inną kobietą. Niezbyt przyjemne, ale dość typowe. Dla Rossa było to trudne do przyjęcia, lecz dla Elizabeth miało wymiar tragedii. Jednak nie należało tracić dystansu. Inni ziemianie również pili i oddawali się hazardowi. Długi stały się modne. Mężczyźni nauczyli się podziwiać piękno kobiet, z którymi nie łączyło ich małżeństwo, i ignorować znajomą urodę własnych żon. Nie wynikało z tego, że Francis zmierza prostą drogą ku zatraceniu.

Tak czy inaczej, było Boże Narodzenie, które powinno jednoczyć rodzinę, nie zaś stać się początkiem kolejnego konfliktu.

Ross powinien skończyć tę rozmowę. Trzeba to na razie zostawić. Pomyślał o Demelzie, młodej, radosnej, pełnej życia, wkładającej na górze swoją najlepszą suknię. Miał nadzieję, że żona nie przesadzi. Na szczęście jeździła do krawcowej z Verity. Myśl o Demelzie wypełniła jego umysł światłem i ciepłem, jak wniesienie świec rozjaśniło salon.

Niech diabli porwą zmartwienia Elizabeth. Nie pora na nie w czasie Bożego Narodzenia. W styczniu można do nich wrócić, jeśli wciąż będą mącić spokój i szarpać nerwy.

Rozdział dziewiąty

Wieczera rozpoczęła się o piątej i trwała do siódmej czterdzieści. Podano potrawy godne epoki, dworu i pory roku. Na początek grochówka, następnie pieczony łabędź w słodkim sosie, podroby, kotlety baranie, kuropatwa w cieście i cztery bekasy. Na deser budyń śliwkowy z sosem z brandy, szarlotka, świąteczne babeczki z mięsem i bakaliami, kremy i ciasta. Do tego porto, bordo, madera i domowe piwo.

Rossowi brakowało tylko jednego – Charlesa. Wielkiego brzucha, cichszych lub głośniejszych pierdnięć, rubasznego poczucia humoru. W tej chwili doczesne szczątki tego grubego, przeciętnego, lecz w sumie zacnego człowieka rozpadały się w proch, jednocząc się z ziemią, która dawała mu środki do życia. Soki w ciele Charlesa wkrótce staną się pokarmem dla perzu gęsto porastającego przykościelny cmentarz. Ale w tym dworze, poza którym w ciągu sześćdziesięciu ośmiu lat swojego życia Charles nocował zaledwie kilka razy, pozostała lekka aura jego obecności i Ross wyczuwał ją znacznie lepiej od aury portretów wszystkich czterdziestu sześciu przodków.

Nie był to smutek z powodu śmierci Charlesa, lecz raczej poczucie, że jego nieobecność jest czymś niestosownym.

Dla tak niewielkiej kompanii sala jadalna była zbyt obszerna i przewiewna. Uczestnicy przyjęcia zebrali się w salonie zimowym, położonym od strony zachodniej i pokrytym boazerią aż do sufitu; niedaleko znajdowała się kuchnia. Przypadek sprawił, że pojawienie się Demelzy było bardzo efektowne. Verity weszła do dużego salonu i oznajmiła, że wieczera gotowa. Elizabeth i czworo gości, którzy się tam znajdowali, opuścili pokój, uśmiechając się i rozmawiając. W tym samym momencie na schodach stanęła żona Rossa.

Miała na sobie suknię wybraną przez Verity, uszytą z fiołkoworóżowego jedwabiu, z rękawami sięgającymi do łokci oraz jabłkowitzelonym gorsetem w kształcie odwróconej litery A z kwiecistym wzorem, nieco rozszerzaną u dołu.

Ross nie do końca rozumiał zachowanie Demelzy. Naturalnie powinien być zadowolony z jej wyglądu; jeszcze nigdy nie wydawała się tak czarująca. Tego wieczoru na własny niezwykły sposób mogła konkurować z Elizabeth, która ze swoimi nieskazitelnymi rysami twarzy i idealną cerą była piękniejsza od większości kobiet. Niezręczna sytuacja towarzyska paradoksalnie sprawiła, że Demelza wyglądała wyjątkowo ładnie, z pięknymi ciemnymi oczyma, schludnie związanymi włosami, smagłą skórą o ciepłym odcieniu. Verity nie kryła, że jest z niej dumna.

W czasie wieczerzy Demelza jadła bardzo niewiele. Ross uważał, że przesadnie stara się podkreślać swoje dobre maniery: próbowała wielu dań i zawsze zostawiała prawie pełny talerz. Prześcignęła pod tym względem nawet Elizabeth, która zawsze ledwo skubała podawane potrawy. Podejrzliwy obserwator mógłby przypuszczać, że Demelza parodiuje gospodynię. Rozbawiło to Rossa. Tego wieczoru jego żona była w przekornym nastroju.

W czasie posiłków zwykle była rozmowna, bez przerwy o coś pytała i chętnie głośno myślała, lecz tym razem prawie nie brała udziału w konwersacji. Zrezygnowała z bordo, które pili pozostali goście, poprzestając na domowym piwie. Ale nie wydawała się znudzona i okazywała żywe zainteresowanie, gdy Elizabeth mówiła o nieznanym osobach lub opowiadała anegdoty o Geoffreju Charlesie. Kiedy ktoś się do niej zwracał, odpowiadała uprzejmie, naturalnie i bez afektacji. Głośne pytania ciotki Agathy nie wytrącały jej z równowagi; spoglądała na Rossa, siedzącego obok staruszki, a on wykrzykiwał odpowiedź. Zmuszało go to do wymyślania odpowiednich ripost.

Goście zastanawiali się, czy prawdą są plotki, że znów próbowano dokonać zamachu na króla.

Poprzednie plotki tego rodzaju okazały się prawdziwe, gdyż Margaret Nicholson próbowała zasztyletować Jerzego III w czasie porannej audiencji. Francis wygłosił kilka cynicznych komentarzy na temat znakomitej jakości tkaniny, z której uszyto królewską kamizelkę, a Elizabeth stwierdziła, że służba monarchy nie otrzymuje wynagrodzenia od dwunastu miesięcy.

Rozmawiali o Francji i wspaniałości tamtejszego dworu. Francis wyraził zdziwienie, że ktoś nie próbował jeszcze zasztyletować Ludwika XVI, który wydaje się znacznie bardziej na to zasługiwać od Jerzego III, miłośnika rolnictwa. Królowa Francji szuka panaceum na wszystkie swoje dolegliwości w magnetyzmie zwierzęcym.

Verity oznajmiła, że chętnie wyleczyłaby się w ten sposób z kataru, ponieważ kazano jej pić pół litra wody morskiej dziennie, lecz szkodzi jej ona na żołądek. Doktor Choake przypisywał przeziębienia złemu powietrzu – zwracał uwagę, że surowe mięso nabite na patyk psuje się po czterdziestu minutach, a umieszczone w słonej wodzie zachowuje świeżość przez długi czas. Ross zauważył, że Choake to stara baba. Francis dodał, że w twierdzeniu tym może być dużo prawdy, gdyż Polly nie może począć dziecka. Elizabeth zmieniła temat i zaczęła mówić o kłopotach matki z oczami.

Francis wypił w czasie posiłku dziesięć kieliszków porto, lecz nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia. Inaczej niż za dawnych czasów, gdy zawsze jako pierwszy spadał pod stół, pomyślał Ross. „Chłopak ma słabą głowę”, utyskiwał Charles. Ross zerknął na Elizabeth, lecz miała pogodną twarz.

Za kwadrans ósma damy wstały i wyszły, zostawiając dwóch mężczyzn przy pełnym brudnych naczyń stole. Pili brandy i palili fajki, rozmawiając o interesach, lecz po kilku minutach zapadło milczenie. Nagle w drzwiach stanęła pani Tabb.

– Przybyli goście, panie.

– Jacy?

– Pan George Warleggan i pan John Treneglos z małżonką.

Ross poczuł przypływ irytacji z powodu tej niespodzianki. Nie miał ochoty spotykać dziś wieczorem odnoszącego triumfy George’a. I był pewien, że Ruth by nie przyszła, gdyby wiedziała, że jest tu z Demelzą.

Francis wydawał się szczerze zdziwiony.

– Do licha, przyjeżdżają w odwiedziny w Wigilię?! Co z nimi zrobiłaś, Emily?

– Są w wielkim salonie, panie. Pani Elizabeth prosiła, by szybko pan przyszedł i zamienił z nimi kilka słów, bo nie zamierzają zostać długo.

– Naturalnie, zaraz przyjdziemy. – Francis uniósł kieliszek. – Natychmiast.

Kiedy pani Tabb wyszła, zapalił fajkę.

– George przybywa do nas w odwiedziny, wyobraź tylko sobie! Myślałem, że spędza Boże Narodzenie w Cardew. Zbieg okoliczności, prawda? A do tego John i Ruth. Pamiętasz, jak się biliśmy z Johnem i Richardem, Ross?

Ross pamiętał.

– George Warleggan to wielki człowiek – ciągnął Francis. – Pod koniec życia będzie właścicielem połowy Kornwalii. – Roześmiał się. – Ale nie uda mu się zdobyć drugiej połowy, choć bardzo tego pragnie. Nie można mieć wszystkiego.

– Jego kuzyn?

– Cary Warleggan, bankier.

– Ładne określenie. Słyszałem, że nazywają go lichwiarzem.

– Pst! Chcesz obrazić taką potężną rodzinę?!

– Ta rodzina staje się zbyt natrętna jak na mój gust. Wolę, gdy społeczeństwem rządzą prostsze zasady.

– To ludzie przyszłości, Ross. Nie zmęczone życiem rody jak Chynowethowie albo Poldarkowie.

– Nie mam nic przeciwko energii Warlegganów, tylko sposobom, w jakie ją wykorzystują. Jeśli człowiek ma w sobie żywotność, niechaj wzbogaca własną duszę, a nie próbuje zostać właścicielem dusz innych.

– Można to zarzucić Cary’emu, lecz raczej nie George’owi.

– Dopij wino i chodźmy – odezwał się Ross, myśląc o Demelzie rozmawiającej z obcymi ludźmi.

– To bardzo dziwne – odezwał się Francis. – Filozofowie na pewno nadaliby temu jakąś uczoną nazwę. Uważam to za perwersyjną stronę życia.

– Co masz na myśli?

– Och... – Francis się zawahał. – Sam nie wiem. Zazdrościmy komuś czegoś, czego nie mamy, choć tak naprawdę ta osoba też wcale tego nie ma. Czy wyrażam się jasno? Nie, chyba nie. Chodźmy porozmawiać z George’em.

Wstali od stołu i wyszli do sieni. Po chwili usłyszeli głośne śmiechy dobiegające z dużego salonu.

– Urządzają karnawał w moim domu – rzekł Francis. – Czy to nasz elegant George?

– Moim zdaniem raczej John, mistrz ceremonii polowań w naszym hrabstwie.

Weszli do salonu i okazało się, że Ross zgadł. John Treneglos siedział obok kołowrotka Elizabeth i próbował prząść. Wydawało się to prostą czynnością, lecz wymagało praktyki, której mu brakowało. Koło obracało się równo przez kilka chwil, ale nacisk stopy na pedał nie był równomierny i zakrzywiony pałak nagle się cofał i zatrzymywał. Kiedy kołowrotek działał dobrze, w pokoju panowała cisza, przerywana jedynie uwagami wymienianymi przez Treneglosa i Warleggana, ale gdy John wypadał z rytmu, rozlegał się wybuch śmiechu.

Treneglos był potężnie zbudowanym, niezgrabnym mężczyzną w wieku trzydziestu lat, o piaskowych włosach, głęboko osadzonych oczach i piegowatej twarzy. Dobrze jeździł konno, pierwszorzędnie strzelał, był najlepszym niezawodowym zapaśnikiem w dwóch hrabstwach, słabo grał w gry wymagające jakiegokolwiek wysiłku umysłowego i uchodził za brutala. Tego wieczoru, chociaż przybył z wizytą do przyjaciół, był ubrany w starą kurtkę do jazdy konnej z brązowego aksamitu i mocne sztruksowe bryczesy. Chełpił się, że zawsze nosi bryczesy, nawet w łóżku.

Ross ze zdziwieniem spostrzegł, że Demelzy nie ma w salonie.

– Przegrałeś – odezwał się George Warleggan. – Przegrałeś. Jesteś mi winien pięć gwinei. Ha, a oto i Francis!

– Jeszcze jedna próba, do licha! Na razie to tylko ćwiczenia. Nie pozwolę, by pokonało mnie takie groteskowe kółko.

– Gdzie Demelza? – Ross zwrócił się do Verity stojącej przy drzwiach.

– Na górze. Chciała być przez kilka minut sama, więc zesłam na dół.

– Popsujesz kołowrotek, John – rzekła z uśmiechem Elizabeth. – Za mocno naciskasz na pedał.

– John, przestań! – poprosiła jego żona.

Treneglos poprawiał sobie humor zaczął brandy i nie zwracał na nią uwagi. Ponownie uruchomił kołowrotek i wydawało się, że tym razem wszystko idzie dobrze. Jednak próbował zwiększyć prędkość w niewłaściwym momencie: pałak cofnął się i kołowrotek nagle się zatrzymał. George wydał okrzyk triumfu, a John Treneglos wstał z niezadowoloną miną.

– Jeszcze trzy próby i nauczyłbym się obsługiwać ten przeklęty kołowrotek. Musisz udzielić mi lekcji, Elizabeth. Masz swoje złoto, człowieku. Nieuczciwie je zarobiłeś i stanie ci kością w gardle!

– John bardzo łatwo się denerwuje – odezwała się jego żona. – Obawiałam się o twój kołowrotek, Elizabeth. Chyba wszyscy jesteśmy trochę zmęczeni, a Boże Narodzenie dopełniło miary.

John Treneglos nie przejmował się modą, lecz nie można było tego powiedzieć o świeżo upieczonej pani Treneglos. Ruth Teague, niska, brzydko ubrana dziewczyna z wielkanocnego balu dobroczynnego,

przeszła ogromną przemianę. Ross wyczuł w czasie balu, że pozory mogą mylić i że jest w niej coś szczególnego. Miała na sobie kremową suknię z jedwabiu ze Spitalfields ze srebrnymi obszyciami w talii i na ramionach. Niezbyt dobry strój do jazdy konnej, lecz nie ulegało wątpliwości, że zna się na modzie. John wydawał w tej chwili pieniądze nie tylko na polowania. I na pewno nie wybierał strojów żony.

– Ach, kapitan Poldark – rzekł ironicznie Treneglos. – Jesteśmy sąsiadami, ale spotykamy się po raz pierwszy. Żyje pan jak Robinson Crusoe na bezludnej wyspie.

– Ale ma swojego Piętaszka, mój drogi – wtrąciła łagodnie Ruth.

– Kogo? Ach, masz na myśli Juda – odparł Treneglos, łagodząc złośliwość żony. – Prawdziwa łysa małpa. Kiedyś bezczelnie mi odpowiedział. Gdyby nie był pańskim sługą, obiłbym go szpicrutą. Co z kopalnią? Ojciec jest w siódmym niebie i mówi, że wydobywacie mnóstwo miedzi.

– Niezbyt wielkie przedsięwzięcie, lecz jak dotąd opłacalne – powiedział Ross.

– Na Boga, czy musimy rozmawiać o interesach?! – wtrącił George. – Elizabeth, przynieś harfę. Pieśń od razu poprawi nam humor.

– Nie mam głosu – odparła Elizabeth, uśmiechając się promiennie. – Gdybyś zechciał zaśpiewać razem ze mną...

– Wszyscy z tobą zaśpiewamy – rzekł George unizonym głosem. – Śpiew będzie pięknym ukoronowaniem wieczoru.

George stanowił całkowite przeciwieństwo butnego, gruboskórnego Johna Treneglosa, odległego potomka Roberta de Mortain, hrabiego Kornwalii, przyrodniego brata Wilhelma Zdobywcy. Trudno było uwierzyć, że dziadkiem George'a był krzepki starzec o sękatych dłoniach, który mieszkał w wiejskiej chacie, nosił zgrzebną koszulę, żuł tytoń i ledwo potrafił napisać własne nazwisko. Jego wnuk stał się wyrafinowanym młodym elegantem noszącym modny różowy surdut z brązowymi wyłogami. O tym, że dziadek parał się kowalstwem, świadczyły jedynie nieco toporne rysy twarzy, pełne, zmysłowe usta, krótki, gruby kark i barczyste ramiona.

– Czy Demelza zamierza zejść? – Ross zwrócił się cicho do Verity. – Nie przerazili jej ci ludzie?

– Nie, chyba nawet nie wie, że tu są.

– Zagrajmy partyjkę faraona – zaproponował Francis. – W sobotę miałem piekielnego pecha. Może fortuna wreszcie się odwróci.

Zakrzyczano go. Elizabeth musi zagrać na harfie. Wszyscy przybyli specjalnie, by jej posłuchać. George przesuwał już instrument na środek sali, a John przyniósł taboret, na którym miała usiąść. Po początkowych protestach dała się w końcu przekonać. W tej samej chwili do sali weszła Demelza.

Czuła się lepiej. Przed chwilą zwymiotowała zjedzoną kolację i wypite piwo jak dawni rzymscy senatorowie po uczcie. Nie było to przyjemne, ale poczuła się lepiej. Mdłości ustały i wszystko było w porządku.

Po jej wejściu przez chwilę panowała cisza. Rozległo się tylko kilka chrząknięć. Później Elizabeth powiedziała:

– To nasza nowa kuzynka Demelza, żona Rossa.

Demelza była zaskoczona pojawieniem się tylu nowych gości, z którymi powinna się przywitać. Pamiętała Ruth Teague, która przyjechała kiedyś z wizytą do Rossa, i dwa razy widziała na polowaniach jej męża, najstarszego syna pana Treneglosa, jednego z najbogatszych ziemian w okolicy. Kiedy widziała ich po raz ostatni, była długonogą, brudną podkuchenną, na którą nie zwróciliby uwagi. A już na pewno nie zainteresowałyby Ruth. Demelza czuła się onieśmielona w tym towarzystwie; po stroju oceniła, że George Warleggan musi być co najmniej synem lorda. Ale szybko się uczyła, że mężczyźni, nawet należący do śmietanki towarzyskiej, mają zadziwiającą skłonność do oceniania kobiet według własnych kryteriów.

– Do licha, Ross, gdzie ukrywał pan ten prześliczny kwiatusek? – odezwał się Treneglos. – Nieładnie z pańskiej strony, że trzymał pan pod kluczem taką piękność. Do usług, madame.

Demelza, jako dawna służąca, nie chciała odpowiadać „do usług”, a poza tym zwrot ten wyraźnie nie pasował do sytuacji, toteż poprzestała na miłym uśmiechu. Pozwoliła się przedstawić dwóm pozostałym gościom, następnie przyjęła od Verity kieliszek porto i wypić go jednym haustem, gdy goście nie patrzyli.

– A zatem to pańska żona, kapitanie – odezwała się słodko Ruth. – Chodź i usiądź przy mnie, moja droga. Opowiedz mi wszystko o sobie. W czerwcu mówiło o tobie całe hrabstwo.

– Tak – zgodziła się Demelza. – Ludzie bardzo lubią plotkować, prawda?

Treneglos wybuchnął śmiechem i poklepał się po udzie.

– Racja, szanowna pani! Wznieśmy toast: Wesołych Świąt i niechaj piekło pochłonie plotkarzy!

– Jesteś pijany, John – rzekła ostro Ruth. – Nie będziesz w stanie się utrzymać w siodle, jeśli natychmiast nie odjedziemy.

– Najpierw musimy usłyszeć Elizabeth grającą na harfie – wtrącił George, który rozmawiał po cichu z żoną Francisą.

– Śpiewa pani, pani Poldark? – spytał John.

– Ja? – odparła zdziwiona Demelza. – Tylko gdy jestem szczęśliwa.

– A teraz nie jest pani szczęśliwa? – spytał John. – Jest Boże Narodzenie. Musi pani dla nas zaśpiewać.

– Twoja żona śpiewa, Ross? – zainteresował się Francis.

Ross popatrzył na Demelzę, która energicznie pokręciła głową.

– Nie – odpowiedział.

Nie wzięto jego zaprzeczenia poważnie. Ktoś musiał zaśpiewać i wydawało się, że ma to być Demelza.

Dziewczyna pośpiesznie opróżniła kieliszek z winem, który ponownie napełniono.

– Śpiewam tylko solo – powiedziała Demelza. – To znaczy... nie znam melodii. Pani... to znaczy... Elizabeth musi zagrać pierwsza... Może później...

Elizabeth delikatnie przesuwiała palcami po strunach harfy. Ciche akordy stanowiły akompaniament do rozmów gości.

– Jeśli zaśpiewasz kilka taktów piosenki, chyba potrafię ją zagrać – odezwała się Elizabeth.

– Nie, nie – zaprotestowała Demelza i cofnęła się o kilka kroków. – Ty pierwsza. Zagraj.

Elizabeth znów trąciła struny harfy i goście natychmiast umilkli, nawet podchmielony John i prawie pijany Francis. Wszyscy byli Kornwalijszymi i muzyka wiele dla nich znaczyła.

Na początek zagrała utwór Händla, a później krótką sonatę Krumpholza. Salę wypełniły delikatne dźwięki, poza którymi słyhać było jedynie szelest ognia w kominku. Światło świec padało na młodą głowę Elizabeth i jej szczupłe dłonie; wokół włosów utworzyła się jasna aureola. Za jej plecami stał George Warleggan, barczysty, uprzejmy i bezwzględny. Trzymał ręce za plecami i wpatrywał się nieruchomo w grającą.

Verity siedziała na stołku, postawiwszy obok siebie na podłodze tacę z kieliszkami. Splotła dłonie na kolanach i uniosła głowę; na tle zielonych wełnianych kotar widać było zarys jej szyi nad koronkową mantylką. Jej spokojna twarz przypominała Verity sprzed czterech lat. Obok niej pólężał w fotelu Francis, który przymknął oczy, ale słuchał. Po jego prawej stronie ciotka Agatha żuła coś z zamyśloną miną, a z kącików warg spływały jej strumyczki śliny. Ona również słuchała, lecz niczego nie słyszała. Ruth Treneglos, choć ubrana zupełnie inaczej niż staruszka, miała w sobie zdumiewająco podobną witalność. Łatwo było zrozumieć, jak to się stało, że mimo braku urody potrafiła w odpowiednim momencie przejść do ataku i zdobyć bogatego męża.

Obok Ruth siedziała Demelza, która przed chwilą wypijała trzeci kieliszek porto i z każdą minutą czuła się coraz lepiej, a za jej plecami stał Ross, nieco zamyślony, rzucając od czasu do czasu niespokojne spojrzenia na gości. John Treneghos słuchał muzyki i ciągle zerkał na Demelzę, która wydawała się szczególnie go fascynować.

Muzyka ucichła. Elizabeth wyprostowała się i uśmiechnęła do Rossa. Brawa były cichsze, niż można by się spodziewać dziesięć minut wcześniej. Dźwięki harfy nie wprawiły zebranych w dobry nastrój, lecz dotknęły czegoś bardziej fundamentalnego. Nie mówiły o radości z Bożego Narodzenia, lecz o miłości i smutku, ludzkim życiu, jego dziwnym początku i nieuniknionym końcu.

– Wspaniale! – oznajmił George. – Długa jazda opłacała się nam z nawiązką. Elizabeth, dotykasz czułych strun w moim sercu.

– Zagraj na bis tamtą kanconetę, Elizabeth – poprosiła Verity. – Uwielbiam ją.

– Najlepiej brzmi śpiewana.

– I tak jest piękna. Zagraj ją tak jak w zeszłą niedzielę wieczorem.

Ponownie zapadła cisza. Elizabeth zagrała bardzo krótki utwór Mozarta, a później kanconetę Haydna.

Kiedy skończyła, goście przez pewien czas milczeli.

– To moja ulubiona melodia – powiedziała Verity. – Mogłabym jej słuchać bez przerwy.

– Lubię wszystkie utwory grane przez Elizabeth – odezwał się George. – Grałaś jak anioł. Jeszcze raz, proszę.

– Nie – odparła z uśmiechem Elizabeth. – Kolej na Demelzę. Teraz nam zaśpiewa.

– Po tej muzyce nie mogę – odpowiedziała Demelza, na której ostatni utwór i mocne wino zrobiły wielkie wrażenie. – Modliłam się, byście o mnie zapomnieli.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– Wysłuchajmy piosenki i jedźmy – rzekła Ruth, spoglądając na męża. – Pani Poldark, proszę przewyciężyć nieśmiałość i pozwolic nam posłuchać pani śpiewu. Jesteśmy bardzo ciekawi.

Demelza spojrzała w oczy Elizabeth i dostrzegła w nich wyzwanie. Przyjęła je. Porto dodało jej odwagi.

– No cóż...

Ross z mieszanymi uczuciami patrzył, jak Demelza podchodzi do harfy i siada na miejscu Elizabeth. Nie potrafiła grać na harfie, ale instynkt podpowiedział jej trafnie, że powinna usiąść obok instrumentu: goście otaczali harfę i nie musiała stać, nie wiedząc, co zrobić z rękami. Ale powinna zaśpiewać dziesięć minut wcześniej, gdy wszyscy byli w dobrym nastroju i chętnie by się przyłączyli. Wyrafinowana, subtelna gra Elizabeth zmieniała atmosferę. Należało się spodziewać przykrego kontrastu.

Demelza usiadła wygodnie, wyprostowała plecy i trąciła palcem jedną ze strun. Jej dźwięk zabrzmiał przyjemnie i uspokajająco. Kontrast w porównaniu z Elizabeth: znikła anielska aureola i na jej miejscu pojawiła się korona ciemnych włosów żywej kobiety.

Demelza spojrzała na Rossa; w jej oczach pojawił się złośliwy błysk. Zaczęła śpiewać.

Leciutko ochrypiły głos, prawie kontralt, nieco nierówny, lecz miły, zabrzmiał jak ciche zwierzenie:

Dla kochanego zerwę róży kwiat,

Zerwę czerwoną różę.

To od kochania zmienił się mój świat,

W mym sercu wichry i burze.

Skaleczę palec o róży cierń,

Niechaj serdeczną krwią spłynie.

*O tobie myślę w nocy i w dzień,
Godzina, ach, po godzinie.*

*Dotknę wargami kropelki krwi,
Marząc, że smutek się skończy.
Niechaj me serce o tobie śni,
Aż z twoim sercem się złączy.*

Zapadła cisza i Demelza odkaszlnęła, by dać do zrozumienia, że skończyła. Rozległy się pomruki aprobaty, częściowo płynące z grzeczności, częściowo spontaniczne.

– Urzekające... – wymamrotał Francis z przymkniętymi powiekami.

– Boże... – westchnął John Treneglos. – Podobało mi się.

– Boże... – powtórzyła Demelza, spoglądając na niego roziskrzonymi oczyma. – A tak się bałam, że się panu nie spodoba.

– Celną odpowiedź, czcigodna pani – odparł Treneglos. Zaczynał powoli rozumieć, dlaczego Ross poślubił swoją służącą. – Ma pani w zanadrzu coś jeszcze?

– Piosenki czy odpowiedzi? – odparowała Demelza.

– Nigdy wcześniej nie słyszałam tej melodii – wtrąciła Elizabeth. – Mnie również bardzo się podobała.

– Miałem na myśli piosenki, dziecko – odezwał się Treneglos, zakładając nogę na nogę. – Wiem, że zna pani wszystkie odpowiedzi.

– Powinniśmy już iść, John – stwierdziła jego żona.

– Dobrze mi tu. Dziękuję, Verity. Świetne porto, Francis. Gdzie je kupiłeś?

– W składzie Trencroma. Ostatnio ich wina się pogorszyły. Muszę zmienić dostawcę.

– Zdobyłem niedawno trochę znośnego porto – powiedział George. – Niestety po opłaceniu podatku trzynaście butelek o pojemności kwarty kosztowało blisko trzy gwinee.

Francis uniósł brwi. George był dobrym druhem i wyrozumiałym wierzycielem, lecz w czasie rozmowy nie potrafił się powstrzymać od wymieniania cen zakupionych artykułów. Była to prawie jedyna oznaka jego profesji.

– Skąd bierzesz służące, Elizabeth? – spytała głośno Ruth. – Mamy z nimi ogromne kłopoty. Mama mówiła dziś rano, że bez przerwy stroją fochy. Mówi, że mają najdziwaczniejsze pomysły, stale marzą o wyjściu ze swojej klasy...

– Zaśpiewaj jeszcze raz, Demelzo, proszę – przerwała Verity. – Może tę piosenkę, którą śpiewałaś wtedy, gdy was odwiedziłam. Pamiętasz, pieśń rybaka.

– Uwielbiam pieśni rybaków! – zawołał John. – Do kaduka, nie miałem pojęcia, że przebywamy wśród tak utalentowanych dam!

Demelza opróżniła kolejny kieliszek. Musnęła struny harfy, które wydały zaskakujący dźwięk.

– Znam inną piosenkę – powiedziała cicho. Spoglądała przez chwilę na męża, a później zmrużyła oczy i zerknęła na Treneglosa. Oczy błyszczały jej od wypitego wina.

Zaczęła śpiewać, bardzo cicho, lecz bardzo wyraźnie:

Gładka była

I mężatka,

A do tego wciąż dzierlatka.

Ojciec mówił, że nie można,

*Że to sprawa bardzo zdrożna.
Oczkiem do mnie strzelała, bestyjka!*

*I przyszedłem
W odwiedzinie.
Nie minęły dwie godziny,
Gdy słów ojca zapomniałem,
Przestróg jego nie słuchałem.
Oczkiem do mnie strzelała, bestyjka!*

Urwała, po czym patrzyła przez chwilę na Treneglosa i zaśpiewała ostatnią zwrotkę:

*Potem były nasze gody,
Ona młoda
I ja młody.
Biegnie jeleń, rogi nosi,
Gości na wesele prosi.
Oczkiem do mnie strzelała, bestyjka!*

Treneglos ryknął śmiechem i zaczął się walić dłońmi po udach. Demelza nalała sobie kolejny kieliszek porto.

– Brawo! – powiedział George. – Podoba mi się ta piosenka. Ma ładną, żywą melodię. I ładnie zaśpiewana.

Ruth wstała.

– Chodźmy, John. Dotrzemy do domu rano.

– Nonsens, moja droga! – John pociągnął za dewizkę zegarka, ale nie chciał się on wysunąć z głębokiej kieszeni. – Która godzina? Na pewno nie ma jeszcze dziesiątej.

– Jest wpół do dziesiątej – rzekł Warleggan.

– Nie podobała się pani moja piosenka? – zwróciła się Demelza do Ruth.

Wargi Ruth drgnęły.

– Ależ bardzo. Traktuję ją jak niezwykle ciekawą lekcję.

– Doprawdy, nie sędzę, by potrzebowała pani lekcji w materii, której dotyczy ta piosenka – wypaliła Demelza.

Ruth pobladła. Należało wątpić, czy Demelza w pełni zdawała sobie sprawę z implikacji tej uwagi. Ale po pięciu dużych kieliszkach porto nie zastanawiała się nad znaczeniem swojej riposty. Poczowała, że z tyłu podchodzi do niej Ross; dotknął dłonią jej ramienia.

– Nie to miałam na myśli – odparła Ruth i spojrzała obok Demelzy. – Muszę panu pogratulować, kapitanie. Pańska żona ma wielki talent artystyczny.

– Nie ma jeszcze doświadczenia, ale szybko się uczy – odparł Ross, ściskając dłoń Demelzy.

– Dużo zależy od wyboru nauczyciela, prawda?

– O tak – zgodziła się Demelza. – Ross potrafiłby każdego nauczyć dobrych manier, nawet największego grubianina.

Ruth poklepała ją po ręku. Teraz mogła się odciąć.

– Chyba nie jest pani jeszcze najlepszym sędzią w tych sprawach, moja droga.

Demelza popatrzyła na nią i skinęła głową.

– Rzeczywiście, powinnam raczej powiedzieć: każdego z wyjątkiem największego grubianina.

Verity wtrąciła się do rozmowy, nim żona Rossa stała się jeszcze bardziej jadowita. Goście zaczęli wychodzić. Nawet Treneglos wreszcie wstał z fotela. Wszyscy przeszli do sieni.

Śmiejąc się i rozmawiając, wkładali opończe, a Ruth zmieniała delikatne pantofelki na solidne trzewiki. Miała piękny, nowy płaszcz do jazdy konnej. Minęło pół godziny, nim wymieniono czułe pożegnania, życzenia i dykteryjki. W końcu przy akompaniamencie stukotu kopyt goście odjechali w stronę bramy posiadłości i zatrzaśnięto wielkie drzwi. Poldarkowie znowu zostali sami.

Rozdział dziesiąty

Patrząc na sprawę ogólnie, był to wieczór Demelzy. Zdała trudny egzamin i odniosła wielki sukces. Nikt poza nią nie wiedział, że przyczyniły się do tego mdłości, które poczuła przy stole, i pięć kieliszków porto, lecz zachowała ten sekret dla siebie.

Kiedy dwie godziny później Ross i Demelza po życzeniu kuzynom dobrej nocy wspięli się po szerokich schodach obwieszonych portretami przodków, Ross zastanawiał się nad nową stroną natury żony, która ujawniła się tego wieczoru. Przez cały czas odczuwał zdziwienie i rozbawienie. W nowej, modnej sukni Demelza wyglądała czarująco, wręcz przesłicznie; zrobiła na wszystkich ogromne wrażenie. W czasie kolacji zachowywała się z niewymuszoną godnością, choć spodziewał się, że będzie zdenerwowana i sztywna albo hałaśliwa i łapczywa. Demelza wśród niespodziewanych gości, śpiewająca pikantne piosenki cichym, gardłowym głosem z miękkim kornwalijskim akcentem. Demelza flirtująca z Johnem Treneglosem na oczach Ruth – i oczywiście na oczach Rossa.

Demelza taktownie, choć z trudem unikająca porto po wyjściu gości. (Kiedy grali w lanterloo, którego zasad nie знаła, zauważył, że obeszła salon i wypiła ukradkiem dwa kieliszki porto). Demelza wchodząca w tej chwili po szerokich schodach, pełna godności, wyprostowana i spokojna w fiołkoworóżowej i jasnozielonej sukni z jedwabiu, ze smukłą szyją i ramionami niczym białe płatki kwiatu.

Demelza bardziej odległa niż kiedykolwiek. Dziś wieczorem spojrział na nią nowymi oczyma, z innej perspektywy. Sprawdziła się w otoczeniu, które było dla niej obce, lecz które on traktował jako oczywisty punkt odniesienia, i osiągnęła sukces. Przestał żałować, że przyjechali do Trenwith. Przypomniał sobie słowa Elizabeth: „Poza tym twoja żona może chcieć poznać świat”. Skoro Demelza tego pragnie, nie ma przeszkód. Mogło to oznaczać dla nich początek nowego życia. Był zadowolony i dumny ze stopniowej ewolucji swojej młodej żony; dodawało mu to sił do działania.

Kiedy dotarli do sypialni, młoda żona Rossa dostała czkawki. Jeszcze nigdy nie czuła się tak dziwnie. Miała wrażenie, że jest gąsiorem fermentującego cydru, pełnym bąbelków powietrza; kręciło jej się w głowie i zupełnie nie miała ochoty iść spać, zresztą podobnie jak Ross. Rozejrzała się po ładnej komnacie z tapetami o kremowo-różowych barwach i kotarami z brokatu.

– Wolalabym, żeby te ptaki nie miały tylu cętek, Ross – odezwała się gderliwie. – Paszkoty nie mają takich ciapek. Skoro chcą malować na kotarach ptaki w ciapki, dlaczego nie malują we właściwym kolorze? Żaden ptak nie ma różowych cętek, a do tego aż tylu!

Zatoczyła się, pchnęła Rossa na zamknięte drzwi, on zaś pogładził ją po policzku.

– Upiłaś się, dziecko.

– Skądże... – Odzyskała równowagę, po czym przeszła przez sypialnię z wyniosłą, chłodną miną. Klapnęła ciężko na fotel przed kominkiem i strząsnęła z nóg buty. Ross zapalił pozostałe świece od świecy trzymanej w ręce i po chwili zapłonęły jasnym płomieniem, oświetlając komnatę.

Demelza siedziała z dłońmi na karku i stopami skierowanymi w stronę ognia, a Ross powoli się rozbierał. Od czasu do czasu wymieniali kilka słów, śmiali się z żartów Treneglosa na temat kołowrotka, które cytował Ross. Demelza pytała męża o Ruth, o Teague'ów, George'a Warleggana. Rozmawiali cichymi, ciepłymi głosami pełnymi wzajemnego zaufania. Zachowywali się jak przyjaciele.

We dworze zapadła cisza. Chociaż nie byli senni, przyjemne ciepło i spokój sprawiły, że ich zmysły niepostrzeżenie podążały w kierunku snu. Ross przeżył chwilę czystego szczęścia. Był kochany i kochał; szczerze odwzajemniał miłość. W tej chwili stanowili idealną parę.

Usiadł na stołku koło fotela w szlafroku Francisa i wyciągnął dłonie w stronę ognia. Milczeli. Nagle

Demelza przypomniała sobie o dawnym postanowieniu.

- Dobrze się dziś sprawowałam, Ross? – spytała. – Zachowywałam się, jak przystoi pani Poldark?
- Zachowywałaś się koszmarnie i odniosłaś sukces.
- Nie naśmiewaj się ze mnie. Myślisz, że jestem dobrą żoną?
- Dość dobrą. Względnie dobrą.
- Ładnie śpiewałam?
- Miałaś chwilę natchnienia.

Znów zapadło milczenie.

– Ross.

– Tak, pączuszk.

– Ciągle ten pączuszek... – westchnęła. – Nazywano mnie dziś kwiatuszkiem i pączuszkiem. Mam nadzieję, że za kilka lat nie nazwą mnie strączkiem.

Ross zaczął się bezgłośnie śmiać. Nie mógł się uspokoić.

– Ross? – spytała Demelza, gdy wreszcie spoważniał.

– Tak?

– Skoro jestem dobrą żoną, musisz mi coś obiecać.

– Zgoda – odpowiedział.

– Musisz przyrzec... przyrzec, że przed Wielkanocą pojedziesz do Falmouth, odszukasz kapitana Blameya i dowiesz się, czy ciągle kocha Verity.

Przez chwilę panowało milczenie.

– Skąd mam wiedzieć, kogo kocha Blamey? – spytał ironicznie Ross. Był zbyt szczęśliwy, by się sprzeczać z Demelzą.

– Spytaj go. Byłeś jego przyjacielem. Nie okłamię cię.

– A potem?

– Jeśli dalej ją kocha, możesz zaaranżować ich spotkanie.

– A potem?

– Potem nie będziemy musieli nic robić.

– Uparciuch z ciebie, prawda?

– Tylko dlatego, że ty też.

– Nie możemy układać ludziom życia.

Demelza czknęła.

– Jesteś bez serca – powiedziała. – Nic z tego nie rozumiem. Kochasz mnie, a jesteś bez serca.

– Bardzo lubię Verity, ale...

– Ach, te twoje „ale”! Brakuje ci wiary, Ross! Wy, mężczyźni, nic nie rozumiecie. Nic nie wiesz o Verity! Absolutnie nic!

– A ty wiesz?

– Nie muszę. Znam siebie.

– Wyobraź sobie, że mogą istnieć kobiety inne niż ty.

– Tra-la-la! – prychnęła Demelza. – Twoje mądrości nie robią na mnie wrażenia! Wiem, że Verity nie urodziła się, by zostać zasuszoną starą panną zajmującą się cudzym domem i cudzymi dziećmi! Woli zaryzykować małżeństwo z mężczyzną, który nie potrafi pić. – Pochyliła się i zaczęła zdejmować pończochy.

Ross patrzył na żonę.

– Wygląda na to, że po wyjściu za mnie stworzyłaś własną filozofię, kochanie.

– Nie, nie... – odrzekła Demelza. – Po prostu wiem, czym jest miłość.

Jej uwaga sprawiła, że temat rozmowy się zmienił.

– Ja też – zgodził się poważnie Ross. – Ja też wiem.

Zapadło długie milczenie.

– Jak się kogoś kocha, kilka siniaków nic nie znaczy. Liczy się miłość. Jak ktoś kogoś kocha, może zranić ciało, ale nie serce.

Zwinęła pończochy, usiadła prosto w fotelu i wyciągnęła stopy w stronę kominka, poruszając palcami nóg. Ross wziął pogrzebacz i poruszył rozżarzone węgle, aż strzeliły płomienie.

– Więc pojedziesz do Falmouth i porozmawiasz z Blameyem? – spytała.

– Zastanowię się – odparł Ross. – Zastanowię.

Demelza osiągnęła już bardzo wiele i była zbyt mądra, by dalej przekonywać Rossa. Po zamążpójściu nauczyła się pewnej praktycznej umiejętności: jeśli prosiła o coś dostatecznie długo i subtelnie, bardzo często udawało jej się postawić na swoim.

Ich słuch wyczulił się na lekkie dźwięki i mieli wrażenie, że cisza panująca we dworze jest mniej głęboka niż przed chwilą. Słyszeli delikatne poskrzypywanie starego drewna i dachówek z łupku, świadków dziejów rodów Poldarków i Trenwithów, ludzi, których zapomniane oblicza spoglądały ze ścian na opustoszałą sień, których zapomniane miłości i nadzieje żyły w tych murach. Jeffrey Trenwith, budujący dwór z pasją i wiarą; Claude, głęboko zaangażowany w rebelię modlitewników⁹; Humphrey w elżbietańskiej krezie; Charles Vivian Poldark, ranny, po powrocie z rejsu; rudowłosa Anna-Maria; prezbiterianka Joan; różne stronnictwa polityczne i wyznania; pokolenia dzieci pełnych radości życia, które dorastały, uczyły się i znikwały. Cisza panująca w starym dworze niosła więcej treści niż puste milczenie w początkach jego istnienia. Boazerie ciągle pamiętały muśnięcia jedwabnych sukien; deski ciągle trzeszczały pod naciskiem zapomnianych stóp. Między mężczyzną a kobietą siedzącymi przy kominku nagle coś się pojawiło. Wyczuli obecność historii i pogrążyli się w swoich myślach, oddaleni od siebie.

Ale nawet siła przeszłości nie mogła ich na długo rozdzielić. W jakiś sposób, może właśnie z powodu natury ich związku, dziwna cisza starego dworu przestała być barierą i zmieniła się w coś, co ich połączyło. Czas wzbudził lęk, a potem znów stał się przyjacielem.

– Śpisz? – spytał Ross.

– Nie – odpowiedziała Demelza. Poruszyła się i dotknęła palcem ramienia męża.

Wstał powoli i pochylił się nad nią, ujął w dłonie jej twarz i pocałował ją w oczy, usta, czoło. Pozwalała mu na wszystko; miała w sobie coś dziwnie tygrysięgo.

I nagle pączuszek otworzył się i zakwitł.

Dopiero wtedy dotknęła dłońmi twarzy Rossa i odwzajemniła pocałunki.

Rozdział jedenasty

Następnego dnia po wczesnym obiedzie wrócili do domu tą samą drogą, którą przyszli: ścieżką na szczycie klifu obok wsi Sawle i zatoki Nampara. Pożegnali się z krewnymi i znów zostali sami.

Idąc po porośniętym wrzosami pustkowiu, przez pewien czas rozmawiali równie chaotycznie jak poprzedniej nocy. Zwierzali się, śmiali, chwilami milczeli. Rankiem spadł obfity deszcz, lecz nie było wiatru. Ulewa ustała, gdy jedli obiad, i niebo się rozpogodziło. Teraz znowu zbierały się chmury. Ziemia nasiąkała wodą.

Demelza była zadowolona, że jej męczarnie się skończyły i że wypadła dobrze, a nawet odniosła sukces. Wzięła Rossa pod rękę i zaczęła śpiewać. Stawiała długie, męskie kroki, by nadążyć za mężem, ale musiała od czasu do czasu podbiegać, by nie zostać z tyłu. W takich chwilach śpiewała nieco wyżej; stopy i głos unosiły się w tym samym rytmie.

Zanim słońce skryło się za horyzontem, morze i ląd zalewało światło. Spienione fale lśniły pod niskimi chmurami, po czym nagle wzburzyły się i ruszyły w stronę wybrzeża.

Demelza myślała: Jeszcze nigdy nie byłam go bardziej pewna. Jaka głupia byłam tego pierwszego czerwcowego poranka, myśląc, że wszystko jest pewne. Nawet tamtej nocy w sierpniu, gdy przypłynęły sardynki, nawet wtedy nic nie rozumiałam. Przez całe lato powtarzałam sobie, że to zupełnie pewne. Byłam pewna Rossa. Ale ostatnia noc wszystko zmieniła. Po siedmiu godzinach spędzonych w towarzystwie Elizabeth ciągle mnie chciał. Rozmawiali sam na sam, ta kocica robiła do niego słodkie oczy, a on przyszedł do mnie. Może Elizabeth nie jest taka zła? Może nie jest kocicą? Może mi jej żal? Dlaczego Francis wydaje się taki znudzony? Może mimo wszystko jej współczuję. Kochana Verity pomogła. Były tylko moje dziecko nie miało rybich ślepi jak Geoffrey Charles. Chyba chudnę, a nie grubiej. Mam nadzieję, że to nic złego. Te młodości są okropne. Ruth Treneglos jest gorsza od Elizabeth. Była niezadowolona, że flirtuję z jej mężem, który lubi polowania. Jakby mnie obchodził. Nie chciałabym się z nim spotkać sam na sam w ciemnej uliczce. Moim zdaniem Ruth Treneglos jest zazdrosna z innego powodu. Może zamierzała wyjść za Rossa? Tak czy inaczej, wracam do domu, własnego domu, do łysego Juda i grubej Prudie, do rudej Jinny i długonogiego Cobbledicka, wracam do domu, gdzie stanę się gruba i brzydka. To nieważne. Verity miała rację. Ross zostanie ze mną. Nie dlatego, że powinien, ale dlatego, że chce. Nie wolno mi zapomnieć o Verity. Muszę być podstępna jak wąż. Bardzo chętnie bym pojechała na karty do George'a Warleggana. Ciekawe, czy Prudie nie zapomniała nakarmić cieląt. Ciekawe, czy przypaliła ciasto. Ciekawe, czy będzie padać. Dobry Boże, ciekawe, czy będę rzygać.

Dotarli do Sawle, przeszli przez kamienisty cypel i wspięli się na wzgórze po drugiej stronie.

– Jesteś zmęczona? – spytał Ross, gdy Demelza została w tyle.

– Nie, nie. – Spytał ją o to po raz pierwszy.

Słońce już zaszło i brązowe niebo pociemniało. Morze, przez chwilę wzburzone, nieco się uspokoiło i pokrywały je rzędy długich zielonkawych fal płynących w stronę brzegu.

Ross znowu zrozumiał, że jest szczęśliwy – w nowy, mniej ulotny sposób niż wcześniej. Wypełniała go dziwna jasność. Miał wrażenie, że w ciągu dwudziestu lat całe jego życie podążało krętymi ścieżkami właśnie do tej chwili. Beztroskie dzieciństwo, gdy biegał boso na słońcu po plaży Hendrawna, narodziny Demelzy w ubogiej wiosce górniczej, równiny Wirginii i wydeptane pola jarmarku w Redruth, skomplikowane motywy, które kazały Elizabeth wybrać Francisca, i prosta filozofia życiowa Demelzy – wszystko miało jeden wspólny cel, a była nim chwila jasności, zrozumienia i spełnienia. Ktoś – poeta łaciński – właśnie w taki sposób zdefiniował wieczność: jako umiejętność pochwycenia i utrzymania

pełni życia w jednej chwili, tu i teraz, łącząc przeszłość, teraźniejszość i przyszłość.

Pomyślał: Gdybyśmy mogli zatrzymać czas, kazałbym mu się zatrzymać w tej chwili. Nie w momencie powrotu do Nampary ani wyjazdu z Trenwith, ale teraz, na szczycie wzgórza w pobliżu Sawle, gdy świat tonie w mroku, a Demelza idzie obok mnie, nucąc pod nosem.

Wiedział, jakie sprawy wymagają jego uwagi. Życie jest ciągiem trudności, które należy pokonać, i przeszkód możliwych do przezwyciężenia. Ale wieczorem w dniu Bożego Narodzenia 1787 roku nie myślał o przyszłości, tylko teraźniejszości. Myślał: Nie jestem głodny ani spragniony, nie czuję żądy ani zawiści. Nie jestem zmartwiony, zmęczony, nie zżera mnie ambicja ani gorycz. Czekają na mnie ciepły dom, wygodny fotel, spokój, miłość. Niechaj tak zostanie.

Powoli zapadał zmrok. Okrążyli zatokę Nampara i ruszyli pod górę wzdłuż strumienia. Kiedy szli w stronę dworu, Demelza zaczęła śpiewać niskim głosem żartobliwą piosenkę:

Baba stara i dziad stary,

Razem biedę klepali.

O, ho, ho, o, ho, ho...

Przypisy końcowe

1. *Biblia, to jest księgi Starego i Nowego Testamentu*, przeł. Jakub Wujek, Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne, Warszawa (bez roku wydania; przedruk edycji krakowskiej z 1599 roku), Księgi Psalmów, Psalm IX (Psalm X wedle Żydów), 2–3, s. 527. W oryginale jest to cytat z anglikańskiego *Modlitownika powszechnego* (*The Book of Common Prayer*) (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza). ↵
2. *Ibid.*, Księgi Psalmów, Psalm IX (Psalm X wedle Żydów), 8, s. 528. ↵
3. William Szekspir, *Wieczór Trzech Króli albo co chcecie*, przeł. Stanisław Dygat, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1958, s. 55. ↵
4. Thomas Nash, *Ostatnia wola lub testament lata*, przeł. Aleksander Mierzejewski, w: *Poeci języka angielskiego*, t. I, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1969, s. 387. ↵
5. William Szekspir, *loc. cit.* ↵
6. William Szekspir, *Sonet 129*, przeł. Jerzy S. Sito, w: *Sonety*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1975, s. 147. ↵
7. *Biblia, to jest księgi Starego i Nowego Testamentu, ibid.*, Deuteronomium, XIX, 14, s. 192. ↵
8. *Loc. cit.* ↵
9. Rewolta ludowa w Kornwalii w 1549 roku w proteście przeciwko wprowadzeniu modlitewników w języku angielskim. ↵